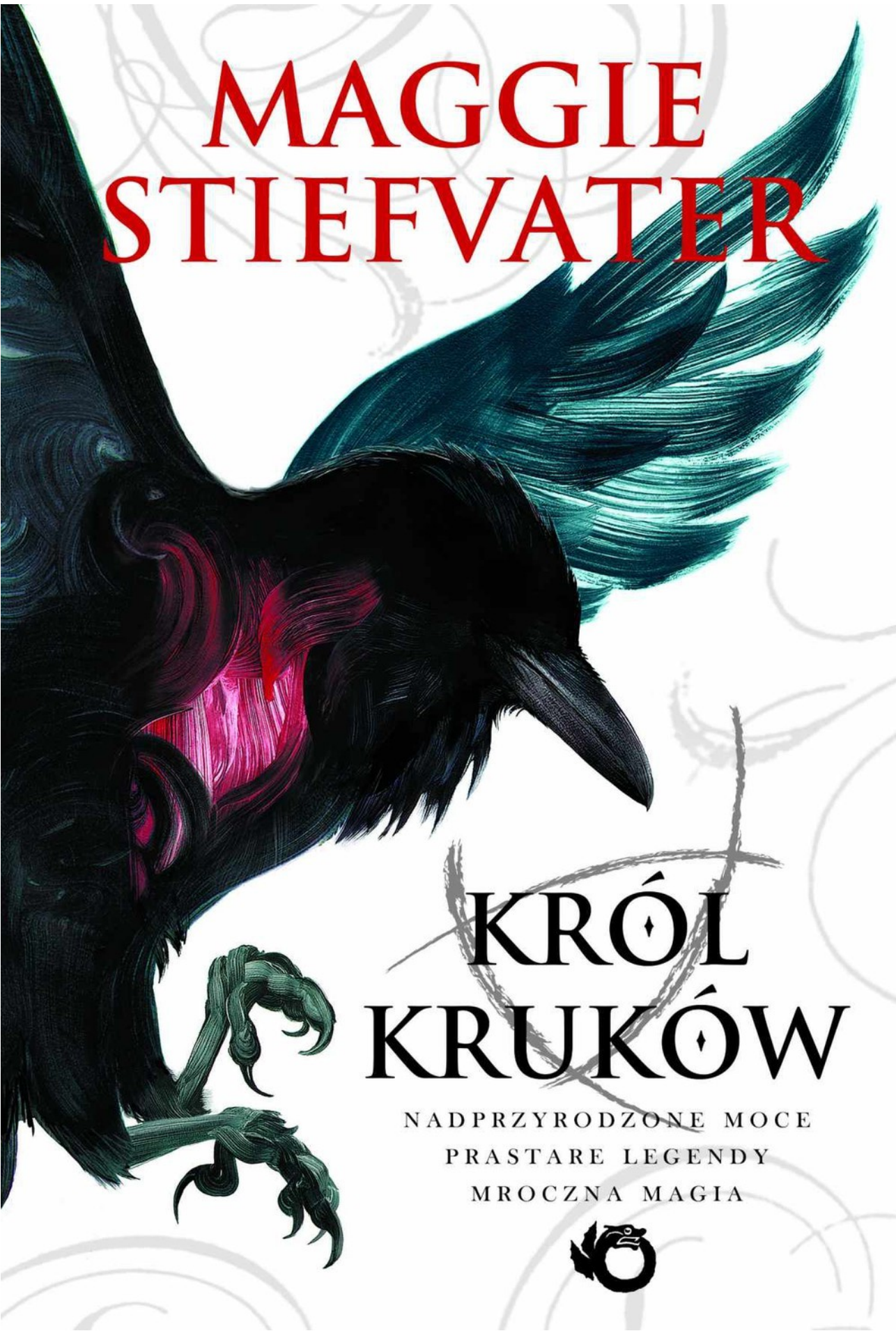


A detailed illustration of a crow or raven. The bird is shown from the side, facing right. Its body is primarily black with dark, textured feathers. A striking feature is its throat and upper chest area, which is a vibrant, glowing red. The wings are spread, showing a teal or turquoise color with visible feather details. The background is white with faint, grey, swirling patterns.

MAGGIE STIEFVATER

KRÓL KRUKÓW

NADPRZYRODZONE MOCE
PRASTARE LEGENDY
MROCZNA MAGIA



Maggie Stiefvater

KRÓL Kruków

przełożyła Małgorzata Kafel



Dla Brenny, która potrafi szukać

Patrząc w ciemność tę głęboką, stałem ze zdumieniem w oku,

Sny śniąc, jakich nikt z śmiertelnych nie śmiał śnić; drżąc w zwątpień męce.

Edgar Allan Poe „Kruk”
(tłum. Jerzy Kasiński)

Bo marzycielem jest ten, kto odnajduje drogę jedynie przy świetle księżyca,

a jego karą jest to, że widzi brzask dnia, zanim reszta świata go dostrzeże.

Oscar Wilde „Krytyk jako artysta”
(tłum. Cecylia Wojewoda)

Prolog

Blue Sargent nie potrafiłaby powiedzieć, ile razy słyszała, że zabije miłość swojego życia.

Jej rodzina sprzedawała przepowiednie. Na ogół były one dość niejasne. Na przykład: „Dzisiaj spotka cię coś okropnego. To może mieć związek z liczbą sześć”. Albo: „Spodziewaj się pieniędzy. Wyciągnij po nie rękę”. Czy też: „Musisz podjąć ważną decyzję. Sprawa sama się nie rozwiąże”.

Ludziom, którzy przychodzili do jaskrawoniebieskiego domku przy Fox Way 300, nie przeszkadzała ogólnikowość tych wróżb. Rozpoznanie chwili, w której przepowiednia się spełnia, było rodzajem gry, swoistym wyzwaniem. Jeśli dwie godziny po wizycie u wróżki samochód klienta zderzył się z vanem wiozącym sześć osób, to ów pechowiec wiedział przynajmniej, że nieszczęście ma już za sobą. Kiedy jakiejś klientce sąsiad zaproponował, że odkupi od niej starą kosiarkę do trawy, wówczas mogła sobie przypomnieć obietnicę przypływu gotówki i sprzedać maszynę z poczuciem, że transakcja została przepowiedziana. A gdy jeszcze inny klient usłyszał, jak jego żona mówi: „Pora podjąć decyzję”, wracały do niego te same słowa wypowiedziane przez Maurę Sargent nad rozłożonymi kartami tarota, po czym bez zwłoki przystępował do działania.

A jednak nieprecyzyjna natura tych wróżb ujmowała im nieco magicznej mocy. Spełnienie przepowiedni można było uznać za zbieg okoliczności lub wynik zwykłego przeczucia. Stąd tłumiony śmiech na parkingu przed Walmartem, kiedy zgodnie z zapowiedzią wpadało się na starego przyjaciela. Dreszcz na widok liczby siedemnaście na rachunku za prąd. Odkrycie, że chociaż poznało się przyszłość, ta wiedza właściwie wcale nie zmieniła teraźniejszości. Czyli wróżby mówiły prawdę, lecz nie całą.

– Muszę zaznaczyć – informowała zawsze nowych klientów Maura – że choć moje przepowiednie są trafne, nie zawierają szczegółów.

Tak było łatwiej.

Tylko Blue słyszała coś innego. Wróżki wciąż od nowa szeroko rozstawiały jej palce, przyglądały się dłoni. Z talii o aksamitnych brzegach wyciągały karty i rozkładały je na puszystym dywanie w salonie przyjaciółki Maury. Przyciskały kciuki do mistycznego, niewidzialnego trzeciego oka, które podobno znajduje się między brwiami każdego człowieka. Odczytywały runy i interpretowały sny, przypatrywały się fusom i przeprowadzały seanse.

Wszystkie kobiety dochodziły do tego samego wniosku, przedstawiając go otwarcie i z niewytłumaczalną precyzją. Choć każda z nich wyrażała to na swój własny jasnowidzący sposób, zasadniczo zgadzały się w jednej kwestii: jeśli Blue pocałuje mężczyznę, którego naprawdę kocha, on umrze.

Ta przepowiednia bardzo długo niepokoiła Blue. Ostrzeżenie było z pewnością konkretne, ale miało w sobie również coś baśniowego. Nie precyzowało, w jaki sposób jej ukochany ma umrzeć. Nie wyjaśniało, jak długo pozostanie przy życiu po owym pocałunku. Czy chodziło o pocałunek w usta? Czy nawet niewinne cmoknięcie

w rękę mogło się okazać śmiertelne?

Mniej więcej do jedenastego roku życia Blue była przekonana, że niepostrzeżenie zarazi mężczyznę swojego życia jakimś niebezpiecznym wirusem. Jeden dotyk ust, a jej druga połówka polegnie wraz z Blue w wyczerpującej walce z jakąś chorobą nieuleczalną dla współczesnej medycyny. W wieku trzynastu lat dziewczyna doszła do wniosku, że jej wybranka zabije raczej zazdrość – w chwili pocałunku pojawi się były chłopak z bronią w ręku i sercem przepełnionym poczuciem krzywdy.

Kiedy Blue skończyła piętnaście lat, uznała, że tarot matki to tylko talia zwykłych kart, zaś jej sny na jawie, podobnie jak wizje pozostałych jasnowidzących kobiet, powstają nie tyle pod wpływem sił nadprzyrodzonych, ile wypijanych przez wróżki drinków, tak więc przepowiednia nie ma żadnego znaczenia.

Ale w głębi duszy Blue wiedziała. Przepowiednie wygłaszane na Fox Way 300 były wprawdzie ogólne, ale z całą pewnością się sprawdzały. Matce Blue przyśniło się przecież, że pierwszego dnia w szkole jej córka złamie nadgarstek. Ciotka Jimi przepowiedziała kwotę zwrotu podatku Maury z dokładnością do dziesięciu dolarów. Kuzynka Orla zawsze zaczynała nucić ulubioną piosenkę na kilka minut przed nadaniem jej przez radio.

Nikt w domu nie wątpił, że przeznaczeniem Blue jest zabić pocałunkiem chłopaka, którego pokocha. Ta groźba wisiała nad nią od tak dawna, że budziła już coraz mniejszy strach. Kiedy Blue miała sześć lat, perspektywa, że kiedyś się zakocha, była tak odległa, że trudno było w nią uwierzyć. Z kolei zanim skończyła szesnaście, postanowiła, że w ogóle się nie zakocha, więc nie ma sensu zawracać sobie głowy jakimś miłosnym fatum.

Ale pogląd Blue na tę sprawę zmienił się, kiedy do ich miasteczka – Henrietty – przybyła Neeve, przyrodnia siostra matki. Neeve zdobyła sławę, robiąc publicznie mniej więcej to samo, czym matka Blue zajmowała się w domowym zaciszu. Maura przepowiadała przyszłość w swoim salonie; jej klientami byli głównie mieszkańcy Henrietty i przybysze z innych części doliny, w której leżało miasto. Neeve zaś miała swój program w telewizji, emitowany o piątej nad ranem. Prowadziła również stronę internetową. Umieszczone na niej stare, rozmyte fotografie przedstawiały wróżbitkę wpatrującą się przenikliwym wzrokiem w obiektyw. Jej nazwisko widniało na okładkach czterech książek poświęconych siłom nadprzyrodzonym.

Blue nigdy wcześniej nie spotkała Neeve. Znała przyrodną ciotkę z informacji zamieszczonych na jej stronie internetowej, ale nie osobiście. Nie wiedziała, czemu zawdzięczają wizytę Neeve, ale nie uszły jej uwadze niezliczone rozmowy, które Maura i jej dwie najlepsze przyjaciółki, Persefona i Calla, prowadziły szeptem przed przybyciem krewnej. Rozmowy te cichły, kiedy do pokoju wchodziła Blue – wróżki w skupieniu sączyły kawę lub stukwały długopisami o stół. Ale Blue nie była szczególnie przejęta przyjazdem Neeve. Co mogła zmienić obecność jeszcze jednej kobiety w domu, który i tak był ich pełny?

Neeve pojawiła się wreszcie pewnego wiosennego wieczoru, kiedy długie cienie gór na zachodzie sięgały dalej niż zazwyczaj. Gdy Blue otworzyła jej drzwi, w pierwszej chwili wzięła ją za jakąś nieznaną staruszkę, lecz gdy oczy dziewczyny przywykły do smug szkarłatnego światła, przedostających się przez korony drzew, zdała sobie sprawę, że Neeve jest niewiele starsza od jej matki, a więc trudno ją na-

zwać osobą w podeszłym wieku.

Z oddali dobiegało ujadanie psów. Ich głosy były znajome – jesienią członkowie Klubu Łowieckiego Aglionby urządzali konne polowania prawie w każdy weekend.

Gorączkowy skowyt oznaczał, że charty rozpoczęły pościg za zwierzyną.

– Ty jesteś córką Maury – odezwała się Neeve. – W tym roku się zakochasz – dodała, zanim Blue zdążyła odpowiedzieć.

Na przykościelnym cmentarzu panował przeraźliwy chłód, choć umarli jeszcze się nie pojawili.

Blue i jej matka Maura przyjeżdżały tutaj co roku i za każdym razem było bardzo zimno. Ale dziś, bez Maury, wydawało się chłodniej niż zwykle.

Był dwudziesty czwarty kwietnia, wigilia świętego Marka. Dla większości osób dzień świętego Marka przychodzi i mija niepostrzeżenie. Nie jest wolny od zajęć szkolnych. Nie daje się z tej okazji prezentów. Nikt w tym dniu się nie przebiera ani nie organizuje festynów. Nie ma wyprzedaży, kartek z życzeniami ani specjalnych tematycznych programów telewizyjnych. Nikt nie zaznacza dwudziestego piątego kwietnia w kalendarzu. Właściwie większość ludzi nie wie, że święty Marek w ogóle ma swój dzień.

Ale umarli zawsze pamiętali.

Siedząc na kamiennym murku, Blue pomyślała, że w tym roku przynajmniej nie pada.

Chociaż tyle.

W każdą wigilię świętego Marka Maura i Blue przyjeżdżały do kościoła na uboczu, tak starego, że nikt nie pamiętał nawet jego nazwy. Ruiny świątyni były ukryte wśród lesistych wzgórz otaczających Henriettę; od gór dzieliło je jeszcze kilka kilometrów. Z budynku pozostały tylko zewnętrzne ściany. Dach i podłogi zapadły się już dawno temu. To, co nie zdążyło zgnieć, ustępowało pod naporem drapieżnych pnączy i młodych drzewek, wydzielających zjełczały zapach. Kościelny plac z ruinami budynku otaczał kamienny mur. Jedynym otworem w ogrodzeniu była osłonięta daszkiem furtka cmentarna, o rozmiarach wystarczających, aby pomieścić żałobników niosących trumnę. Od bramy do drzwi kościoła prowadziła ścieżka, która uparcie nie poddawała się chwastom.

– Ach – syknęła Neeve, siadając na murku obok Blue.

Była odrobinę przy kości, ale niebywale elegancka. Dziewczynę po raz kolejny uderzyło, podobnie jak podczas ich pierwszego spotkania, jak piękne ręce ma ciotka: jej pulchne nadgarstki przechodziły w dziecinne dłonie o szczupłych palcach i owalnych paznokciach.

– Ach – wymruczała znowu Neeve. – Co za *noc*.

Blue, słysząc to, poczuła dreszcz. Od dziesięciu lat spędzała wigilię świętego Marka, czuwając z matką, ale dziś wszystko wydawało jej się zupełnie inne niż zwykle.

Co za *noc*.

W tym roku po raz pierwszy i z powodów, których Blue nie rozumiała, Maura wysłała ją do kościoła z Neeve. Zapytała córkę, czy wybierze się tam jak zwykle, chociaż było to oczywiste. Blue zawsze jeździła. Tym razem też zamierzała to zrobić. Ale matka musiała ją o to zapytać. Jeszcze przed urodzeniem córki Maura uznała, że rozkazywanie dzieciom to barbarzyństwo, dlatego Blue dorastała w otoczeniu rozkazujących pytań.

Teraz na przemian otwierała i zaciskała wilgotne dłonie w wystrzępionych rękawiczkach bez palców. Zrobiła je na drutach sama; były trochę koślawe, ale miały swój szmirowaty szyk. Gdyby Blue była mniej próżna, mogłaby włożyć nudne, lecz funkcjonalne rękawiczki, które dostała na gwiazdkę. Ale próżność leżała w jej charakterze, więc mimo że nikt oprócz Neeve i umarłych nie mógł ich zobaczyć, wołała nosić wystrzępione rękawiczki bez palców, o niebo bardziej stylowe, choć marzły jej ręce.

Kwietniowe dni w Henriecie bywały piękne i ciepłe. Śpiące drzewa zaczynały wypuszczać pąki, a oszalałe z miłości biedronki uderzały prosto w okienne szyby. Ale dziś było inaczej. W powietrzu czuło się zimą.

Blue zerknęła na zegarek. Nie było jeszcze jedenastej. Stare legendy zalecały czuwanie w kościele o północy, ale umarli byli na bakier z punktualnością, szczególnie w bezksiężycowe noce.

W przeciwieństwie do Blue, która zaczynała się już niecierpliwić, Neeve siedziała na starym murku nieruchoma jak królewski posąg: ręce splecione na piersiach, nogi skrzyżowane w kostkach pod długą, wełnianą spódnicą. Blue, skulona, niższa od niej i szczuplejsza, przypominała raczej niespokojnego, ślepego gargulca. To nie była noc dla zwykłego śmiertelnika. To była noc dla jasnowidzów, mediów i wiedźm.

Innymi słowy: dla pozostałych członków rodziny.

– Słyszysz coś? – rozległ się w ciszy głos Neeve; jej oczy błyszczały w ciemności.

– Nie – odparła Blue zgodnie z prawdą.

A potem zaczęła się zastanawiać, czy ciotka zadała to pytanie, dlatego że sama coś usłyszała.

Neeve patrzyła na dziewczynę w taki sam sposób, w jaki spoglądała ze wszystkich zdjęć zamieszczonych w internecie. Przeszywała ludzi świadomie niepokojącym, nieobecnym spojrzeniem, trwającym o kilka sekund za długo, żeby można było je uznać za przyjemne. Neeve już kilka dni po swoim przyjeździe doprowadziła nim Blue do takiej rozpacz, że dziewczyna poskarżyła się matce. Tłoczyły się we dwie w ciasnej, jednoosobowej łazience, gdzie jedna szykowała się do szkoły, a druga – do pracy.

– Czy ona musi tak się gapić? – zapytała Blue, usiłując zebrać wszystkie kosmyki swoich ciemnych włosów w coś, co przypominało koński ogon.

Jej matka, która brała prysznic, przerwała bazgranie na zaparowanych drzwiach kabiny i roześmiała się. Przez narysowane na szkle długie, krzyżujące się linie prześwitywały fragmenty jej skóry.

– Och, jest z tego znana – powiedziała.

Blue pomyślała, że są lepsze rzeczy, które mogą być czymś znakiem rozpoznawczym.

– Wiele tu można usłyszeć – powiedziała enigmatycznie Neeve na przykościelnym cmentarzu.

Sęk w tym, że Blue nie słyszała niczego. W lecie podnóża wzgórz ożywały brzęczeniem owadów, śpiewem przedrzeźniaczy, krakaniem kruków, które skrzeczały na widok samochodów. Ale dzisiaj było jeszcze za zimno, żeby przyroda zaczęła się budzić.

– Nie słyszę tego rodzaju odgłosów – powiedziała Blue, trochę zdziwiona, że Neeve jeszcze o tym nie wie.

Blue była odmieńcem w rodzinie jasnowidzów. Jako jedyna nie brała udziału w ożywionych rozmowach, które jej matka, ciotki i kuzynki prowadziły ze światem leżącym poza granicami postrzegania większości ludzi. Zdolności paranormalne dziewczyny objawiały się w sposób, którego ona sama nie mogła doświadczyć.

– Jestem jak aparat telefoniczny. Dzięki mnie osoby jasnowidzące słyszą wyraźniej, ale sama do nich nie należę.

Neeve wciąż nie odwracała wzroku.

– Więc to dlatego Maurze tak bardzo zależało, żebyś tu ze mną przyjechała. Czy ona zawsze prosi cię o pomoc, gdy przepowiada komuś przyszłość?

Blue zadrżała na samą myśl o tym. Wśród klientów przekraczających próg domu przy Fox Way 300 była ogromna liczba nieszczęśliwych kobiet, które pragnęły usłyszeć, że ich przeznaczeniem jest miłość oraz pieniądze. Pomysł, że mogłaby tkwić cały dzień w domu, wysłuchując ich problemów, przerażał Blue, chociaż zdawała sobie sprawę, że możliwość wzmocnienia własnych zdolności musiała być dla Maury ogromną pokusą. Kiedy Blue była młodsza, nie doceniała tego, że matka tak rzadko tej pokusie ulegała.

– Tylko wtedy, gdy chodzi o coś naprawdę ważnego.

Spojrzenie Neeve było tak krępujące, że niemal przyprawiało o gęsią skórę.

– To nie byle co. Wiesz o tym. Umiejętność wzmacniania zdolności parapsychologicznych innych osób to rzadki i cenny dar.

– *Phi!* – prychnęła Blue.

Miało to zabrzmieć zabawnie, nie ironicznie. Przez szesnaście lat zdążyła przywyknąć do życia w świecie pozbawionym magii. Nie chciała, żeby Neeve myślała, że doświadcza z tego powodu kryzysu tożsamości. Wyciągnęła nitkę z rękawiczki.

– I masz jeszcze mnóstwo czasu, żeby rozwinąć własne intuicyjne talenty – dodała Neeve, a jej spojrzenie stało się wręcz drapieżne.

Blue nie odpowiedziała. Nie interesowało jej przepowiadanie ludziom przyszłości. Wolała wyruszyć na poszukiwanie własnej.

Wreszcie ciotka spuściła wzrok.

– Wjeżdżając do waszego miasteczka, minęłam jakąś szkołę. Aglionby Academy. Czy to twoje liceum? – zapytała, wodząc palcem po kamieniach pokrytych kurzem.

Blue z rozbawienia szeroko otworzyła oczy. Jasne, Neeve nie była miejscowa, skąd miała wiedzieć. Chociaż z drugiej strony nietrudno się domyślić, że ten potężny pałac z kamienia, z parkingiem pełnym niemieckich samochodów, nie jest szkołą, na którą Maura mogłaby sobie pozwolić.

– To liceum dla chłopców. Chodzą do niego sami synowie polityków, potentatów naftowych i... i... – Blue zastanawiała się, kto jeszcze mógł być dość bogaty, żeby posyłać dzieci do Aglionby – synowie kochanek, które żyją z pieniędzy za milczenie.

Neeve uniosła brew, nie podnosząc wzroku.

– No, poważnie, paskudne typy – powiedziała Blue.

Zimny kwiecień był kiepskim okresem dla chłopców z Aglionby. Dopiero z na-

dejszcie ciepłych dni na ulice wyjeżdżały kabriolety pełne wyrostków w szortach, najczęściej tak tandetnych, że tylko ktoś bardzo bogaty odważyłby się ubrać w coś takiego. W tygodniu wszyscy nosili szkolne mundurki: spodnie koloru khaki i swetry z dekoltem w serek, z emblematem kruka na piersi. Łatwo było ich zidentyfikować. Chmary kruków.

– Wydaje im się, że są nie wiadomo kim i że dziewczyny się za nimi uganiają. W każdy weekend upijają się do nieprzytomności i zamalowują sprayem znak z napisem „Henrietta” przy wjeździe do miasta.

Aglionby Academy była inspiracją dla zasad, którymi Blue kierowała się w życiu: po pierwsze, trzymać się z dala od chłopców, bo oni oznaczają kłopoty. Po drugie, trzymać się z dala od chłopców z krukami, bo to łajdacy.

– Myślę, że jesteś rozsądną nastolatką – powiedziała ciotka Neeve.

Zdenerwowała tym Blue, która dobrze wiedziała, że jest rozsądna. Kiedy było się tak biednym jak Sargentowie, nie miało się innego wyjścia.

W delikatnym blasku księżyca zbliżającego się do pełni Blue zobaczyła, co Neeve nabazgrała na zakurzonych kamieniach.

– Co to jest? Mama też to rysowała.

– Naprawdę? – zdziwiła się Neeve.

Przyjrzały się badawczo rysunkowi. Były to trzy przecinające się krzywe, tworzące coś w rodzaju trójkąta.

– Czy powiedziała, co to jest?

– Narysowała to na drzwiach kabiny prysznicowej.

Nie pytałam dlaczego.

– Śniło mi się to – powiedziała Neeve bezbarwnym głosem, od którego włosy na karku stawały dęba. – Chciałam sprawdzić, jak to będzie wyglądało na rysunku.

Starła wzór piękną dłonią, a potem nagle ją uniosła.

– Zdaje się, że idą.

To dlatego Blue i Neeve tu przyjechały. Co roku Maura przesiadywała na murku z kolanami pod brodą i wpatrzona w pustkę, recytowała imiona. Dla Blue przykościelny cmentarz był opustoszały, ale z punktu widzenia Maury panował na nim tłok. Odwiedzały go dusze ludzi, którzy jeszcze żyli, lecz mieli umrzeć w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Blue jednak nie słyszała nic oprócz słów swojej matki. Czasem Maura sama rozpoznawała pojawiające się zjawy, ale często musiała się pochylać i pytać, jak się nazywają. Pewnego razu wyjaśniła, że kiedy Blue z nią nie było, nie mogła wydobyć z nich żadnej odpowiedzi, bo ci, którzy mieli wkrótce umrzeć, nie widzieli Maury.

Jednak Blue słyszała na cmentarzu wyłącznie głos swojej matki. Lubiała czuć się potrzebna, ale czasem wołałaby, żeby słowo „potrzebna” nie kojarzyło jej się tak bardzo z wyrazem „użyteczna”.

Czuwanie na cmentarzu było niezwykle ważne dla szczególnego rodzaju usług świadczonych przez Maurę. Matka Blue gwarantowała swoim klientom zamieszkałym w okolicy, że gdyby im samym lub ich najbliższymi groziła w niedalekiej przyszłości śmierć, powiadomi ich o tym z odpowiednim wyprzedzeniem. Kto nie zechciałby zapłacić za taką informację? Cóż, prawdę mówiąc, usługa nie cieszyła się szczególnym zainteresowaniem, bo większość ludzi nie wierzyła w zjawiska nad-

przyrodzone.

– Widzisz coś? – zapytała Blue.

Zatarła zdrętwiałe ręce, a potem złapała notes i długopis leżące na murku.

Neeve siedziała w bezruchu.

– Coś właśnie dotknęło moich włosów.

Blue znowu poczuła, że przebiega ją dreszcz.

– Jeden z nich?

– Ci, których czeka śmierć, muszą podążać drogą umarłych, a ona prowadzi przez bramę – powiedziała Neeve zachrypniętym głosem. – To pewnie jakiś prawdziwy... duch, którego przyciągnęła tu twoja energia. Nie wiedziałam, że masz na nie aż tak silny wpływ. To jest niezwykle.

Maura nigdy nie wspominała o *prawdziwych* duchach przyciąganych przez Blue. Może nie chciała jej przstraszyć albo po prostu nigdy ich nie widziała. Może na obecność duchów była równie ślepa, jak jej córka.

Jakiś ledwo wyczuwalny, nieprzyjemny podmuch musnął twarz Blue i uniósł kręcone włosy Neeve. Niewidzialne, spokojne dusze żyjących jeszcze ludzi to jedno. Duchy, które nie muszą trzymać się drogi umarłych, to coś zupełnie innego.

– Czy oni... – zaczęła Blue.

– Kim jesteś? Robert Neuhmann – przerwała jej Neeve. – Jak się nazywasz? Ruth Vert. Jak się nazywasz? Frances Powell.

Blue gryzmoliła pośpiesznie, zapisując fonetycznie nazwiska wymienione przez Neeve. Co jakiś czas podnosiła wzrok na ścieżkę, starając się *cokolwiek* na niej dostrzec. Ale widziała tylko to, co zawsze: wybujałe paluszniki, zarysy dębów, czarny otwór po drzwiach kościoła – bramę dla niewidzialnych zjaw.

Nic nie było słyhać ani tym bardziej widać. Żadnych dowodów na czyjąś obecność oprócz nazwisk zapisanych w notesie.

Może Neeve miała rację. Może Blue przeżywała coś w rodzaju kryzysu tożsamości. Czasem wydawało jej się to rzeczywiście odrobinę nie w porządku, że cała niezwykłość i moc otaczająca jej rodzinę dla niej sprowadza się do papierkowej roboty.

„Przynajmniej w ten sposób mogę w tym uczestniczyć” – pomyślała ponuro Blue, choć czuła, że jej uczestnictwo polega na odgrywaniu roli psa przewodnika. Przysunęła notes do twarzy. Trzymając go przed samiućkiem nosem, usiłowała odczytać swoje notatki pomimo mroku. Zawierały listę imion popularnych siedemdziesiąt i osiemdziesiąt lat temu: Dorothy, Ralph, Clarence, Esther, Herbert, Melvin. Do tego sporo powtarzających się nazwisk. Dolinę zamieszkiwało kilka starych rodzin, które może nie były szczególnie wpływowe, ale na pewno bardzo liczne.

Głos ciotki, przebijający się przez myśli Blue, przybrał bardziej empatyczny ton.

– Jak się nazywasz? – spytała Neeve. – Przepraszam. Jak się nazywasz? – Na jej twarzy malowało się skupienie, które zupełnie do niej nie pasowało.

Tymczasem Blue przywykła już do spoglądania na podwórze. Znowu skierowała wzrok w tamtą stronę.

I nagle kogoś zobaczyła.

Jej serce zaczęło łomotać w piersi jak oszalałe. Na podwórzu, tam gdzie nie

powinno być nikogo, majaczyła czyjaś postać.

– Widzę go – powiedziała Blue. – Neeve, *widzę!*

Zawsze wyobrażała sobie, że do drzwi kościoła zmierza uporządkowany pochód cieni, ale ta zjawa wyglądała tak, jakby błąkała się zagubiona. Był to młody, rozczochrany chłopak w spodniach i w swetrze, nie całkiem przezroczysty, ale też niezupełnie realny. Jego postać wydawała się mętna jak brudna woda, a twarz – niewyraźna. Poza wiekiem niczym szczególnym się nie wyróżniał.

Był taki młody. Z tym najtrudniej było się oswoić.

Dziewczyna przyglądała się, jak on przystaje, dotyka palcami nosa i skroni. W tym geście było tyle *życia*, że Blue poczuła lekkie mdłości.

Nagle chłopak zatoczył się do przodu, jakby został popchnięty.

– Zdobądź jego nazwisko – syknęła Neeve. – Mnie nie chce powiedzieć, a muszę wypytać pozostałych!

– Ja? – zapytała Blue niepewnie, ale zsunęła się z murku. Serce wciąż łomotało jej w piersi. Czowała się idiotycznie. – Jak się nazywasz? – spytała.

Miała wrażenie, że on jej nie słyszy. Znowu powoli, w oszołomieniu, ruszył w stronę drzwi kościoła. Zupełnie jakby jej nie zauważył.

„Czy to w taki sposób idziemy na spotkanie śmierci? – zastanawiała się Blue. – Bledniemy z każdym chwiejnym krokiem, zamiast świadomie zbliżać się do końca?”.

Neeve znowu zaczęła głośno wypytywać zjawy o tożsamość, a Blue podeszła do błakającego się chłopaka.

– Kim jesteś?! – zawołała z bezpiecznej odległości.

On opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Teraz Blue zauważyła, że jego postać w ogóle nie ma konturów, a twarz jest pozbawiona rysów. Właściwie nie miał w sobie nic, co nadawałoby mu ludzki kształt, a jednak Blue nie miała wątpliwości, że widzi chłopaka. Jakby dostrzegła go oczyma duszy.

Nie czuła ekscytacji, jakiej mogłaby się spodziewać po takim doświadczeniu. Jej umysł zdominowała jedna myśl: „On umrze w ciągu roku. Jak Maura to znosiła?”.

Blue ostrożnie podeszła bliżej. Teraz mogłaby go dotknąć, ale on ruszył ponownie, wciąż nie dając po sobie poznać, że ją widzi.

Kiedy znalazła się blisko niego, zaczęły przeraźliwie marznąć jej ręce. Chłód zakradł się też do jej serca. Niewidzialne duchy, pozbawione ciepła własnych ciał, wysysały jej energię. Ramiona Blue pokryły się gęsią skórą.

Młody człowiek stał na progu kościoła i Blue po prostu *wiedziała*, że jeśli go przestąpi, ona bezpowrotnie straci szansę poznania imienia chłopaka.

– Proszę – powiedziała łagodniej niż poprzednio.

Wyciągnęła rękę i dotknęła brzegu jego nieistniejącego swetra. Zimno zalało ją jak przerażenie. Starła się uspokoić, powtarzając sobie to, co zawsze jej mówiono: duchy czerpią energię z otoczenia. On tylko wykorzystuje obecność Blue, żeby pozostać widzialny.

Jednak to, co czuła, wciąż bardzo przypominało przerażenie.

– Powiesz mi, jak się nazywasz? – spytała.

Odwrócił się w jej stronę i Blue z przerażeniem zdała sobie sprawę, że chłopak ma na sobie sweter Aglionby.

– Gansey – powiedział cicho, ale nie szeptem.

Zupełnie jakby jego głos dobiegał z daleka i trzeba było wytężyć słuch, żeby go usłyszeć.

Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od jego potarganych włosów, zarysu wpatrzonych w nią oczu, kruka na jego piersi. Sweter chłopaka był przemoczony na ramionach; na całym ubraniu widniały ślady kropel deszczu, który nie zaczął jeszcze padać. Blue poczuła miętowy zapach, ale nie była pewna, czy to woń charakterystyczna dla tej zjawy, czy dla duchów w ogóle.

Był taki prawdziwy. Kiedy to się wreszcie stało, teraz, kiedy naprawdę zobaczyła ducha, nie dostrzegała w tym magii. Miała wrażenie, że zagląda do grobu, a z jego dna ktoś patrzy na nią.

– A dalej? – wyszeptała.

Gansey zamknął oczy.

– To wszystko.

Bezszelestnie, jak przystało na kogoś, kto nie posiada materialnego ciała, osunął się na kolana. Podparł się ręką, szeroko rozstawiwszy palce. Blue widziała teraz czarną bramę kościoła dużo wyraźniej niż rozmyty, zakrzywiony kształt jego ramion.

– Neeve – powiedziała. – Neeve, on... umiera.

Ciotka podeszła i stanęła za plecami Blue.

– Jeszcze nie – odparła.

Ganseya już prawie nie było; jego postać zlewała się z zarysem kościoła albo raczej bryła budynku stapiała się z zarysem jego postaci.

– Dlaczego... Dlaczego ja go widzę? – zapytała Blue.

Nie podobał jej się własny zachrypnięty głos.

Neeve obejrzała się przez ramię, może dlatego, że nadchodziły następne duchy, albo dlatego, że żaden więcej się nie pojawił – tego Blue nie wiedziała. Kiedy ponownie spojrzała w stronę Ganseya, już go nie było. Choć do jej ciała zaczynało powracać ciepło, gdzieś na dnie płuc wciąż tkwiła bryła lodu, a w duszy przyczaił się niebezpieczny, ssący smutek – żałoba albo żal.

– Kiedy osoba niebędąca medium widzi ducha w wigilię świętego Marka, może to oznaczać tylko dwie rzeczy – powiedziała Neeve. – Jest to duch kogoś, kogo kochała, albo kogoś, kogo zabiła.

To ja – powiedział Gansey.

Odwrócił się i stanął przodem do auta. Jaskrawopomarańczowa maska chevroleta camaro była podniesiona, choć raczej w geście kapitulacji niż z jakiegoś praktycznego powodu. Adam, miłośnik samochodów, może potrafiłby stwierdzić, co tym razem nawaliło, ale Gansey z całą pewnością nie. Udało mu się zjechać na pobocze autostrady międzystanowej. Wśród nierównych kęp trawy porastającej dolinę szerokie opony samochodu wyglądały zupełnie nie na miejscu. Podmuch powietrza od przetaczającej się obok ciężarówki zakołysał camaro.

– Nie było cię na historii świata. Myślałem, że szlag cię trafił – zabrzmiał w telefonie głos Ronana Lyncha, współlokatora Ganseya.

Gansey obrócił nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek. Ominęło go znacznie więcej niż tylko historia świata. Była jedenasta. Teraz chłód minionej nocy wydawał się nierealny. W spoconą skórę chłopaka, tuż obok paska od zegarka, wbił się komar. Gansey pstryknął go palcem. Kiedyś, gdy był młodszy, pojechał z ojcem na biwak. Nocowali w namiotach, spali w śpiworach, a w pobliżu zaparkowali range rovera, na wypadek gdyby zabawa im się znudziła. Tamta wyprawa nie miała nic wspólnego z doświadczeniem ostatniej nocy.

– Masz dla mnie notatki? – zapytał.

– Nie – odparł Ronan. – Myślałem, że szlag cię trafił.

Gansey zdmuchnął pył z ust i poprawił telefon przyciśnięty do ucha. *On* miałby notatki dla Ronana.

– Świnia mi się rozkraczyła. Przyjedź po mnie.

Powoli minął go jakiś sedan pełen gapiących się pasażerów. Gansey był nawet niczego sobie, a widok camaro też nie był szczególnie przykry dla oka, jednak to nie ich uroda wzbudzała tak duże zainteresowanie. Chłopak z Aglionby przy zepsutym, jaskrawopomarańczowym samochodzie był prawdziwą atrakcją. Gansey miał świadomość, że niewiele rzeczy mogłoby bardziej ucieszyć mieszkańca Henrietty w Wirginii niż upokorzenie, które spotkało chłopaka z Aglionby. No, chyba że upokorzenie, które spotkało członka jego rodziny.

– Daj spokój, człowieku – rzucił Ronan.

– Przecież i tak nie zamierzałeś iść na następne zajęcia. Wiesz co? Zaraz będzie przerwa na lunch – powiedział Gansey. – Proszę – dodał pro forma.

Ronan milczał przez dłuższą chwilę. Był w tym dobry. Wiedział, że nic tak nie zbija ludzi z tropu. Ale Gansey, w wyniku doświadczenia, zdążył się już uodpornić na jego metody. Czekając, aż Ronan przemówi, nachylił się i zajrzał do samochodu, żeby sprawdzić, czy nie ma w schowku czegoś do jedzenia. Obok autostrzykawki z adrenaliną znalazł kawałek suszonej wołowiny, przeterminowany dwa lata temu. Niewykluczone, że leżała tam już, kiedy kupował samochód.

– Gdzie jesteś? – zapytał wreszcie Ronan.

– Obok znaku granicznego Henrietty na sześćdziesiątce czwórcie. Przywieź mi hamburgera. Aha, i kanister benzyny.

W baku z pewnością było jeszcze paliwo, ale dolanie go nie mogło przecież zaszkodzić.

– Gansey – głos Ronana zabrzmiał jadowniczo.

– Adama też przywieź.

Ronan się rozłączył. Gansey zdjął sweter i rzucił go na tylne siedzenie. Ciasny tył samochodu był zawałony przedmiotami codziennego użytku stanowiącymi dorobek osiemnastu miesięcy spędzonych w Henriecie. Leżały tam: książka do chemii, zeszyt poplamiony frappuccino, zasunięte do połowy etui, z którego wyslizgiwały się na siedzenie płyty kompaktowe bez opakowań, zmięte mapy, wydruki komputerowe, dziennik, z którym Gansey się nie rozstawał, latarka, wierzbowy patyk. Kiedy chłopak wydobył z tego chaosu dyktafon, na siedzenie sfrunął rachunek za pizzę (jedna duża na grubym cieście, połowa z kielbasą, połowa z awokado), dołączając do pięciu innych, różniących się wyłącznie datą.

Całą noc przesiedział z włączonym dyktafonem na parkingu przed paskudnym, nowoczesnym budynkiem kościoła Świętego Odkupiciela, nadstawiając uszu, czekając na cokolwiek. Atmosfera nie była szczególnie magiczna. Może nie było to odpowiednie miejsce, żeby nawiązać kontakt z duszami tych, którzy mieli wkrótce umrzeć, ale Gansey pokładał ogromne nadzieje w mocy wigilii świętego Marka. Właściwie nie spodziewał się ujrzeć zjaw. Według wszelkich źródeł ludzie czuwający tej szczególnej nocy w kościele powinni posiadać szósty zmysł, coś w rodzaju daru jasnowidzenia, a Gansey miał problemy nawet z czysto fizycznym widzeniem, dopóki nie założył soczewek kontaktowych. Po prostu miał nadzieję...

Na cokolwiek. I to właśnie dostał. Tylko że nie był jeszcze do końca pewien, co to jest.

Z dyktafonem w ręce oparł się o błotnik. Stał za samochodem, osłonięty przed pędem przejeżdżających pojazdów, i czekał. Po drugiej stronie barierki zieleniło się pole sięgające rosnących w oddali drzew, zza których wynurzał się tajemniczy, błękitny górski grzbiet.

Na pokrytym kurzem bucie Gansey narysował wygiętą w łuk linię nadprzyrodzonej energii. To właśnie nadzieja na jej odnalezienie przywiodła go do Henrietty. Górski powiew szumiał mu w uszach jak stłumiony krzyk – nie szept, ale krzyk dobiegający z ogromnej odległości.

Rzecz w tym, że w Henriecie naprawdę trudno było się oprzeć wrażeniu, że magia jest wszechobecna. Wydawało się, że dolina nieustannie szepcze o swoich sekretach. Łatwiej było uwierzyć, że nie chce podzielić się nimi z Ganseyem, niż że zwyczajnie nie istnieją.

„Proszę, po prostu powiedz mi, gdzie jesteś”.

Pragnienie aż rozsadzało mu serce. Zagadkowość tego bólu wcale nie czyniła go łatwiejszym do zniesienia.

Za camaro zatrzymało się bmw Ronana Lyncha. Karoseria z nosem rekina, w metalicznym ciemnografitowym kolorze, teraz była pokryta zielonkawym pyłkiem kwiatowym. Gansey najpierw poczuł pod stopami dudnienie basów, a dopiero po chwili rozpoznał piosenkę. Cekał oparty o błotnik camaro, aż Ronan wysiądzie z samochodu. Razem z nim przyjechał Adam Parrish, trzeci chłopak z ich czteroosobowej paczki. Szczupłą dłonią mocno przyciskał do ucha telefon komórkowy Ronana.

Znad jego swetra wystawał równo zawiązany krawat.

Adam, jeszcze w drzwiach bmw, wymienił z Ganseyem szybkie spojrzenia. Zrośnięte brwi Adama zapytały: „Znalazłeś coś?”, a szeroko otwarte oczy Ganseya odparły: „A bo ja wiem?”.

Adam zmarszczył czoło, ściszył radio i powiedział coś do telefonu.

Ronan trzasnął drzwiami – wszystkim trząskając – i podszedł do bagażnika.

– Mój zasrany brat chce, żebyśmy się z nim spotkali dziś wieczorem u Nina. Chce się pochwalić *Ashley*.

– To z nim właśnie rozmawia Adam? – zapytał Gansey. – Kto to jest *Ashley*?

Ronan wyjął z bagażnika kanister z benzyną. Nie zawracał sobie głowy trzymaniem jego tłustych ścianek z dala od ubrania. Podobnie jak Gansey, miał na sobie mundurek Aglionby, który jak zwykle wyglądał na nim wyjątkowo niechlujnie. Krawat zawiązany był niedbale, a spod swetra wyłaziły końce koszuli. Uśmiech Ronana przecinał jego twarz cienką i drapieżną linią. Przód jego bmw nieprzypadkowo przypominał rekina. Po prostu samochód upodobił się do właściciela.

– Nowa dziewczyna Declana. Powiedział, że mamy się dla niej odstawić.

Gansey nie cierpiał tego, że musi być miły dla brata Ronana, ucznia wyższej klasy w Aglionby, ale rozumiał, dlaczego to jest konieczne. W rodzinie Lynchów wolność była skomplikowanym zagadnieniem, a teraz to Declan trzymał do niej klucze.

Ronan wymienił kanister z paliwem na dyktafon.

– Wybrał sobie dzisiejszy wieczór, bo wie, że mam zajęcia – wyjaśnił.

Wlew paliwa camaro był ukryty pod tablicą rejestracyjną podnoszoną na zawiasach sprężynowych. Ronan w milczeniu przyglądał się, jak Gansey mocuje się z korkiem, kanistrem i tablicą.

– Ty powinienesz to zrobić – powiedział Gansey. – Tobie to obojętne, że uświnnisz sobie koszulę.

Ronan drapał obojętnie stary, brązowy strupek pod pięcioma rzemykami, które nosił na rękę. W zeszłym tygodniu wozili się z Adamem na zmianę w wózku przypiętym do bmw i obaj mieli jeszcze pamiątki po tej zabawie.

– Zapytaj mnie, czy coś znalazłem – rzucił Gansey.

Ronan westchnął i podsunął mu dyktafon.

– Znalazłeś coś?

Nie wydawał się szczególnie zainteresowany, ale należało to do jego stylu. Nigdy nie było wiadomo, na ile autentyczny jest jego brak zaangażowania.

Na drodze, bawełniane spodnie Ganseya powoli kapą paliwo. Była to już druga para, którą zniszczył w tym miesiącu. Nie dlatego, że nie dbał o swoje rzeczy – Adam powtarzał mu na okrągło: „Wszystko kosztuje, Gansey” – po prostu na ogół nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swoich poczynań, dopóki nie było już za późno.

– Coś. Nagrywałem przez jakieś cztery godziny i coś tu mam. Tylko że nie wiem, co to może znaczyć. – Wskazał na dyktafon. – Sam zobacz.

Ronan odwrócił się i, patrząc na drogę, wcisnął „play”. Przez chwilę słychać było tylko ciszę, przerywaną lodowatym cykaniem świerszczy. A potem rozległ się głos Ganseya:

– Gansey.

Długa cisza. Chłopak w zamyśleniu pocierał palcem rdzawe plamy na chromowanym zderzaku camaro. Wciąż czuł się dziwnie, słuchając tego nagrania. Nie pamiętał, żeby to mówił.

Potem, jakby z bardzo daleka, dobiegł stłumiony dziewczęcy głos:

– A dalej?

Ronan łypnął nieufnie na przyjaciela.

Gansey uniósł palec: „Zaczekaj”. Usłyszeli ciche szemranie. Jedyne po intonacji można było poznać, że to pytania i odpowiedzi.

Wreszcie znowu przemówił matowy głos Ganseya:

– To wszystko.

Ronan ponownie zerknął na kumpla stojącego przy samochodzie. Jego spojrzeniu towarzyszyło przeciągłe westchnienie, które Gansey nazywał „oddechem palacza”: długi wdech przez rozszerzone nozdrza, powolny wydech przez rozchylone usta.

Ronan nie palił. Wolał nałogi, które powodowały kaca.

Wyłączył dyktafon.

– Lejesz sobie paliwo na spodnie, głupku.

– Nie zapytasz, co się działo, kiedy to nagrywałem?

Ronan siedział cicho. Ale patrzył na Ganseya, co było równoznaczne z zadaniem pytania.

– Nic się nie działo. O to chodzi – oznajmił. – Gapiłem się na parking. Zleciało się pełno robali, które nie mają prawa żyć w tej temperaturze, ale poza mną nikogo tam nie było.

Gansey nie miał pewności, czy cokolwiek wtedy usłyszał. Nie wiedział nawet, czy czekał we właściwym miejscu. Kilku entuzjastów, z którymi rozmawiał, utrzymywało, że słowa wypowiedziane w miejscu położonym na linii mocy mogą być słyszalne nawet w odległości setek kilometrów i po upływie dziesiątków lat. Było to coś w rodzaju nadprzyrodzonej, nieprzewidywalnej transmisji radiowej. Prawie wszystko, co znalazło się na linii mocy, mogło posłużyć za odbiornik: dyktafon, radio, para uważnych ludzkich uszu. Ze względu na brak zdolności paranormalnych Gansey przyniósł ze sobą dyktafon. Czytał, że tego typu dźwięki często można usłyszeć dopiero przy odtworzeniu.

Jednak wcale nie te obce głosy wydały mu się najdziwniejsze. Zaskoczył go jego *własny* głos. Gansey był przecież pewien, że nie jest duchem.

– Nie powiedziałem *ani słowa*, Ronan. Przez całą noc się nie odzywałem. Więc jakim cudem dyktafon zarejestrował mój głos?

– Kiedy się zorientowałeś?

– Słuchałem nagrania w drodze powrotnej. Długo, długo nic, a potem nagle usłyszałem siebie. I wtedy Świnia się rozkraczyła.

– Zbieg okoliczności? – zapytał Ronan. – Nie sądzę.

To miało zabrzmieć sarkastycznie. Gansey tak często powtarzał: „Nie wierzę w zbiegi okoliczności”, że teraz nie musiał już tego robić.

– No i co ty na to? – zapytał.

– Nareszcie święty Graal – odparł Ronan, tym razem już zbyt sarkastycznie,

żeby ta wypowiedź mogła czemuś służyć.

Ale wszyscy wiedzieli, że Gansey przez ostatnie cztery lata opierał swoje poszukiwania tylko na poszlakach i ten ledwo słyszalny głos był dla niego wystarczającą zachętą. Przez osiemnaście miesięcy spędzonych w Henriecie, na podstawie strzępków informacji, bezskutecznie próbował ustalić przebieg linii mocy – idealnie prostej ścieżki przepływu nadprzyrodzonej energii, która łączyła miejsca o znaczeniu duchowym – i położenie nieuchwytnego grobowca, który miał nadzieję znaleźć w jednym z jej punktów. Akceptował ryzyko zawodowe poszukiwacza niewidzialnej linii energetycznej. Była ona... no cóż... *niewidzialna*.

I być może czysto hipotetyczna, ale Gansey uparcie odrzucał tę myśl. W ciągu siedemnastu lat życia udało mu się odnaleźć już kilkadziesiąt zabytkowych przedmiotów, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia. Zamierzał wzbogacić tę kolekcję o mistyczną linię, grobowiec i jego królewskich mieszkańców.

Kurator pewnego muzeum w Nowym Meksyku powiedział kiedyś Ganseyowi: „Synu, masz przedziwny talent do odkrywania osobliwości”. Jakiś zaskoczony historyk specjalizujący się w dziejach Rzymu zauważył: „Zagładasz pod kamienie, pod które nikt inny nie zajrzał. Sprytnie”. A sędziwy brytyjski profesor rzekł: „Świat opróżnia przed tobą kieszenie, chłopcze”. Gansey odkrył, że najważniejsza jest wiara w istnienie rzeczy niezwykłych. Trzeba rozumieć, że są częścią większej całości. Niektóre sekrety odsłaniają się tylko przed tymi, którzy są ich warci.

Gansey patrzył na to w ten sposób: jeśli ktoś ma wyjątkowy talent do znajdowania rzeczy, to znaczy, że jego obowiązkiem jest ich szukać.

– Hej, czy to Whelk? – zapytał Ronan.

Jakiś samochód wyraźnie zwolnił, dzięki czemu mogli dojrzeć jego wścibskiego kierowcę. Mężczyzna za kierownicą niewątpliwie przypominał ich nadętego nauczyciela łaciny, wychowanka Aglionby o niefortunnym nazwisku Barrington Whelk. Na Ganseyu, którego pełny tytuł brzmiał Richard „Dick” Campbell Gansey III, niewiele mogło zrobić wrażenie, ale nawet chłopakowi o imieniu, którego zdrobnienie brzmiało jak określenie męskiego członka, trudno było sobie wyobrazić, że można się nazywać jak gatunek ślimaka.

– Przypadkiem się nie zatrzymuj, żeby pomóc, czy coś – warknął Ronan za samochodem. – Hej, leszczu, co z tym Declanem?

Druga część wypowiedzi była skierowana do Adama, który właśnie wygramolił się z bmw z komórką w ręce. Wręczył ją Ronanowi, a on lekceważąco pokręcił głową. Nie znosił telefonów, łącznie z własnym.

– Przyjedzie o piątej – powiedział Adam.

W przeciwieństwie do Ronana, Adam nosił używany sweter Aglionby, ale kupując go, upewnił się, że jest w nienagannym stanie. Wysoki i szczupły, o popielatych, nierówno ostrzyżonych włosach wokół kształtnej, opalonej twarzy, przypominał postać na fotografii w sepii.

– Rewelacja – odpowiedział Gansey. – Będziesz?

– A jestem zaproszony?

Adam potrafił być niesłuchanie taktowny. Kiedy nie był czegoś pewien, jego południowy akcent zawsze dawał o sobie znać, i tak było teraz.

Nigdy nie potrzebował zaproszenia. Musiał pokłócić się z Ronanem. Nic no-

wego, Lynch kłócił się ze wszystkim, co miało numer ubezpieczenia.

– Nie bądź głupi – odparł Gansey i łaskawie przyjął od Adama zatłuszczoną papierową torbę z fast foodu.

– Ronan ci to kupił – powiedział Adam.

Kiedy w grę wchodziły pieniądze, zawsze potrafił wskazać winnych. Podobnie jak dobroczyńców.

Gansey spojrzał na Ronana, który stał oparty o camaro i z nieobecnym wzrokiem żuł jeden z rzemyków na nadgarstku.

– Mam nadzieję, że w tym hamburgerze nie ma sosu – powiedział Gansey.

– Wyluzuj – parsknął drwiąco Ronan, wypuszczając rzemyk z zębów.

– Korniszonów też nie ma – powiedział Adam, kucając za samochodem.

Przywiózł ze sobą dwa różne dodatki do paliwa, a także szmatę do ochrony spodni przed skutkami spotkania z kanistrem. W jego wykonaniu uruchomienie samochodu wydawało się banalne. Adam bardzo się starał ukrywać swoje pochodzenie, ale zdradzały go najdrobniejsze gesty.

Gansey uśmiechnął się szeroko. Na myśl o nocnym odkryciu poczuł przyjemne ciepło.

– Szybki quiz, panie Parrish. Trzy rzeczy, które występują w pobliżu linii mocy?

– Czarne psy – odparł Adam z pobłażaniem w głosie. – Demony.

– Chevrolety camaro – dorzucił Ronan.

– I duchy. Ronan, bądź łaskaw uzupełnić listę dowodów. – ciągnął Gansey, nie zwracając uwagi na kumpla.

Cała trójka stała w słońcu późnego poranka. Adam zakręcał korek baku, a Ronan przewijał nagranie. Daleko stąd, nad górami, zaskrzeczał myszołów. Ronan wcisnął „play” i po raz kolejny odsłuchali, jak Gansey wypowiada w próżnię swoje imię. Adam zmarszczył czoło z nieobecnym wyrazem twarzy. Słońce zaróżowiło mu policzki.

To był dzień podobny do wielu innych w ciągu minionych osiemnastu miesięcy. Zwykle przed nastaniem wieczoru Ronan i Adam zapominali o kłótni, nauczyciele wybacжали Ganseyowi nieobecność, a potem Gansey, Adam, Ronan i Noah szli na pizzę, aby we cztery stawić czoła Declanowi.

– Spróbuj zapalić, Gansey – powiedział Adam.

Gansey usiadł za kierownicą, ale nie zamknął drzwi. W tle słychać było, jak Ronan znowu odtwarza nagranie. Słuchając go z tej odległości, Gansey czuł, jak włosy na rękach stają mu dęba. Był przekonany, że te słowa oznaczają początek czegoś zupełnie nowego, choć jeszcze nie wiedział czego.

– No, dalej, Świnio! – warknął.

Kierowca mijającego ich samochodu oparł się na klaksonie.

Gansey przekręcił kluczyk. Silnik zawył, na chwilę ucichł, a potem z ogłuszającym rykiem powrócił do życia. Camaro był gotów zmierzyć się z nadchodzącym dniem. Nawet radio działało, leciała piosenka Stevie Nicks, która dla Ganseya zawsze brzmiała jak historia o gołębiu z jednym skrzydłem. Zjadł zimną frytkę z przywiezionego przez chłopaków zestawu.

Adam zajrzał do samochodu.

– Pojedziemy za tobą. Do szkoły powinienś jakoś dojechać, ale to na pewno nie koniec – powiedział. – Coś tu jest nie tak.

– Świetnie – odparł Gansey, przekrzykując silnik. Bmw pulsowało z tyłu stłumioną, ledwo słyszalną linią basów, a Ronan dawał się ponieść elektronicznym muzycznym loopom. – Jakieś pomysły?

Adam sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej kartkę i wręczył ją Ganseyowi.

– Co to jest? – Chłopak studiował nierówne pismo Adama. Stawiane przez niego litery zawsze wyglądały, jakby przed czymś uciekały. – Numer telefonu do wróżki?

– I tak miałeś to zrobić, nawet gdybyś dziś w nocy niczego nie znalazł. Teraz przynajmniej masz o co zapytać.

Gansey zastanowił się. Wróżki zwykle mówiły mu, że będzie bogaty, a jego przeznaczeniem jest dokonać wielkich rzeczy. To pierwsze było prawdą i Gansey obawiał się, że druga przepowiednia też się spełni. Ale może teraz, kiedy wpadł na nowy trop, jakaś inna wróżka będzie miała mu coś więcej do powiedzenia.

– W porządku – zgodził się. – A o co właściwie mam zapytać?

Adam podał mu dyktafon. W zamyśleniu zastukał w dach camaro – raz, drugi.

– To chyba oczywiste – odparł. – Trzeba się dowiedzieć, z kim rozmawiałeś.

Poranki przy Fox Way 300 były przerażającym doświadczeniem. Chaos, poszturchiwania, kolejki do łazienki, mieszkanki warczące na siebie nad torebkami herbaty wkładanymi do kubków, w których były już torebki herbaty. Blue szykowała się do szkoły, a bardziej produktywne (albo obdarzone mniejszą intuicją) ciotki – do pracy. Palily się grzanki, płatki rozmiękały w mleku, raz po raz otwierana lodówka pozostawała niezamknięta kilka minut. Podzwaniały kluczyki, gdy pośpiesznie decydowano o tym, kto kogo podwozi.

W trakcie śniadania zaczynał dzwonić telefon. Maura mówiła: „Orla, wszechświat wzywa cię na linii drugiej” lub coś w tym rodzaju, a Jimi, Orla albo któraś z ciotek, przyrodnich ciotek czy przyjaciółek kłóciła się z nią o to, kto ma odebrać telefon na górze. Dwa lata temu kuzynka Blue, Orla, wymyśliła, że mogłyby dodatkowo zarabiać na gorącej linii. Maura uważała, że ten pomysł nie pasuje do ich wizerunku, ale po krótkich utarczkach Orla zwyciężyła. Zwycięstwo w tym wypadku polegało na odczekaniu, aż Maura wyjedzie na weekend na konferencję, i założeniu dodatkowej linii telefonicznej w tajemnicy przed nią. Po tamtej historii pozostało już tylko wspomnienie zadawnionej urazy. Telefon zaczynał dzwonić około siódmej rano, a zdarzało się, że każdy dolar za minutę połączenia był na wagę złota.

Blue traktowała poranki jak rodzaj konkurencji sportowej i lubiła myśleć, że jest w niej coraz lepsza.

Ale następnego dnia po czuwaniu w kościele nie musiała walczyć o łazienkę ani pakować śniadania do szkoły w towarzystwie Orli upuszczającej grzankę posmarowaną stroną na podłogę. Kiedy się obudziła, zamiast porannego światła jej pokój wypełniał popołudniowy półmrok. Za ścianą Orla rozmawiała przez telefon ze swoim chłopakiem albo z jakimś klientem gorącej linii. W wykonaniu Orli te dwa rodzaje konwersacji brzmiały tak samo. Blue zawsze potem czuła, że przydałby jej się prysznic.

Zajęła łazienkę, o którą nikt nie walczył, i skupiła się głównie na fryzurze. Jej ciemne włosy, przycięte równo poniżej ucha, były na tyle długie, że dało się je związać we względnie przekonujący koński ogon, ale aby tego dokonać, potrzebny był cały zestaw spinek. W rezultacie powstawał nastroszony, nierówny kucyk, z którego wystawały niesforne kosmyki i niepasujące do siebie spinki. Wyglądał ekscentrycznie i niedbale. Trzeba się było ciężko napracować, żeby uzyskać taki efekt.

– Mamo! – zawołała Blue, zbiegając po schodach.

Maura stała właśnie przy kuchennym blacie i robiła bałagan, zaparzając jakąś śmierdzącą liściastą herbatę. Nie odwróciła się. Na całym blacie widać było zielone plamy porozsypywanych ziół.

– Nie musisz cały czas biegać.

– Ty za to musisz – odcięła się Blue. – Dlaczego nie obudziłaś mnie do szkoły?

– Budziłam. Dwa razy – powiedziała Maura. – Cholera – dodała do siebie.

– Pomóc ci? – dobiegł znad stołu głos Neeve.

Ciotka siedziała nad kubkiem herbaty. Była tak samo pulchna i anielska jak za-

wsze; nic nie wskazywało na to, że zarwała noc. Przyglądała się Blue, która unikała jej wzroku.

– Potrafię sobie poradzić z zaparzeniem cholernej herbatki medytacyjnej, dzięki – odpowiedziała Maura. – Zgłosiłam w szkole, że masz grypę. Wspomniałam, że wymiotujesz. Pamiętaj, żeby jutro mizernie wyglądać.

Blue przycisnęła dłonie do oczu. Nigdy nie opuszczała lekcji następnego dnia po czuwaniu w kościele. Zdarzało się, że była śpiąca, ale nigdy tak wykończona jak po ostatniej nocy.

– Czuję się fatalnie. Czy to dlatego, że go widziałam? – zwróciła się do Neeve, opuszczając ręce. Żałowała, że tak dobrze pamięta tego chłopaka. A raczej *cień* jego postaci, dłoni opartą o ziemię. Wolałaby nigdy go nie zobaczyć. – Czy to dlatego tak długo spałam?

– Raczej dlatego, że pozwoliłaś piętnastu duchom przeniknąć przez swoje ciało, kiedy gawędziłaś w najlepsze z tym chłopakiem – odpowiedziała zwięźle Maura, zanim Neeve zdążyła się odezwać. – W każdym razie tak słyszałam. Boże, czy te liście powinny mieć taki zapach?

Blue odwróciła się do Neeve, która dalej spokojnie popijała herbatę.

– Czy to prawda? Czy to dlatego, że przeszły przeze mnie duchy?

– *Pozwoliłaś* im czerpać swoją energię – odparła Neeve. – Masz jej sporo, ale nie aż tak dużo.

Blue od razu przyszły do głowy dwie myśli: „Ja mam sporo energii?”. I: „Chyba jestem zirytowana”.

Słowa ciotki zabrzmiały tak, jakby Blue celowo pozwoliła duchom pozbawić się sił.

– Powinnaś ją nauczyć się chronić – powiedziała Neeve do Maury.

– Nauczyłam ją pewnych rzeczy. Nie jestem aż tak wyrodną matką – odparła Maura i podała córce kubek.

– Nie będę tego piła. Strasznie śmierdzi – zaprotestowała Blue. Wyjęła z lodówki jogurt. – Do tej pory jakoś nie musiałam się przed niczym chronić, kiedy czuwałyśmy w kościele – dodała na znak solidarności z matką.

– To zaskakujące, jak bardzo wzmacniasz pola energetyczne – powiedziała Neeve w zadumie. – Aż dziwne, że one cię nie znajdują, nawet tutaj.

– Oj, przestań – rzuciła Maura z irytacją. – Nie ma powodu bać się nieżyjących ludzi.

Blue wciąż miała przed oczami upiorną pozę pokonanego i oszołomionego Ganseya.

– Mamo, czy te zjawy z kościoła... Czy można jakoś zapobiec śmierci tych ludzi? Ostrzec ich?

Wtedy zadzwonił telefon. Jego przenikliwy dźwięk rozległ się powtórnie i nie chciał zamilknąć, co oznaczało, że Orla nie zakończyła jeszcze rozmowy.

– Cholerna Orla! – powiedziała Maura, chociaż kuzynki Blue tam nie było i nie mogła jej usłyszeć.

– Ja odbiorę – zaproponowała Neeve.

– Och, ale... – Maura nie dokończyła.

Blue zastanawiała się, czy matka pomyślała o tym, że Neeve zwykle zarabia

dużo więcej niż dolara za minutę.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała Maura, kiedy Neeve wyszła z kuchni. – Większość z nich umiera na atak serca, raka albo z innych przyczyn, na które nie mamy wpływu. Ten chłopak umrze.

Blue przypomniała sobie uczucie, którego doświadczyła na cmentarzu, ten dziwny żal.

– Nie wydaje mi się, żeby chłopak z Aglionby miał umrzeć na atak serca. Po co w ogóle zawracasz sobie głowę mówieniem takich rzeczy swoim klientom?

– Żeby przed śmiercią mogli uporządkować swoje sprawy i dokończyć to, co planowali zrobić.

Matka Blue odwróciła się i utkwiała w niej bardzo przenikliwe spojrzenie. Wyglądała tak imponująco, jak tylko to możliwe, gdy stoi się w kuchni na bosaka, w spranych dżinsach, z dużym kubkiem śmierdzącej zgnilizną herbaty w ręce.

– Jeżeli będziesz chciała go ostrzec, nie zamierzam cię powstrzymywać, Blue. Ale nawet jeśli go znajdziesz, on i tak ci nie uwierzy, a to, że będzie wiedział, nie uratuje mu życia. Być może dzięki tobie uniknie jakiegoś błędu. Ale równie dobrze możesz zrujnować ostatnie miesiące jego życia.

– Jesteś niepoprawną optymistką – odburknęła Blue.

Wiedziała jednak, że Maura ma rację. Przynajmniej w pierwszych słowach. Prawie każda nowo poznana osoba uważała, że jej matka zarabia na życie za pomocą jakichś sztuczek. Co właściwie zamierzała zrobić? Śledzić ucznia Aglionby, a potem zapukać w szybę jego land rovera albo lexusa i poradzić mu, żeby sprawdził hamulce i przedłużył sobie ubezpieczenie na życie?

– Pewnie i tak nie powstrzymam cię przed spotkaniem z nim – powiedziała Maura. – Jeśli Neeve właściwie interpretuje powody, dla których go zobaczyłaś, poznanie go jest twoim przeznaczeniem.

– Przeznaczenie – odparła Blue, patrząc gniewnie na matkę. – Nie za ciężkie słowo, tak przed śniadaniem?

– Wszyscy są już dawno po śniadaniu.

Schody zaskrzypiały i wróciła Neeve.

– Pomyłka – poinformowała swoim pozbawionym emocji tonem. – Często się to zdarza?

– Nasz numer różni się jedną cyfrą od numeru agencji towarzyskiej – wyjaśniła Maura.

– Aha – powiedziała Neeve. – To wszystko wyjaśnia. Blue – dodała, sadowiąc się z powrotem przy stole – jeśli chcesz, mogę spróbować wyczytać, jak zginie.

To natychmiast przyciągnęło uwagę Maury i Blue.

– *Chcę!* – oświadczyła Blue.

Maura już miała coś powiedzieć, ale zacisnęła usta.

– Mamy jeszcze sok grejpfrutowy? – zapytała Neeve.

Blue, zdeorientowana, podeszła do lodówki, wyjęła z niej dzbanek i spojrzała pytająco na Neeve.

– Żurawinowo-grejpfrutowy?

– Może być.

Maura, wciąż z nieodgadnionym wyrazem twarzy, wyjęła z szafki ciemnonie-

bieską salaterkę. Postawiła ją przed Neeve, niezbyt delikatnie.

– Nie odpowiadam za to, co zobaczysz – powiedziała.

– Co? Co to ma znaczyć? – zapytała Blue.

Żadna z nich nie odpowiedziała.

Z dobrotliwym uśmiechem na łagodnej twarzy Neeve napełniła miskę sokiem po brzegi. Maura zgasiła światło. Nagle widok za oknem stał się wyraźniejszy. Pogodne kwietniowe drzewa napierały na okna jadalni, zielone liście tłoczyły się na szybie. Blue poczuła się otoczona drzewami, jakby niespodziewanie znalazła się w środku nieruchomego lasu.

– Możesz się przyglądać, ale proszę, nie odzywaj się – uprzedziła Neeve, nie patrząc na żadną z nich.

Blue gwałtownie odsunęła krzesło i usiadła. Maura oparła się o kuchenny blat i założyła ręce. Rzadko zdarzało się widzieć ją zdenerwowaną, a mimo to powstrzymywała się od jakichkolwiek działań.

– Przypomnij mi, proszę, jak on się nazywa.

– Powiedział tylko: „Gansey”.

Blue poczuła się skrępowana, wymawiając jego imię. Myśl, że mogłaby mieć wpływ na życie lub śmierć tego chłopaka, w jakimś sensie czyniła ją odpowiedzialną za jego symboliczną obecność w tej kuchni.

– To wystarczy.

Neeve pochyliła się nad miską i zaczęła poruszać ustami. Każdy ruch był widoczny w jej ciemnym odbiciu. Blue kołatały w głowie słowa matki: „Nie odpowiadam za to, co zobaczysz”.

To zdanie sprawiło, że czytanie z miski soku nabrało jakiegoś doniosłego znaczenia. Mniej przypominało oszukiwanie natury, a bardziej obrzęd religijny.

Wreszcie Neeve zaczęła mrużyć. Choć Blue nie doszukała się w tym cichym dźwięku żadnego znaczenia, Maura rzuciła jej triumfalne spojrzenie.

– No – powiedziała Neeve. – Coś w tym jest.

A raczej: „Coś w tym jest”.

I Blue już wiedziała, co będzie dalej.

– Co tam zobaczyłaś? – zapytała. – Jak on zginął?

Neeve siedziała wpatrzona w Maurę. Jej odpowiedź w jakiś sposób przypominała pytanie.

– Zobaczyłam go. A potem zniknął. Zwyczajnie się rozpułnął.

Maura pstryknęła palcami. Blue dobrze знаła ten gest. Jej matka kończyła w ten sposób niejedną kłótnię, wygłosiwszy uprzednio zwycięską kwestię. Tylko że tym razem wyglądało to tak, jakby zwycięska kwestia została wygłoszona przez miskę soku żurawinowo-grejpfrutowego, a Blue nie wiedziała, jak to rozumieć.

– Był tam, ale po chwili przepadł.

– To się zdarza – powiedziała Maura. – Tu, w Henriecie. Jest takie miejsce albo miejsca, których nie widzę. Z kolei innym razem – Maura w tak oczywisty sposób *unikala* wzroku Blue, że nie dało się tego nie zauważyć – ukazują mi się rzeczy, których nigdy nie spodziewałabym się zobaczyć.

W tej chwili Blue przypominała sobie, jak jej matka upierała się przy pozostaniu w Henriecie, ilekroć nadarzały się okazje przeprowadzki do innych miast, choć

życie na prowincji stawało się coraz droższe. Blue przeczytała kiedyś e-maile matki. Jeden z klientów rozpaczliwie błagał ją, żeby zabrała ze sobą córkę „i wszystko, bez czego nie może żyć” i przeniosła się do jego domu w Baltimore. Maura odpowiedziała stanowczo, że to nie wchodzi w grę z wielu powodów. Przede wszystkim nie chce opuszczać Henrietty, a poza tym kto jej zagwarantuje, że nie ma do czynienia z seryjnym mordercą? W odpowiedzi mężczyzna przesłał jej jedynie smutną buźkę. Blue często się zastanawiała, co się z nim stało.

– Chciałabym wiedzieć, co zobaczyłaś – powiedziała Blue. – Gdzie on się „rozpłynął”?

– To był ten sam chłopak, którego widziałyśmy ostatniej nocy, zmierzał ku swojej śmierci. Czułam, że ona jest blisko, w sensie chronologicznym, ale wtedy on zniknął w jakimś miejscu, którego nie mogłam zobaczyć. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Myślałam, że to przeze mnie.

– To nie przez ciebie – oznajmiła Maura. Widząc, że Blue nadal przygląda jej się z ciekawością, dodała: – To trochę tak jak z telewizorem, w którym nie widać obrazu, choć wiesz, że jest włączony. Tak to właśnie wygląda.

Jednak nigdy nie widziałam, żeby ktoś do takiego miejsca wchodził.

– Cóż, on to zrobił. – Neeve odsunęła od siebie miskę. – Powiedziałaś, że to nie wszystko. Co jeszcze tam mogę zobaczyć?

– Programy, które nie są dostępne w najtańszym abonamencie.

Neeve stuknęła pięknymi palcami o stół, tylko raz.

– Nie wspominałaś mi o tym wcześniej – powiedziała z wyrzutem.

– Nie sądziłam, że to ważne – odparła Maura.

– Miejsca, w których mogą zniknąć młodzi ludzie, wydają mi się dość ważne.

Zdolności twojej córki też chyba są całkiem istotne.

Neeve skierowała niewzruszone spojrzenie na Maurę, która odepchnęła się od blatu i odwróciła do niej plecami.

– Po południu pracuję – odezwała się wreszcie Blue, kiedy zdała sobie sprawę, że to koniec rozmowy.

W misce odbijały się liście falujące za oknem powoli jak spokojny, ale ciemny las.

– Naprawdę zamierzasz iść w tym do pracy? – zapytała Maura.

Blue spojrzała na swoje ubranie. Składało się z kilku warstw cienkich koszulek. Jedną z nich Blue przerobiła metodą zwaną „strzępieniem”.

– Co w tym złego?

Maura wzruszyła ramionami.

– Nic. Zawsze chciałam mieć ekscentryczną córkę. Tylko jakoś nie zdawałam sobie sprawy, że tak łatwo mi przyjdzie zrealizować te nieczne zamiary. Do której dziś pracujesz?

– Do siódmej. No, pewnie dłużej. Cialina kończy o siódmej trzydzieści, ale od tygodnia mówi o tym, że jej brat kupił bilety na *Wieczór* i chciałaby, żeby ktoś ją zastąpił przez ostatnie pół godziny...

– Możesz odmówić. Co to jest *Wieczór*? Czy to nie ten film, w którym wszystkie dziewczyny giną od topora?

– Właśnie ten. – Siorbiąc jogurt, Blue szybko zerknęła na Neeve, która ze

zmarszczonym czołem wciąż wpatrywała się w miskę soku stojącą na drugim końcu stołu. – To ja spadam.

Odsunęła krzesło. Milczenie Maury rozbrzmiewało głośniej niż słowa. Blue bez pośpiechu wyrzuciła do śmieci pojemnik po jogurcie, zostawiła w zlewie łyżeczkę, wyminęła matkę i ruszyła po buty.

– Blue – odezwała się wreszcie Maura. – Nie muszę ci chyba mówić, żebyś nikogo nie całowała?

Adam Parrish przyjaźnił się z Ganseyem od osiemnastu miesięcy, więc dobrze wiedział, co się z tym wiąże: wiara w zjawiska nadprzyrodzone, tolerowanie trudnego stosunku Ganseya do pieniędzy i pokojowe współistnienie z jego pozostałymi przyjaciółmi. Dwie pierwsze rzeczy były problematyczne tylko w czasie wolnym od zajęć szkolnych, a ostatnia jedynie wtedy, gdy chodziło o Ronana Lyncha.

Gansey powiedział kiedyś Adamowi, że jego zdaniem większość ludzi nie umie postępować z Ronanem. Wyraził w ten sposób obawę, że pewnego dnia ktoś rzuci się na Ronana i zdrowo się pokiereszuje.

Czasami Adam zastanawiał się, czy przed śmiercią ojca Ronan był już *tym* Ronanem, ale wtedy znał go tylko Gansey. Chociaż nie, Gansey i Declan. A ponieważ trudno było się oprzeć wrażeniu, że Declan też nie umie postępować ze swoim bratem, Adam zadbał o to, żeby jego wizyta wypadła wtedy, kiedy Ronan na pewno będzie w szkole.

Adam stał z Declanem i jego dziewczyną na podeście schodów na drugim piętrze budynku przy Monmouth 1136. Dziewczyna w zwiewnych, białych jedwabiach bardzo przypominała Briannę czy Kayleigh, czy jak się tam nazywała ostatnia dziewczyna Declana. Wszystkie miały blond włosy do ramion i brwi dopasowane kolorystycznie do ciemnych, skórzanych butów Declana. Chłopak miał na sobie garnitur wymagany od uczniów ostatnich klas podczas praktyk w administracji rządowej. Wyglądał w nim na trzydzieści lat. Adam zastanawiał się, czy i jemu garnitur dodałby powagi, czy też wiek by go zdradził i podobnym strojem naraziłby się tylko na śmieszność.

– Dzięki, że się z nami spotkałeś – powiedział Declan.

– Żaden problem.

W rzeczywistości powód, dla którego Adam zgodził się wyjść ze szkoły z Declanem i Dziewczyną, miał więcej wspólnego z dokuczliwym przeczuciem niż z uprzejmością. Ostatnio Adam czuł się tak, jakby ktoś... *towarzyszył* im podczas poszukiwań linii mocy. Nie był pewien, czy potrafiłby wyrazić to uczucie słowami. Jego źródłem było jakieś pochwycone kątem oka spojrzenie, ślady stóp na klatce schodowej, częściowo zatarte i niepodobne do śladów żadnego z chłopaków, informacja od bibliotekarza, że jakiś ezoteryczny tekst został wypożyczony zaraz po zwróceniu go przez Adama. Nie chciał jednak zwracać tym głowy Ganseyowi, dopóki się nie upewni. Jego przyjaciel i bez tego wydawał się przytłoczony.

Adam nie zastanawiał się, czy Declan ich szpieguje. Dobrze wiedział, że tak jest, ale wierzył, że interesuje go wyłącznie Ronan, a nie linia mocy. A jednak nie zaszkodziło trochę go poobserwować.

Tymczasem Dziewczyna ukradkowo rozglądała się po klatce schodowej, co wyjątkowo rzucało się w oczy. Ceglany budynek przy Monmouth 1136 był wypaloną fabryką o drapieżnym wyglądzie, o oknach przypominających podbite oczy. Wyrastał z zarośniętej działki zajmującej prawie cały teren między dwiema przecznicami. Wskazówką co do oryginalnej tożsamości budynku był wymalowany na wschodniej

ścianie napis: „Monmouth Manufacturing”. Jednak pomimo wszystkich zebranych na ten temat informacji ani Gansey, ani Adam nie byli w stanie stwierdzić, co takiego produkowano w Monmouth. Musiało to być coś, co wymagało wysokich pomieszczeń i dużej przestrzeni, coś, co zostawiało wilgotne plamy na podłodze i żłobienia w ceglanych ścianach. Coś, czego świat już nie potrzebował.

Na szczycie schodów prowadzących na drugie piętro Declan dzielił się z Dziewczyną całą swoją wiedzą na ten temat, szepcząc jej coś do ucha, a ona chichotała nerwowo, jakby powierzał jej jakiś sekret. Adam przyglądał się, jak warga Declana muska dolną część jej małżowiny usznej. Odwrócił wzrok, zanim Lynch na niego spojrzał.

Adam był bardzo dobry w dyskretnym obserwowaniu ludzi. Chyba tylko Gansey potrafił go na tym przylapać.

Dziewczyna wskazała pęknięte okno wychodzące na parking. Declan popatrzył na czarne, wściekle krzywe wykreślone na asfalcie przez koła samochodu, którym Gansey i Ronan wygłupiali się, robiąc ósemki. Twarz Declana stężała. Nawet jeśli było to dziełem Ganseya, on i tak zakładał, że to sprawka Ronana.

Adam już zdążył zapukać raz, potem drugi. Najpierw jedna długa przerwa, a następnie dwie krótkie – jego znak rozpoznawczy.

– Jest bałagan – przeprosił.

Powiedział to raczej ze względu na Dziewczynę niż na Declana, który doskonale wiedział, w jakim stanie bywa mieszkanie. Adam podejrzewał, że Lynch uważa ten bałagan za czarujący dla osób z zewnątrz. Co by nie mówić, Declan był wyrachowany. Jego celem była cnota Ashley i nie ulegało wątpliwości, że wszelkie plany na dzisiejszy wieczór, łącznie z krótkim przystankiem w Monmouth Manufacturing, miały się przyczynić do jej zdobycia.

Nadal nikt nie otwierał.

– Mam zadzwonić? – zapytał Declan.

Adam spróbował przekręcić gałkę w drzwiach, bezskutecznie. Potem podważył ją kolanem, unosząc nieznacznie drzwi w zawiasach. Otworzyły się. Dziewczyna wydała z siebie dźwięk oznaczający aprobatę, choć nie dało się ukryć, że sukces tego włamania miał niewątpliwie więcej wspólnego ze słabością drzwi niż z tężyzną Adama.

Weszli do mieszkania. Dziewczyna zadarła głowę. Sufit wznosił się wysoko ponad odsłoniętymi żelaznymi dźwigarami konstrukcji dachowej. Mieszkanie urządzone przez Ganseya przypominało laboratorium marzyciela. Mieli przed sobą całe drugie piętro, kilkaset metrów kwadratowych powierzchni. Dwie ściany mieszkania tworzyły stare okna – dziesiątki maleńkich, krzywych szybek, wśród których zaledwie kilka było czystych, wymienionych przez Ganseya. Pozostałe dwie ściany zdobiły mapy górzystych regionów Wirginii, a także Walii i innych części Europy. Na każdej z nich widniały nakreślone markerem łuki. Rozstawiony na podłodze teleskop był skierowany w zachodnie niebo. U stóp statywu leżały stosy tajemniczych urządzeń do pomiaru pola magnetycznego.

I wszędzie, wszędzie leżały książki. Nie równiutkie stosy ułożone przez kogoś, kto chce uchodzić za intelektualistę, ale chwiejne sterty badacza opętanego obsesją. Były tu książki w obcych językach i słowniki tych języków. Na stertach piętrzyły się

także wydania specjalne magazynu *Sports Illustrated*, ze zdjęciami modelek w strojach kąpielowych.

Adam poczuł znajomy skurcz. Nie ukłucie zazdrości, ale żarliwe *pragnienie*. Pewnego dnia będzie mógł sobie pozwolić na takie mieszkanie. Mieszkanie, które odzwierciedlałoby jego charakter.

Jakiś podły głosik w głębi duszy Adama pytał, czy jego wnętrze kiedykolwiek będzie wyglądało tak imponująco, czy też trzeba się z tym urodzić. Gansey przyzwyczajał się do posiadania pieniędzy od wczesnego dzieciństwa, jak wirtuoz posadzony przy fortepianie, gdy tylko nauczył się siedzieć. Adam był spóźniałskim uzurpatorem, który wciąż jękał się swoim niezgrabnym akcentem z Henrietty i trzymał pieniądze pod łóżkiem w pudełku po płatkach śniadaniowych.

Dziewczyna u boku Declana założyła ręce na piersiach, co było nieświadomą reakcją na męską nagość. W tym wypadku naga była nie osoba, lecz rzecz: łóżko Ganseya, składające się z dwóch niedbale zaścielonych materaców na gołej, metalowej ramie, ustawionej nonszalancko na środku pokoju. Było w tym coś intymnego.

Gansey siedział tyłem do nich przy zabytkowym biurku, stukając długopisem o blat. Wpatrywał się w przestrzeń za oknami wychodzącymi na wschód. Obok niego leżał otwarty gruby dziennik ze stronami ciemnymi od notatek, napęczniały od powklejanych wycinków. Adama nie po raz pierwszy uderzył trudny do określenia wiek Ganseya: przyjaciel wyglądał jak stary człowiek w młodym ciele albo młodzieniec z duszą staruszka.

– To my – powiedział Adam.

Gansey nie zareagował, więc Adam ruszył w jego stronę. Dziewczyna wydała z siebie serię dźwięków zaczynających się na literę „o”. Centralną część pokoju zajmowała makieta miasteczka zbudowana przez Ganseya z pudełek po płatkach śniadaniowych oraz innych opakowań, dlatego troje gości było zmuszonych przejść środkiem głównej ulicy, żeby dotrzeć do biurka. Adam wiedział, co się za tym kryje. Miniaturowa Henrietta była symptomem bezsenności Ganseya. Każda jego nieprzespana noc owocowała nowymi zabudowaniami.

Adam zatrzymał się przy biurku, wdychając silny zapach miętowego liścia, który Gansey żuł z nieobecnym wzrokiem.

Postukał w słuchawkę przy prawym uchu przyjaciela, a ten wzdrygnął się i zaskoczony zerwał na równe nogi.

– O, cześć.

Miał w sobie coś z amerykańskiego bohatera wojennego, jakąś nieuchwytną cechę przyczajoną w przymrużonych w letnim świetle orzechowych oczach, zmierzwionych ciemnych włosach, prostym nosie zakodowanym w genach przekazanych mu łaskawie przez liczne pokolenia Anglosasów. Wszystko w nim zapowiadało męstwo, siłę i zdecydowany uścisk dłoni.

Dziewczyna wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

Adam przypomniał sobie, że podczas pierwszego spotkania z Ganseyem czuł się onieśmielony. Właściwie Ganseyów było dwóch. Ten, który żył w jego skórze, i ten, którego postać przybierał przed wyjściem z domu, zaraz po wsunięciu portfela do tylnej kieszeni bawełnianych spodni. Pierwszy był niespokojny i gwałtowny, mówił bez rozpoznawalnego dla uszu Adama akcentu; a drugi niepostrzeżenie przejmował

wał władzę, pozdrawiał ludzi szczwanym, wyraźnym akcentem starej wirginijskiej fortuny. Adam nie wiedział, jak to się dzieje, że nigdy nie można było zobaczyć obu wersji Ganseya jednocześnie.

– Nie słyszałem, jak pukaliście – powiedział niepotrzebnie Gansey.

Przybili z Adamem żółwika. W wykonaniu Ganseya ten gest był jednocześnie czarujący i nieśmiały, jak fraza zapożyczona z obcego języka.

– Ashley, to jest Gansey – powiedział Declan swoim miłym, bezbarwnym głosem w rodzaju tych, które zazwyczaj podają informacje o tornadach i zimnych frontach atmosferycznych, powiadamiają o skutkach ubocznych zażywania niebieskich pigułek czy wyjaśniają procedury bezpieczeństwa boeinga 747. – Dick Gansey – dodał.

Jeśli Gansey uważał dziewczynę Declana za nietrwałą, lecz odnawialne bogactwo naturalne, nie dał tego po sobie poznać.

– Declan dobrze wie, że Dick to mój ojciec. Jeśli o mnie chodzi, wystarczy Gansey – powiedział chłodno.

Ashley wydawała się bardziej zszokowana niż rozbawiona.

– *Dick?*

– Tak mam na imię – wyjaśnił Gansey ze znużoną miną kogoś, kto nie wiadomo który raz powtarza oklepany dowcip. – Ale staram się tym nie przejmować.

– Chodzisz do Aglionby? To miejsce jest odjechane! Dlaczego nie mieszkasz w kampusie? – zapytała Ashley.

– Bo jestem właścicielem tego budynku – wyjaśnił Gansey. – Wolałem w coś zainwestować niż płacić za miejsce w internacie, którego nie można sprzedać po skończeniu szkoły. Co by się stało z pieniędzmi? Wyparowałyby.

Dick Gansey III nie znosił, kiedy ludzie twierdzili, że mówi zupełnie jak Dick Gansey II, ale wtedy akurat tak właśnie było. Obaj, ubrani w eleganckie marynarki w szkocką kratę, kiedy przyszła im na to ochota, przeprowadzali zgrabny, logiczny wywód.

– Boże – powiedziała Ashley.

Zerknęła na Adama. Choć było to tylko przelotne spojrzenie, zdążyła zauważyć, że jego sweter jest lekko wystrzępiony na ramieniu.

„Nie zwracaj na to uwagi. Ona wcale nie patrzy. Nikt więcej tego nie zauważył”.

Adam z wysiłkiem wyprostował plecy. Usiłował czuć się w swoim szkolnym ubraniu równie swobodnie, jak Gansey czy Ronan.

– Ash, nie uwierzysz, dlaczego Gansey postanowił przyjechać akurat tutaj – powiedział Declan. – Powiedz jej, Gansey.

Chłopak nie potrafił oprzeć się pokusie rozmowy o Glendowerze. Nigdy tego nie potrafił.

– Co wiesz o walijskich królach?

Ashley wyduła usta, szczypiąc koniuszkami palców skórę na obojczyku.

– Mmmm. Llewellyn? Glendower? Powstanie przeciwko Anglii?

Uśmiech na twarzy Ganseya mógłby oświetlić chodniki w kopalni węgla kamiennego. Adam nie słyszał wcześniej o Llewellynie ani o Glendowerze, dopóki nie poznał Ganseya. Przyjaciół musiał mu opowiedzieć, jak Owain Glyndŵr – a dla tych,

którzy nie znają walijskiego, Owen Glendower – średniowieczny książę, walczył z Anglikami o wolność Walii, a potem, kiedy klęska wydawała się nieunikniona, na zawsze zniknął z Wysp Brytyjskich i z kart historii.

Ganseya nigdy nie trzeba było prosić dwa razy o opowiedzenie losów Glendowera. Mówił o nich, jakby chodziło o coś, co wydarzyło się wczoraj, podekscytowany magicznymi znakami, które towarzyszyły narodzinom średniowiecznego bohatera, plotkami o jego mocy stawania się niewidzialnym, o nieprawdopodobnych zwycięstwach nad ogromnymi armiami i wreszcie o jego tajemniczej ucieczce. Kiedy Adam go słuchał, miał przed oczami zielone wzniesienia pogórza Walii, szerokie, połyskujące wody rzeki Dee, bezlitosne góry na północy kraju, w których zniknął Glendower. W opowieściach Ganseya Owain Glyndŵr nie mógł umrzeć.

Teraz, po raz kolejny słuchając tej historii, Adam zrozumiał, że Glendower jest dla Ganseya kimś więcej niż tylko postacią historyczną. Uosabiał wszystko, o czym chłopak marzył: mądrość, odwagę, przekonanie o słuszności obranej drogi, nadprzyrodzoną moc, szacunek. Zostawił po sobie dziedzictwo, które przetrwało wieki.

Gansej już się rozgrzał i gotów był mówić dalej, ponownie oczarowany zagadkowością tej historii.

– Znasz legendy o śpiących królach? – zapytał dziewczynę Declana. – Wiesz, że według nich tacy bohaterowie jak Llewellyn, Glendower i Artur nie umarli, tylko zasnęli i czekają w swoich grobowcach, aż ktoś ich obudzi?

Ashley zamrugła i wlepiła w Ganseya spojrzenie bez wyrazu.

– To chyba metafora – powiedziała.

Może nie była taka tępa, za jaką ją uważali.

– Możliwe – zgodził się Gansey. Zamaszystym gestem wskazał rozwieszone na ścianach mapy z wykreślonymi liniami mocy. Wierzył, że wyznaczają one zarazem szlak podróży Glendowera. Zgarnął z biurka dziennik i przewrócił kilka kartek z mapami i notatkami. – Moim zdaniem ciało Glendowera zostało przywiezione do Nowego Świata. A konkretnie tu, do Wirginii. I chcę się dowiedzieć, gdzie został pochowany.

Adam odetchnął z ulgą, że Gansey nie zwierzył się Ashley ze swojej wiary w to, że Glendower żyje, pogrążony w wiecznym śnie, gotów odwdzińczyć się temu, kto go obudzi. Nie powiedział jej o dręczącej go potrzebie odnalezienia zaginionego króla, o nocnych telefonach, którymi zamęczał Adama, kiedy obsesja nie pozwalała mu spać. Nie wspomniał o mikrofiskach, muzeach, artykułach prasowych, wędrówkach z wykrywaczem metalu, punktach za mile przemierzone samolotem i o sfatygowanych rozmówkach, za pomocą których porozumiewał się podczas zagranicznych wypraw.

Przemilczał również swoją wiarę w magię i linie mocy.

– To obłąd – powiedziała Ashley. Utkwiła wzrok w dzienniku. – Dlaczego uważasz, że on tu jest?

Istniały dwie możliwe odpowiedzi na to pytanie. Jedna, oparta wyłącznie na historycznych faktach, nadająca się do publicznej wiadomości, i druga, uwzględniająca różdżki i magię. Był czas, ciężki czas, kiedy Adam wierzył wyłącznie w tę pierwszą, a i tak przychodziło mu to z trudem. Ale przyjaźń z Ganseyem oznaczała, że coraz częściej chciał wierzyć w prawdziwość tej drugiej. Ku jego niezadowoleniu, w tej

kwestii Ronan miał nad nim przewagę. Jego wiara w wytłumaczenie nadprzyrodzone była niezachwiana. Wiara Adama była ułomna.

Ashley, może dlatego, że wpadła tu tylko na chwilę lub też została uznana za sceptyczkę, usłyszała wersję historyczną. Gansey swoim najbardziej profesorskim tonem opowiedział jej o walijskich nazwach okolicznych miejsc, znalezionych w ziemi piętnastowiecznych przedmiotach i wydarzeniach historycznych świadczących o przybyciu Walijczyków do Ameryki Północnej przed Kolumbem.

W połowie tego wykładu z pedantycznie wysprzątanego pomieszczenia sąsiadującego z sypialnią Ronana wyłonił się trzeci mieszkaniec Monmouth Manufacturing – samotnik Noah. Część jego pokoju zajmował jakiś tajemniczy sprzęt, który, jak domyślał się Adam, był czymś w rodzaju prasy drukarskiej.

Noah gapił się na Ashley, ale nie zaszczycił jej uśmiechem. Nie najlepiej radził sobie w kontaktach z nowo poznanymi osobami.

– To jest Noah – oznajmił Declan.

Powiedział to tonem, który potwierdził domysły Adama: Monmouth Manufacturing i jego mieszkańcy byli atrakcją turystyczną dla Declana i Ashley, przystankiem w drodze do restauracji, który miał dostarczyć im tematów do rozmowy podczas randki.

Noah wyciągnął rękę.

– Ojej! Jakie masz *zimne* dłonie – zdziwiła się Ashley.

Dziewczyna przycisnęła palce do swojej koszulki, żeby je rozgrzać.

– Nie żyję od siedmiu lat – powiedział Noah. – Zawsze są takie.

Noah, w przeciwieństwie do swojego nieskazitelnie czystego pokoju, wydawał się trochę niechlujny. Jego ubranie zawsze było w lekkim nieładzie, podobnie jak pobieżnie zaczesane do tyłu jasne włosy. Patrząc na znoszony szkolny mundurek Noaha, Adam nie miał wrażenia, że tylko on się wyróżnia. Trudno było czuć się w Aglionby jak u siebie, kiedy stało się obok Ganseya ubranego – niczym George Washington – w białą koszulę ze sztywnym, wyprasowanym kołnierzykiem. Adam był przekonany, że kosztowała więcej niż jego własny rower (jeśli ktoś twierdzi, że nie widać różnicy między koszulą z miejscowego centrum handlowego a koszulą zaprojektowaną przez zdolnego Włocha, to znaczy, że nigdy nie widział tej drugiej). Towarzystwo Ronana, który wydawał dziewięćset dolarów na tatuaż tylko po to, żeby wkurzyć brata, też nie dodawało Adamowi pewności siebie.

Uprzejmy chichot Ashley ucichł, kiedy otworzyły się drzwi sypialni Ronana. Twarz Declana przesłoniła chmura, na widok której trudno było uwierzyć, że jeszcze kiedyś zaświeci słońce.

Ronan i Declan Lynch bez wątpienia byli braćmi. Mieli takie same ciemne włosy i ostre nosy, ale Declan był dobrze zbudowany tam, gdzie Ronan wydawał się delikatny. Szeroka szczeka i uśmiech Declana mówiły: „Głosujcie na mnie”, podczas gdy wąskie usta lekko zawianego Ronana ostrzegały przed śmiertcionośnym jadem.

– O, Ronan – rzucił Declan. Kiedy umawiał się z Adamem przez telefon, zapytał: „Kiedy Ronana nie będzie?”. – Myślałem, że grasz w tenisa.

– Grałem – odparł Ronan.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której Declan zastanawiał się, co powiedzieć w obecności Ashley, a Ronan cieszył się, że to niezręczne milczenie zbiło z tropu

jego młodszego brata. Dwaj starsi bracia Lynch – do Aglionby chodziło ich trzech – walczyli ze sobą, odkąd Adam ich znał. W przeciwieństwie do reszty świata, Gansey wołał Ronana od Declana i to przypieczętowało układ sił. Adam podejrzewał, że sympatia Ganseya wynika z tego, że Ronan jest szczery, nawet jeżeli był przez to nie do zniesienia, bo dla Ganseya uczciwość była złotem.

Declan milczał o sekundę za długo. Ronan założył ręce na piersiach.

– Wyrwałaś niezłego gościa, Ashley – powiedział. – Spędzisz z nim upojną noc, a jutro to samo będzie mogła zrobić jakaś inna dziewczyna.

Wysoko nad ich głowami o szybę uderzała mucha. Za plecami Ronana przeciąg z wolna zamykał drzwi do jego pokoju, oklejone kserokopiami mandatów za prędkość.

Tym razem usta Ashley przybrały kształt podkówki. Gansey o sekundę za późno uderzył Ronana łokciem.

– On przeprasza – powiedział.

Usta Ashley powoli się zamknęły. Mrugała, wpatrując się w mapę Walii, a potem spojrzała na Ronana. Wybrał właściwą broń: samą prawdę, niezłagodzoną uprzejmościami.

– Mój brat jest... – zaczął Declan. Ale nie skończył. Na temat Ronana nie miał do powiedzenia nic, czego on sam już nie zademonstrował. – Idziemy. Ronan, myślę, że powinieneś zastanowić się nad swoim...

Ale znowu nie znalazł właściwych słów. Te najbardziej chwytliwe wykorzystał już jego brat.

Declan złapał Ashley za rękę i pociągnął ją w stronę drzwi wejściowych.

– Declan... – zaczął Gansey.

– Daj sobie spokój – ostrzegł go Declan.

Kiedy, ciągnąc za sobą Ashley, wychodził na ciasną klatkę schodową, Adam dosłyszał jego pierwsze próby likwidacji szkód: „On ma problemy, mówiłem ci; myślałem, że go nie będzie; to on znalazł tatę, nie poradził sobie z tym; chodźmy lepiej na owoce morza, nie zjedlibyśmy homara? Zjedlibyśmy”.

Drzwi do mieszkania się zamknęły.

– Dałbyś sobie spokój, Ronan – powiedział Gansey.

Ronan wciąż miał minę prowokatora. W jego kodeksie honorowym nie było miejsca na niewierność ani na przelotne związki. Nie chodziło o to, że ich nie akceptował – nie potrafił ich zrozumieć.

– Nawet jeśli jest męską dziwką, to nie twój problem – powiedział Gansey.

Zdaniem Adama na tej samej zasadzie Ronan nie był problemem Ganseya, ale o to kłócili się już wcześniej.

Jedna z brwi Ronana się uniosła. Wyglądała jak brzytwa.

Gansey zamknął i zapiął swój dziennik.

– Nie kumam tego. *Ona* to jedno, ty i Declan to drugie. – Powiedział „ty i Declan”, jakby mówił o przedmiocie, o czymś, co można podnieść i obejrzeć od spodu. – Potraktowałeś ją źle. Narobiłeś wstydu nam wszystkim.

Ronan spotulniał, ale Adam nie dał się zmylić. Wiedział, że kumpel nie żałuje swojego zachowania; jest mu tylko przykro, że Gansey był tego świadkiem. To, co działo się między braćmi Lynch, było tak mroczne, że całkowicie przesłaniało im

uczucia innych.

Ale Gansey z pewnością wiedział o tym równie dobrze jak Adam. Potarł kciukiem dolną wargę. Był to zwyczaj, z którego chyba nie zdawał sobie sprawy, a Adam nigdy nie zwrócił mu na niego uwagi.

– Jezu, czuję się teraz paskudnie – powiedział, napotkawszy spojrzenie Adama. – Chodźcie. Idziemy do Nina. Zjemy pizzę, zadzwonię do wróżki i cały ten cholerny świat jakoś się uporządkuje.

To dlatego Adam potrafił wybaczyć Ganseyowi płytkie, pretensjonalne zachowanie, które zobaczył na początku ich znajomości. Pieniądze, nazwisko, czarujący uśmiech, swoboda, przyjazne nastawienie do ludzi, którzy (wbrew jego obawom) darzyli go sympatią – wszystko to sprawiało, że Gansey mógł zaprzyjaźnić się, z kim tylko chciał. A on wybrał akurat ich trójkę, trzech chłopaków, którzy w ogóle nie powinni mieć przyjaciół, choć każdy z innego powodu.

– Ja nie idę – powiedział Noah.

– Wolisz dla odmiany pobyć trochę sam? – zapytał ironicznie Ronan.

– Ronan – zainteresował się Gansey. – Przetaw broń na oszałamianie przeciwnika i chodź. Noah, nikt cię nie będzie zmuszał do jedzenia. Adam?

Kolega skierował na niego nieobecny wzrok. Jego myśli krążyły wokół Ashley i jej zainteresowania dziennikiem Ganseya. Zastanawiał się, czy to tylko zwykła ciekawość osoby, która po raz pierwszy zetknęła się z Ganseyem i obiektami jego obsesji, czy kryje się za tym coś więcej. Gansey z pewnością uznałby, że Adam jest przesadnie podejrzliwy, jakby się bał, że ktoś zawłaszczy sobie wyniki badań, którymi Gansey i tak chętnie dzielił się z większością napotkanych ludzi.

Sęk w tym, że Gansey i Adam szukali Glendowera z różnych powodów. Gansey pragnął go odnaleźć, tak jak niegdyś Artur świętego Graala, wiedziony desperacją, choć niesprecyzowaną potrzebą okazania się użytecznym dla świata, nadania swemu życiu większego znaczenia, niż mogły mu zapewnić przyjęcia z szampanem i sztywne białe kołnierzyki. Kierowało nim pragnienie rozstrzygnięcia konfliktu, który toczył się w jego duszy.

Natomiast Adam potrzebował królewskiej przysługi.

A to oznaczało, że muszą odnaleźć i obudzić Glendowera, zanim zrobi to ktoś inny.

– Parrish – powtórzył Gansey. – No chodź.

Adam skrzywił się. Czuł, że pizza to za mało, żeby zmienić charakter Ronana.

Ale Gansey już sięgał po kluczyki od Świni i opuszczał teren miniaturowej Henrietty. Choć Ronan warczał, Noah wzdychał, a Adam się wahał, Gansey nie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy idą. Wiedział, że pójdą. Już wiele dni, tygodni czy miesięcy temu zjednął sobie ich wszystkich, choć każdego w inny sposób, i wiedział, że kiedy przyjdzie co do czego, pójdą za nim wszędzie.

– *Excelsior* – powiedział Gansey, zamykając drzwi.

Barrington Whelk nie czuł się szczególnie rześki. Wlókł się korytarzem Whitman House, budynku administracyjnego Aglionby. Była piąta po południu, lekcje dawno się skończyły, a on wyszedł z domu tylko po to, żeby odebrać zadania domowe, które musiał ocenić na następny dzień. Z lewej strony, przez wysokie okna z małymi szybkami, wlewało się popołudniowe światło. Z prawej dobiegał szmer głosów z sekretariatu. O tej porze dnia stare budynki przypominały muzeum.

– Barrington, myślałem, że dzisiaj cię nie ma. Wyglądasz okropnie. Żle się czujesz?

Whelk nie odpowiedział od razu. Praktycznie rzecz biorąc, rzeczywiście był nieobecny. Pytanie zadał mu Jonah Milo, wymuskany nauczyciel angielskiego jedenastej i dwunastej klasy. Pomimo upodobania do szkockiej kraty i sztruksowych rurek Milo był nawet w porządku, ale Whelk nie miał ochoty tłumaczyć mu się z nieobecności na porannych lekcjach. Tradycyjnie spędzał wigilię świętego Marka, zalewając się w trupa przez większą część nocy, a przed świtem zasypiał na podłodze swojej ciasnej kuchni. W tym roku przezornie poprosił o wolne następnego dnia. Nauczanie łaciny chłopców z Aglionby było już dostateczną karą. Prowadzenie lekcji na kacu – to byłby koszmar.

Wreszcie Whelk podniósł nieuporządkowany plik zapisanych odręcznie kartek z pracami domowymi. Na widok nazwiska widniejącego na pierwszej z nich Milo otworzył szeroko oczy.

– Ronan Lynch! Czy to jego praca?

Obróciwszy plik, żeby przeczytać nazwisko u góry, Whelk potwierdził. W tej samej chwili kilku chłopców idących na trening wioślarski popchnęło go tak, że wpadł na Mila. Uczniowie prawdopodobnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że zachowują się niegrzecznie. Whelk był niewiele starszy od nich, a niezwykle ostre rysy twarzy jeszcze go odmłdzały. Nadal można go było wziąć za ucznia Aglionby.

Milo wyplątał się z objęć Whelka.

– Jak ci się udaje zwabić go na lekcje?

Wystarczyła wzmianka o Ronanie Lynchu, żeby Whelk poczuł się tak, jakby ktoś rozdrapał mu starą ranę. Nie chodziło o samego Ronana, lecz o Ronana będącego częścią nierozłącznego tria składającego się z Lyncha, Richarda Ganseya i Adama Parrisha. Wszyscy uczniowie Whelka byli zamożni, pewni siebie i aroganccy, ale ta trójka najbardziej przypominała mu o tym, co stracił.

Whelk zastanawiał się przez chwilę, czy Ronan kiedykolwiek opuścił jego lekcję. W pamięci nauczyciela wszystkie dni roku szkolnego zlewały się w jeden długi, niekończący się dzień, który zaczynał się od parkowania głównianego samochodu obok lśniących wozów uczniów, przeciskania się przez tłum roześmianych, bezmyślnych wyrostków i wchodzenia do klasy pełnej chłopaków, których spojrzenia w najlepszym razie były bez wyrazu, a w najgorszym szydercze. Gdy dzień się kończył, samotny i udręczony Whelk w żaden sposób nie potrafił przestać myśleć o tym, że sam kiedyś był jednym z tych chłopców.

„Kiedy właściwie to się stało moim życiem?”

Whelk wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, żeby opuszczał lekcje.

– Ganseya też uczysz, prawda? – zapytał Milo. – To by wszystko wyjaśniało.

Oni są nierozłączni jak bliźnięta syjamskie.

Whelk ostatnim razem słyszał to wyrażenie, gdy sam chodził do Aglionby. On i Czerny, jego kolega z pokoju, też byli wtedy nierozłączni jak bliźnięta syjamskie. Poczuł w sobie pustkę, która przypominała głód. Żałował, że nie został w domu, żeby wypić więcej dla uczczenia tego nędznego dnia.

Powoli wrócił do teraźniejszości i zerknął na listę obecności zostawioną przez nauczyciela, który go tego dnia zastępował.

– Ronan był dzisiaj w szkole, ale Gansey się nie pojawił. Przynajmniej na mojej lekcji.

– A, to pewnie przez dzień świętego Marka. Wspominał o tym – powiedział Milo.

To przykuło uwagę Whelka. Nikt nie wiedział, że dzisiaj jest dzień świętego Marka. Nikt go nie świętował, nawet matka świętego Marka. Tylko Whelk i Czerny, poszukiwacze skarbów i awanturnicy, przejmowali się jego istnieniem.

– Słucham? – zapytał Whelk.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi – odparł anglista.

Z pokoju nauczycielskiego wyszedł jakiś profesor i pozdrowił go, a Milo obejrzał się przez ramię, żeby mu odpowiedzieć. Whelk miał ochotę złapać kolegę za ramię i potrząsnąć nim, żeby się skupił. Ogromnym wysiłkiem woli zdołał się powstrzymać i spokojnie czekał. Milo chyba wyczuł ciekawość Whelka, bo odwróciwszy się z powrotem ku niemu, zapytał:

– Nie opowiadał ci o tym? Wczoraj gęba mu się nie zamykała. Chodzi o tę całą linię mocy, o której ciągle mówi.

Linia mocy!

Skoro nikt nie słyszał o dniu świętego Marka, tym bardziej *niemożliwe*, żeby ktokolwiek wiedział coś o liniach mocy. Z całą pewnością nie tu, w Henriecie, w Wirginii. I nie jeden z najbogatszych uczniów Aglionby. Zdecydowanie nie w połączeniu z dniem świętego Marka. Te poszukiwania należały do Whelka, to był jego skarb, jego młodość. Dlaczego Richard Gansey III o tym mówił?

Słowa „linia mocy” wypowiedziane na głos przywołały wspomnienia: siedemnastoletni Whelk w gęstym lesie, z górną wargą zroszoną potem. Drży. Z każdym uderzeniem serca w kącikach oczu błyskają mu czerwone linie, w rytm jego pulsu ciemnieją drzewa. Ma wrażenie, że wszystkie liście się poruszają, choć nie wieje wiatr. Czerny leży na ziemi. Żyje, ale nie ma szans. Jeszcze wierzga nogami po nierównej ziemi obok swojego czerwonego samochodu, złościąc ciałem czarne smugi wśród opadłych liści. Twarz ma po prostu... Już po nim. W głowie Whelka syczą i szepczą jakieś nieziemskie głosy, słowa rozciągają się i zlewają ze sobą.

– To ma być jakieś źródło energii czy coś takiego – powiedział Milo.

Whelk przestraszył się nagle, że kolega wyczyta z jego twarzy wspomnienia i usłyszy głosy w jego głowie, niewyraźne, ale wcale nie mniej obecne, głosy, które nie milkną od tamtego nieszczęsnego dnia.

Zachował kamienną twarz, ale jego umysł zdominowała jedna myśl: „Jeśli ktoś jeszcze tutaj szuka, to znaczy, że musiałem mieć rację. To musi być tu”.

– A mówił, co ma zamiar zrobić z tą linią mocy? – zapytał, z trudem zachowując spokój.

– Nie wiem. Sam go o to zapytaj. Jestem pewien, że będzie szczęśliwy, mogąc zanudzić cię na śmierć.

Milo obejrzał się przez ramię.

Dołączyła do nich sekretarka z torebką na ramieniu i żakietem w ręce. Konturowka na jej powiekach rozmazała się po długim dniu w biurze.

– Rozmawiacie o Ganseyu trzecim i jego obsesji New Age? – zapytała.

Jej upięte włosy podtrzymywał ołówek. Whelk wpatrywał się w zabłąkane pasemka owinięte wokół rysika. Po sposobie, w jaki stała, poznał, że Milo jej się podobna, pomimo szkockiej kraty, sztruksu i brody.

– Czy wiecie, ile jest wart majątek Ganseya seniora? – ciągnęła sekretarka. – Zastanawiam się, czy facet zdaje sobie sprawę z tego, jak jego dzieciak spędza większość wolnego czasu. Boże, czasem mnie krew zalewa, jak patrzę na tych utytułowanych małych gnojków. Jonah, idziesz ze mną na papierosa?

– Rzuciłem – powiedział Milo.

Zerknął skrzępowany na Whelka, który zdał sobie sprawę, że Jonah zastanawia się właśnie, ile był kiedyś wart majątek jego ojca i co zostało z niego teraz, długo po tym, jak informacje o procesie zniknęły z pierwszych stron gazet. Wszyscy młodzi nauczyciele i pracownicy administracji nienawidzili chłopców z Aglionby za to, co posiadają i co reprezentują. Whelk dobrze wiedział, że jego koledzy w głębi ducha cieszą się z porażki Barringtona.

– A ty, Barry? – zapytała sekretarka, ale po chwili sama odpowiedziała sobie na pytanie: – Nie, ty nie palisz, jesteś na to za ładny. No dobrze, pójdę sama.

Milo również zbierał się do odejścia.

– Zdrówka życzę – powiedział uprzejmie, choć Whelk nie wspomniał, że jest chory.

W głowie huczały mu głosy, ale tym razem po raz pierwszy zagłuszyły je jego myśli.

– Chyba już czuję się lepiej – powiedział Whelk.

Kto wie, może śmierć Czerny’ego jednak nie poszła na marne.

Blue właściwie nie nazwałaby siebie kelnerką. W końcu uczyła też trzecioklasistów kaligrafii, robiła wieńce dla Towarzystwa Miłośniczek Zdrowego Trybu Życia, wyprowadzała psy mieszkańców najbardziej luksusowej dzielnicy Henrietty i dbała o ogródki starszych pań w sąsiedztwie. Posada kelnerki u Nina była najmniej ważnym z jej zajęć, choć Blue ceniła sobie elastyczne godziny pracy i oficjalny charakter zatrudnienia, który dobrze wyglądał w jej poza tym dziwacznym życiorysie. No i ta praca była zdecydowanie najlepiej płatna.

Z restauracją „U Nina” wiązał się tylko jeden problem: była praktycznie częścią Aglionby. Znajdowała się na obrzeżach historycznego centrum miasta, sześć przecznic od metalowych bram szkoły. Trudno było ją uznać za najładniejszą knajpę w Henriettce. Inne przyciągały klientów większymi telewizorami i głośniejszą muzyką, ale żadna z nich nie odgrywała w życiu uczniów takiej roli, jak „U Nina”. Już sama świadomość, że należy tam bywać, stanowiła część rytuału „chrztu”, bo jeśli ktoś dawał się skusić barowi „Morton’s Sports” na Trzeciej Ulicy, nie zasługiwał na to, żeby należeć do śmietanki.

Toteż chłopcy pojawiający się u Nina nie byli zwykłymi uczniami Aglionby, ale najbardziej reprezentatywnymi spośród jej wychowanków. Głośnymi, aroganckimi, utytułowanymi.

Blue widziała już tylu chłopców w swetrach z krukiem, że miała ich dość na całe życie.

Tego wieczoru muzyka była tak głośna, że lepsze cechy charakteru Blue natychmiast gdzieś się ulotniły. Dziewczyna zawiązała fartuch, ściszyła Beastie Boys, ile tylko się dało, i przywołała na twarz uśmiech, dzięki któremu dostawała napiwki.

Tuż przed rozpoczęciem jej zmiany głównymi drzwiami wkroczyli do restauracji czterej chłopcy, wpuszczając podmuch świeżego powietrza do wnętrza przesyconego zapachem piwa i oregano. Wybrali stolik przy oknie, pod neonem „Od 1976 roku”, oświetlającym ich twarze na trupio zielony kolor. Chłopak, który wszedł pierwszy, nie przerwał rozmowy telefonicznej nawet wtedy, kiedy pokazywał Cialinie cztery palce oznaczające liczbę osób. Chłopcy w swetrach z krukiem byli wielozadaniowi, pod warunkiem że wszystkie czynności, które wykonywali, przynosiły im korzyści.

Na zaplecze wpadła Cialina z kieszeniami pełnymi zamówień. Włosy stanęły jej dęba za sprawą energii elektrostatycznej i skrajnego stresu. Blue podała jej cztery zatłuszczone menu i spytała niechętnie:

– Chcesz, żebym wzięła tamten stolik?

– Chyba żartujesz? – odparła Cialina, przyglądając się czwórce chłopaków.

Pierwszy z nich skończył rozmowę i wśliznął się do jednego z pomarańczowych winylowych boksów. Najwyższy uderzył głową o wiszącą nad stołem lampę z zielonego rżniętego szkła. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Kurwa – mruknął dryblas.

Kiedy siadał, zza kołnierzyka wyłonił mu się fragment tatuażu.

Wszyscy czterej mieli w sobie coś drapieżnego. Oglądanie ich nie było szczytem marzeń Blue. Pragnęła jedynie pracy, która nie wysysałaby człowiekowi z głowy wszystkich myśli, tylko po to, żeby wypełnić ją złośliwym wołaniem syntezatora. Czasem wykradała się na zewnątrz na króciutką chwilę i z głową opartą o ceglany mur uliczki za restauracją marzyła o pracy polegającej na studiowaniu słoików drzew. Albo wyobrażała sobie pływanie w oceanie z mantami. Albo przeczesywanie dżungli Kostaryki w poszukiwaniu łuskoczubka rdzawopiórego.

Nie, żeby ten gatunek ptaka jakoś szczególnie ją interesował. Po prostu uważała, że ma fajną nazwę – dla dziewczyny mającej niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu badanie zwyczajów *łuskoczubka rdzawopiórego* brzmiało jak zawrotna kariera.

Życie wszystkich wcieleń Blue toczyło się gdzieś bardzo daleko od restauracji „U Nina”.

Zaledwie kilka minut po rozpoczęciu zmiany kierownik zawołał Blue do kuchni. Dzisiaj dyżur miał Donny. U Nina pracowało mniej więcej piętnastu kierowników. Wszyscy byli spokrewnieni z właścicielem; żaden nie skończył szkoły średniej.

Donny, który akurat zajmował się nieróbstwem, podał Blue telefon.

– Rodzice. To znaczy... matka.

Doprecyzowanie było zbędne, bo Blue nawet nie знаła swojego ojca. Kiedyś zadreśla Maurę pytaniami o niego, ale matka zawsze zgrabnie wykręcała się od odpowiedzi.

Blue wyrwała telefon z ręki Donny'ego i ukryła się w odległym kącie kuchni, obok wiecznie zatłuszczonej lodówki i dużego zlewu. Choć starała się nie zawadzać, i tak co chwilę ktoś ją potrącał.

– Mamo, pracuję – rzuciła do słuchawki.

– Tylko bez paniki. Siedzisz? Chociaż może nie musisz. Zresztą nie wiem.

Albo oprzyj się o coś. On dzwonił. Umówił się na wróżenie.

– Kto dzwonił? Mów głośniej. Tu jest straszny hałas.

– *Gansey*.

Przez chwilę Blue nic z tego nie mogła zrozumieć. A potem otworzyła szeroko oczy i zastygła w bezruchu.

– Na kiedy... go umówiłaś? – spytała słabym głosem.

– Na jutro po południu. To był najbliższy wolny termin. *Próbowałam* wcisnąć go wcześniej, ale powiedział, że idzie do szkoły. Pracujesz jutro?

– Zamienię się – odparła natychmiast Blue.

Ale miała wrażenie, że powiedział to ktoś inny. Prawdziwa Blue była znowu na cmentarzu i słyszała głos, który wypowiada imię „Gansey”.

– Tak, koniecznie. A teraz wracaj do pracy.

Kiedy Maura się rozłączyła, Blue poczuła, jak nierówno bije jej serce. To się działo naprawdę. On istniał.

To wszystko naprawdę miało miejsce i było przerażająco konkretne.

Przebywanie teraz w pracy wydawało się dziewczynie idiotyczne: ścieranie stolików, nalewanie napojów i uśmiechanie się do obcych. Blue wolałaby być w domu, oprzeć się o chłodną korę buku rosnącego w ogrodzie i zastanowić, co takiego zmieniło się w jej życiu. Neeve powiedziała, że w tym roku Blue się zakocha.

Maura twierdziła, że jej córka zabije ukochanego, kiedy go pocałuje. Gansey miał w tym roku umrzeć. Czy to mógł być zbieg okoliczności? Ten chłopak musi być miłością jej życia. To na pewno on. Bo jak inaczej Blue mogłaby kogoś zabić?

„Czy takie właśnie jest życie? – pomyślała. – Może lepiej byłoby o tym nie wiedzieć”.

Coś dotknęło jej ramienia.

Dotykanie było sprzeczne z zasadą numer jeden. Tu, u Nina, nikt nie miał prawa dotykać Blue, a w szczególności teraz, kiedy ma kryzys.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie.

– Czy. Mogę. W czymś. Pomóc? – wycodziła.

Przed nią stał wielozadaniowy chłopak z Aglionby, ten z komórką. Wyglądał schludnie i bardzo prezydencko. Zegarek na jego ręce musiał kosztować więcej niż samochód Maury, a każdy fragment odsłoniętej skóry miał ładny odcień opalenizny. Blue nigdy nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że chłopcy z Aglionby opalają się wcześniej niż miejscowi. Pewnie miało to coś wspólnego z takimi miejscami, jak Kostaszyka i wybrzeże Hiszpanii. Niewykluczone, że Prezydent Komórka bywał bliżej łuskoczubka rdzawopiórego, niż ona miała się znaleźć kiedykolwiek w życiu.

– Mam ogromną nadzieję – odparł, choć w jego głosie słychać było raczej pewność. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć muzykę, i pochylał głowę, aby patrzeć jej w oczy. Miał w sobie coś irytująco imponującego; odnosiło się wrażenie, że jest bardzo wysoki, choć był raczej przeciętnego wzrostu. – Mój przyjaciel Adam mówi, że mu się podobaś, ale ma tyle towarzyskich zahamowań, że boi się zrobić pierwszy krok. Tamten. Nie ten niepozorny. I nie ten ponury.

Blue całkowicie wbrew swojej woli zerknęła w stronę wskazanego boksu. Siedziało w nim trzech chłopaków. Jeden był niewyraźny, dokładnie tak jak powiedział Prezydent. Wydawał się jakiś zmięty, wypłowiały, jakby jego ciało wyblakło od częstego prania. Ten, który uderzył się o lampę, był przystojny, miał ogoloną głowę. Wyglądał jak żołnierz na wojnie, w której wszyscy są jego wrogami. A trzeci był... wytworny. To nie było najwłaściwsze określenie, ale zbliżone do właściwego. Był raczej szczupłej budowy i wyglądał trochę krucho. Miał ładne, błękitne oczy, które mogłyby należeć do dziewczyny.

Wbrew podszeptom instynktu, który kazał jej zachować ostrożność, Blue poczuła ciekawość.

– No i? – zapytała.

– Czy byłabyś tak miła i porozmawiała z nim?

Blue poświęciła milisekundę swojego czasu, żeby wyobrazić sobie, jak mogłoby to wyglądać, gdyby rzuciła się do boksu pełnego chłopaków z Aglionby i brnęła przez jakąś niezręczną rozmowę z seksistowskim podtekstem. Pomimo wdzięku chłopaka przy stoliku nie była to przyjemna milisekunda.

– A o czym według ciebie miałabym z nim porozmawiać? – zapytała ironicznie.

Prezydent miał beztroską minę.

– Coś wymyślimy. Jesteśmy interesującymi ludźmi.

Blue miała co do tego wątpliwości. Ale wytworny chłopak był naprawdę elegancki. I wydawał się szczerze przerażony tym, że jego przyjaciel rozmawia z nią, co

było odrobinę ujmujące. Blue przez jedną krótką, króciutką chwilę, z której powodu odczuwała później wstyd i zażenowanie, rozważała możliwość powiedzenia Prezydentowi, o której kończy zmianę. Ale wtedy Donny zawołał ją z kuchni, a ona natychmiast przypomniła sobie zasady numer dwa i trzy.

– Widzisz ten fartuch? – zapytała. – To znaczy, że pracuję. Zarabiam na swoje utrzymanie.

Jego oblicze pozostało beztroskie.

– Zajmę się tym – powiedział.

– Zajmiesz się tym? – powtórzyła.

– Tak. Ile ci płacą za godzinę? Porozmawiam z kierownikiem.

Blue na chwilę dosłownie zaniemówiła. Nigdy nie wierzyła ludziom, którzy twierdzili, że odebrało im mowę, a tu proszę. Otworzyła usta i pierwsze, co się z nich wydobyło, to powietrze. Potem coś w rodzaju niedokończonego parsknięcia. Aż w końcu zdołała wyrzucić z siebie:

– Nie jestem *prostytutką*.

Chłopak z Aglionby przez dłuższą chwilę wydawał się lekko zdezorientowany. Wreszcie zrozumiał, co ona ma na myśli.

– Och, nie o to mi chodziło. Nie powiedziałem tego.

– Oczywiście, że to właśnie powiedziałeś! Wydaje ci się, że możesz mi zapłacić za rozmowę z twoim przyjacielem? Widocznie kobiety dotrzymują ci towarzystwa wyłącznie za pieniądze i nie wiesz, jak to wygląda w prawdziwym życiu, ale... ale... – Blue wiedziała, że zmierza do jakiejś puenty, tylko że chwilowo nie mogła sobie przypomnieć, co chce powiedzieć. Oburzenie pozbawiło ją wszelkich wyższych uczuć, pozostawiając jedynie pragnienie, żeby dać mu w twarz. Chłopak otworzył usta, żeby zaprotestować, a Blue w pośpiechu zebrała myśli. – Większość dziewczyn, kiedy interesuje je jakiś chłopak, spędza z nim czas za darmo.

Trzeba przyznać, że Prezydent nie odpowiedział od razu. Przez chwilę się zastanawiał.

– Powiedziałeś, że zarabiasz na utrzymanie – wyjaśnił bez emocji. – Uznałem, że postąpiłbym niegrzecznie, gdybym to zlekceważył. Przepraszam cię, jeśli poczułaś się urażona. Rozumiem twój punkt widzenia, ale w moim mniemaniu byłoby w porządku, gdybyś przynajmniej postarała się zrozumieć mój.

– A w *moim* mniemaniu zachowujesz się protekcyjnie.

Kątem oka widziała, jak Żołnierz robi z dłoni samolot, który chwiejnie obniża lot i zderza się z powierzchnią stołu. Niepozorny usiłował powstrzymać śmiech. Wytworny zasłaniał twarz dłonią w geście przerażenia. Między jego rozczapierzonymi palcami mignęła zniesmaczona mina.

– Dobry Boże – zauważył Prezydent. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Może „przepraszam” – podsunęła.

– Już to powiedziałem.

Blue zastanowiła się chwilę.

– W takim razie „cześć”.

Wykonał jakiś nieokreślony gest w okolicy klatki piersiowej, a Blue przyszło do głowy, że zamierza się uklonić lub wyskoczyć z jakąś inną szarmancką drwiną. Calla pokazałaby mu środkowy palec. Blue tylko wepchnęła ręce w kieszenie fartu-

cha.

Prezydent skierował się z powrotem do swojego stolika i zabrał z niego gruby, oprawiony w skórę dziennik, który zupełnie do niego nie pasował. Żołnierz parsknął szyderczym śmiechem. Blue usłyszała, jak ją przedrzeźnia: „... prostytutką”. Wytwor-ny chłopak obok Żołnierza pochylił głowę. Jego uszy były jaskraworóżowe.

„Nawet za sto dolarów – pomyślała Blue. – Nawet za dwieście”.

Ale musiała przyznać, że jego zaczerwienione uszy trochę ją rozbroiły. To było takie... nie w stylu Aglionby. Czyżby chłopaka w swetrze z krukiem dało się wpra-wić w zakłopotanie?

Przyglądała mu się o jedną chwilę za długo. Wytwor-ny podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Jego brwi były ściągnięte, lecz raczej w wyrazie skruchy niż drwiny. Blue zwątpiła w siebie.

Ale potem zaczerwieniła się, gdy w jej głowie rozległo się echo słów Prezy-denta: „Zajmę się tym”. Rzuciła mu zniesmaczone spojrzenie, iście w stylu Calli, i odwróciła się w stronę kuchni.

Neeve musiała się pomylić. To niemożliwe, żeby Blue mogła się zakochać w jednym z nich.

Sam nie wiem – powiedział Gansey po raz kolejny. – Co nam właściwie przyjdzie z tej wizyty u wróżki?

Pochłonęli pizzę (bez udziału Noaha). Po chwili Gansey poczuł się lepiej, a Ronan – gorzej. Pod koniec posiłku Lynch zerwał już wszystkie strupy z ran odniesionych podczas zabawy z wózkiem i zabrałby się chętnie za strupy Adama, gdyby ten mu na to pozwolił. Gansey wysłał Ronana na zewnątrz, żeby ochłonął, razem z Noahem, który miał się nim opiekować.

Teraz Gansey i Adam stali w kolejce. Jakaś kobieta przed nimi wyklócała się z kasjerką o sos grzybowy.

– Wróżki zajmują się energią – powiedział Adam, przekrzykując ryczącą muzykę.

Oglądał jednocześnie strup na ramieniu, który przed chwilą skubał. Skóra pod nim była trochę zaczerwieniona. Podniósł wzrok, prawdopodobnie w poszukiwaniu niegodziwej „kelnerki-nie-prostytutki”.

Gansey czuł się winny, że zaprzepaścił szanse Adama. Jednocześnie tłumaczył sobie, że być może uratował go przed śmiercią w szponach krwiożerczej istoty, gotowej wyrzeć mu rdzeń kręgowy i pożreć go na śniadanie.

Możliwe, pomyślał Gansey, że znowu okazał się ignorantem w kwestii pieniędzy. *Nie* chciał obrazić tej dziewczyny, ale doszedł do wniosku, że może rzeczywiście to zrobił. Teraz będzie go to gryzło przez cały wieczór. Przysiągł sobie – wcale nie po raz pierwszy – bardziej uważać na słowa.

– Przez linie mocy płynie energia. Moc i energia – odezwał się Adam.

– Masło maślane – skomentował Gansey. – Zakładając, że ta wróżka nie jest zwykłą oszustką.

– Tonący brzytwy się chwyta.

Gansey zerknął na wypisaną odręcznie karteczkę z zamówieniem na pizzę. Zawierało dodatkową pozycję w postaci imienia kelnerki, która je przyjęła: Cialina. Poniżej widniał jej numer telefonu, ale trudno powiedzieć, dla którego z nich był przeznaczony. Zadawanie się z niektórymi osobnikami przy ich stoliku było mniej niebezpieczne niż z innymi. Widocznie w mniemaniu tej dziewczyny Gansey nie zachowywał się protekcjonalnie.

Możliwe, że po prostu nie słyszała, co mówił.

Całą noc. To będzie go gryzło przez *całą noc*.

– Szkoda, że nie mamy rozeznania, jakiej szerokości są te linie. Po tylu latach dalej nie wiadomo, czy szukamy nitki czy autostrady. Mogliśmy już być metr od linii mocy i nawet o tym nie wiedzieć.

Jeżeli Adam nie przestanie tak się rozglądać, to skręci sobie kark. Nigdzie nie było śladu kelnerki.

Adam wyglądał na wyczerpanego. Zbyt wiele wieczorów z rzędu pracował i uczył się do późna. Gansey nie mógł patrzeć na jego zmęczenie, ale nie wiedział, co powiedzieć. Jego przyjaciel nie znosił litości.

– Wiemy, że można je wykryć, więc nie mogą być takie niepozorne – stwierdził Adam.

Potarł skroń wierzchem dłoni.

Ganseya przywiodły do Henrietty miesiące poszukiwań i pracy z różdżką. Po-tem razem z Adamem próbowali określić przebieg linii mocy z większą precyzją. Krążyli wokół miasta, wymieniając się wierzbową różdżką i miernikiem natężenia pola elektromagnetycznego. Urządzenie kilkakrotnie dziwnie zareagowało, a Ganseyowi wydało się, że równocześnie różdżka w jego rękach się wygięła, ale możliwe, że było to tylko jego pobożne życzenie.

„Mógłbym mu powiedzieć, że diabli wezmą jego oceny, jeśli nadal będzie tyle pracował” – pomyślał Gansey, przyglądając się cieniom pod oczami Adama. Gdyby udał, że myśli o sobie, może przyjaciel nie uznałby jego słów za przejaw troski. Zastanawiał się, jak musiałby to ująć, żeby zabrzmiało wystarczająco egocentrycznie, na przykład: „Nie będę miał z ciebie pożytku, jeżeli dostaniesz mononukleozy albo innego świństwa”. Ale wiedział, że Adam przejrzałby go w mgnieniu oka.

– Potrzebujemy mocnego punktu A, zanim zaczniemy myśleć o punkcie B – powiedział tylko.

Ale oni mieli punkt A, a nawet B. Problem polegał na tym, że miały one zbyt dużą średnicę. Gansey miał wydartą z książki mapę Wirginii, na której kolorem zaznaczył przypuszczalny przebieg linii mocy. Podobnie jak brytyjscy entuzjaści, amerykańscy poszukiwacze kanałów energetycznych ziemi oznaczali na mapach najważniejsze miejsca o znaczeniu duchowym i łączyli je ze sobą. Można by pomyśleć, że ktoś już odwalił całą robotę. Ale twórcy tych planów nie brali pod uwagę, że ktoś może chcieć z nich korzystać jak ze zwyczajnych map drogowych. Na to były zdecydowanie za mało dokładne. Na jednej z nich jako punkty odniesienia zaznaczono jedynie Nowy Jork, Waszyngton i Pilot Mountain w Północnej Karolinie. Każde z tych miejsc miało średnicę wielu kilometrów, a po ich połączeniu powstawał pas o ogromnej powierzchni, w którym linia mocy mogła przebiegać na wiele sposobów. Ale nawet wykreślona ołówkiem na mapie miałaby w rzeczywistości szerokość dziesięciu metrów, więc po wyeliminowaniu wszystkich innych możliwości wciąż pozostawały do przeszukania tysiące hektarów. Tysiące hektarów, na których mógł się znajdować Glendower, o ile w ogóle był gdzieś na linii mocy.

– Ciekawe – myślał głośno Adam – czy udałoby się podłączyć różdżki albo linię mocy do prądu. Podpiąć do nich akumulator czy coś.

„Gdybyś dostał pożyczkę, nie musiałbyś pracować aż do skończenia studiów. Nie, to natychmiast wywołałoby kłótnię”. Gansey pokręcił głową, bardziej do swoich myśli niż do Adama, i powiedział:

– To by się nadawało jako początek tortur albo teledysku.

Adam przestał się rozglądać za kelnerką-diablicą i zrobił minę typu „właśnie wpadłem na coś genialnego”. Jego zmęczenie gdzieś się ulotniło.

– Raczej wzmacniacz. O to mi chodziło! Potrzebne nam coś, dzięki czemu linia byłaby głośniejsza, żeby łatwiej było ją śledzić.

To brzmiało nie najgorzej. W zeszłym roku w Montanie Gansey rozmawiał z ofiarą porażenia piorunem. Chłopak siedział na swoim quadzie w drzwiach obory, kiedy trafił go piorun. Od tamtego czasu nie opuszczał go irracjonalny lęk przed za-

mkniętymi pomieszczeniami. I miał przedziwną zdolność poruszania się po jednej z zachodnich linii mocy wyłącznie przy użyciu wygiętej anteny radiowej. Przez dwa dni przemierzali razem równiny polodowcowe – mijali wielkie, okrągłe bele siana; odnajdowali ukryte zbiorniki wodne, małe jaskinie, pnie drzew, w które trafił piorun, i dziwnie pooznaczane kamienie. Gansey próbował przekonać chłopaka do wyjazdu na wschodnie wybrzeże, żeby tam powtórzyć to doświadczenie, ale jego patologiczny lęk przed przebywaniem w zamknięciu wykluczał podróż samolotem czy samochodem. A spacer byłby długi.

Jednak pobyt w Montanie nie był stratą czasu. Przyniósł kolejny dowód na poparcie niespójnej teorii, którą Adam przed chwilą w skrócie przedstawił: linie mocy i energia elektryczna mogły mieć ze sobą wiele wspólnego. Moc i energia. Masło maślane.

Przesuwając się w stronę lady, Gansey uświadomił sobie, że za jego plecami czai się Noah. Wydawał się spięty i podenerwowany. Jedno i drugie było dla niego typowe, więc Gansey w pierwszej chwili się tym nie przejął. Podał kasjerce plik rachunków. Przyjaciół nadal nad nim wisiał.

– Co jest, Noah? – zapytał Gansey.

Chłopak zrobił ruch, jakby chciał włożyć ręce do kieszeni, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Wydawało się, że jego dłonie trudno jest gdziekolwiek schować. Wreszcie po prostu zwiesił ręce wzdłuż ciała i spojrzał na Ganseya.

– Declan tu jest – powiedział.

Szybkie rozejrzenie się po restauracji nie ujawniło bezpośredniego zagrożenia.

– Gdzie? – zapytał Gansey.

– Na parking. On i Ronan...

Zanim Noah dokończył zdanie, Gansey wybiegł w wieczorny mrok. Ruszył wzdłuż ściany budynku i ślizgiem wypadł na parking za rogiem dokładnie w chwili, gdy Ronan wymierzał sierpowy.

Ta chwila trwała w nieskończoność.

Wyglądało to na początek bójki. W chorym, zielonkawym świetle syczącej latarni widać było niezłomną postawę i twarde jak granit oblicze Ronana. Trajektoria ciosu nie zdradzała wahania. Ronan zaakceptował konsekwencje uderzenia, jeszcze zanim się zamierzył.

Gansey odziedziczył po ojcu umiejętność logicznego myślenia, zamiłowanie do poszukiwań oraz fundusz powierniczy o wartości dorównującej pulom większości loterii stanowych.

Bracia Lynch zawdzięczali ojcu przerośnięte ego, dekadę lekcji gry na nikomu nieznanych irlandzkich instrumentach muzycznych i umiejętność zadawania ciosów z całej siły. Nialla Lyncha najczęściej nie było w pobliżu, ale kiedy się pojawiał, świetnie się sprawdzał w roli nauczyciela.

– *Ronan!* – krzyknął Gansey.

Za późno.

Declan upadł, ale zanim Gansey zdążył się zastanowić nad jakimś planem działania, chłopak był już z powrotem na nogach i okładał brata pięściami. Ronan wyrzucił z siebie potok przekleństw tak zróżnicowanych i pełnych agresji, że według Ganseya powinien był zabić Declana samymi słowami. Ręce siekły powietrze. Kola-

na trafiały w piersi. Łokcie wbijały się w twarz. Nagle Ronan złapał brata za marynarkę i rzucił go na wypolerowaną jak lustro maskę jego volvo.

– Nie na jebany samochód! – warknął Declan z krwawiącą wargą.

Historia rodziny Lynchów była następująca: mężczyzna o nazwisku Niall Lynch miał trzech synów, z których jeden kochał ojca bardziej niż pozostali. Niall był przystojny, charyzmatyczny, bogaty i tajemniczy. Pewnego dnia ktoś wywlekł go z jego grafitowego bmw i zakatował na śmierć łyżką do opon. To zdarzyło się w środę.

W czwartek jego syn Ronan znalazł ciało ojca na podjeździe.

W piątek ich matka przestała mówić i nigdy więcej się nie odezwała.

W sobotę bracia Lynch dowiedzieli się, że po śmierci ojca stali się bogaci i bezdomni. Testament zabraniał im dotykać czegokolwiek w rodzinnym domu – ich własnych ubrań, mebli. Milczącej matki. Dokument nakazywał, aby natychmiast przeprowadzili się do internatu Aglionby. Declan, najstarszy z synów, miał zarządzać funduszami, dopóki jego bracia nie osiągną pełnoletności.

W niedzielę Ronan ukradł samochód zmarłego ojca.

W poniedziałek bracia Lynch przestali być przyjaciółmi.

Ronana odrzuciło do tyłu. Declan uderzył brata z taką siłą, że nawet Gansey to poczuł. Ashley, której jasne włosy były lepiej widoczne niż reszta jej osoby, siedziała w samochodzie, mrugając do niego.

Gansey zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Ronan!

Przyjaciół nawet na niego nie spojrział. Z jego ust nie zniknął ponury uśmiech, który lepiej pasowałby do szkieletu niż do chłopaka. To była prawdziwa walka, nie na pokaz, w dodatku rozgrywała się w przyspieszonym tempie. Zanim Gansey zdążyłby wszczać alarm, ktoś straciłby przytomność, a on po prostu nie miał dzisiaj ochoty zabierać nikogo na pogotowie.

Rzucił się do przodu i złapał rękę Ronana w połowie ciosu. Jednak chłopak wciąż trzymał palce drugiej ręki zahaczone o usta brata, a pięść Declana już sunęła w powietrzu na brutalne spotkanie ze swoim celem. Cios dosięgnął Ganseya – poczuł na ramieniu coś mokrego. Miał wrażenie, że to ślina, ale równie dobrze mogła to być krew. Wykrzyknął jakieś słowo, którego nauczył się od swojej siostry Helen.

Ronan chwycił Declana za węzeł krawata w kolorze burgunda, a brat trzymał go zbielełymi palcami za tył głowy. Zupełnie jakby Ganseya w ogóle tam nie było. Gładkim, szybkim ruchem nadgarstka Ronan pchnął brata prosto na drzwi volvo od strony kierowcy. Rozległo się obrzydliwe, mokre plaśnięcie. Ręka Declana opadła.

Gansey skorzystał z okazji i odciągnął przyjaciela, który szurając nogami po asfalcie, próbował wyszarpnąć się z jego uchwytu. Był nieprawdopodobnie silny.

– Daj spokój – wydyszał Gansey. – Poharatasz sobie twarz.

Ronan wił się w objęciach Ganseya – same mięśnie i adrenalina. Declan w zniszczonym garniturze znowu ruszył w ich kierunku. Na skroni miał koszmarnego siniaka, ale wyglądało na to, że gotów jest walczyć dalej. Wszystko mogło ich poróżnić: kwestia nowej opiekunki dla matki, słaba ocena w szkole, niewyjaśniony wyciąg z karty kredytowej. A może po prostu Ashley.

W drzwiach restauracji pojawił się kierownik. Zaraz wezwą policję. Gdzie jest Adam?

– Declan – powiedział Gansey tonem ostrzeżenia – podejdź tu, a przysięgam... Declanowi drgnął podbródek. Splunął na asfalt. Warga mu krwawiła, ale zęby miał w komplecie.

– Dobra. To twój pies, Gansey. Trzymaj go na smyczy. Pilnuj, żeby go nie wykopali z Aglionby. Ja umyвам ręce.

– Marzenia – warknął Ronan.

Jego całe ciało było sztywne. Obnosił się ze swoją nienawiścią, jakby była jego drugą skórą.

– Ale z ciebie żalosny gówniarz – powiedział Declan. – Gdyby tata widział...

Na te słowa Ronan znowu szarpnął się w stronę brata. Gansey zacisnął mocno ręce wokół jego piersi i odciągnął go do tyłu.

– Po co tu w ogóle przyjechałeś? – zapytał Declana Gansey.

– Ashley musiała skorzystać z łazienki – odparł Declan rzeczowo. – Chyba mogę się zatrzymać tam, gdzie mi się podoba, nie sądzisz?

Ostatnim razem, kiedy Gansey był w koedukacyjnej łazience u Nina, śmierzdziała tam piwem i pawiem. Na jednej ze ścian widniał nabazgrany czerwonym markerem napis „Belzebub”, a poniżej numer telefonu Ronana. Trudno było uwierzyć, że Declan *nakłonił* swoją dziewczynę do skorzystania z tego przybytku.

– Myślę, że powinieneś już jechać. Nie rozwiążecie dzisiaj waszych problemów – powiedział szorstko.

Declan parsknął śmiechem. Był to spontaniczny, swobodny dźwięk złożony z okrągłych samogłosek. Z całą pewnością nie oznaczał, że Declan dobrze się bawi.

– Zapytaj go, czy zamierza w tym roku przejść chociaż z jedną czwórką – zwrócił się do Ganseya. – Czy ty w ogóle pojawiaasz się czasem w szkole, Ronan?

Ashley wyrzała przez okno za plecami Declana. Odsunęła szybę, żeby słyszeć, co mówią. Kiedy sądziła, że nikt nie zwraca na nią uwagi, ani trochę nie wyglądała na idiotkę. Myśl o tym, że może wreszcie ktoś manipuluje Declanem, przywracała wiarę w sprawiedliwość.

– Nie mówię, że nie masz racji, Declan – zgodził się Gansey. Czuł pulsowanie w uchu, w które oberwał. Ręką przytrzymującą Ronana wyczuwał bicie jego serca. Przypomniawszy sobie, że miał rozważniej dobierać słowa, i ułożył w myślach dalszą część zdania, zanim wypowiedział ją głośno. – Ale nie jesteś Niallem Lynchem i nigdy nim nie będziesz. Wyszłoby ci na dobre, gdybyś przestał wreszcie próbować.

Uwolnił Ronana.

Żaden z braci się nie poruszył, jakby wypowiadając imię ich ojca, Gansey rzucał na nich jakieś zaklęcie. Twarze Lynchów, choć każda na swój sposób, przedstawiały to samo. Różne rany zadane tą samą bronią.

– Ja tylko chcę mu pomóc – odparł wreszcie Declan.

Ale mówił tonem pokonanego.

Był czas, jeszcze kilka miesięcy temu, że Gansey by mu uwierzył.

Ronan stał obok z rękami zwieszonymi wzdłuż tułowia, z otwartymi dłońmi. Zdarzało się, że Adam został pobity i wtedy jego wzrok wydawał się nieobecny, odległy, jakby jego ciało należało do kogoś innego. Ronan po skończonej bójce sprawiał wręcz przeciwne wrażenie. Wydawał się tak natarczywie obecny, jakby do tej pory spał.

– Nigdy ci nie wybaczę – powiedział do swojego brata.

Zasycała zasuwana szyba volvo; widocznie Ashley zdała sobie sprawę, że dłużej naprawdę nie wypada jej słuchać tej rozmowy.

Declan przez chwilę patrzył w ziemię, ssąc zakrwawioną wargę. A potem wyprostował się i poprawił krawat.

– To już mnie nie rusza – powiedział i otworzył drzwi samochodu. – Nie chcę o tym rozmawiać – rzucił do siedzącej obok Ashley, zajmując miejsce za kierownicą.

Volvo ruszyło z piskiem opon i po chwili Gansey z Ronanem zostali sami w przyćmionym świetle latarni na parkingu. Gdzieś na sąsiedniej ulicy trzykrotnie zaszcekał pies. Ronan dotknął małym palcem łuku brwiowego, żeby sprawdzić, czy krwawi, ale miał tam tylko wielkiego zaognionego guza.

– Napraw to – powiedział Gansey.

Nie był przekonany, czy to, co Ronan zrobił albo czego nie zrobił, można łatwo naprawić, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Ronanowi wolno było mieszkać w Monmouth Manufacturing tylko pod warunkiem, że miał przyzwoite stopnie.

– Nieważne, o co chodzi. Nie pozwól, żeby miał rację – dodał.

– Chcę rzucić szkołę – powiedział Ronan półgłosem.

– Jeszcze tylko rok.

– Nie chcę tego robić przez kolejny rok. – Kopnął jakiś kamyk pod podwozie camaro. W jego tonie pojawiła się nuta zaciętości, ale nie podniósł głosu. – Jeszcze rok i będę się dusił pod krawatem jak Declan. Nie jestem jakimś cholernym politykiem, Gansey. Ani bankierem.

Gansey też nie był, ale to nie oznaczało, że chce rzucić szkołę. Ból w głosie Ronana oznaczał, że Gansey musiał być twardy.

– Po prostu skończ szkołę, a potem zrobisz, co zechcesz.

Dzięki funduszom powierniczym ojców żaden z nich nie musiał nigdy zarabiać na życie, jeśli nie miał na to ochoty. Obaj byli zbędnymi elementami w machinie zwanej społeczeństwem, ale u Ronana budziło to inne emocje niż u Ganseya.

Ronan był wściekły i nie zamierzał się uspokoić, bez względu na wszystko.

– Nie wiem, czego chcę. Nie wiem, kim, do cholery, jestem.

Wsiadł do camaro.

– Obiecałeś mi – rzucił Gansey przez otwarte drzwi samochodu.

Ronan nie podniósł wzroku.

– Wiem, co obiecałem, Gansey.

– Pamiętaj o tym.

Trzaśnięcie drzwi zabrzmiało na parkingu niespodziewanie głośno, jak zwykle rozlegają się dźwięki po zmroku. Gansey dołączył do Adama, który przyglądał im się z bezpiecznej odległości. W zestawieniu z Ronanem Adam wydawał się spokojny, opanowany, jakby całkowicie się kontrolował. Wytrzasnął skądś gumową piłeczkę z wizerunkiem SpongeBoba Kanciastoportego i odbijał ją w zamyśleniu.

– Przekonałem ich, żeby nie wzywali glin – powiedział.

Dobrze mu szło wyciszanie różnych spraw.

Gansey wypuścił powietrze. Dzisiejszego wieczoru nie potrafiłby rozmawiać z policją w imieniu Ronana.

„Powiedz mi, że postępuję z nim jak należy. Powiedz mi, że tak mogę odnaleźć

dawnego Ronana. Powiedz mi, że nie niszczę go, trzymając go z dala od brata”.

Adam mówił już kiedyś Ganseyowi, że jego zdaniem Ronan powinien nauczyć się sam po sobie sprzątać. Ale Gansey się bał, że Ronan nauczy się żyć w brudzie. Więc zapytał tylko:

– Gdzie jest Noah?

– Już idzie. Chyba zostawiał napiwek.

Adam odbił piłeczkę i znowu ją złapał. Chwytał piłkę niemal mechanicznym ruchem, kiedy odbita od ziemi leciała w jego stronę. W jednej chwili jego dłoń była otwarta i pusta, a już w następnej mocno zaciskała się wokół piłki.

Odbicie. Chwyt.

– Więc Ashley... – zaczął Gansey.

– *Taaak* – odparł Adam, jakby czekał, aż Gansey poruszy ten temat.

– Jak tak dalej pójdzie, to dostanie kociej mordki.

Jego ojciec uwielbiał tak mówić o wścibskich.

– Myślisz, że ona naprawdę pojawiła się tu z powodu Declana?

– A z czyjego powodu miałyby tu być?

– Glendowera – odpowiedział natychmiast Adam.

Gansey się roześmiał, ale jego kolega nie.

– No przecież, nie inaczej.

Zamiast odpowiedzieć, Adam starannie wymierzył i znowu rzucił piłeczką.

Odbiła się od tłustego asfaltu, uderzyła w jedną z opon camaro i zakreśliła łuk wysoko w powietrzu, znikając w ciemności. Adam zrobił krok naprzód i piłeczka wylądowała prosto w jego dłoni. Gansey gwizdnął z podziwem.

– Myślę, że nie powinieneś już rozmawiać o tym ze wszystkimi – powiedział Adam.

– To żadna tajemnica.

– Może pora to zmienić.

Niepokój Adama był zaraźliwy, ale, logicznie rzecz biorąc, bezpodstawny. Gansey szukał Glendowera od czterech lat, opowiadając o tym każdemu, kto tylko zechciał go słuchać, i nigdy nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek zamierzał pójść w jego ślady. Jednak musiał przyznać, że sugestia Adama wywołała u niego dziwnie nieprzyjemne uczucie.

– Informacja już poszła w obieg. Praktycznie wszystko, co zrobiłem, trafiło do wiadomości publicznej. Za późno, żeby zrobić z tego tajemnicę. O kilka lat za późno.

– Daj spokój, Gansey – powiedział Adam dziwnie gorączkowo. – Nie czujesz tego? Nie czujesz się...

– Jak? – Gansey nie znośił klócić się z Adamem, a teraz czuł się tak, jakby się sprzeczał.

Parrish bezskutecznie usiłował ubrać w słowa swoje przecucia.

– *Obserwowany.*

Po drugiej stronie parkingu z restauracji wyłonił się wreszcie Noah i poczłapał w ich stronę. Na siedzeniu camaro rysowała się sylwetka Ronana. Siedział oparty, z przekrzywioną głową, jakby spał. Z pobliskiego trawnika dochodził zapach róż i trawy skoszonej pierwszy raz tej wiosny. Z oddali dobiegała woń wilgotnej ziemi budzącej się do życia pod warstwą zeszłorocznych liści oraz zapach wody płynącej gór-

skimi szczelinami, w których nigdy nie stanęła ludzka stopa. Może Adam miał rację. Gansey pomyślał, że ta noc kryje w sobie coś znaczącego; coś, co właśnie otwiera oczy daleko poza zasięgiem ich wzroku.

Tym razem, kiedy Adam odbił piłkę, to Gansey wyciągnął rękę, żeby ją złapać.

– Myślisz, że ktoś miałby powód, żeby nas szpiegować, gdybyśmy nie byli na właściwym tropie? – zapytał.

Kiedy Blue powoli zaczęła zbierać się do wyjścia, jej niepokój zastąpiło zmęczenie. Odetchnęła głęboko chłodnym, nocnym powietrzem – trudno było uwierzyć, że to ta sama substancja, która płynie w przewodach wentylacyjnych restauracji „U Nina”.

Podniosła głowę, żeby popatrzeć na gwiazdy. Nie było tu tylu latarni, aby mogły całkowicie je przyćmić. Wielka Niedźwiedzica, Lew, Cefeusz. Z każdą odszukaną konstelacją oddech dziewczyny stawał się coraz lżejszy i bardziej miarowy.

Blue odpięła łańcuch, którym był przymocowany jej rower. Z przeciwnej strony parkingu dobiegały stłumione głosy, raz głośniejsze, raz cichsze. Za jej plecami zaszurały na asfalcie czyjeś kroki. Ludzie byli najgłośniejszymi zwierzętami, nawet wtedy, kiedy starali się być cicho.

Pewnego dnia zamieszka w miejscu, w którym gdy wyjdzie przed dom, zobaczy nad głową tylko gwiazdy, żadnych świateł; w miejscu, gdzie dzielenie z matką jej daru będzie możliwe. Kiedy Blue patrzyła na gwiazdy, czuła, jakby coś starało się zwrócić jej uwagę na to, co się za nimi kryje, nakłonić ją, żeby spróbowała wyczytać jakiś sens z chaotycznego firmamentu, nakreślić na tej podstawie jakiś obraz. Ale w tym, co widziała, nigdy nie było sensu. Miała nad sobą tylko Lwa i Cefeusza, Skorpiona i Smoka. Może chciałaby widzieć więcej horyzontu, a mniej miasta. Tak naprawdę nie czuła przecież pragnienia poznania przyszłości. Chciała zobaczyć coś, czego nie mógł i nigdy nie miał dostrzec nikt inny, i niewykluczone, że wymagało to magii, jakiej na świecie nie było.

– Przepraszam, ekhm... Cześć.

Głos był ostrożny, męski i miejscowy. Samogłoski miały oszlifowane krawędzie. Blue odwróciła się na pięcie, pełna rezerwy.

Ku jej zaskoczeniu okazało się, że głos należy do wytwornego chłopaka z Aglionby. W świetle odległej latarni jego twarz wyglądała jakby starzej i mizerniej niż w restauracji. Był sam. Ani śladu Prezydenta, Niepozornego i ich wrogiego kumpla. Wytworny jedną ręką trzymał rower. Drugą miał wsuniętą do kieszeni. Jego niepewność właściwie nie pasowała do swetra z krukiem. Dokładnie w chwili, gdy chłopak unosił ramiona, jakby mu było zimno, Blue zauważyła, że jego sweter jest wystrzępiony na szwie.

– Cześć – powiedziała. Widok wystrzępionej nitki sprawił, że jej głos zabrzmiał łagodniej. To ciekawe: chłopak z Aglionby w używanym swetrze? – Adam, tak?

Zmieszany chłopak pokiwał gwałtownie głową. Blue zerknęła na jego rower. Chłopak z Aglionby na rowerze?

– Wracalem do domu – powiedział Adam. – Nie byłem pewien, czy to ty. Chciałem cię przeprosić. Za całą tę głupią sytuację. Nie prosiłem go, żeby to zrobił, i chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Blue zauważyła, że jego głos z lekkim akcentem jest równie miły, jak jego wygląd. Kojarzył się z zachodem słońca w Henriecie – z nagrzaną huśtawką na weran-

dzie, szklankami z mrożoną herbatą, cykadami głośniejszymi od ludzkich myśli.

W bocznej uliczce rozległ się dźwięk samochodu i Adam obejrzał się przez ramię. Kiedy znowu spojrzał na Blue, jego twarz wciąż wyrażała nieufność. Dziewczyna zorientowała się, że zmarszczka między ściągniętymi brwiami i napięcie ust to zwykły wyraz twarzy Adama, idealnie dopasowany do jego rysów. „Ten chłopak rzadko bywa szczęśliwy” – pomyślała.

– Cóż, to miło z twojej strony – odparła. – Ale to nie ty powinieneś przeproszać.

– Nie mogę zrzucać całej winy na niego. W końcu mówił prawdę. Rzeczywiście chciałem z tobą porozmawiać. Ale nie chodziło mi tylko o to... żeby cię pode-rwać.

W tym momencie powinna go spławić. Ale powstrzymywał ją rumieniec, który zauważyła u niego przy stole. Uczciwe spojrzenie, lekko zarysowany, niepewny uśmiech. Jego twarz była tak niebanalna, że Blue nie chciała przestać na nią patrzeć.

Prawda była taka, że jeszcze nigdy nie flirtowała z kimś, kto by jej się podobał.

„Nie rób tego!” – ostrzegł ją wewnętrzny głos.

– A o co w takim razie ci chodziło? – zapytała.

– Chciałem porozmawiać – powiedział przeciągle. Jego miejscowy akcent sprawiał, że „porozmawiać” kojarzyło się bardziej ze słowem „wyznawać” niż „mówić”. Blue nie mogła się oprzeć pokusie zerknięcia na wąską, przyjemną linię jego ust. – Pewnie byłoby prościej, gdybym od razu do ciebie podszedł. Pomysły innych zawsze tylko przysparzają mi problemów.

Blue już miała powiedzieć mu o tym, jak pomysły Orli przysparzają kłopotów członkom jej rodziny, ale zaraz zdała sobie sprawę, że wtedy on by coś odpowiedział, potem ona i mogłoby to trwać całą noc. Coś jej podszeptywało, że z tym chłopakiem mogłaby *naprawdę* porozmawiać. Ni stąd, ni zowąd w jej głowie rozległ się głos Maury: „Nie muszę ci przypominać, żebyś nikogo nie całowała, prawda?”.

Więc, krótko mówiąc, po sprawie. Blue, jak słusznie zauważyła Neeve, była rozsądną dziewczyną. I wiedziała, że nie może z tego wyniknąć nic dobrego. Westchnęła.

– Tak czy owak, nie przeszkadzało mi to, co powiedział o tobie. Tylko przesadził z propozycją, że mi zapłaci – oznajmiła, stawiając stopę na pedale roweru.

Najważniejsze to nie wyobrazać sobie, co by było, gdyby została i rozmawiała dalej. Kiedy Blue nie miała na coś pieniędzy, najgorszą rzeczą na świecie było rozmyślanie o tym, jak by się czuła, gdyby mogła to mieć.

Adam zdał sobie sprawę, że dziewczyna się wycofuje.

– On nie ma o niczym pojęcia. Jeśli chodzi o pieniądze, jest kompletnym ignorantem.

– A ty nie jesteś?

Skierował na nią bardzo spokojne spojrzenie. Nie było w nim miejsca na głupotę.

Blue podniosła głowę, żeby zerknąć w gwiazdy. Dziwnie się czuła, wyobrażając sobie, jak szybko toczą się po niebie: potężny ruch, zbyt odległy, żeby mogła go dostrzec. Lew, Mały Lew, Pas Oriona. Czy gdyby umiała czytać w gwiazdach, jak jej matka, ciotki i kuzynki, zobaczyłaby w nich teraz to, co powinna powiedzieć chłopaka-

kowi?

– Przyjdiesz jeszcze do Nina? – zapytała.

– A jestem zaproszony?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Ten uśmiech wydawał się niebezpieczną rzeczą, czymś, czego Maura by nie pochwaliła.

Blue kierowała się w życiu dwiema zasadami: po pierwsze, trzymać się z dala od chłopców, bo to oznacza kłopoty. Po drugie, trzymać się z dala od chłopców w swetrach z krukami, bo to łajdacy.

A jednak miała wrażenie, że te zasady nie stosują się do Adama. Wygrzebała z kieszeni chusteczkę. Napisała na niej swoje imię i domowy numer telefonu. Z łomoczącym sercem złożyła ją i podała Adamowi.

– Cieszę się, że wróciłem – powiedział tylko.

A potem oddalił się, prowadząc swój smętnie skrzypiący rower.

Blue przycisnęła palce do twarzy.

„Dałam numer telefonu chłopakowi”.

„Dałam numer telefonu chłopakowi z krukami”.

Stała, obejmując się ramionami, i wyobrażała sobie, co powie jej matka. „Ale przecież to, że dało się komuś swój numer telefonu, nie oznacza jeszcze, że ma się zamiar go całować”.

Skrzypnięcie tylnych drzwi restauracji gwałtownie wyrwało ją z zadumy. Ale to był tylko Donny. Na jej widok twarz mu się rozjaśniła. W rękę trzymał opasy, oprawiony w skórę brulion, który Blue natychmiast rozpoznała. Widziała go w rękach Prezydenta.

– Nie wiesz, kto to zostawił? – zapytał Donny.

Blue podeszła, wzięła od niego dziennik i otworzyła go. Kartki nie chciały się rozchylić. Brulion był tak sfatygowany od częstego wertowania i tak wypchany, że każda strona domagała się pierwszeństwa. Wreszcie otworzył się na środku, kiedy siła grawitacji zwyciężyła nad przyzwyczajeniami jego właściciela.

Oczom Blue ukazała się strona przedstawiająca kolaż pożółkłych wycinków z książek i gazet. Kilka zwrotów było podkreślonych czerwonym długopisem, a na marginesach dodano komentarze w stylu: „Czy Luray Caverns zalicza się do miejsc duchowych?” albo: „Wrony = kruki?” oraz starannie wykaligrafowaną, otoczoną ramką listę z nagłówkiem: „Nazwy miejsc pochodzenia walijskiego w okolicach Henrietty”. Blue знаła większość miasteczek wymienionych na liście. Welsh Hills, Glen Bower, Harlech, Machinleth.

– Nie czytałem – zastrzegł się Donny. – Tylko sprawdzałem, czy jest podpisany, bo nie wiedziałem, komu oddać. No i zobaczyłem, że to są... wiesz, te twoje rzeczy.

W ten sposób dał jej do zrozumienia, co myśli o ludziach, których matki są wróżkami.

– Chyba wiem, czyje to jest – powiedziała Blue. Nie miała żadnego konkretnego planu, po prostu chciała jeszcze raz przewertować dziennik. – Wezmę to.

Kiedy Donny wrócił do budynku, ponownie otworzyła brulion. Teraz mogła spokojnie podziwiać jego zawartość, intrygującą choćby pod względem zagęszczenia informacji. Nawet gdyby treść notatek nie wydała jej się interesująca, to z całą pew-

nością uwagę przyciągnąłby ich klimat. Brulion zawierał tyle wycinków, że okładka się nie domykała, chyba że się ją ścisnęło i zapięło na skórzany pasek. Wszędzie powklejano wydarte i wycięte fragmenty różnych publikacji. Dotykanie tego wszystkiego sprawiało Blue prawdziwą przyjemność. Przesunęła palcami po zróżnicowanych powierzchniach. Gruby, kremowy, artystyczny papier i smukła, elegancka czcionka. Cienki, brązowy papier i ozdobne pismo z zawijasami. Gładki, funkcjonalny arkusz z prostym, nowoczesnym drukiem. Wystrzępione na brzegach gazety o kruchym, żółtawym odcieniu.

Były tam również notatki zrobione kilkoma różnymi długopisami i markerami, ale wszystkie tym samym biznesowym charakterem pisma. Ktoś bardzo natarczywie otoczył ramką, wskazał i podkreślił różne kwestie. Układały się one w wypunktowane listy, zwieńczone entuzjastycznymi wykrzyknikami na marginesach. Przeczyły sobie nawzajem i nawiązywały do siebie w trzeciej osobie. Kreski zmieniały się w szkice: zarysy gór, zwirowane ślady opon zostawione przez samochody, które wyglądały na szybkie.

Blue przez dłuższą chwilę starała się zrozumieć, czego właściwie dotyczył dziennik. Ktoś podzielił go z grubsza na rozdziały, ale widać było, że kiedy kończyło mu się miejsce, kontynuował notatki w zupełnie innej części. Był tam fragment poświęcony liniom mocy – niewidzialnym kanałom energetycznym łączącym miejsca duchowe. Był rozdział dotyczący Owaina Glyndwra, Króla Kruków. Były legendy o śpiących rycerzach, czekających we wnętrzach gór, aż ktoś ich odnajdzie, żeby mogli rozpocząć nowe życie. Dziwne historie o królach złożonych w ofierze i starożytnych boginiach wód – słowem, o wszystkich tych pradawnych rzeczach, których symbolem jest kruk.

Z dziennika wyzierało *pragnienie*. Chęć odkrycia czegoś więcej, niż dało się w nim zawrzeć, niż można wyrazić za pomocą słów, wykresów, ilustracji. Z jego karteek przemawiała tęsknota. Z każdej gorączkowej linijki, z pośpiesznego szkicu, z każdej wydrukowanej definicji. W tym wszystkim kryła się udręka i melancholia.

Wśród gryzmołów wyróżniał się jeden znajomy kształt. Trzy przecinające się linie, tworzące wydłużony, dziobaty trójkąt. Ten sam symbol, który Neeve nakreśliła na zakurzonych kamieniach na przykościelnym cmentarzu. Ten sam, który matka Blue narysowała na zaparowanych drzwiach kabiny prysznicowej.

Blue rozprostowała kartkę, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Ta część brulionu dotyczyła linii mocy, „mistycznych kanałów energetycznych łączących miejsca o znaczeniu duchowym”. W różnych miejscach dziennika jego autor wciąż od nowa kreślił te trzy linie, obok krzywego Stonehenge, wydłużonych sylwetek koni i podpisanego szkicu kurhanu. Nigdzie nie wyjaśniono naczenia tego symbolu.

To nie mógł być zbieg okoliczności.

To niemożliwe, żeby dziennik należał do tego prezydenckiego chłopaka z krukami. Ktoś musiał mu go dać.

„A może to zeszyt Adama” – pomyślała Blue.

Adam budził w niej podobne emocje jak ten brulion – wiarę w magię i nieograniczone możliwości, a także lęk przed czyhającym niebezpieczeństwem. Czuła się zupełnie jak wtedy, kiedy Neeve powiedziała, że jakiś duch dotknął jej włosów.

„Szkoda, że nie jesteś Ganseyem” – pomyślała Blue. Ale ledwo ta myśl poja-

wiła się w jej głowie, dziewczyna już wiedziała, że to nieprawda. Bo kimkolwiek był Gansey, pozostało mu niewiele życia.

Gansey obudził się z twarzą oblaną blaskiem księżyca, wyrwany ze snu dzwonkiem telefonu.

Po omacku wygrzebał z pościeli komórkę. Bez okularów i soczewek kontaktowych musiał trzymać telefon przed samym nosem, żeby sprawdzić, kto dzwoni: Roger Malory. To wszystko wyjaśniało. Doktor Malory mieszkał w Sussex, pięć stref czasowych od Henrietty. Północ w Wirginii oznaczała piątą rano dla tego rannego ptaszka. Brytyjczyk był największym autorytetem w dziedzinie linii mocy. Mógł mieć osiemdziesiąt, sto albo i dwieście lat. Napisał na temat kanałów energetycznych trzy książki, które należały do klasyki w tym (bardzo wąskim) obszarze. Spotkali się pewnego lata, które Gansey spędzał częściowo w Walii, a częściowo w Londynie. Malory był pierwszym dorosłym, który potraktował poważnie piętnastoletniego wówczas Ganseya, za co chłopak długo jeszcze był mu wdzięczny.

– Cześć, Gansey – powiedział ciepło Malory, wiedząc, że nie należy zwracać się do niego po imieniu.

Bez dłuższych wstępów rozpoczął wielowątkowy monolog dotyczący pogody, czterech ostatnich spotkań towarzystwa historycznego i swojego frustrującego sąsiada z owczarkiem collie. Gansey rozumiał trzy czwarte z jego słów. Spędził na Wyspach prawie rok i przywykł do brytyjskiego akcentu, ale Malory’ego niełatwo było zrozumieć. Sprawę komplikowało mamrotanie, przeżuwanie, bardzo podeszły wiek, nie najlepsze maniery i kiepskie połączenie telefoniczne.

Gansey wstał z łóżka i kucnął obok makiety Henrietty. Przez dwanaście minut słuchał starszego pana uprzejmie, choć niezbyt uważnie, a potem delikatnie mu przerwał:

– To miło, że pan dzwoni.

– Znalazłem intrygujące źródło – powiedział Malory. Jego słowom towarzyszył odgłos przypominający żucie albo owijanie czegoś celofanem. Gansey, który był kiedyś w jego mieszkaniu, przypuszczał, że starszy pan robi i jedno, i drugie. – Wynika z niego, że linie mocy są uśpione. Śpią. Mówi ci to coś?

– Jak Glendower! Ale co to znaczy?

– To by wyjaśniało, dlaczego tak trudno je wykryć. Jeśli nie są aktywne, ich energia może być bardzo słaba, pozbawiona ciągłości. Kiedyś w Surrey śledziłem linię mocy z pewnym jegomościem – dwadzieścia dwa kilometry, pogoda pod psem, lało jak z cebra – a potem linia po prostu zniknęła.

Gansey odnalazł tubkę kleju i kilka kartonowych gontów. Przy silnym świetle księżyca zaczął pracować nad dachem, podczas gdy Malory dalej opowiadał o deszczu.

– Czy twoje źródło wspomina coś o budzeniu linii mocy? Jeśli Glendowera można obudzić, to linie mocy chyba też, co?

– Do tego zmierzam.

– Ale żeby obudzić Glendowera, wystarczy go znaleźć. A przecież ludzie *cho-
dzą* po liniach mocy i nic.

– O, nie, panie Gansey, tu się pan myli. Duchowe drogi znajdują się pod ziemią. Nawet jeśli nie zawsze tak było, to teraz przykrywa je kilka metrów piachu, który uzbierał się przez stulecia – powiedział Malory. – Tak naprawdę od setek lat nikt ich nie dotknął. Ty i ja wcale po nich nie chodzimy. My tylko próbujemy podążać za ich echem.

Gansey przypomniał sobie, jak trop bez powodu pojawiał się i urywał, kiedy próbowali z Adamem śledzić linie mocy. Teoria Malory’ego brzmiała przekonująco. Gansey właściwie niczego więcej nie potrzebował. Pragnął jedynie jak najszybciej zacząć wertować książki w poszukiwaniu argumentów na poparcie nowej tezy; niech szlag trafi jutrzejszy dzień w szkole. Poczuł nieoczekiwany przypływ frustracji, że jest nastolatkiem, w dodatku uwięzionym w Aglionby. Może tak właśnie cały czas czuł się Ronan.

– Rozumiem. Czyli schodzimy pod ziemię. Może trzeba wziąć pod uwagę jaskinie?

– Och, jaskinie to straszliwe miejsca – odparł Malory. – Wiesz, ilu ludzi ginie w nich co roku?

Gansey odpowiedział, że nie ma pojęcia.

– Tysiące – zapewnił go Malory. – Przypominają cmentarzyska słoni. Lepiej zostać na powierzchni. Eksploracja jaskiń jest groźniejsza od wyścigów motocyklowych.

Nie, źródło mówi, że należy obudzić linię mocy za pomocą rytuału przeprowadzonego na powierzchni ziemi; pozwolić, żeby energia sama zasygnalizowała swoją obecność. Musiałbyś dokonać symbolicznego włożenia rąk u siebie, w Mariannie.

– W Henriecie.

– W Teksasie?

Zawsze, kiedy Gansey rozmawiał z Brytyjczykami o Ameryce, wydawało im się, że mówi o Teksasie.

– W Wirginii – powiedział.

– Właśnie – przytaknął z zapalem Malory. – Pomyśl, jak łatwo byłoby dotrzeć do Glendowera duchową drogą, gdyby głośno do ciebie krzyczała, zamiast szeptać. Odnajdujesz ją, przeprowadzasz rytuał, a ona prowadzi cię do twojego króla.

W ustach doktora Malory’ego brzmiało to jak gwarantowany sukces.

„A ona prowadzi cię do twojego króla”.

Gansey zamknął oczy, żeby uspokoić bicie serca. Przed sobą miał mroczny, szary obraz monarchy odpoczywającego z rękami złożonymi na piersiach, z mieczem u prawego boku i kielichem u lewego. Ta uśpiona postać miała dla niego ogromne znaczenie, choć nie potrafił zrozumieć źródeł tego uczucia ani nadać mu kształtu. Była czymś więcej, czymś potężnym, co naprawdę się liczyło. I nie miało etykiety z ceną. Czymś zasłużonym.

– Sęk w tym, że ten tekst nie mówi jasno, jak powinien wyglądać taki rytuał – wyznał Malory. Następnie zaczął się rozwodzić nad dziwactwami zawartymi w dokumentach historycznych, więc Gansey słuchał go niezbyt uważnie do chwili, gdy starszy pan zakończył rozwlekłą wypowiedź zdaniem: – Zamierzam to wypróbować na Lockyer Road. Dam ci znać, jak mi poszło.

– Super – powiedział Gansey. – Nie wiem, jak panu dziękować.

– Pozdrów mamę.

– Dobrze, pozdro...

– Masz szczęście, że jeszcze masz matkę. Kiedy ja byłem w twoim wieku, moja została zamordowana przez brytyjską służbę zdrowia. Czuła się świetnie, dopóki nie przyjęli jej do szpitala, bo trochę kaszlała...

Gansey wysłuchał w roztargnieniu często powtarzanej przez Malory'ego historii o tym, jak rząd nie poradził sobie z wyleczeniem jego matki. Kończąc rozmowę, doktor mówił już dość optymistycznym tonem.

Gansey połknął bakcyła poszukiwań. Musiał z kimś porozmawiać, zanim niezrealizowana potrzeba działania przeżre go na wylot. Adam byłby najlepszy, ale za ścianą znajdował się Ronan, który cierpiał na bezsenność przerywaną gwałtownymi atakami hipersomnii. Istniały spore szanse, że nie śpi.

Jednak w połowie drogi do drzwi jego sypialni Ganseya uderzyła myśl, że pokój jest pusty. Stał na progu, wyszeptał imię Ronana, a potem, kiedy nie było odpowiedzi, wymówił je głośno.

Do pokoju Lyncha nie wolno było wchodzić, ale Gansey i tak to zrobił. Dotknął ręką zmiętej, chłodnej pościeli i zobaczył przykrycie odrzucone na bok. Chwilę później uderzył pięścią w drzwi pokoju Noaha, drugą ręką wybierając numer Ronana. Usłyszał dwa sygnały, a potem krótkie nagranie na pocztce głosowej: „Ronan Lynch”.

Gansey przerwał nagrańmu głosowi w pół słowa. Serce biło mu nierównomiernie. Po chwili zastanowienia wybrał kolejny numer. Tym razem odpowiedział mu głos Adama, zaspany i powściągliwy.

– Gansey?

– Ronan zniknął.

Adam milczał. Chodziło nie tylko o to, że Ronan zniknął, ale także o to, że stało się to po bójce z Declanem. Jednak opuszczenie domu Parrishów w środku nocy nie było łatwe. Przyłapanie mogło się skończyć obrażeniami ciała, a robiło się za ciepło na długie rękawy. Gansey czuł się okropnie, prosząc Adama o pomoc.

Na zewnątrz jakiś nocny ptak wydał z siebie cienki, przenikliwy wrzask. Makieta Henrietty w półmroku wyglądała upiornie. Zaparkowane na ulicach metalowe modele samochodów wyglądały, jakby właśnie się zatrzymały. Po zmroku Ganseya zawsze ogarniało uczucie, że wszystko jest możliwe. W nocy w Henriecie budziła się magia. Wtedy czuło się, że zjawiska magiczne mogą być przerażające.

– Sprawdzę w parku – wyszeptał wreszcie Adam. – I... hm... może na moście...

Adam rozłączył się tak delikatnie, że Gansey dopiero po chwili zdał sobie z tego sprawę. Przycisnął opuszki palców do oczu. W takiej pozie zastał go Noah, który pojawił się w drzwiach pokoju.

– Zamierzasz go szukać? – zapytał. Oświetlony od tyłu wydawał się błądy i nierealny. Skóra pod jego oczami była ciemniejsza niż wszystko inne. Bardziej przypominał swój cień niż prawdziwego Noaha. – Sprawdź w kościele.

Noah nie powiedział, że idzie z nim, a Gansey go o to nie poprosił. Przed sześcioma miesiącami – jedynym okresem, jaki kiedykolwiek miał znaczenie – Noah znalazł Ronana w kałuży krwi. Po tym zdarzeniu został na zawsze zwolniony z szu-

kania go; nie pojechał też potem z Ganseyem do szpitala. Adama przyłapano wtedy na próbie wymknięcia się z domu, więc tylko Gansey towarzyszył Ronanowi, kiedy zszywano mu rany. Wydawało się, że to było tak dawno temu, a zarazem nie dalej niż wczoraj.

Czasami Gansey czuł się tak, jakby całe jego życie składało się z dwunastu godzin, których już nigdy nie miał zapomnieć.

Wkładając kurtkę, wyszedł na oświetlony zielonkawym światłem chłodny parking. Maskę bmw była zimna – samochód od dłuższego czasu nie był używany. Dokądkolwiek wybrał się Ronan, musiał pójść piechotą. W grę wchodził kościół z iglicą podświetloną przydymionym, żółtym światłem. Podobnie jak knajpa „U Nina” i stary most nad wartko płynącą rzeką.

Gansey zaczął iść. Jego umysł pracował sprawnie, ale zdradzieckie serce zacięło się przy kolejnych uderzeniach. Nie był naiwny. Nie próbował się łudzić, że kiedykolwiek odzyska tamtego Ronana Lyncha, którego znał przed śmiercią Nialla. Ale nie chciał też stracić tego, który mu pozostał.

Pomimo pełni wejście do kościoła Świętej Agnieszki było pogrążone w ciemności. Gansey położył drżącą rękę na wielkiej, metalowej obręczy na drzwiach kościoła. Nie miał pewności, czy będą otwarte. Był w tym budynku tylko raz, w Wielkanoc, i to jedynie dlatego, że młodszy brat Ronana, Matthew, go o to poprosił. Ganseyowi nie przyszłoby do głowy, że ktoś taki jak Ronan mógłby przyjść tutaj w środku nocy, ale też nigdy by nie przypuszczał, że ktoś taki jak Ronan chodzi do kościoła. A jednak wszyscy bracia Lynch każdej niedzieli uczęszczali na mszę do Świętej Agnieszki. W kościelnej ławce udawało im się jakoś wysiedzieć obok siebie przez godzinę, chociaż nie potrafili spojrzeć sobie w oczy, kiedy spotkali się przy jednym stole.

Przechodząc pod ciemnym łukiem kościelnych wrót, Gansey pomyślał: „Noah jest dobry w znajdowaniu”. Miał nadzieję, że i tym razem się nie pomylił.

Wewnątrz kościoła unosiła się woń kadzidła, z którą miał do czynienia tak rzadko, że natychmiast obudziła w nim wspomnienia rodzinnych ślubów, pogrzebów i chrztów. Wszystkie odbyły się w lecie. Jakie to dziwne, że całą porę roku można zamknąć w jednym wdechu uwiecznionego powietrza.

– Ronan!

Jego wołanie zostało wessane przez pustkę. Głos odbił się echem od niewidocznego sklepienia i Ganseyowi odpowiedział tylko jego własny głos.

Przyćmione światło z bocznych naw rzucało na podłogę cienie w kształcie spiczastych łuków. Pod naporem ciemności i niepewności pierś Ganseya skurczyła się do rozmiaru pięści, a ściśnięte płuca przypomniały mu o jeszcze jednym, dawno minionym letnim popołudniu, kiedy po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że na świecie istnieje coś takiego jak magia.

Wtedy zobaczył Ronana. Siedział w mroku, wyciągnięty na ławce, z jedną ręką zwieszoną z jej krawędzi, a drugą założoną na głowę. Jego ciało stanowiło bezkształtną plamę, jeszcze ciemniejszą niż wnętrze kościoła. Nie ruszał się.

„Nie dzisiaj. Proszę, niech to nie będzie dzisiaj” – pomyślał Gansey.

Wsunąwszy się do ławki w następnym rzędzie, Gansey położył rękę na ramieniu Ronana, jakby w ten sposób mógł go obudzić. Jednocześnie modlił się, żeby ta

myśl miała moc sprawczą. Ramię, którego dotykał, było ciepłe. Od Ronana czuć było alkohol.

– Obudź się, stary – powiedział Gansey.

Jego słowa nie zabrzmiały bez troski, choć się starał.

Ronan poruszył ramieniem, a potem głową. W nagłym przeblasku szaleństwa Ganseyowi przeszło przez myśl, że pojawił się za późno i Ronan jednak już nie żyje, a teraz obudziły się jego zwłoki – bo Gansey im tak rozkazał. Ale potem lśniąco, niebieskie oczy Ronana otworzyły się i koszmarnie wrażenie pierzchnęło.

– Ty draniu – westchnął Gansey.

– Nic mi się nie śniło – powiedział po prostu Ronan. A potem, na widok pełnej udręki miny Ganseya, dodał: – Obiecałem ci, że to się więcej nie powtórzy.

– Tak, ale jesteś kłamcą – mruknął Gansey, jeszcze raz siłując się na beztroski ton. I tym razem bezskutecznie.

– Zdaje się, że mylisz mnie z moim bratem.

Kościół wokół nich wydawał się cichy, a jednocześnie wypełniony po brzegi. Teraz, kiedy Ronan otworzył oczy, zrobiło się jakoś widniej, jakby do tej pory cały budynek był pograżony we śnie.

– Kiedy mówiłem, że nie chcę, żebyś upijał się w Monmouth, nie chodziło mi o to, że możesz to robić gdzie indziej.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odparł Ronan nieco bełkotliwie.

– Ja piję – powiedział Gansey z godnością – ale się nie upijam.

Ronan zerknął na coś, co tulił do piersi.

– Co to jest? – zapytał Gansey.

Palce Ronana były owinięte wokół czegoś ciemnego. Kiedy Gansey wyciągnął rękę i spróbował je odgiąć, poczuł coś ciepłego i żywego, gwałtowny puls żywej istoty. Cofnął dłoń.

– Jezu. – Usiłował zrozumieć, czego właśnie dotknął. – Czy to ptak?

Ronan powoli usiadł, ostrożnie przytrzymując małego pasażera. Do Ganseya dotarł następny nieświeży, alkoholowy oddech.

– Kruk. – Zapadła cisza. Ronan przez chwilę przyglądał się kulce w swoich dłoniach. – Może wrona. Ale wątpię. Tak... szczerze mówiąc, nie sędzę. *Corvus corax*.

Nawet po pijanemu potrafił sobie przypomnieć łacińską nazwę zwykłego kruka.

Choć ptak nie był zupełnie zwyczajny – maleńki nieopierzony znajda, z dziobem rozciągniętym w niemowlęcym uśmiechu. Widać było, że trzeba jeszcze wielu nocy i dni, zanim jego skrzydła dojrzeją do latania. Gansey nie był pewien, czy ma ochotę dotykać czegoś, co tak łatwo można uszkodzić.

Kruk był ptakiem Glendowera. Król Kruków – tak go nazywano. Pochodził z długiej dynastii królów, których herbem był ten ptak. Legenda głosiła, że Glendower potrafił rozmawiać z krukami. To był jeden z wielu powodów, dla których Gansey przyjechał do Henrietty, miasta, w którym te ptaki występowały nadzwyczaj licznie.

Ciarki przebiegły mu po plecach.

– Skąd on się wziął?

Palce Ronana, kierowane współczuciem, utworzyły klatkę wokół piersi ptaka,

który w jego dłoniach wyglądał zupełnie nierealnie.

– Znalazłem go.

– Znaleźć można monetę – odparł Gansey. – Albo kluczyki od samochodu.

Czterolistną koniczynę.

– Albo kruka – powiedział Ronan. – Po prostu mi zazdrościsz, bo... – w tym miejscu musiał przerwać, żeby zebrać ociężałe od piwa myśli – ...bo sam żadnego nie znalazłeś.

Wykorzystując szczelinę między palcami Ronana, ptak narobił na ławkę. Lynch, trzymając pisklę w jednej ręce, zgarnął większość bałaganu gazetką parafianą. Podał Ganseyowi brudny papier. Cotygodniowe intencje modlitewne były wysmarowane na białło.

Gansey wziął kartkę tylko dlatego, że nie wierzył, żeby Ronan zawracał sobie teraz głowę szukaniem kosza na śmieci.

– A co, jeśli wprowadzę regulamin zabraniający trzymania zwierząt w mieszkaniu? – zapytał z lekkim obrzydzeniem.

– Do diabła, człowieku – odparł Ronan z szelmowskim uśmiechem. – Przecież nie wyrzucisz Noaha na bruk.

Gansey dopiero po chwili się zorientował, że przyjaciel zażartował. Trochę za późno, żeby się roześmiać. Tak czy owak, nie ulegało wątpliwości, że ptak wróci z nimi do domu, Gansey widział, w jaki zaborczy sposób Ronan go trzyma. Kruk spojrzał na nowego opiekuna i rozchylił z nadzieją dziób. Był zdany na łaskę Ronana.

Więc Gansey ustąpił.

– Chodź. Wracamy. Wstawaj.

Ronan chwiejnie się podniósł, a kruk skulił się w jego dłoniach, zamieniając się w dziób przyczepiony do pozbawionego szyi ciała.

– Przygotuj się na turbulencje, mały łajdaku.

– Nie możesz go tak nazwać.

– Ma na imię Piła – odparł Ronan, nie podnosząc wzroku. A po chwili dodał: – Noah! Przyprawiasz mnie o gęsią skórę. Musisz się tak czaić?

W pogrążonych w mroku drzwiach kościoła stał w milczeniu Noah. Na sekundę ukazała się tylko jego blada twarz. Ciemne ubranie było niewidoczne, a zwężone oczy wyglądały jak szczeliny prowadzące w głąb czegoś nieznanego. Potem zrobił krok w stronę światła i wrócił do swojej postaci. Znowu był rozczochrany i znajomy.

– Myślałem, że nie idziesz – powiedział Gansey.

Spojrzenie Noaha minęło ich, podążając w kierunku ołtarza, a potem w górę, ku niewidocznemu sklepieniu.

– W mieszkaniu było jakoś przerażająco – powiedział z właściwym sobie męstwem.

– Świr – skomentował Ronan.

Gansey otworzył drzwi kościoła. Nigdzie nie było śladu Adama. Chłopak poczuł wyrzuty sumienia, że wyciągnął przyjaciela z domu z powodu fałszywego alarmu. Wprawdzie miał wrażenie, że coś jednak się stało, ale jeszcze nie wiedział co.

– Gdzie znalazłeś tego ptaka?

– W swojej głowie.

– Niebezpieczne miejsce – zauważył Noah.

Ronan zatoczył się, upojony alkoholem, a kruk w jego dłoniach wydał z siebie słaby dźwięk, bardziej przypominający perkusję niż wokal.

– Nie dla Piły – odparł.

Kiedy wyszli na zewnątrz, w surową, wiosenną noc, Gansey podniósł głowę. Teraz, kiedy już wiedział, że Ronanowi nic nie jest, dostrzegł, jak pięknym miejscem jest Henrietta po zmroku. Przypominała patchwork, na którym ponaszywano gałęzie drzew.

Ze wszystkich możliwych ptaków Ronan musiał wyskoczyć akurat z krukiem. Gansey nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Whelk nie spał.

Za czasów szkolnych sen przychodził mu łatwo. Dlaczego miałoby być inaczej? Podobnie jak Czerny i reszta jego kolegów z klasy, w tygodniu sypiał po dwie, cztery, góra sześć godzin; późno się kładł, wcześnie wstawał, za to w weekend urządził sobie maraton spania.

Spał długo, zdrowo i nic mu się nie śniło. Nie – wiedział, że to właściwie nieprawda. Wszyscy ludzie śnią, tylko niektórzy nie pamiętają swoich marzeń sennych.

Teraz jednak rzadko udawało mu się spędzić w objęciach Morfeusza więcej niż kilka godzin. Przewracał się w pościeli. Siadał nagle, wyprostowany, obudzony szepcami. Przysypiał na swojej skórzanej kanapie, jedynym meblu, którego nie odebrał mu rząd. Odnosił wrażenie, że jego snem i siłami witalnymi kieruje coś większego i potężniejszego niż on sam; coś, co opada i wzbiera jak nierównomierne morskie pływy. Próby zaobserwowania w tym jakiejś regularności okazywały się bezskuteczne. Miał wrażenie, że trudniej mu zasnąć podczas pełni księżyca i po burzy z piorunami, ale poza tym nie potrafił niczego przewidzieć. Wyobrażał sobie, że to, co się z nim dzieje, jest wywołane przez pulsowanie pola magnetycznego linii mocy, które w jakiś sposób przeniknęło do jego ciała na skutek śmierci Czerny'ego.

Brak snu zamieniał jego życie w coś nierealnego; czuł się jak wstążka unoszona na wodzie.

Teraz zbliżała się pełnia i niedawno padało, więc Whelk nie spał. Siedział przy komputerze w podkoszulku i bokserkach; posługiwał się myszką z wątpliwą produktywnością zmęczonego człowieka. Nagle jego mózg zaatakowały niezliczone głosy, szepcząc i sycząc. Brzmiały jak elektrostatyczny szum, który zakłóca połączenia telefoniczne w pobliżu linii mocy. Jak wiatr zwiastujący nadejście frontu atmosferycznego. Jak spiskujące drzewa. Whelk jak zwykle nie mógł rozróżnić słów i nic z nich nie rozumiał. Ale wiedział jedno: w Henriecie właśnie zdarzyło się coś dziwnego i głosy nie przestawały o tym mówić.

Pierwszy raz od lat Whelk wyjął z niewielkiej szafy w korytarzu swoje stare mapy hrabstwa. Nie miał stołu, a kuchenny blat zajmowały opakowania po lazanii, którą zazwyczaj odgrzewał w mikrofalówce, i talerze z kawałkami czerstwego chleba, więc poszedł do łazienki. Rozłożył mapę na wannie, płosząc siedzącego w niej pajaka.

„Czerny, ty pewnie jesteś teraz w jakimś lepszym miejscu niż ja”.

Nie, nie wierzył w to. Nie miał pojęcia, co się stało z duszą, duchem, czy też jak należałoby nazywać to, co kiedyś było Czernym. Ale jeśli Whelk został przeklęty przez szepczące głosy wyłącznie z powodu roli, którą odegrał w rytuale, to los Czerny'ego musiał być gorszy.

Whelk ze skrzyżowanymi na piersiach rękami studiował dziesiątki oznaczeń i adnotacji, które naniósł na mapach podczas poszukiwań. Czerny swoimi bazgrołami zaznaczył poziomy energii wzdłuż hipotetycznej linii mocy. Wtedy to była jeszcze zabawa, coś w rodzaju poszukiwania skarbu. Gra o chwałę. Czy prawdziwa? To nie

miało znaczenia. To były kosztowne manewry strategiczne, w których za poligon służyło całe Wschodnie Wybrzeże. W poszukiwaniu jakiegoś wzorca Whelk pedantycznie rysował na jednej z map okręgi wokół interesujących punktów. Jeden dookoła kępy starych jesionów, przy której poziom energii był zawsze wysoki. Inny wokół ruin kościoła, które, jak im się wydawało, były omijane przez zwierzęta. Jeden w miejscu śmierci Czerny'ego. Oczywiście Whelk narysował ten okrąg, kiedy jego przyjaciel jeszcze żył. To miejsce, ukryte w cieniu ponurych dębów, zwróciło uwagę chłopców słowami wrytymi na jednym z pni. Po łacinie. Inskrypcja wydawała się niekompletna i trudno ją było zrozumieć. Wersja, która według Whelka była najsensowniejsza, brzmiała: „druga droga”. Poziomy energii wydawały się obiecujące, choć zmienne. Z całą pewnością wtedy to miejsce znajdowało się na linii mocy.

Czerny i Whelk wracali tam kilkakrotnie, żeby dokonywać pomiarów (obok okręgu widniało sześć różnych liczb wypisanych charakterem pisma Czerny'ego), szukać pod ziemią starych przedmiotów, czuwać nocą w nadziei, że będą świadkami zjawisk nadprzyrodzonych. Whelk skonstruował niezwykle skomplikowaną i wrażliwą różdżkę: dwa metalowe druty zgięte pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i osadzone w metalowej rurze pełniącej funkcję uchwytu tak, że mogły się swobodnie kołysać. Chodzili z różdżką wśród drzew, próbując dokładnie określić przebieg kanału energetycznego.

Ale linia mocy wydawała się pozbawiona ciągłości, raz bardziej, raz mniej wyraźna, jak sygnał z odległej stacji radiowej. Trzeba ją było obudzić, wyregulować częstotliwości, wzmocnić jej natężenie. Czerny i Whelk planowali przeprowadzić w dębinie odpowiedni rytuał. Jednak nie bardzo wiedzieli, jak powinien przebiegać. Whelk zdołał jedynie ustalić, że linie mocy uwielbiają wzajemność oraz ofiary, ale to była frustrująco niejasna wskazówka. Ponieważ nie mogli znaleźć więcej informacji, wciąż odkładali przeprowadzenie rytuału. Po feriach zimowych. Po wiosennych. Pod koniec roku szkolnego.

Potem zadzwoniła matka Whelka i powiedziała, że ojciec został aresztowany pod zarzutem prowadzenia nieetycznych praktyk gospodarczych i uchylania się od płacenia podatku dochodowego. Okazało się, że firma prowadziła interesy ze zbrodniarzami wojennymi. Matka Whelka o wszystkim wiedziała, on sam się domyślał, a FBI obserwowało jego ojca od lat. W ciągu jednej nocy rodzina straciła wszystko.

Następnego dnia spektakularny krach fortuny Whelków został opisany w gazetach. Barringtona zostawiły obie jego dziewczyny. No, formalnie rzecz biorąc, ta druga była sympatią Czerny'ego, więc to się raczej nie liczyło. Sprawa była głośna. Playboy z Wirginii, dziedzic majątku Whelków został nagle wyeksmitowany z pokoju w internacie, pozbawiony życia towarzyskiego i nadziei na przyszłość w wyższych sferach. Patrzył, jak odholowują jego samochód i opróżniają pokój ze sprzętu stereo i mebli.

Ostatnim razem Whelk oglądał tę mapę w swoim pokoju w internacie, świadomy, że został mu jedynie dziesięciodolarowy banknot w kieszeni. Wszystkie jego karty kredytowe były teraz bezwartościowe.

Niedługo potem przed internatem pojawił się Czerny w swoim czerwonym mustangu. Nie wysiadł z samochodu.

– Czy to znaczy, że należysz teraz do białej hołoty? – zapytał zaczepnie.

Tak naprawdę Czerny nie miał poczucia humoru. Po prostu czasami zdarzało mu się powiedzieć coś, co zabrzmiało zabawnie. Tym razem jednak Whelk, czując, że jego życie legło w gruzach, nie miał siły się roześmiać.

Linia mocy nie była już zabawą.

– Otwórz drzwi – powiedział, chwytając za klamkę mustanga. – Zaczynamy rytuał.

Na godzinę i dwadzieścia trzy minuty przed dzwonkiem budzika Blue wyrwało ze snu trzaśnięcie drzwi wejściowych. Dziewczyna otworzyła oczy. Przez okno do jej pokoju wpadało szare światło świtu, rzucając na podłogę rozproszone cienie liści przyciśniętych do szyby.

Na schodach rozległy się kroki. Chwilę później Blue usłyszała głos matki.

– ...na ciebie czekałam.

– Niektóre rzeczy lepiej robić nocą. – To była Neeve. Mówiła ciszej niż Maura, a mimo to wyraźniej. Jej głos jakoś lepiej się niósł. – Henrietta jest spokojnym miejscem, prawda?

– Nie prosiłam cię, żebyś obserwowala Henriettę – odparła Maura scenicznym szeptem.

Zabrzmiało to, jakby... jakby martwiła się o Neeve?

– Trudno tego nie robić. To miasteczko aż krzyczy – odparła Neeve.

Jej dalsze słowa zagłuszyło skrzypienie schodów.

Odpowiedź Maury również dobiegła do uszu dziewczyny niewyraźnie, bo teraz i matka zaczęła wchodzić po trzeszczących stopniach, ale brzmiało to trochę jak: „Wolałabym, żebyś nie mieszała w to Blue”. Dziewczyna zastygła w bezruchu.

– Ja tylko dzielę się z tobą moimi odkryciami. Jeśli on zniknął w tym samym czasie... Być może są ze sobą połączeni. Nie chcesz, żeby się dowiedziała, kim on jest?

Kolejny stopień jęknął.

„Dlaczego one nie mogą rozmawiać, nie łażąc po schodach!” – pomyślała Blue.

– Nie rozumiem, czemu miałyby to służyć – odburknęła Maura.

Neeve wymamrotała coś w odpowiedzi.

– To się zaczyna wymykać spod kontroli – powiedziała matka. – Chodziło zaledwie o wpisanie jego nazwiska w wyszukiwarce i niewiele więcej, a teraz...

Blue nadstawiła uszu. Zdaje się, że nie licząc Ganseya, Maura od dość dawna nie określała nikogo za pomocą męskiego zaimka osobowego.

Dziewczynie przyszło do głowy, że matka może mówić o jej ojcu. Jak dotąd żadna z niezręcznych prób zdobycia informacji na jego temat nie powiodła się, bo wszystkie pytania córki Maura zbywała idiotycznymi żartami. Za każdym razem wymyślała coś innego: „twoim ojcem jest Święty Mikołaj”, „napadał na banki”, „jest na orbicie”. Blue wyobrażała sobie, że to jakiś bohater, który musiał zniknąć z powodu tragicznej przeszłości (może został objęty programem ochrony świadków?). Lubiła marzyć, że jej ojciec stoi za płotem na tyłach domu i przygląda się z dumą swojej córce, pogrążonej w myślach w cieniu starego buka.

Blue darzyła ojca niezwykle ciepłymi uczuciami, zważywszy na to, że nigdy go nie spotkała.

Gdzieś w głębi domu zamknęły się drzwi, a potem znowu zapadła charakterystyczna nocna cisza, którą trudno zakłócić.

Po dłuższej chwili Blue sięgnęła po dziennik leżący na plastikowym pojemniku, który służył jej za szafkę nocną. Położyła dłoń na skórzanej okładce. Jej powierzchnia przypominała w dotyku chłodną, gładką korę buka rosnącego za domem. I podobnie jak wtedy, kiedy dotykała drzewa, Blue poczuła jednocześnie ulgę i niepokój, jakby otrzymała jakieś zapewnienie, a zarazem motywację do działania.

„Henrietta to spokojne miejsce” – powiedziała Neeve. Dziennik chyba się z tym zgadzał. Miejsce do czego? Dziewczyna nie była pewna.

Blue nie chciała znów zasnąć, a jednak sen ją ogarnął – na godzinę i dwadzieścia minut. Ale i tym razem nie obudził jej budzik, tylko myśl, która tłukła się jej po głowie: „Gansey jest dzisiaj umówiony na wróżenie”.

Przed wyjściem do szkoły, w wirze zwykłych porannych czynności, rozmowa Maury z Neeve wydawała się Blue znacznie bardziej banalna niż nocą. Jednak dziennik nie stracił nic ze swojej magicznej aury. Siedząc na brzegu łóżka, dziewczyna delikatnie przesunęła palcami po jednym z cytatów.

„Król nadal śpi pod górą, a dookoła niego pospołu wojownicy, stada i bogactwa. Po jego prawicy leży puchar napełniony sposobnościami. Na jego piersi spoczywa miecz w oczekiwaniu na przebudzenie. Szczęśliwy ten, kto odnajdzie króla i okaże męstwo potrzebne, ażeby go zbudzić, albowiem król uczyni mu dobrodziejstwo tak słuszne, jak tylko może stać się udziałem śmiertelnika”.

Blue zamknęła dziennik. Czuła się tak, jakby wewnątrz niej siedziała druga, większa, okropnie ciekawska Blue i chciała wyskoczyć z tej mniejszej, rozsądniejszej, w której była uwięziona. Rozmyślała długo z dziennikiem na kolanach, trzymając dłoń na jego chłodnej okładce.

Dobrodziejstwo.

Co dla niej byłoby największym dobrodziejstwem? Nie martwić się o pieniądze? Dowiedzieć się, kim jest ojciec? Podróżować po świecie? Widzieć to, co widzi jej matka?

W głowie dziewczyny znowu zadźwięczała myśl: „Gansey jest dzisiaj umówiony na wróżenie”.

„Jaki on się okaże”?

Może gdyby stanęła przed śpiącym królem, poprosiłaby go o uratowanie życia Ganseyowi?

– Blue, mam nadzieję, że już wstałaś?! – wrzasnęła z dołu Orla.

Dziewczyna musiała niedługo wyjść, żeby zdążyć rowerem do szkoły. Już za kilka tygodni taka jazda będzie nieprzyjemna z powodu upału.

Może więc poprosiłaby śpiącego króla o samochód?

„Szkoda, że nie mogę urwać się dzisiaj z lekcji” – westchnęła w duchu.

Szkoła nie budziła w Blue lęku. Przypominała raczej... stan zawieszenia. Nikt jej tam nie dokuczał. Dziewczyna szybko odkryła, że im dziwniej wygląda, im wyraźniej daje do zrozumienia napotkanym ludziom, że nie jest taka jak oni, tym mniej prawdopodobne, że będą się jej czepiać. Właściwie kiedy zaczęła chodzić do liceum, bycie dziwną i wyniosłą stało się jej atutem. Nagle okazało się, że jest *cool* i mogłaby mieć tylu przyjaciół, ilu tylko by chciała. I nie chodzi o to, że nie *próbowała*. Ale kiedy jest się dziwną, problem polega na tym, że wszyscy inni są *normalni*. Z tego powodu grono przyjaciół Blue niezmiennie ograniczało się do człon-

ków jej najbliższej rodziny, a szkoła pozostawała uciążliwym obowiązkiem. Mimo wszystko dziewczyna nie traciła nadziei, że gdzieś na świecie są inni ludzie tak samo dziwni jak ona. Nawet jeśli tak trudno było spotkać ich w Henriecie.

„Kto wie – pomyślała Blue – może Adam też jest dziwny?”.

– Blue! – wrzasnęła znowu Orla. – Do szkoły!

Z dziennikiem przyciśniętym do piersi dziewczyna ruszyła na koniec korytarza, w stronę drzwi pomalowanych na czerwono. Po drodze musiała minąć gorączkowe zamieszanie w pokoju zwanym „telefonicznym”, „krawieckim” lub po prostu „pokojem kota” oraz tereny zaciekłych walk o łazienkę. Za czerwonymi drzwiami mieszkała Persefona, jedna z dwóch najbliższych przyjaciółek Maury. Drzwi były uchylone, ale Blue i tak delikatnie zapukała. Persefona źle sypiała i rzucała się we śnie. Dzięki temu, że krzyczała w środku nocy, nie musiała z nikim dzielić pokoju. W ciągu dnia drzemała, kiedy się tylko dało. Blue nie chciała jej obudzić.

– Wolne. To znaczy otwarte – powiedział cichy, lekko zachrypnięty głos.

Kiedy Blue pchnęła drzwi, jej oczom ukazała się Persefona usadowiona pod oknem przy stoliku do kart. Zwykle zapamiętywano jej włosy: długą, falującą jasnon blond zasłonę sięgającą ud. Ten, kto dostrzegł więcej niż włosy, czasem przypominał sobie także jej sukienki – wymyślne zwiewne kreacje – albo niebanalne koszule. A ci, którzy zdołali odtworzyć i te szczegóły, odczuwali niepokój na wspomnienie jej oczu – lustrzanej czerni źrenic zanurzonych w ciemności.

Persefona trzymała ołówek w dziwny, dziecinny sposób. Na widok Blue na jej czole utworzyły się pionowe bruzdy.

– Dzień dobry – odezwała się dziewczyna.

– Dzień dobry – powtórzyła jak echo Persefona. – Jest za wcześnie. Moje słowa jeszcze nie chcą mnie słuchać, więc spróbuję używać tych, które słuchają ciebie.

Zatoczyła dłonią jakiś chaotyczny łuk. Blue potraktowała ten gest jako zaproszenie, żeby usiadła. Większość łóżka zajmowały fantazyjnie wyszywane legginsy i rajstopy w szkocką kratę, rozrzucone jak pary zatrzymanych w biegu nóg, ale Blue znalazła skrawek wolnej przestrzeni, żeby przycupnąć na brzegu. W całym pokoju unosił się jakiś znajomy zapach, jakby pomarańczy, pudru dla niemowląt albo nowego podręcznika.

– Źle spałeś? – zapytała Blue.

– Źle – powtórzyła znowu Persefona. I dodała: – Och, no dobrze, to właściwie niezupełnie prawda. Jednak będę musiała używać własnych słów.

– Nad czym pracujesz?

Od czasu do czasu Persefona przystępowała do niekończącej się pracy nad swoim doktoratem, ale ponieważ wymagało to niepokojącej muzyki i częstych przekąsek, rzadko robiła to w godzinach porannych.

– Nad czymś maleńkim – odparła Persefona ze smutkiem.

A może z roztargnieniem – trudno powiedzieć.

Blue nie lubiła zadawać pytań. Persefona miała kiedyś kochanka albo męża, który zginął lub wyjechał za granicę – trudno było wyciągnąć z niej jakieś szczegóły – i słynęła z tego, że za nim tęskni, a przynajmniej dostrzega jego nieobecność. Ale i o to Blue nie miała ochoty wypytywać. Odziedziczyła po matce niechęć do patrzenia na łzy innych ludzi, więc starała się unikać rozmów na tematy, które mogły do

nich prowadzić.

Persefona uniosła kartkę, którą miała przed sobą, tak, żeby Blue mogła zobaczyć, co na niej jest. Widniało tam słowo „trzy” wypisane trzykrotnie trzema różnymi charakterami pisma, a poniżej przepis na kruche ciasto z kremem bananowym.

– Ważne sprawy chodzą trójkami? – zasugerowała Blue, zgadując.

To było jedno z ulubionych powiedzonek Maury.

Persefona podkreśliła w przepisie słowa „łyżka stołowa” oraz „wanilia”.

– Albo siódemkami – głos kobiety był roztargniony i nieobecny. – To dużo wanilii. Można pomyśleć, że to błąd w druku.

– Można pomyśleć – powtórzyła Blue.

– *Blue!* – zawołała Maura. – Wyszłaś już?!

Dziewczyna nie odpowiedziała, bo miała wrażenie, że wołanie zalicza się do przenikliwych dźwięków, a Persefona ich nie lubiła.

– Coś znalazłam – oznajmiła tylko. – Obiecasz, że nikomu nie powiesz, jeśli ci to pokażę?

To było niepotrzebne pytanie. Persefona właściwie nic nikomu nie mówiła, nawet jeśli to nie było tajemnicą.

Blue podała jej dziennik.

– Czy mam go otworzyć? – spytała Persefona.

Blue skinęła głową. Wierciła się na łóżku, przyglądając się, jak przyjaciółka matki z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przewraca kartki.

– No i? – zapytała wreszcie Blue.

– Bardzo ładne – odrzekła Persefona uprzejmie.

– To nie moje.

– *Widzę.*

– Ktoś to zostawił u Ni... Czekaś, skąd wiesz, że to nie należy do mnie?

Persefona przewracała kartki to w jedną, to w drugą stronę. Jej delikatny, dziecinny głosik był tak cichy, że Blue musiała wstrzymać oddech, żeby go słyszeć.

– Przecież widzę, że ten brulion należy do jakiegoś chłopaka. Szuka czegoś od lat. Ty już byś to znalazła.

– Blue! – ryknęła Maura. – Wołam cię ostatni raz!

– Co według ciebie powinnam z tym zrobić? – zapytała dziewczyna.

Podobnie jak wcześniej Blue, Persefona przesuwiała palcami po różnych fakturach papieru. Miała rację. Gdyby to Blue szukała Glendowera, po prostu wynotowałyby sobie najważniejsze informacje, zamiast bawić się w wycinanie i wklejanie całych partii tekstu. Te fragmenty może i były intrygujące, ale zupełnie niepotrzebne. Ktokolwiek je zgromadził, musiał delektować się poszukiwaniami i samym zbieraniem informacji. Walory estetyczne dziennika nie mogły być dziełem przypadku. To było prawdziwe dzieło sztuki.

– No – powiedziała Persefona. – Na początek mogłabyś się dowiedzieć, do kogo ten brulion należy.

Blue się skuliła. To była bezlitośnie słuszna odpowiedź, taka, jakiej mogłaby się spodziewać po Maurze albo Calli. Oczywiście wiedziała, że musi zwrócić dziennik jego prawowitemu właścicielowi. Ale gdzie tu dobra zabawa?

– A potem pewnie przydałoby się sprawdzić, czy to wszystko prawda, nie uwa-

zasz?

Rano przy skrzynkach na listy nie było Adama.

Kiedy Gansey przyjechał po niego pierwszy raz, zatrzymał się pod samym domem. Właściwie chciał tylko zawrócić. Na osiedle prowadziły dwie koleiny – „droga” byłaby dla nich określeniem zbyt wzniosłym – i na pierwszy rzut oka trudno było uwierzyć, że wiodą do jakiegoś domu, a tym bardziej osiedla. Kiedy Gansey trafił na miejsce, sprawy miały się jeszcze gorzej. Na widok jego szkolnego swetra pan Parrish wybiegł na zewnątrz i przywitał go najlepiej, jak umiał. Później jeszcze przez kilka tygodni Ronan nazywał Ganseya NLS, gdzie „N” było skrótem od „nadziany”, „L” od „lalusiowaty”, a „S” od czegoś jeszcze innego.

Więc teraz po prostu spotykali się w miejscu, gdzie kończył się asfalt.

Ale dziś, obok stłoczonych skrzynek na listy, zamiast Adama przywitała Ganseya pusta przestrzeń. Ogromna pustka. W porównaniu z innymi dzielnicami Henriety, teren był tutaj zupełnie płaski, a pola wydawały się zawsze trochę bardziej wysuszone i pozbawione kolorów niż reszta doliny, jakby omijały je nie tylko większe drogi, ale i deszcze. Nawet o ósmej rano nigdzie nie było ani skrawka cienia.

Wpatrując się w wysuszoną polną drogę, Gansey wybrał domowy numer Adama, ale nikt nie odbierał. Spojrzał na zegarek. Zostało mu osiemnaście minut na dojazd do szkoły, który zwykle zajmował piętnaście.

Czekał. Kiedy silnik pracował na luzie, wszystko w Świni się trzęsło. Gansey przyglądał się terkoczącemu drążkowi zmiany biegów. Jego stopy smażyły się w bezpośredniej bliskości silnika V-8. Wnętrze samochodu zaczynało cuchnąć benzyną.

Zadzwoił do Monmouth Manufacturing. Odebrał Noah. Mówił takim głosem, jakby telefon go obudził.

– Noah! – huknął Gansey, przekrzykując silnik. Uważał, że to przez niego zostawił „U Nina” swój dziennik. Brak brulionu zaskakująco go niepokoił. – Nie pamiętasz, czy Adam idzie dzisiaj do pracy?

Kiedy ich przyjaciel pracował, zwykle jeździł do szkoły rowerem, żeby mieć potem czym dojechać do fabryki.

Noah chrząknął przecząco.

Szesnaście minut do rozpoczęcia lekcji.

– Zadzwoń do mnie, gdyby się odezwał.

– Wychodzę – odparł Noah. – Już prawie wyszedłem.

Gansey rozłączył się i jeszcze raz wybrał numer Adama. Nawet jeśli jego matka była w domu, to nie odbierała, a teraz naprawdę nie było już czasu, żeby wjeżdżać na osiedle.

Mógł się urwać z lekcji.

Rzucił telefon na siedzenie pasażera.

– Nie wyglupiaj się, Adam – mruknął.

Ze wszystkich liceów z internatem, do których chodził Gansey – a było ich wiele w ciągu czterech lat jego młodocianej włóczęgi – Aglionby Academy była ulubioną szkołą jego ojca, bo miała największe szanse zrobić z Richarda III absolwenta

prestżowego uniwersytetu. A potem senatora, co było prostą konsekwencją wysokiego poziomu nauczania. Dla Ganseya zaś od dawna liczyły się przede wszystkim poszukiwania Glendowera; szkoła pozostawała na drugim planie. Chłopak był inteligentny i nauka szła mu nieźle, więc opuszczanie lekcji czy odrabianie zadań domowych po łóbkach uchodziło mu płazem. Ale w Aglionby nie stawiano ocen niedostatecznych. Średnia poniżej czterech oznaczała, że wylatywało się na zbity pysk. A Dick Gansey II dał swojemu synowi do zrozumienia, że jeśli nie da sobie rady w prywatnym liceum, zostanie skreślony z testamentu.

Trzeba przyznać, że powiedział to uprzejmie, nad talerzem fettuccine.

Gansey nie mógł się urwać z lekcji. Nie po tym, jak nie dotarł do szkoły poprzedniego dnia. Krótka piłka. Czternaście minut na dojazd do szkoły, a Adama nie było.

Gansey poczuł, jak z jego płuc powoli wypęłza dawny, stłumiony lęk.

„Bez paniki. W nocy pomyliłeś się co do Ronana. Pora z tym wreszcie skończyć. Śmierć nie czai się za każdym rogiem”.

Przygnębiony, jeszcze raz wybrał domowy numer Adama. Nic. Musiał uciekać. Parrish na pewno pojechał rowerem, na pewno dzisiaj pracuje, na pewno miał coś do załatwienia i zapomniał mu o tym powiedzieć. Kolejny prowadzący na osiedle wciąż były puste.

„Nie wygłupiaj się, Adam”.

Gansey wytarł dłonie o spodnie, położył je na kierownicy i ruszył do szkoły.

Dopiero na trzeciej lekcji mógł się przekonać, czy Adam dotarł do szkoły. Chodzili razem na łacinę. Z nieznanых powodów był to także jedyny przedmiot, którego nigdy nie opuszczał Ronan. Z łaciny był najlepszy w klasie. Uczył się bez entuzjazmu, ale zawzięcie, jakby od tego zależało jego życie. Adam – w pozostałych przedmiotach niedościgniony – z łaciny był drugi. Uczył się zawzięcie jak Ronan, z tym że jego przyszłe życie *naprawdę* od tego zależało.

Gansey wolał francuski. Powiedział Helen, że nie widzi pożytku ze znajomości języka, który nie pozwala na przeczytanie menu w restauracji, ale w rzeczywistości chodziło o to, że nauka francuskiego przychodziła mu łatwiej niż łaciny. Jego matka trochę знаła ten język. Ostatecznie Gansey zrezygnował z francuskiego na rzecz łaciny, żeby móc czytać w oryginale historyczne teksty przydatne w poszukiwaniach Glendowera, ale kiedy się zorientował, że ma pod ręką Ronana, który tak dobrze radzi sobie z tym przedmiotem, stracił motywację do nauki.

Lekcje łaciny odbywały się w Borden House, małym, drewnianym budynku w innej części kampusu niż Welch Hall, główny gmach szkoły. Kiedy Gansey wielkimi krokami przemierzał trawnik, dogonił go Ronan i klepnął mocno w ramię. Jego oczy wyglądały tak, jakby nie spał od kilku dni.

– Gdzie jest Parrish? – syknął.

– Nie przyjechał ze mną – powiedział Gansey, tracąc resztki nadziei. Ronan chodził z Adamem na drugą lekcję. – Nie widziałeś go jeszcze?

– Sam dopiero przyszedłem.

Nagle ktoś rąbnął Ganseya pięścią w łopatkę.

– Gansey, chłopie!

Chłopak bez entuzjazmu podniósł trzy palce w geście pozdrowienia drużyny

wioślarskiej.

– Próbowałem się do niego dodzwonić – powiedział.

– Przydałaby się frajerowi komórka – odparł Ronan.

Kilka miesięcy wcześniej Gansey zaproponował, że kupi Adamowi komórkę, co wywołało najdłuższą kłótnię w historii ich znajomości. Nie odzywali się do siebie przez tydzień, a pogodzili dopiero wtedy, kiedy Ronan zrobił coś, co obraziło ich jeszcze bardziej.

– Lynch!

Gansey spojrzał w stronę, z której dobiegał głos. Ronan się nie obejrzał. Właściciel głosu był w połowie trawnika. W mundurku szkolnym trudno go było zidentyfikować.

– Lynch! – dobiegło ich ponownie wołanie. – Masz przesrane!

Ronan nadal nie reagował. Poprawił pasek torby na ramieniu i spokojnie szedł dalej.

– Co to ma być? – zapytał Gansey.

– Niektórzy ludzie źle znoszą porażki – odparł z wyższością Ronan.

– Czy to był Kavinsky? Nie mów, że znowu się z nim ścigałeś.

– To nie pytaj.

Gansey zastanawiał się, czy nie wprowadzić godziny policyjnej. Albo czy nie zrezygnować z wioślarstwa, żeby w piątki spędzać więcej czasu z Ronanem – wiedział, że właśnie wtedy szuka guza, jeżdżąc swoim bmw. Może mógłby go jakoś przekonać, żeby...

Ronan znowu poprawił pasek na ramieniu i tym razem Gansey przyjrzał mu się uważniej. Torba była znacznie większa od tej, którą zwykle nosił. Obchodził się z nią ostrożnie, jakby coś mogło się z niej wylać.

– Po co to taszczysz? – spytał ze zdziwieniem. – Boże, masz tam tego ptaka?

– Musi jeść co dwie godziny.

– Skąd wiesz?

– Rety, Gansey, nie wiesz, co to internet?

Ronan otworzył drzwi do Borden House. W środku, jak okiem sięgnąć, wszystko było wyłożone granatową, dywanową wykładziną.

– Jeśli cię złapią z tym... – zaczął Gansey, ale nic nie przychodziło mu do głowy, bo co mogło grozić za przemycenie do klasy żywego ptaka? Nie był pewien, czy jest jakiś precedens. – Jeśli on zdechnie w tej torbie, nie wąż się wyrzucić go w klasie – powiedział tylko.

– *Ona* – poprawił Ronan. – To jest samiczka.

– Ta, jasne. Uwierzyłbym, gdyby było po czym poznać. Lepiej, żeby nie miała ptasiej grypy.

Ale tak naprawdę nie interesował go kruk Ronana. Nie mógł przestać myśleć o Adamie, którego nie było w sali wyłożonej granatowym dywanem.

Zajęli swoje miejsca w ostatnich ławkach. Whelk wypisywał na tablicy czasowniki.

Kiedy wchodzili, nauczyciel przerwał pisanie w pół słowa: *internec*... Chociaż nie miał ku temu żadnych podstaw, Gansey nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uniesiony kawałek kredy w ręce Whelka znieruchomiał wyłącznie z ich powodu, a nauczy-

ciel przerwał pisanie tylko po to, żeby podsłuchać, o czym mówią. Podejrzliwość Adama naprawdę była zaraźliwa.

Ronan pochwycił spojrzenie Whelka i wytrzymał je, nie kryjąc niechęci. Pomi-
mo zainteresowania łaciną już na początku roku oznajmił, że nie przepada za nauczy-
cielem tego przedmiotu, którego uważał za niewyrobionego towarzysko, bezużytecz-
nego dupka. Wprawdzie Ronan pogardzał wszystkimi, co czyniło go wątpliwym au-
torytetem w kwestii znajomości ludzkich charakterów, jednak trudno było się nie
zgodzić, że Whelk ma w sobie coś odpychającego. Gansey kilkakrotnie próbował po-
rozmawiać z nim o historii Rzymu, wiedząc dobrze, jaki zbawienny wpływ na oceny
może mieć entuzjastyczna pogawędka naukowa z nauczycielem. Ale Whelk był za
młody na mentora i za stary na kumpla. Gansey jakoś nie mógł znaleźć z nim płasz-
czyzny porozumienia. Przestał już nawet próbować.

Ronan nadal gapił się na łacinnika. Był w tym dobry. Jego spojrzenie miało
moc odbierania czegoś innym.

Wreszcie nauczyciel z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– Co zamierzasz zrobić z Parrishem? – zapytał Ronan, kiedy rozprawił się już
z ciekawością Whelka.

– Myślę, że zajrzę do niego po lekcjach.

– Pewnie jest chory.

Spojrzeli na siebie. „Już szukamy dla niego wymówki” – pomyślał Gansey.

Ronan znowu zajrzał do torby. Ganseyowi mignął w jej czeluściach dziób pi-
sklęcia. W innej sytuacji po raz kolejny popadłby w zadumę nad tym nieprawdopo-
dobnym faktem, że Ronan znalazł kruka, ale zniknięcie Adama odarło poszukiwania
Glendowera z całej magii. Miał wrażenie, że poświęcił lata na splatanie ze sobą zbie-
gów okoliczności, jakby tkął jakąś tkaninę, a efektem tej pracy był dziwny materiał –
zbyt ciężki, żeby go nosić, a jednocześnie zbyt delikatny, żeby mógł się na cokolwiek
przydać.

– Panie Gansey, panie Lynch?

Przy ich ławkach nagle zmaterializował się Whelk. Spojrzeli na niego. Gansey
uprzejmie, Ronan wrogo.

– Ma pan dzisiaj wyjątkowo dużą torbę, panie Lynch – powiedział Whelk.

– Wie pan, co mówią do siebie mężczyźni z dużymi torbami? – zapytał Ronan.

– *Ostendes tuum et ostendam meus*¹.

Gansey nie miał pojęcia, co powiedział przyjaciel, ale sądząc po jego uśmiesz-
ku, nie był to szczyt uprzejmości.

Mina Whelka potwierdzała te podejrzenia, ale nauczyciel tylko zastukał w ław-
kę Ronana i poszedł dalej.

– Zgrywanie dupka po łacinie to nie jest sposób, żeby mieć piątkę na świadec-
twie – skomentował Gansey.

Ronan uśmiechnął się promiennie.

– W zeszłym roku się sprawdził.

Whelk stał już z powrotem przy tablicy i zaczynał lekcję.

Adam się nie pojawił.

Mamo, po co Neeve tu przyjechała? – zapytała półgłosem Blue.

Stała razem z matką na kuchennym stole. Gdy tylko wróciła ze szkoły, Maura zwerbowała ją do pomocy przy wymianie żarówek w źle zaprojektowanej witrażowej lampie nad stołem. Ów skomplikowany proces wymagał co najmniej trzech par rąk i na ogół odkładano go do czasu, gdy przepaliła się większość żarówek. Blue nie miała nic przeciwko temu, żeby pomóc. Chciała się czymś zająć, żeby nie myśleć o czekającym ją spotkaniu z Ganseyem. I o tym, że Adam nie zadzwonił. Na wspomnienie poprzedniego wieczoru czuła dziwną niepewność.

– Należy do rodziny – odparła Maura ponuro i brutalnie chwyciła łańcuch żyrandola, mocując się z upartą żarówką.

– I dlatego wraca do domu w środku nocy?

Maura rzuciła córce gniewne spojrzenie.

– Po kim ty masz te wielkie uszy? Ona po prostu pomaga mi czegoś szukać.

Skoro już tu jest.

Ktoś wszedł do domu. Żadna z nich nie zwróciła na to uwagi, ponieważ zarówno Calla, jak i Persefona kręciły się w pobliżu. Nie spodziewały się wprawdzie ujrzeć Calli, która była wybuchową istotą, wiodącą osiadły tryb życia, ale Persefona często dawała się kierować dziwnym prądem, które miały ją w różnych kierunkach.

– Czego pomaga ci szukać? – zapytała Blue i poprawiła uchwyt na witrażowym kloszu.

– Blue!

– Czego pomaga ci szukać?

– Nie czego, tylko *kogo* – powiedziała wreszcie Maura.

– Więc *kogo* pomaga ci szukać?

Ale zanim matka zdążyła odpowiedzieć, usłyszały męski głos:

– To dziwny sposób prowadzenia firmy.

Obie powoli się odwróciły. Właściciel głosu stał w drzwiach do kuchni z rękami w kieszeniach. Był to młody, może dwudziestopięcioletni mężczyzna, z burzą czarnych włosów, raczej przystojny, kiedy mu się uważniej przyjrzeć. Wszystkie elementy jego twarzy wydawały się trochę przerośnięte.

Maura zerknęła na Blue, unosząc brew. Córka w odpowiedzi wzruszyła ramieniem. Nie wyglądał, jakby zamierzał je zamordować albo wynieść z domu sprzęt elektroniczny.

– A to – odrzekła jej matka, puszczając kłopotliwy element oświetlenia kuchni – jest bardzo dziwny sposób wchodzenia do czyjegoś domu.

– Przepraszam – powiedział młody człowiek. – Na zewnątrz jest nazwa; myślałem, że to siedziba firmy.

Rzeczywiście, znajdował się tam szyld, ręcznie malowany – choć Blue nie wiedziała czyją ręką – na którym napisano „WRÓŻKA”. A poniżej...

– Wyłącznie po wcześniejszym uzgodnieniu terminu – wyjaśniła Maura i z dezaprobatą zerknęła w stronę kuchni.

Blue zostawiła wcześniej na kuchennym blacie kosz z czystym praniem. Na samym wierzchu prezentował się dumnie jeden z różowofioletowych, koronkowych biustonoszy matki. Blue nie miała poczucia winy. Zwykle po kuchni nie kręcili się mężczyźni.

– W takim razie chciałbym się umówić – oznajmił mężczyzna.

Wszyscy troje odwrócili się na dźwięk głosu dobiegającego od strony drzwi.

– Mogłybyśmy panu zaproponować potrójnego tarota.

U podnóża schodów stała niska i blada postać składająca się głównie z włosów. Mężczyzna wlepił w nią wzrok, choć Blue nie była pewna, czy zrobił to, ponieważ zastanawia się nad propozycją, czy też patrzy po prostu dlatego, że jest na co popatrzyć.

– A co to takiego? – zapytał wreszcie.

Blue dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że przybysz pyta o „potrójnego tarota”, a nie o Persefonę. Maura zeskoczyła ze stołu, wprawiając w drżenie szklanki w szafce. Blue zachowała przy schodzeniu więcej powagi. W końcu trzymała w ręce pudełko żarówek.

– Persefona, Calla i ja stawiamy wtedy karty równocześnie i porównujemy nasze interpretacje – wyjaśniła Maura. – Ona nie każdemu to proponuje.

– Czy to drożej kosztuje?

– Nie, jeżeli wymieni pan tę żarówkę – powiedziała Maura, wycierając ręce o dżinsy.

– Dobrze – zgodził się przybysz, choć wydawał się lekko zirytowany.

Maura dała znak Blue, która szybko podała mężczyźnie żarówkę.

– Persefono, zawołasz Callę? – poprosiła.

– Ojej – odrzekła cicho Persefona.

Jej głos z natury był niezbyt donośny, a kiedy mówiła cicho, stawał się ledwo słyszalny. Ale odwróciła się i poszła na górę. Jej bose stopy nie wydawały żadnego dźwięku.

Maura spojrzała pytająco na Blue, która twierdząco skinęła głową.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, moja córka Blue będzie z nami w pokoju. W jej obecności karty mówią wyraźniej.

Mężczyzna rzucił dziewczynie spojrzenie pozbawione zainteresowania i wspiął się na stół, który skrzypnął pod jego ciężarem. Stęknął, próbując wkręcić upartą żarówkę.

– Sam pan widzi, że nie jest to łatwe – powiedziała Maura. – Jak się pan nazywa?

– Eee... – nadal mocował się z żarówką – wolałbym zachować anonimowość.

– Jesteśmy wrózkami, nie striptizerkami.

Blue się roześmiała, ale mężczyzna nie. Pomyślała, że to trochę nie w porządku w stosunku do niego, może nawet odrobinę w złym guście, a jednak było to zabawne.

Kiedy nowa żarówka znalazła się na swoim miejscu, kuchnia nagle się rozjaśniła. Mężczyzna bez słowa zszedł na krzesło, a potem na podłogę.

– Zachowamy dyskrecję – obiecała Maura i pokazała mu, żeby poszedł za nią.

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju do wróżenia z chłodnym zainteresowaniem.

Jego wzrok padł na świece, rośliny doniczkowe, kadzidełka, misterny żyrandol nad rustykalnym stołem dominującym we wnętrzu, firanki w oknach i wreszcie oprawione zdjęcie Steve’a Martina.

– Z autografem – powiedziała Maura z dumą, widząc, że gość zwrócił na nie uwagę. – Ach. Jest i Calla – dodała po chwili.

Calla wpadła do pokoju ze zmarszczonymi brwiami, wściekła, że ktoś jej przeszkadza. Jej wargi, za sprawą szminki o niebezpiecznym śliwkowym odcieniu, zmieniły się w mały, zaciśnięty romb pod spiczastym nosem. Rzuciła mężczyźnie przeszywające spojrzenie, które dotarło na samo dno jego duszy, uznając ją za godną pogardy.

Następnie zabrała swoją talię kart z półki przy głowie Maury i opadła na krzesło na końcu stołu. Persefona stała w drzwiach za jej plecami, splatając i rozplatając dłonie. Blue usiadła pośpiesznie na drugim krześle przy końcu stołu. Pokój wydawał się teraz znacznie mniejszy niż przed kilkoma minutami. Była to głównie wina Calli.

– Proszę usiąść – powiedziała uprzejmie Persefona.

– Czego chce się pan dowiedzieć? – zapytała niezbyt uprzejmie Calla.

Mężczyzna usiadł. Maura odsunęła krzesło i zajęła miejsce naprzeciwko niego, między Callą a Persefoną (i jej włosami). Blue jak zawsze trzymała się trochę na uboczu.

– Wolałbym nie mówić – odrzekł mężczyzna. – Może wy mi to powiecie.

– Może.

Śliwkowy uśmiech Calli był iście szatański.

Maura podsunęła mężczyźnie talię kart i poprosiła, żeby je przetasował. Zrobił to zręcznie, choć z lekkim skrzepowaniem. Kiedy skończył, Persefona i Calla zrobiły to samo.

– Już panu wróżono – zauważyła Maura.

Wydał z siebie tylko niewyraźny, przytakujący pomruk. Blue widziała, że mężczyzna nie chce nic mówić na swój temat jakby w obawie, że przez to łatwiej byłoby go oszukać. A jednak nie nazwałaby go sceptykiem. Był nieufny jedynie w stosunku *do nich*.

Maura zabrała z powrotem swoją talię. Miała ją od niepamiętnych czasów; krawędzie kart wystrzępiły się od używania. Były to zwyczajne karty do tarota i jeśli mogły na kimkolwiek zrobić wrażenie, to tylko dzięki Maurze. Matka wybrała dzieśnięć kart i odkryła je. Calla zrobiła to samo ze swoją, trochę bardziej szeleszczącą talią. Wymieniła ją przed kilkoma laty, po tym, jak za sprawą pewnego niefortunnego incydentu straciła upodobanie do poprzedniej. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słychać było szelest kart na nierównym, pokrytym licznymi wyżłobieniami blacie.

Persefona przez chwilę przyglądała się znacząco mężczyźnie, trzymając karty w bardzo długich palcach. Wreszcie dołożyła do rzędu na stole tylko dwie, po jednej z każdej strony.

Blue uwielbiała się przyglądać, jak Persefona rozkłada karty: sprawny obrót nadgarstka i szelest papieru zawsze kojarzyły jej się ze sztuczką magika albo ruchem baletnicy. Talia Persefony wydawała się nie z tego świata – odrobinę większa od zbioru Maury i Calli; nawet jej figury były dziwne, delikatnie naszkicowane na rozmytym tle. Blue nigdy nie widziała podobnej talii. Maura powiedziała kiedyś, że le-

piej odpuścić sobie zadawanie Persefonie pytań, na które nie potrzebuje się koniecznie znać odpowiedzi, więc Blue nigdy się nie dowiedziała, skąd pochodzą jej karty.

Po rozłożeniu tarota Maura, Calla i Persefona zaczęły go analizować. Blue usiłowała dojrzeć coś między ich pochylonymi głowami. Jednocześnie starała się nie zwracać uwagi na nieznośny chemiczny zapach żelu do golenia, który czuła od mężczyzny. Był to jeden z tych kosmetyków, które zwykle sprzedają w czarnych pojemnikach pod nazwą typu „Shock”, „Excite” albo „Blunt Trauma”.

Calla przemówiła pierwsza. Obróciła kartę z trzema mieczami, żeby mężczyzna mógł jej się przyjrzeć. Trzy miecze przebijały krwawiące serce koloru ust wróżki.

– Stracił pan kogoś bliskiego.

Mężczyzna przyglądał się swoim dłoniom.

– Straciłem... – zaczął, a po chwili zastanowienia dokończył – wiele rzeczy.

Maura wydeła usta. Jedna z brwi Calli zbliżyła się do jej włosów. Wymieniły spojrzenia. Blue знаła je wystarczająco dobrze, żeby odczytać znaczenie tych komunikatów. Maura zapytała: „Co ty na to?”, a Calla odparła: „To jakiś obłąd”. Persefona nie powiedziała nic.

Maura dotknęła krawędzi piątki pentakli.

– Problemy finansowe – zauważyła. Karta przedstawiała kobietę przytrzymującą szal pod szyją oraz mężczyznę, który idzie o kuli po śniegu pod witrażowym oknem. – Z powodu kobiety – dodała.

Spojrzenie mężczyzny pozostało nieruchome.

– Moi rodzice mieli spory majątek. Ojciec został zamieszany w skandal finansowy. Teraz są po rozwodzie. Nie mają pieniędzy. Nie dla mnie.

Ujął to w dziwnie nieprzyjemny sposób. Bezlitośnie rzeczowy.

Maura wytarła dłonie. Wskazała kolejną kartę.

– A teraz wykonuje pan nudną pracę. Jest pan w tym dobry, ale to coś nużącego. – Jej usta zwężyły się, gdy to mówiła.

Persefona dotknęła karty, którą wyciągnęła na początku. Rycerz pentakli. Rysunek odzianego w zbroję mężczyzny o zimnych oczach, dokonującego oględzin pola z grzbietu konia. Postać trzyma w dłoni monetę. Blue pomyślała, że gdyby przyjrzała się krążkowi uważniej, mogłaby zobaczyć, co na nim widnieje. Wydawało jej się, że dostrzega trzy krzywe, tworzące wydłużony, dziobaty trójkąt. Kształt z cmentarza, z nieuważnych rysunków Maury, z dziennika.

A jednak nie, kiedy wyteżyła wzrok, okazało się, że to tylko niewyraźnie narysowana pięcioramienna gwiazda. Pentagram, od którego pochodziła nazwa karty.

Wreszcie przemówiła Persefona.

– Szuka pan czegoś – powiedziała cicho, ale wyraźnie.

Mężczyzna gwałtownie odwrócił głowę w jej stronę.

Karta Calli okazała się kolejnym rycerzem pentakli. Była to niespotykana wręcz zgodność dwóch talii. Po chwili obcy miał się przekonać, że karta Maury również przedstawia rycerza pentakli. Mieli przed sobą trzech wojowników o zimnym spojrzeniu, dokonujących oględzin ziem.

Trzech.

– Zrobi pan wszystko, żeby to odnaleźć. Poświęcił pan na to lata.

– Tak – warknął mężczyzna, zaskakując je brutalnością tonu. – Ale ile to jesz-

cze potrwa? Czy mi się to uda?

Trzy kobiety znowu spojrzały w karty, żeby znaleźć odpowiedź na jego pytanie. Blue również im się przyglądała. Może i nie miała daru jasnowidzenia, ale wiedziała, co symbolizują figury. Przesunęła wzrok od wieży, sugerującej, że jego życie ma się dramatycznie zmienić, do ostatniej karty – pazia kielichów. Zerknęła na matkę, która siedziała ze zmarszczonym czołem. Paź kielichów nie oznaczał złej wróżby; właściwie Maura twierdziła, że kiedy stawia sobie tarota, ta karta zawsze oznacza Blue.

„Jesteś paziem kielichów – powiedziała kiedyś Maura. – Popatrz na wszystkie te możliwości, które trzyma w pucharze. Spójrz, nawet jesteś do niego podobna”.

We wróżbie pojawił się więcej niż jeden paź kielichów. Podobnie jak w przypadku rycerza pentakli, ta karta wystąpiła trzykrotnie. Trzej młodzi ludzie o twarzach Blue trzymali kielichy możliwości. Tymczasem twarz Maury była ponura, wyjątkowo zgaszona.

Blue poczuła ciarki na plecach. Miała wrażenie, że nie ma końca zrządzeniom losu w jej życiu. Gansey, Adam, niewidoczne miejsce w misce z sokiem, obcy mężczyzna obok niej. Jej serce szalało.

Maura gwałtownie zerwała się z miejsca. Krzesło zachwiało się i uderzyło o ścianę.

– Wróżenie skończone – warknęła.

Persefona zwróciła na Maurę oszołomione spojrzenie. Calla, choć zdezorientowana, wydawała się zadowolona z konfliktu. Blue nie poznawała własnej matki.

– Słucham? – zapytał mężczyzna. – Pozostałe karty...

– Słyszał pan – powiedziała jadowicie Calla. Blue nie wiedziała, czy Calla również jest zaniepokojona, czy tylko popiera Maurę. – Wróżenie skończone.

– Niech się pan wynosi z mojego domu – rozkazała Maura. A potem, w widoczny sposób siłąc się na uprzejmość, dodała: – W tej chwili. Dziękuję. Do widzenia.

Ruszyła do drzwi wejściowych, a Calla odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce. Maura wskazała ręką za próg.

– Zostałem niewiarygodnie obrażony – oznajmił mężczyzna, wstając.

Maura nie odpowiedziała. Kiedy tylko wyszedł za drzwi, zatrzasnęła je z hukiem. W szafkach ponownie zadzwoniła porcelana.

Calla podeszła do okna. Odsunęła firankę i z czołem opartym o szybę, patrzyła, jak mężczyzna się oddala.

Maura chodziła w tę i z powrotem wzdłuż stołu. Blue chciała zadać jakieś pytanie, ale się rozmyśliła. Już miała spróbować, ale zrezygnowała. Miała wrażenie, że skoro nikt o nic nie pyta, ona też nie powinna.

– Co za nieprzyjemny młody człowiek – powiedziała Persefona.

Calla pozwoliła firance opaść na swoje miejsce.

– Mam jego numer rejestracyjny – oznajmiła.

– Mam nadzieję, że *nigdy* nie znajdzie tego, czego szuka – dodała Maura.

– Wkłada w to wiele wysiłku. Według mnie *coś* jednak znajdzie – rzekła z żalem Persefona, zabierając swoje karty ze stołu.

Maura rzuciła się w stronę córki.

– Blue, jeśli kiedyś zobaczysz tego człowieka, natychmiast się odwróć i odejdź.

– Nie – poprawiła Calla. – Kopnij go w jaja. A potem się odwróć i *uciekaj*.

Helen, starsza siostra Ganseya, zadzwoniła dokładnie w chwili, kiedy chłopak dojechał do polnej drogi prowadzącej do domu Parrishów. Odbieranie telefonu w Świni zawsze było skomplikowane. Po pierwsze, camaro miał ręczną skrzynię biegów, a po drugie, silnik pracował jak w ciężarówce. Do tego dochodziły jeszcze problemy z układem kierowniczym, instalacją elektryczną i brudna dźwignia zmiany biegów. Skutek był taki, że ledwo słyszał, co mówi Helen, i omal nie wylądował w rowie.

– Kiedy są urodziny mamy? – zapytała jego siostra.

Gansey cieszył się, że słyszy jej głos, i jednocześnie był wściekły, że zwraca mu głowę. Na ogół nieźle się dogadywali. Rodzeństwo Ganseyów należało do rzadkiego i skomplikowanego gatunku, którego przedstawiciele nie muszą przed sobą udawać, że są kimś, kim nie są.

– To ty zajmujesz się organizacją wesel – powiedział Gansey. Nagle na polną drogę wypadł jakiś kundel. Ujadał wściekle, próbując gryźć opony camaro. – Daty to twój żywioł.

– Czyli nie pamiętasz – odparła Helen. – A ja już nie zajmuję się organizacją wesel. No, może przez część dnia. A czasami przez cały dzień.

Helen nie czuła *potrzeby* wykonywania konkretnego zawodu. Miała za to liczne hobby, do których należało interesowanie się życiem innych.

– Pamiętam – odparł nerwowo. – Dziesiątego maja.

Uwiązany przed wejściem do pierwszego domu mieszaniec labradora zawył żałośnie, kiedy Gansey go mijał.

Kundel nie przestawał atakować opon. Jego warczenie zlewało się z łoskotem silnika.

W jednym z ogródków stało troje dzieci w koszulkach bez rękawów i strzelało z wiatrówek do dzbanków na mleko. Zawołały: „Hej, Hollywood!” i na powitanie wycelowały z wiatrówek w opony Świni. Małpowały Ganseya, udając, że trzymają przy uszach telefony. Chłopak poczuł dziwne ukłucie na widok tej trójki, ich zażyłości i otoczenia. Sam nie wiedział, czy to litość, czy zazdrość. Wszędzie było pełno kurzu.

– Gdzie jesteś? – zapytała Helen. – Na planie filmu Guya Ritchiego?

– Jadę do kolegi.

– Do tego wrednego czy tego z białej hołoty?

– Helen!

– Przepraszam – odpowiedziała. – Do Kapitana Lodowatego czy Chłopaka z Przyczepy?

– *Helen!*

Technicznie rzecz biorąc, Adam nie mieszkał w przyczepie, bo wszystkie domy na osiedlu były konstrukcjami dwukrotnie większymi od tych, które można transportować w całości. Adam wyjaśnił Ganseyowi, że ostatni z małych domów mobilnych został wywieziony kilka lat wcześniej, ale mówił to ironicznie, dając mu do

zrozumienia, że zdaje sobie sprawę, jak niewielkim awansem społecznym jest podwojenie rozmiarów mobilnego domu.

– Tata nazywa ich gorzej – stwierdziła Helen. – Mama powiedziała, że wczoraj przyszła na nasz adres jakaś dziwaczna książka o New Age. Wybierasz się w najbliższym czasie do domu?

– Może – odparł Gansey.

Widok rodziców jakoś zawsze przypominał mu o tym, jak niewiele osiągnął, jak podobni do siebie byli on i Helen, ile miał w szafie czerwonych krawatów, jak z wolna stawał się tym, kim Ronan tak bardzo nie chciał być. Zatrzymał się przed jasnoniebieskim domem, w którym mieszkali Parrishowie.

– Może wpadnę na urodziny mamy. Muszę przyjechać. Inaczej zrobi się nieprzyjemnie.

W telefonie komórkowym śmiech Helen zabrzmiał jak syczący, pozbawiony głębi chichot.

– Sam siebie posłuchaj, mówisz jak pieprzony gnojek. Założę się, że siedzisz teraz w tym swoim camaro, słuchasz kryminałów w wersji audio i czatujesz na laski przed wejściem do „Old Navy”.

– Cześć, Helen – powiedział Gansey, wcisnął „rozłącz” i wysiadł z samochodu.

Nad jego głową fruwała gruba, błyszcząca dzika pszczoła, odciągnięta od pracy przy niszczeniu schodów. Zapukał do drzwi i rozejrzał się po płaskim, brzydkim polu porośniętym martwą trawą. Myśl, że mieszkanie w ładnej okolicy dodatkowo kosztuje, powinna była przyjść mu do głowy już wcześniej, ale tak się nie stało. Adam mógł powtarzać mu w nieskończoność, że nie ma pojęcia o pieniądzach, ale nic nie wskazywało na to, żeby Gansey robił się od tego mądrzejszy.

„Tu nie ma wiosny” – zauważył nagle Gansey i ta myśl wydała mu się zaskakująco ponura.

Otworzyła matka Adama. Byli do siebie podobni – te same wydłużone rysy twarzy i szeroko rozstawione oczy. W porównaniu z matką Ganseya wydawała się stara i gruboskórna.

– Adam jest za domem – powiedziała, zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie.

Zerknęła na niego i czym prędzej odwróciła wzrok.

Gansey nie mógł się nadziwić, jak rodzice Adama reagowali na sweter Aglionby. Wyrobili sobie zdanie na jego temat, zanim zdążył otworzyć usta.

– Dziękuję – powiedział Gansey, ale to słowo miało smak trocin.

Tak czy owak, matka przyjaciela już zamknęła drzwi.

Adam leżał schowany pod podwoziem starego pontiaca bonneville ustawionego na podnośniku pod wiatą za domem. Z początku Gansey nie zauważył go w chłodnym, niebieskawym cieniu. Spod samochodu wystawała pusta miska olejowa, ale nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk, więc Gansey podejrzewał, że Adam nie tyle pracuje, ile po prostu nie ma ochoty być w domu.

– Cześć, tygrysie – powiedział Gansey.

Adam zgął nogi w kolanach i znieruchomiał, jakby zamierzał wyjść spod samochodu, ale się rozmyślił.

– Co jest? – zapytał bezbarwnym głosem.

Gansey wiedział, co oznacza to ukrywanie się. Gniew i wyrzuty sumienia ścisnęły mu pierś. W sytuacji Adama najbardziej frustrujące było to, że Gansey nie miał na nią wpływu. Najmniejszego.

– To są notatki z dzisiaj. – Rzucił zeszyt na roboczy stół. – Nie mogłem im powiedzieć, że jesteś chory. Za często cię nie było w zeszłym miesiącu.

– A co im powiedziałaś?

Głos Adama był spokojny.

Pod podwoziem zaszurało jakieś narzędzie.

– Daj spokój, Parrish. Wylaż – powiedział Gansey. – Miej to już za sobą.

Gansey podskoczył, gdy do jego zwisającej dłoni wsunął się zimny psi nos. Należał do kundla, który wcześniej zawzięcie atakował opony jego samochodu. Niechętnie podrapał sukę za nieforemnym uchem i cofnął rękę, kiedy doskoczyła do samochodu, obszczekując stopy Adama.

Właśnie się poruszyły.

Najpierw wyłoniły się podarte na kolanach bojówki, potem wypłowały T-shirt z napisem „Coca-Cola”, a na końcu wreszcie twarz Adama.

Na jego policzku rozszerzał się jak galaktyka ogromny, czerwony siniak. Drugi, ciemniejszy, widniał na środku nosa.

– Idziesz ze mną – powiedział natychmiast Gansey.

– Jak wrócę, będzie jeszcze gorzej.

– Mam na myśli: na dobre. Przenieś się do Monmouth. Dość tego.

Adam wstał. Pies skakał zachwycony wokół jego nóg, jakby pan wrócił z innej planety, a nie po prostu wyszedł spod samochodu.

– A co będzie, jak wyjedziesz z Henrietty za Glendowerem? – zapytał zmęczonym głosem.

Gansey nie mógł obiecać, że do tego nie dojdzie.

– Pojedziesz ze mną.

– Z tobą? Co z tego wyniknie? Szlag trafi cały wysiłek, jaki włożyłem w naukę. Musiałbym zaczynać od zera w następnej szkole.

Adam powiedział kiedyś Ganseyowi: „Kariera od pucybuta do milionera to nie jest historia, której ktokolwiek ma ochotę słuchać, gdy jest niekompletna”. Ale trudno ją dokończyć, jeśli opuszcza się szkołę. Bez promocji do następnej klasy nie było mowy o szczęśliwym zakończeniu.

– Nie musiałbyś przecież chodzić do takiej szkoły jak Aglionby. Kto powiedział, że trzeba skończyć najlepszą uczelnię w kraju? Są inne sposoby, żeby coś w życiu osiągnąć, prawda?

– Ja cię nie oceniam po tym, co robisz, Gansey – odparł szybko Adam.

Tu dochodzili do drażliwego punktu, bo Gansey zdawał sobie sprawę, że Parrish nie bez oporów zaakceptował motywy jego poszukiwań. Wiele przemawiało za tym, żeby nie zawracać sobie głowy rojeniami Ganseya, ciągłymi dociekaniem, dlaczego wszechświat wybrał właśnie jego, żeby urodził się jako dziecko zamożnych rodziców, roztrząsywaniem, czy jego życiu przyświeca jakiś wyższy cel. Gansey *wiedział*, że musi czegoś dokonać; zostawić po sobie szczególnie wyraźny ślad ze względu na fory, które dostał na starcie; w przeciwnym razie znaczyłoby to, że jest niewiele wart.

„Biedni się martwią, że są biedni – medytował kiedyś Adam – a teraz się okazuje, że bogaci się martwią, że są bogaci”.

Ronan powiedział wtedy: „Hej, a ja jestem bogaty i wcale mnie to nie martwi”.

– Okej – stwierdził Gansey. – W takim razie znajdziemy inną dobrą szkołę. Będziemy dalej się w to bawić. Urządzimy ci nowe życie.

Adam sięgnął po szmatę leżącą za plecami przyjaciela i zaczął wycierać smar spomiędzy palców.

– Musiałbym szukać nowych fuch, żeby się utrzymać – powiedział. – Tego nie da się załatwić z dnia na dzień. Wiesz, ile czasu zajęło mi znalezienie tego, co teraz mam?

Nie miał na myśli pracy pod podnośnikiem za mobilnym domem swojego ojca. To była tylko pańszczyzna. Adam starał się nie stracić trzech zajęć zarobkowych, z których najważniejsza była praca w fabryce przyczep kempingowych na przedmieściach Henrietty.

– Mógłbym pokrywać koszty twojego utrzymania, dopóki czegoś nie znajdziesz – zaproponował Gansey.

Zapadła bardzo długa cisza, podczas której Adam nie przestawał czyścić palców. Nie podniósł wzroku na kumpla. Rozmawiali już o tym, więc w ciągu tych kilku chwil milczenia ponownie rozgrywały się trwające całymi dniami kłótnie. Rozbrzmiewały słowa powtarzane tak często, że nie trzeba było ich już przywoływać.

Sukces nic dla Adama nie znaczył, jeśli nie osiągnął go własnymi siłami.

Gansey robił, co mógł, żeby powstrzymać drżenie głosu, ale i tak nie potrafił opanować wzburzenia.

– Więc nie odejdziesz przez swoją dumę?! On cię w końcu zabije.

– Naoglądałeś się seriali kryminalnych.

– Raczej wieczornych wiadomości – odburknął Gansey. – Dlaczego nie chcesz, żeby Ronan nauczył cię bić się? Dwa razy ci to proponował. Mówił poważnie.

Adam bardzo starannie złożył szmatę brudną od smaru i przewiesił ją przez skrzynkę z narzędziami. Pod wiatą znajdowało się mnóstwo rzeczy. Nowe półki na narzędzia, kalendarze z modelkami topless, potężne kompresory powietrza i inne rzeczy, które pan Parrish uznawał za ważniejsze niż szkolny mundurek syna.

– Bo wtedy on mnie *naprawdę* zabije – stwierdził przyjaciel Ganseya.

– Nie chwytam.

– On ma broń.

– Ożeż...

Adam położył rękę na głowie suki, która omal nie oszalała ze szczęścia, i wychylił się z wiaty, żeby wyrzucić na drogę. Nie musiał mówić, czego się obawia.

– Proszę cię, Adam – odezwał się Gansey. – *Proszę*. Poradźmy sobie.

Adam odwrócił wzrok, a między jego brwiami utworzyła się zmarszczka. Nie patrzył na mobilne domy w oddali, ale gdzieś poza nie, na płaskie, bezkresne pola pokryte kępami wysuszonej trawy. Niejedno potrafiło tu trwać, jałowo egzystując.

– To by oznaczało, że nigdy nie będę kierował swoim życiem. Jeżeli pozwolę ci, żebyś mnie utrzymywał, moje życie będzie należało do ciebie. Tak samo jak teraz należy do niego.

Gansey odczuł to jak niespodziewany cios. Zdarzały się dni, kiedy był przeko-

nany, że pieniądze nie mają wpływu na ich przyjaźń. Wszystko, co świadczyło o tym, że jest inaczej, bolało Ganseya bardziej, niż potrafiłby przyznać.

– Tak właśnie o mnie myślisz? – zapytał.

– Nie wiem, Gansey – powiedział Adam. – Nie znasz się na pieniądzach, chociaż tyle ich masz. Nie rozumiesz, że ludzie patrzą na mnie i na ciebie przez pryzmat tego, co posiadamy. To jedyne, co ich interesuje. Będą myśleli, że jestem twoją maskotką.

„Ja i moje pieniądze to jedno. Tylko to widzą we mnie inni. Nawet Adam” – pomyślał gorzko Gansey.

– Myślisz, że uda ci się zrealizować swoje plany, jeśli będziesz opuszczał szkołę i nie pojawiał się w pracy, bo tatuś spuścił ci łanie? – odparł ze złością. – Jesteś taki sam jak ona. Myślisz, że na to zasługujesz.

Adam niespodziewanie zrzucił z półki pudełko pełne gwoździ. Przeraźliwy hałas, z jakim uderzyły o beton, przestraszył ich obu.

Odwrócił się z powrotem do kolegi i stanął z założonymi rękami.

– Nie udawaj, że coś z tego rozumiesz – powiedział. – Nie przychodź tutaj z miną, jakbyś wszystko wiedział najlepiej.

Gansey uznał, że pora odejść. Postanowił, że nic więcej nie powie. A potem rzucił:

– W takim razie też nie udawaj, że masz powody do dumy.

Ledwo skończył, zdał sobie sprawę, że to było nie w porządku, w dodatku zwyczajnie mijało się z prawdą. Ale nie żałował, że to powiedział.

Wrócił do camaro i sięgnął po telefon. Chciał zadzwonić do Ronana, ale zasięg zupełnie zniknął, jak to się często zdarzało w Henriecie. Zwykle Gansey uważał to za skutek jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska. Przypuszczał, że zmiany pola magnetycznego zakłócają funkcjonowanie telefonów komórkowych, a czasem nawet dostawy prądu.

Teraz jednak pomyślał, że po prostu nie może się do nikogo dodzwonić.

Zamknął oczy. Myślał o rozszerzających się, miękkich brzegach siniaka na twarzy Adama i wyraźnym czerwonym śladzie na jego nosie. Wyobraził sobie, że przyjeżdża tu pewnego dnia i dowiaduje się, że przyjaciela nie ma, jest w szpitalu albo i gorzej, że jest w domu, ale bicie pozbawiło go czegoś ważnego.

Samo myślenie o tym, co może się wydarzyć, przyprawiało Ganseya o mdłości.

Nagle coś szarpnęło samochodem. Skrzypnęły drzwi po stronie pasażera.

Gansey otworzył oczy.

– Zaczekaj – powiedział Adam, dysząc. Nachylił się, żeby zajrzeć do samochodu. Siniak wyglądał upiornie. Skóra w tym miejscu wydawała się przezroczysta. – Nie odjeżdżaj tak...

Gansey zsunął ręce z kierownicy na kolana i spojrzał na kumpla. To był ten moment, kiedy Adam zwykle prosił go, żeby nie brał do siebie jego słów. Ale przecież one właśnie do niego zostały skierowane.

– Ja tylko próbuję pomóc.

– Wiem – odparł Adam. – Wiem. Ale ja tak nie potrafię. Nie mógłbym tak.

Gansey nie rozumiał, ale pokiwał głową. Chciał tylko, żeby to się już skończy-

ło; chciał cofnąć czas do chwili, kiedy słuchali we trzech nagrania z dyktafonu, a na twarzy Adama nie było jeszcze śladów uderzeń.

Za plecami kumpla dostrzegł jego matkę. Pani Parrish przyglądała się im, stojąc w drzwiach.

Adam na minutę zamknął oczy. Cienka skóra jego powiek drżała, jakby śnił na jawie.

A potem jednym szybkim ruchem wśliznął się na siedzenie pasażera.

Gansey otworzył usta, żeby zadać pytanie, ale nie zrobił tego.

– Ruszaj – rzucił Adam. Nie patrzył na przyjaciela ani na matkę, która nadal przyglądała im się z ganku. – Mieliśmy jechać do wróżki, tak? No to do roboty.

– Tak, ale...

– Muszę być w domu przed dziesiątą.

Adam spojrzał na Ganseya. W jego oczach było coś gwałtownego, mroźnego krew w żyłach, coś nienazwanego. Gansey zawsze się obawiał, że kiedyś to coś całkowicie zawładnie Adamem. Wiedział, że to kompromis ze strony kolegi, ryzykowny gest, który może odrzucić.

Po chwili wahania Gansey przybił z nim żółwika nad drążkiem skrzyni biegów. Adam odsunął szybę i położył dłoń na dachu, jakby musiał się czegoś przytrzymać.

Samochód toczył się powoli, gdy drogę zagroził im nadjeżdżający z przeciwna niebieski pikap. Gansey wyraźnie słyszał, jak Adam wstrzymuje oddech. Spojrzał przez przednią szybę i napotkał wzrok Roberta Parrisha. Ojciec Adama był dobrze zbudowany i szary jak sierpień, wyrósł nagle na polu otaczającym mobilne domy. Miał małe, ciemne oczka, w których Gansey nie dostrzegał podobieństwa do Adama.

Pan Parrish splunął przez okno. Nie zatrzymał się, żeby ich przepuścić. Adam wpatrywał się w pole kukurydzy, ale Gansey nie odwrócił wzroku.

– Nie musisz jechać ze mną – powiedział, bo był zmuszony to zrobić.

Głos Adama dobiegł jakby z daleka.

– Jadę.

Gansey szarpnął kierownicą i szybko dodał gazu. Świnia wypadła z kolein, wyrzucając spod kół tumany kurzu, i z łoskotem potoczyła się płytkim rowem. Serce waliło Ganseyowi niecierpliwie, ze strachu i pragnienia, żeby wykrzyczeć Robertowi Parrishowi prosto twarz wszystko, co o nim myśli.

Czuł na sobie jego wzrok, kiedy mijali pikapa i wracali na drogę.

Miał wrażenie, że ciężar tego spojrzenia mówi więcej o ich przyszłości niż cokolwiek, czego mogliby się dowiedzieć od wróżki.

Gansey nie przyszedł na umówioną godzinę stawiania kart, która nadeszła i minęła. Ani śladu Ganseya. A w dodatku, co było chyba jeszcze bardziej rozczarowujące, Adam nie dawał znaku życia. Blue odsunęła firanki, żeby wyjrzeć na ulicę, ale nie zobaczyła tam nic poza zwykłym popołudniowym ruchem ulicznym. Maura próbowała usprawiedliwiać chłopaka.

– Może źle zanotował godzinę – powiedziała.

Blue nie sądziła, żeby to była prawda.

Upłynęło kolejnych dziesięć minut.

– Może miał problemy z samochodem – zastanawiała się Maura.

Blue nie sądziła, żeby Ganseyowi akurat teraz zepsuł się samochód.

Calla sięgnęła po książkę, którą właśnie czytała, i ruszyła na górę. Dobiegł je stamtąd jej głos.

– Póki pamiętam. Jedź sprawdzić ten pasek w fordzie. Widzę w twojej przyszłości problemy z samochodem. Obok tego zapuszczonego sklepu z meblami. Zatrzyma się bardzo nieatrakcyjny mężczyzna z telefonem komórkowym i będzie natrętnie próbował ci pomóc.

Możliwe, że *naprawdę* widziała problemy z samochodem w przyszłości Maury, ale równie dobrze mogła to być hiperbola. W każdym razie Maura zanotowała to sobie w kalendarzu.

– Może przez pomyłkę umówiłam się z nim na jutro po południu zamiast na dzisiaj – powiedziała.

– *To akurat jest możliwe* – wymruczała Persefona. I dodała: – Może upiekę ciasto?

Blue zerknęła na nią z niepokojem. Pieczenie ciasta przez Persefonę było czynnością wymagającą czasu i czułości. Zdecydowanie nie lubiła, gdy jej przerywano. Nie zabierałaby się do pieczenia, gdyby sądziła, że Gansey jednak się pojawi.

Maura również przyjrzała się Persefonie, po czym wyjęła z lodówki karton żółtego soku owocowego i kostkę masła. Teraz Blue wiedziała już dokładnie, jak będzie wyglądała pozostała część dnia. Persefona upiecze coś słodkiego. Maura zrobi coś z masłem. W końcu pojawi się Calla i przygotowuje jakąś potrawę z kielbasą lub bekonem. Tak upływał właściwie każdy wieczór, chyba że miały w planach jakiś szczególny posiłek.

Blue nie wierzyła, że Maura podała Ganseyowi inny dzień. Skłaniała się raczej ku przypuszczeniu, że chłopak spojrzął na zegarek na desce rozdzielczej swojego mercedesa albo na wyświetlacz radia w astonie martinie i doszedł do wniosku, że termin stawiania kart pokrywa mu się ze wspinaczką albo squashem. A potem zrezygnował, tak samo jak Adam odpuścił sobie telefon do niej. Nie było się czemu dziwić. Właśnie czegoś podobnego spodziewała się po chłopakach z Aglionby.

Już miała wziąć druty i szkolne zeszyty i iść na górę się dąsać, kiedy z pokoju telefonicznego dobiegł wrzask Orli. Z jej wycia stopniowo wyłoniły się artykułowane dźwięki:

– Przed domem stoi camaro, rocznik siedemdziesiąty trzeci! *Pasuje do moich paznokci!*

Kiedy Blue ostatnim razem widziała paznokcie Orli, widniał na nich skomplikowany turecki wzór. Miała mgliste pojęcie o tym, jak wygląda camaro rocznik siedemdziesiąty trzeci, ale uznała, że jeśli jest pomalowany w tureckie wzory, to musi to być piękny wóz. Była przekonana, że Orla rozmawia teraz przez telefon, w przeciwnym razie już byłaby na dole, pożerając samochód wzrokiem.

– No proszę – powiedziała Maura, wkładając pojemnik z sokiem do zlewu.

Calla wróciła do kuchni. Wymieniły z Persefoną surowe spojrzenia.

Blue miała wrażenie, że jej żołądek zrobił się nagle dziwnie ciężki.

„Gansey. To wszystko”.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Jesteś gotowa? – zapytała Calla.

Gansey był chłopakiem, którego Blue miała zabić albo pokochać. A może jedno i drugie. Na takie rzeczy *nie można* było się przygotować. Jedyne, co jej pozostało, to czekać, aż Maura otworzy drzwi.

W progu stali trzech chłopcy; ich postacie oświetlało od tyłu zachodzące słońce, podobnie jak przed wieloma tygodniami postać Neeve. Trzy pary ramion: kwadratowe, silne i żylaste.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział chłopak stojący z przodu, ten o kwadratowych ramionach. Czuć było od niego miętę, podobnie jak na cmentarzu. – Czy to duży problem?

Blue знаła ten głos.

Złapała za poręcz schodów, żeby utrzymać się na nogach i nie zemdleć.

Prezydent wszedł do środka.

„O, nie. Tylko nie on!”.

Blue nieustannie zastanawiała się, jaką śmiercią może umrzeć Gansey, a tymczasem okazało się, że jej przeznaczeniem jest własnoręcznie go udusić. „U Nina” głośna muzyka zagłuszała miłe tony jego głosu, a zapach mięty ginął wśród silnej woni czosnku.

Ale teraz wszystko wydawało się oczywiste.

Kiedy znalazł się w środku, okazało się, że wygląda odrobinę mniej prezydencko, ale tylko dlatego, że rękawy jego koszuli z zapinanymi na guziki mankietami były niedbale podwinięte z powodu upału, a krawat zdjęty. Jego popielatobrązowe włosy także były w nieładzie, typowym dla ciepłego klimatu Wirginii. Jednak zegarek znajdował się na swoim miejscu, wystarczająco duży, żeby zwalić z nóg rabusia banków, a od Ganseya bił jakiś dziwny blask. Blask, który mówił, że nie tylko on nigdy nie był biedny, ale również jego ojciec ani ojciec jego ojca, ani też ojciec ojca jego ojca. Blue właściwie nie mogła się zdecydować, czy Gansey jest oszałamiająco przystojny, czy tylko oszałamiająco bogaty. Może to właściwie jedno i to samo.

Gansey. To był Gansey.

To znaczy, że dziennik należy do niego.

To znaczy, że *Adam* należy do niego.

– Cóż – powiedziała Maura. Widać było, że jej ciekawość jest silniejsza niż obowiązujące na Fox Way 300 zasady ustalania terminów. – Nie jest jeszcze za póź-

no. Zapraszam do pokoju wrózenia. Czy mogę prosić o wasze imiona?

Oczywiście Prezydent przyprowadził większą część paczki, która poprzedniego wieczoru pojawiła się u Nina; brakowało tylko Niepozornego. Po ich wejściu w korytarzu zapanował tłok. Głośni i męscy, czuli się ze sobą zbyt komfortowo, żeby pozwolić komuś jeszcze czuć się swobodnie w ich towarzystwie. Przypominali stado zwierząt o lśniącej sierści i pancerzach, na które składały się zegarki, drogie mokasy-ny i perfekcyjnie skrojone szkolne mundurki. Nawet tatuaż tego twardego gościa, wijący się po jego karku powyżej linii kołnierzyka, był czymś w rodzaju broni. Blue nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta broń rani jej skórę.

I tym razem w ich imieniu przemówił Prezydent.

– Gansey – przedstawił się. – Adam. Ronan – podał imiona kolegów. – Gdzie mamy iść? Tam?

Wskazał na drzwi do pokoju wyprostowaną dłoń, jakby kierował ruchem.

– Tam – przytaknęła Maura. – A właśnie, to moja córka Blue. Będzie obecna przy stawianiu kart, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Wzrok Ganseya padł na Blue. W jednej chwili jego uprzejmy uśmiech zgasł.

– O, cześć – powiedział. – Co za niezręczna sytuacja.

– Wy się *znacie*?

Matka posłała Blue mordercze spojrzenie.

Dziewczyna poczuła się jak ofiara prześladowania.

– Tak – odparł Gansey z godnością. – Odbiliśmy ciekawą rozmowę na temat alternatywnych form zatrudnienia kobiet. Nie miałem zielonego pojęcia, że to pani córka. *Adam*?

Gansey skierował na Adama niemal równie mordercze spojrzenie, a ten zrobił wielkie oczy. Jako jedyny nie miał na sobie szkolnego mundurka, trzymał na piersi rozpostartą dłoń, jakby chciał nią zakryć sprany podkoszulek z napisem „Coca-Cola”.

– Ja też nie wiedziałem! – zapewnił.

Gdyby Blue przeczuwała, że i *on* przyjdzie, może nie włożyłaby jasnoniebieskiego topu z piórami przy szyi. Teraz Adam się na nie gapił.

– Nie wiedziałem, przysięgam – powtórzył, zwracając się do dziewczyny.

– Co ci się stało? – zapytała Blue.

Adam z rezygnacją wzruszył ramionami. Albo on, albo Ronan cuchnął jak parking podziemny.

– A co? Wyglądam teraz na twardziela? – rzucił z nonszalanckim uśmiechem.

Zdaniem Blue był teraz wątyły i brudny jak wykopana z ziemi filizanka, ale nie powiedziała tego głośno.

– Wyglądasz na frajera – stwierdził Ronan.

– Ronan – upomniał go Gansey.

– *Proszę, żeby wszyscy usiedli!* – zawołała Maura.

Jej krzyk zabrzmiał tak alarmująco, że prawie wszyscy natychmiast rzucili się na niepasujące do siebie siedziska. Adam potarł ręką kość policzkową, jakby mógł w ten sposób zetrzeć z twarzy siniaka. Gansey rozsiadł się w fotelu u szczytu stołu i oparł ręce na podłokietnikach. Wyglądał jak prezes zarządu. Na widok oprawionego w ramkę zdjęcia Steve’a Martina uniósł brew.

Calla i Ronan stali, przyglądając się sobie nieufnie.

Blue nie opuszczało wrażenie, że w ich domu jeszcze nigdy nie było tylu ludzi, choć to nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Ale zupełnie możliwe, że jeszcze nigdy nie przebywało w nim tylu mężczyzn. Z całą pewnością zaś jeszcze nigdy nie było tu tylu chłopaków z Aglionby.

Czuła się, jakby sama ich obecność z czegoś ją ograbiła. Sprawili, że jej rodzi-
na wydawała się dziwnie szara i wypłowiała.

– Tu jest potwornie głośno – powiedziała Maura.

Jednak sposób, w jaki wymówiła te słowa, trzymając się jednym palcem za puls tuż poniżej kości szczęki, sugerował, że nie miała na myśli hałasu. Chodziło o coś, co słyszała w swojej głowie. Persefona też się krzywiła.

– Czy muszę wyjść? – zapytała Blue, choć była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła.

Gansej, który źle je zrozumiał, zaraz zaprotestował:

– Dlaczego miałabyś wychodzić?

– Dzięki niej lepiej słyszymy – powiedziała Maura. Przyglądała się wszystkim ze zmarszczonym czołem, jakby próbowała coś z tego zrozumieć. – A wy trzej... i bez tego jesteście *bardzo* głośni.

Blue miała wrażenie, że jej skóra jest gorąca. Wyobrażała sobie, że nagrzewa się jak rura, w której wewnątrz biegnie wiązka kabli elektrycznych, a z każdego z nich wydobywają się iskry. Co takiego mieli za skórą ci chłopcy z krukami, co ogłuszało jej matkę? Czy sprawiali to wszyscy trzej razem wzięci, czy tylko energia Ganseya, dla którego rozpoczęło się już głośne odliczanie przed śmiercią?

– Co znaczy „bardzo głośni”? – zapytał Gansej.

Blue pomyślała, że on jest niekwestionowanym przywódcą tej paczki. Pozostali oglądali się na niego, jakby czekali na sygnał, jak interpretować sytuację.

– Chodzi o to, że wasza energia jest bardzo...

Maura umilkła, jakby straciła zainteresowanie własnymi wyjaśnieniami. Spojrzała na Persefonę.

Blue odczytała ich wymianę spojrzeń. Matka pytała: „Co się dzieje? Co z tym robimy?”.

Sposób, w jaki Maura to zrobiła, roztargniony i ogólnikowy, sprawił, że żołądek Blue ścisnął się z nerwów. Jej matka była *zagubiona*! Wyglądało na to, że po raz drugi tego samego dnia nie czuje się komfortowo przy stawianiu kart.

– Po kolei? – zaproponowała cicho Persefona.

– Pojedynczo. Inaczej ktoś będzie musiał wyjść. Są po prostu za głośni – stwierdziła Calla.

Adam i Gansej spojrzeli po sobie. Ronan skubał rzemyki na nadgarstku.

– Co znaczy pojedynczo? – zapytał Gansej. – Czym to się różni od zwykłego stawiania kart?

– Nieważne, co wolą. Tak to wygląda. Wóz albo przewóz – powiedziała Calla do Maury, ignorując Ganseya.

Maura wciąż przyciskała palec do szyi, tuż pod linią szczęki.

– Pojedynczo oznacza, że każdy z was po kolei wyciąga z talii tarota jedną kartę, a my ją interpretujemy.

Gansej i Adam przeprowadzili coś w rodzaju rozmowy w cztery oczy, dosłow-

nie – za pomocą spojrzeń. Zwykle Blue oglądała coś takiego w wykonaniu matki i Persefony lub matki i Calli, ale nie podejrzewała, że inni też to potrafią. Czuła się dziwnie zazdrosna. Ona również pragnęła podobnej więzi z drugim człowiekiem – tak silnej, że może się obyć bez słów.

Adam energicznie kiwnął głową, przytakując jakiejś niewypowiedzianej myśli Ganseya.

– Jeśli pozwoli to pani czuć się komfortowo.

Persefona i Maura zastanowiły się. Szanse, żeby poczuły się swobodnie, wydawały się nikłe.

– Chwileczkę – powiedziała Persefona, kiedy Maura wyjęła karty. – Niech Blue rozdaje.

Prosiły o to dziewczynę nie po raz pierwszy. Czasami, w przypadku trudnych lub ważnych sesji, wróżki najpierw prosiły ją, żeby dotknęła kart, aby wzmocnić ich przekaz. Tym razem, biorąc od matki talię, Blue nie mogła przestać myśleć o tym, z jaką uwagą przyglądają jej się chłopcy. Przez wzgląd na nich efektownie przetasowała karty, przerzucając je z ręki do ręki. Była bardzo dobra w karcianych sztuczkach, takich, które nie wymagają zdolności nadprzyrodzonych. Kiedy chłopcy, wyraźnie pod wrażeniem, obserwowali, jak karty fruwają w tę i z powrotem, Blue rozmyślała o tym, że mogłaby być doskonałą wróżką oszustką.

Żaden z przybyłych nie zgłosił się na ochotnika jako pierwszy, więc Blue podała talię Adamowi. Spojrzał jej w oczy i przez chwilę nie odwracał wzroku. W jego spojrzeniu była zaciekleść i ukryta intencja, coś bardziej agresywnego niż tamtego wieczoru, kiedy do niej podszedł.

Adam wybrał kartę i pokazał ją Maurze.

– Dwa miecze – powiedziała.

Blue uderzył miejscowy akcent matki, który ni stąd, ni zowąd wydał jej się prowincjonalny i prymitywny. Czy *ona* też tak mówi?

– Unikasz trudnego wyboru. Działasz, nie podejmując działania. Jesteś ambitny, ale uważasz, że ktoś oczekuje od ciebie czegoś, czego nie możesz mu dać. Kompromisu w kwestii twoich zasad. Ktoś bliski, jak sądzę. Twój ojciec?

– Myślę, że brat – wtrąciła się Persefona.

– Nie mam brata, proszę pani – odparł Adam, ale Blue zobaczyła, że jego wzrok wędruje w stronę Ganseya.

– Czy chcesz o coś zapytać? – kontynuowała Maura.

Adam zastanowił się.

– Jaki jest właściwy wybór?

Maura i Persefona naradziły się przez chwilę.

– Nie ma wyboru właściwego. Jedynie taki, z jakim możesz żyć. Niewykluczone, że jest jakaś trzecia możliwość, która bardziej by ci odpowiadała, ale w tej chwili jej nie dostrzegasz, bo jesteś zbyt skupiony na dwóch pierwszych. Znalezienie innego rozwiązania prawdopodobnie wymaga wyjścia poza te dwie możliwości i podążenia własną drogą. Wyczuwam, że masz bardzo analityczny umysł. Poświęciłeś wiele czasu na to, aby nauczyć się kierować rozsądkiem, a nie emocjami, ale wydaje mi się, że akurat w tej kwestii rozsądek nie jest najlepszym doradcą.

– Dziękuję – powiedział Adam.

To nie było najwłaściwsze słowo w tej sytuacji, ale też nie najgorsze. Blue podołało się, że jest taki taktowny. Jego uprzejmość nie miała nic wspólnego z życzliwością Ganseya, który za jej pomocą zdobywał władzę. Kiedy Adam był uprzejmy, zrezygnował z niej.

Blue postanowiła zostawić Ganseya na koniec. Podeszła do Ronana, choć trochę się go obawiała. Miał w sobie coś, co ociekało jadem, choć nie zdążył się jeszcze odezwać. Najgorsze było to, że wyczuwając jego wrogość, Blue miała jednocześnie ochotę zabiegać o jego przychylność, zasłużyć na jego aprobatę. Czuła, że zdobycie uznania kogoś takiego jak on, kto wyraźnie nie liczy się z nikim, miałoby wyjątkową wartość.

Ronan nadal stał przy drzwiach obok Calli. Wyglądali tak, jakby mieli się na siebie rzucić.

Kiedy Blue rozkładała karty w wachlarz, przyjrzał się po kolei wszystkim obecnym kobietom i powiedział:

– Ja się na to nie piszę. Najpierw powiedzcie mi coś, co jest prawdą.

– Słucham? – zapytała sztywno Calla w imieniu Maury.

Głos Ronana był szklany, zimny i ostry.

– To, co mu powiedziałyście, może się odnosić do każdego. Każdy, kto żyje, ma wątpliwości. Każdy, kto żyje, klócił się kiedyś ze swoim bratem albo ojcem. Zdradźcie mi coś, czego nikt inny nie może wiedzieć, zamiast rzucać kartę i wciskać mi jakieś jungowskie bzdury. Powiedzcie mi coś konkretnego.

Oczy Blue się zwęziły. Persefona wysunęła koniuszek języka. W jej przypadku było to przejawem niepewności, a nie bezczelności. Maura zeszytniała ze złości.

– Nie mówimy rzeczy kon...

– Twojego ojca zabiła tajemnica – przerwała jej Calla. – A ty dobrze wiesz, co to było.

W pokoju zapadła grobowa cisza. Persefona i Maura wpatrywały się w Callę. Gansey i Adam wpatrywali się w Ronana. Blue wpatrywała się w dłoń Calli.

Maura czasem prosiła Callę o uczestnictwo w stawianiu tarota, a Persefona niekiedy chciała, aby zinterpretowała jej sen, ale niezwykle rzadko się zdarzało, żeby ktoś prosił Callę o wykorzystanie jej najdziwniejszego daru – psychometrii. Wróżka potrafiła wyczuwać pochodzenie trzymanych w ręce przedmiotów, czytać w myślach ich właściciela i widzieć miejsca, w których dana rzecz znalazła się wcześniej.

Calla zabrała właśnie dłoń z karku Ronana, który wykręcił głowę, żeby zerknąć na miejsce, którego dotknęły palce kobiety – tuż nad kołnierzykiem, gdzie widać było tatuaż.

W pokoju równie dobrze mogliby znajdować się tylko Ronan i Calla. On, choć o głowę wyższy, wyglądał przy niej jak chudy, dziki kot, który nie osiągnął jeszcze wagi dorosłego osobnika. Ona była lwicą.

– Coś ty za jeden? – syknęła.

Uśmiech Ronana zmroził Blue. Była w nim jakaś pustka.

– Ronan – odezwał się Gansey z troską w głosie.

– Czekam w samochodzie.

Lynch wyszedł bez dalszych komentarzy. Trzasnął drzwiami tak mocno, że w kuchni zadzwoniły talerze.

Gansey spojrzał na Callę oskarżycielsko.

– Jego ojciec nie żyje.

– Wiem – odparła.

Jej oczy zmieniły się w szparki.

Głos Ganseya brzmiał teraz szczerze, nie bawił się już w uprzejmości.

– Nie wiem, jak się tego dowiedziałaś, ale to świństwo powiedzieć chłopakowi coś takiego.

– Raczej wężowi – odwarknęła Calla. – A ty po co tu przyszedłeś, skoro nie wierzysz, że potrafimy zrobić to, za co każemy sobie płacić? Chciał konkretów – dostał je. Przykro mi, że nie chodziło o szczeniaczki.

– Calla – powiedziała Maura.

– Gansey – odezwał się w tej samej chwili Adam.

Wyszeptał coś koledze na ucho i znów oparł się na krześle. W szczęce Ganseya przesunęła się jakaś kość. Blue spostrzegła, że szybko zamienia się z powrotem w Prezydenta. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że może być jeszcze kimś innym. Teraz żałowała, że nie przyjrzała się uważniej jego drugiemu obliczu, żeby zrozumieć, na czym polegała przemiana.

– Przepraszam – powiedział Gansey. – Ronan zawsze mówi to, co myśli, a od początku nie był przekonany do przyjścia tutaj. Nie miałem zamiaru sugerować, że wasze zdolności są udawane. Czy możemy dokończyć?

Blue była zaskoczona tym, jak niezwykle *dorośle* to zabrzmiało. W porównaniu z kolegami, których przyprowadził, wyrażał się bardzo oficjalnie. Czuła się przez to niezręcznie, podobnie jak wtedy, gdy wydawało jej się, że musi zrobić wrażenie na Ronanie. W towarzystwie Ganseya tak bardzo doskwierała jej własna odmienność, że odruchowo starała się ukrywać emocje. Bała się, że on czy też to, co zagłuszało zdolności paranormalne jej matki i wypełniało pokój, może ją przytłoczyć.

– W porządku – powiedziała Maura, choć mówiąc to, zerknęła na łypiącą złowrogo Callę.

Podchodząc do Ganseya, Blue dojrzała przez okno jego zaparkowany przy krawężniku nieprawdopodobnie jaskrawy samochód. Z całą pewnością takim kolorem Orla chętnie pomalowałyby sobie paznokcie. Choć trzeba przyznać, że nie takiego auta Blue spodziewała się po chłopaku z Aglionby. Oni lubili nowe, lśniące zabawki, a to była stara, lśniąca zabawka. Tak czy owak, niezaprzeczalnie należała do chłopaka z krukiem. I właśnie wtedy Blue ogarnęło uczucie spadania, jakby wszystko wokół niej działało się za szybko, jakby nie mogła za niczym nadążyć. Każdy z tych chłopców był na swój sposób dziwny i skomplikowany. Blue pomyślała, że są równie niepokojący i tajemniczy, jak dziennik Ganseya. Ich życie wydawało się pajęczyną, w którą ona dała się złapać. I miała wrażenie, że to bez znaczenia, czy przyczyną tego stanu rzeczy jest coś, co zrobiła w przeszłości, czy też coś, co dopiero się zdarzy. W tym pokoju, w obecności Maury, Calli i Persefony, czas wydawał się pętlą.

Blue zatrzymała się przed Ganseyem. Znowu poczuła zapach mięty, a jej serce zadrżało.

Gansey spojrzał na wachlarz kart w jej rękach. Dziewczyna popatrzyła na jego zgarbione ramiona i pochyloną głowę i powróciło do niej przejmujące wspomnienie jego cienia, ducha chłopaka, w którym bała się zakochać. Tamten cień nie ujmował

ani trochę swobodnej, radosnej pewności siebie chłopakowi z krukiem, którego miała teraz przed sobą.

„Co się z tobą stanie, Gansey? – zastanawiała się. – Kiedy ulegniesz takiej metamorfozie?”.

Gansey podniósł wzrok. Między jego brwiami utworzyła się zmarszczka.

– Nie mogę się zdecydować. Czy mogłabyś wybrać kartę za mnie? Czy tak można?

Kątem oka Blue dostrzegła, że Adam wierci się w fotelu i marszczy czoło.

– Jeśli tego chcesz – dobiegł zza pleców Blue głos Persefony.

– Liczy się to, jaka jest twoja intencja – dodała Maura.

– Chciałbym, żebyś wybrała – powiedział. – Proszę.

Blue rozłożyła wachlarz na stole, tak, że karty wystawały odrobinę poza jego krawędź. Uniosła nad nimi dłoń. Maura powiedziała jej kiedyś, że właściwe karty czasami wydają się cieplejsze albo wywołują mrowienie, kiedy zbliża się do nich palec. Dla Blue oczywiście wszystkie były identyczne. Ale jedna wysunęła się bardziej niż pozostałe i tę właśnie wybrała.

Kiedy ją odwróciła, z jej krtani wydobył się krótki, bezsilny śmiech.

Z karty spoglądała na Blue jej własna twarz. Paź kielichów. Czuła się tak, jakby ktoś sobie z niej drwił, ale za wybór tej karty nie mogła winić nikogo oprócz siebie.

Na widok pazia głos Maury stał się spokojny i odległy.

– Nie tę. Wybierz inną.

– Maura – upomniała ją łagodnie Persefona, ale kobieta tylko machnęła ręką.

– Inną – nalegała.

– Co jest nie tak z tą kartą? – zapytał Gansey.

– Jest w niej energia Blue – powiedziała Maura. – To nie miała być twoja karta. Będziesz musiał wybrać sam.

Persefona otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Blue odłożyła kartę na miejsce i przetasowała talię z mniejszym dramatyzmem niż poprzednio.

Kiedy podsunęła karty Ganseyowi, on odwrócił głowę, jakby decydował o zwycięzcy loterii. Jego palce w zamyśleniu muskały krawędzie kart. Wybrał jedną, a potem odwrócił ją, żeby wszystkim pokazać.

Był to paź kielichów.

Przyjrzał się ilustracji, a potem twarzy Blue. Dziewczyna widziała, że dostrzegł podobieństwo.

Maura nachyliła się i wyrwała mu kartę z ręki.

– Wybierz inną.

– A teraz niby dlaczego? – zapytał Gansey. – Co jest nie tak z tą kartą? Co ona oznacza?

– Nic nie jest z nią nie tak – odparła Maura. – Po prostu nie jest twoja.

Teraz Blue po raz pierwszy zauważyła na twarzy Ganseya prawdziwe zdenerwowanie i to sprawiło, że odrobinę go polubiła. Może pod maską chłopaka z krukiem kryje się jednak coś więcej.

Gansey nonszalancko chwycił kolejną kartę, wyraźnie zdecydowany z tym skończyć. Teatralnym gestem obrócił ją i rzucił na stół.

Blue przełknęła ślinę.

– To jest twoja karta – powiedziała Maura.

Widniał na niej czarny rycerz na białym koniu. Podniesiona przyłbica odsłaniała czaszkę, w której dominowały puste oczodoły. Za jego plecami zachodziło słońce, a pod kopytami konia leżały zwłoki.

W koronach drzew za oknem głośno zawył wiatr.

– Śmierć – przeczytał Gansey u dołu karty.

Nie wyglądał na zaskoczonego ani przestraszonego. Przeczytał to słowo równie zwyczajnie jak wyraz „jajka” albo „Cincinnati”.

– Świetna robota, Mauro – skomentowała Calla. Zaplotła ciasno ręce na pierśsiach. – Zechcesz to zinterpretować dla tego chłopca?

– Może po prostu zwrócimy mu pieniądze – zaproponowała Persefona, chociaż Gansey jeszcze nie zapłacił.

– Myślałem, że wróżki nie przepowiadają śmierci – powiedział cicho Adam. – Czytałem, że ta karta jest jedynie symbolem.

Maura, Calla i Persefona wydały z siebie jakieś nieokreślone dźwięki. Blue, w pełni świadoma losu Ganseya, poczuła mdłości. Chłopak był przecież w jej wieku, miał oddanych przyjaciół i jaskrawopomarańczowy samochód. Okropnie było mieć świadomość, że umrze przed upływem roku.

– Właściwie – odezwał się Gansey – nie interesuje mnie to.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na niego. Postawił kartę na krawędzi stołu, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

– To znaczy karty są bardzo ciekawe – powiedział tonem kogoś, kto mówi o dziwnym cieście, którego nie ma ochoty kończyć. – I nie chcę dyskredytować tego, czym się zajmujecie. Ale właściwie nie przyszedłem tu po to, żeby poznać swoją przyszłość. Nie mam nic przeciwko odkrywaniu jej samemu.

W tym miejscu zerknął szybko na Callę, wyraźnie zdając sobie sprawę, że balansuje na granicy uprzejmości i zachowania w stylu Ronana.

– Tak naprawdę przyszedłem tutaj z nadzieją, że dowiem się czegoś na temat energii – ciągnął Gansey. – Wiem, że zajmujecie się tą kwestią, a ja próbowałem znaleźć linię mocy, która moim zdaniem przebiega w pobliżu Henrietty. Czy wiecie coś na ten temat?

„Dziennik!”.

– Linię mocy? – powtórzyła Maura. – Może. Nie wiem, czy określiłabym to w ten sposób. Co masz na myśli?

Blue przeżyła szok. Dotąd zawsze sądziła, że jej matka jest najbardziej prawdomówną osobą w okolicy.

– To kanały energetyczne, które oplatają Ziemię – wyjaśnił Gansey. – Mają łączyć ważne miejsca o znaczeniu duchowym. Adam sądził, że możecie coś o tym wiedzieć, skoro zajmujecie się energią.

Wydawało się oczywiste, że chodzi mu o drogę umarłych, ale Maura nie podała mu żadnych informacji. Zaciśnęła tylko usta i spojrzała na Persefonę i Callę.

– Czy coś wam to mówi? – zapytała.

Persefona uniosła palec i powiedziała:

– Zapomniałam o moim kruchym cieście.

Wyszła z pokoju.

– Musiałabym się zastanowić – zastrzegła Calla. – Nie jestem dobra w konkre-
tach.

Gansey uśmiechnął się z rozbawieniem, które mówiło, że zdaje sobie sprawę z
ich kłamstwa. Wydawał się zaskakująco przenikliwy. Blue po raz kolejny odniosła
wrażenie, że jest starszy od swoich kolegów.

– Przyjrzę się temu – obiecała Maura. – Zostaw mi swój numer. Oddzwonię,
jeśli czegoś się dowiem.

– Och, byłbym bardzo wdzięczny – odparł Gansey z chłodną uprzejmością. –
Ile jesteśmy winni?

– Dwadzieścia – powiedziała Maura, wstając z miejsca.

Blue uznała, że to karygodne. Widać było, że Gansey wydaje więcej na sznu-
rówki do mokasynów.

Ze zmarszczonym czołem zerknął na Maurę znad otwartego portfela pełnego
banknotów. Blue nie sądziła, żeby były to jednodolarówki. W przezroczystej kieszon-
ce dojrzała prawo jazdy. Z tej odległości nie mogła niczego przeczytać, ale zoriento-
wała się, że w rubryce „Nazwisko” widnieje słowo nie dłuższe niż „Gansey”.

– Dwadzieścia?

– Od osoby – wyjaśniła Blue.

Calla zakaszłała w pięść.

Twarz Ganseya się rozpuściła. Podał Maurze sześćdziesiąt dolarów. Widać
było, że to więcej, niż spodziewał się zapłacić, i teraz znowu świat wydawał się taki,
jak należy.

Wtedy Blue zauważyła, że Adam przygląda się jej uważnie, i poczuła się tak,
jakby przejrzał ją na wylot. Było jej głupio. Nie tylko dlatego, że policzyły im za
dużo, ale również z powodu kłamstwa Maury. Widziała, jak duch Ganseya idzie dro-
gą umarłych, i знаła jego imię na długo przed tym, jak przestąpił próg ich domu. Po-
dobnie jak jej matka nie zdradziła się z tym. Czuła się więc nie w porządku.

– Odprowadzę was – powiedziała Maura.

Widać było, że chce się ich jak najszybciej pozbyć. Przez chwilę wyglądało to
tak, jakby Gansey też zamierzał czym prędzej wyjść, ale nagle się zatrzymał. Przyj-
rzał się swojemu portfelowi znacznie uważniej, niż było to konieczne. Zamknął go
i umieścił z powrotem w kieszeni, a potem podniósł wzrok na Maurę i zacisnął usta.

– Proszę posłuchać. Wszyscy jesteśmy dorośli – zaczął spokojnie.

Mina Calli wyrażała powątpiewanie.

Gansey wyprostował plecy i mówił dalej:

– Zaslugujemy na prawdę. Proszę po prostu powiedzieć, że coś pani wie, ale
nie chce mi pani pomóc, jeśli tak właśnie jest, ale proszę mnie nie okłamywać.

To była odważna prośba, wręcz arogancka, choć może między jednym a dru-
gim nie było istotnej różnicy. Głowy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę
Maury.

– Wiem coś na ten temat, ale nie chcę ci pomóc.

Po raz drugi tego dnia Calla wyglądała na zachwyconą. Blue otworzyła usta,
po czym zaraz je zamknęła.

Ale Gansey tylko pokiwał głową. Nie wydawał się ani trochę bardziej zrozpa-

czony niż wtedy, kiedy Blue zaserwowała mu w restauracji swoją ciętą ripostę.

– W porządku. Nie, nie, proszę się nie fatygować. Sami trafimy do wyjścia.

Tak też zrobili. Po chwili silnik camaro zawył na wysokich obrotach, a opony piskiem dały wyraz prawdziwym uczuciom Ganseya. W domu zrobiło się zupełnie cicho. Trochę tak, jakby chłopcy z krukami zabrali ze sobą wszystkie dźwięki, które wcześniej dobiegały z otoczenia.

Blue odwróciła się do matki.

– Mamo – nie to chciała powiedzieć, ale potrafiła wydobyć z siebie jedynie jeszcze jedno, bardziej rozpaczliwe: – Mamo!

– Mauro – stwierdziła Calla – to było bardzo niegrzeczne. – I zaraz dodała: – Podobało mi się.

Maura zwróciła się do swojej córki, całkowicie ignorując Callę:

– Zabraniam ci się z nim spotykać.

– A co z „dzieciom nie można rozkazywać!”? – zawołała oburzona Blue.

– To było przed Ganseyem. – Maura obróciła kartę śmierci i dała Blue czas na przyjrzenie się czaszce pod przyłbicą rycerza. – To trochę tak, jakbym zabroniła ci wybiegać na jezdnię, gdy nadjeżdża autobus.

Przez głowę Blue przemknęło kilka możliwych odpowiedzi. Wreszcie wybrała tę, która jej pasowała.

– Dlaczego? Neeve nie mnie zobaczyła na drodze umarłych. To *nie* ja umrę w ciągu roku.

– Po pierwsze, droga umarłych ujawnia możliwość, a nie gwarancję – odparła Maura. – Po drugie, poza śmiercią istnieją jeszcze inne straszliwe rodzaje przeznaczenia. Chciałabyś porozmawiać o poćwiartowaniu? Paraliżu? Nieuleczalnej traumie? Z tymi chłopakami naprawdę jest coś nie tak. Kiedy twoja matka mówi: „nie wybiegaj przed autobus”, ma swoje powody.

Z kuchni dobiegł cichutki głosik Persefony:

– Gdyby ciebie ktoś powstrzymał przed wybieganiem pod autobus, Blue nie byłoby na świecie.

Maura spojrzała ze zmarszczonym czołem w stronę kuchni, a potem zamiotła ręką blat stołu do wrócenia, jakby chciała sprzątnąć z niego okruchy.

– Najbardziej optymistyczny scenariusz w tym wypadku jest taki, że zaprzyjaźnisz się z chłopakiem, który niedługo umrze.

– Aha – mruknęła Calla bardzo znacząco. – Teraz rozumiem.

– Nie próbuj poddawać mnie psychoanalizie – powiedziała Maura.

– Już poddałam. I znowu mówię: „aha”.

Maura uśmiechnęła się niezwykle szyderczo.

– Co zobaczyłaś, kiedy dotknęłaś tego chłopaka? Tego z krukiem?

– Oni wszyscy chodzą w swetrach z krukiem – zauważyła Blue.

Jej matka pokręciła głową.

– On to co innego.

Calla potarła o siebie opuszkami palców jednej ręki, jakby strzepywała z nich wspomnienie tatuażu na karku Ronana.

– To było jak zagłębienie do tamtej dziwnej przestrzeni. Tyle tego w nim siedzi, że nie wiem, jak to wszystko się mieści. Pamiętacie, jak kiedyś przyszła do nas ko-

bieta w ciąży z czworaczkami? Z nim jest podobnie, tylko o wiele gorzej.

– On jest w ciąży? – zapytała Blue.

– On tworzy – odpowiedziała Calla. – Tamta przestrzeń też tworzy. Nie potrafię tego lepiej ująć.

Blue zastanawiała się, jaki rodzaj tworzenia ma na myśli Calla. Sama również tworzyła – brała stare rzeczy, cięła je na kawałki i przerabiała na coś ładniejszego. W ten sposób z istniejących przedmiotów powstawały inne. Miała wrażenie, że to właśnie najczęściej mają na myśli ludzie, kiedy mówią, że ktoś jest twórczy.

A jednak domyślała się, że Calla miała na myśli coś innego. Podejrzewała, że tym razem chodzi o kreatywność w prawdziwym tego słowa znaczeniu – tworzenia czegoś, co przedtem w ogóle nie istniało.

Maura pochwyciła spojrzenie córki.

– Nigdy ci niczego nie zabraniałam, Blue. Ale teraz cię proszę. Trzymaj się od nich z daleka.

W nocy obudził Ganseya jakiś nieznany dźwięk. Brzmiało to tak, jakby któryś z jego współlokatorów został zaatakowany przez oposa albo jakby dzikie koty toczyły walkę na śmierć i życie. Choć szczegóły pozostawały niewyjaśnione, Gansey nie miał wątpliwości, że nie obejdzie się bez ofiar.

Noah stał w drzwiach swojego pokoju z wyrazem nieopisanego cierpienia na twarzy.

– Zrób coś, żeby to się już skończyło – powiedział.

Ronan nie znosił, gdy ktoś wchodził do jego pokoju, a jednak Gansey już drugi raz w tym tygodniu naruszał jego prywatność. Światło się świeciło, a Ronan siedział zgarbiony na łóżku w samych bokserkach. Pół roku wcześniej zrobił sobie misterny, czarny tatuaż, który pokrywał większą część jego pleców i kark. Teraz, w klaustrofobicznym świetle nocnej lampki, rysunek wydawał się wyraźniejszy i bardziej realny niż wszystko inne w pokoju. To był dziwny tatuaż, straszny i piękny jednocześnie. Za każdym razem, kiedy Gansey na niego patrzył, dostrzegał w nim nowe kształty. Teraz zauważył, że z wawozu porośniętego dziwnymi, pięknymi kwiatami wyłania się dziób. Wcześniej Gansey widział w tym miejscu kosę.

Ciszę znowu przeciął skrzekliwy dźwięk.

– Co to, do diabła? – zapytał Gansey życzliwie.

Ronan jak zwykle miał na uszach słuchawki, więc Gansey wyciągnął rękę i zsunął mu je na szyję. Powietrze wypełniło się stłumionym muzycznym zawodzeniem.

Ronan podniósł głowę. Dziwaczne kwiaty na jego plecach przesunęły się i zniknęły między wystającymi łopatkami. Na kolanach trzymał nieopierzonego kruka, który odchyłał do tyłu głowę, otwierając dziób.

– Myślałem, że mamy jasność co do tego, co oznaczają zamknięte drzwi – powiedział Ronan. W dłoni trzymał pęsetę.

– Myślałem, że mamy jasność co do tego, że noc służy do spania.

Ronan wzruszył ramionami.

– Może dla ciebie.

– Nie dzisiaj. Twój pterodaktyl mnie obudził. Dlaczego on wydaje ten dźwięk?

W odpowiedzi jego współlokator zanurzył pęsetę w plastikowej torebce, która leżała przed nim na kocu. Gansey nie był pewien, czy chce wiedzieć, czym jest szara substancja, którą Ronan z niej wyjmuje. Słyszając szelest torby, kruk wydał z siebie ten sam upiorny dźwięk co wcześniej – ochrypły pisk przechodzący w bulgot, kiedy ptak z siorbnięciem pochłaniał podany mu kasek. Gansey poczuł jednocześnie współczucie i odruch wymiotny.

– No, tak nie może być – powiedział. – Musisz coś zrobić, żeby przestał.

– Ona musi dostawać jeść – odparł Ronan. Kruk, gulgocząc, pożarł kolejną porcję. Tym razem przypominało to wciąganie do odkurzacza sałatki. – Przez pierwsze sześć tygodni trzeba ją karmić co dwie godziny.

– Nie możesz jej trzymać na dole?

W odpowiedzi Ronan uniósł pisklę i wyciągnął ręce w stronę Ganseya.

– No, sam powiedz.

Gansey nie lubił, kiedy ktoś odwoływał się do jego sumienia, a szczególnie gdy zmuszał je do stoczenia walki z jego pragnieniem snu. Oczywiście nie było mowy, żeby wyrzucił kruką na dół. Był maleńki i wydawał się nierealny. Gansey nie mógł się zdecydować, czy pisklak jest uroczy, czy obrzydliwy. Obawiał się, że to stworzenie w tajemniczy sposób łączy w sobie jedno i drugie.

Za plecami Ganseya rozległ się żaloszny głos Noaha:

– Nie podoba mi się, że to tu jest. Przypomina mi...

Umilkł, jak mu się często zdarzało, a Ronan wycelował w niego pięsetę.

– Hej, człowieku. Nigdy nie waż się wchodzić do mojego pokoju.

– Cicho bądźcie – powiedział Gansey. – Ty też, ptaku.

– Piło – poprawił Ronan.

Noah zrobił krok do tyłu, ale Gansey nie ruszył się z miejsca. Przez kilka minut patrzył, jak kruk, siorbiąc, wciąga szarą maź, a Lynch pieszczotliwie do niego przemawia. Nie był to ten sam Ronan, do którego Gansey stopniowo się przyzwyczajał, ale nie był to również Ronan z czasów, kiedy się poznali. Teraz zdał sobie sprawę, że instrument zawodzący w słuchawkach to irlandzkie dudy. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio Ronan słuchał muzyki celtyckiej. Muzyki Nialla Lyncha. Ni stąd, ni zowąd on też zatęsknił za charyzmatycznym ojcem kolegi. Za nim i za Ronanem z czasów, kiedy Niall Lynch jeszcze żył. Chłopak, którego miał teraz przed sobą, z kruchym ptakiem w rękach, łączył w sobie te dwie postaci.

– O co chodziło tej wróżce, Ronan? Na początku. Kiedy mówiła o twoim ojcu – zapytał Gansey po dłuższej chwili.

Ronan nie podniósł głowy, ale Gansey zauważył, że mięśnie na jego plecach się napięły, jakby nagle przytłoczył go jakiś ciężar.

– To pytanie w stylu Declana.

Gansey zastanowił się.

– Nie. Nie, nie sędzę.

– Plotła bzdury.

Gansey i nad tym się zastanowił.

– Nie, nie wydaje mi się.

Ronan odszukał na łóżku odtwarzacz i wcisnął pauzę. A potem odezwał się bezbarwnym i nagim głosem:

– To tylko jedna z tych lasek, które dobierają się człowiekowi do mózgu i stroją sobie żarty z tego, co tam znajdują. Powiedziała to, bo chciała zrobić zadymę.

– Na przykład jaką?

– Taką, że ty zaczynasz zachowywać się jak Declan – powiedział Ronan. Podał krukowi kolejną porcję szarej masy, ale ptak wpatrywał się w niego oszołomiony. – Albo taką, że ja myślę o rzeczach, o których nie chcę myśleć. Taką zadymę. Między innymi. A tak w ogóle to co ty masz na twarzy?

Gansey, z ponurą miną, potarł podbródek. Jego skórę pokrywał kilkudniowy zarost. Wiedział, że Ronan po prostu próbuje zmienić temat, ale pozwolił mu na to.

– Zarastam?

– Stary, ty chyba nie mówiłeś poważnie o tej brodzie, co? Wiesz, że to przesta-

ło być cool w czternastym wieku, czy kiedy tam się rąbało drwa siekierą. – Ronan zerkał na niego przez ramię. Sam miał na twarzy popołudniowy zarost, który potrafił wyhodować o każdej porze dnia i nocy. – Daj sobie spokój. Wyglądasz parszywie.

– Nieważne. I tak nie rośnie. Na zawsze pozostanę gołowąsem.

– Jeżeli będziesz używał słów w stylu „gołowás”, z nami koniec – powiedział Ronan. – Hej, człowieku, nie załamuj się. Kiedy powiększą ci się jaja, broda zacznie rosnąć jak szalona. Jak jakaś pieprzona sierść. Będiesz mógł nią łapać ziemniaczki z obiadu. Jak terier. Masz włosy na nogach? Nie zauważyłem.

Gansey nie skomentował żadnej z tych uwag. Westchnął, odepchnął się od ściany i wskazał na kruk.

– Idę do łóżka. Pilnuj, żeby to coś siedziało cicho. Tyle mi jesteś winien, Lynch.

– Niech ci będzie – zgodził się Ronan.

Gansey wrócił do siebie, ale się nie położył. Wyciągnął rękę po dziennik, lecz nie znalazł go na swoim miejscu. Zostawił go „U Nina” tego wieczoru, kiedy Ronan bił się z Declanem. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Malory’ego, ale sam nie wiedział, o co właściwie chce go zapytać. Na dnie jego duszy czało się coś dra pieznego, spragnionego i czarnego jak noc za oknami. Pomyślał o ciemnych oczodołach rycerza na karcie śmierci.

O szybę uderzał jakiś brzęczący owad. Sądząc po rodzaju bzyczenia, był spory. Gansey pomyślał o swojej autostrzykawce z adrenaliną, leżącej głęboko w samochodowym schowku, za daleko, żeby po nią sięgnąć, gdyby zaszła taka potrzeba. Najprawdopodobniej owad był zwykłą muchą, chrząszczem albo komarnicą, ale im dłużej Gansey słuchał jego brzęczenia, tym bardziej nie dawała mu spokoju myśl, że to może być osa lub pszczoła.

Pewnie nie.

A jednak otworzył oczy. Ostrożnie wygramolił się z łóżka i wziął do ręki but. Nasłuchując, podkrał się do okna. Minął teleskop rzucający na podłogę cień w kształcie eleganckiego potwora.

Choć bzyczenie ucichło, Gansey już po chwili zlokalizował owada. Po wąskiej, drewnianej ramie okiennej wędrowała osa, obracając się to w jedną, to w drugą stronę. Gansey stał w bezruchu. Przyglądał się, jak owad się wspina i przystaje, wspina i przystaje. Ciało osy oświetlone światłem latarni rzucało niewyraźny cień: nogi, zakrzywiony korpus, mocny i delikatny koniuszek żądła.

Myśli Ganseya biegły dwutorowo. Opisywały jednocześnie prawdziwą scenę z osą wspinającą się po ramię, obojętną na obecność Ganseya, i wyobrażony, prawdopodobny bieg wydarzeń – osę, która, bzycząc, unosi się w powietrze, przysiada na jego skórze i zatapia w niej żądło, czyniąc z alergii Ganseya śmiertcionośną broń.

Kiedyś, przed laty, obsiadły go szerszenie, których skrzydła były jeszcze, gdy jego serce przestawało.

Poczuł, że ma ściśnięte gardło.

– Gansey... – rozległ się za jego plecami zmieniony nie do poznania głos Ronana.

Chłopak nie odwrócił się. Osa poruszyła skrzydłami, jakby podrywała się do lotu.

– Cholera, człowieku! – zawołał Ronan.

Rozległy się trzy bardzo szybkie kroki, głośnie jak wystrzał skrzypnięcie podłogi, a potem Ronan wyrwał but Ganseyowi, odepchnął go na bok i uderzył podeszwą w okno z taką siłą, że omal nie stukł szyby. Kiedy suche zwłoki osy spadły im pod nogi, Ronan odszukał je w ciemności i dla pewności zgniótł jeszcze raz.

– Cholera – powtórzył Ronan. – Odbiło ci?

Gansey nie potrafił opisać, jakie to uczucie: patrzeć, jak śmierć zakrada się tak blisko; wiedzieć, że w ciągu kilku sekund z „młodego, obiecującego” może się zmienić w „nie do odratowania”. Odwrócił się do Ronana, który ostrożnie podniósł osę za złamane skrzydło, żeby Gansey na nią nie nadepnął.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Co? – nie zrozumiał Ronan.

– Przyszedłeś po coś.

Ronan wyrzucił owada do stojącego przy biurku kosza na śmieci. Ciało osy odbiło się jednak od zgniecionych papierów, zmuszając Ronana do znalezienia wśród nich jakiejś szczeliny.

– Sam już nie wiem.

Gansey stał i czekał, aż Ronan powie coś więcej. Lynch ceregielił się z osą jeszcze przez dłuższą chwilę.

– O co chodzi z tym wyjazdem? Twoim i Parrisha? – zapytał, nie patrząc na Ganseya.

Tego Gansey się nie spodziewał. Nie wiedział, co odpowiedzieć, żeby nie zranić Ronana. Nie mógł go okłamywać.

– Zdradź mi, co słyszałeś, a ja ci powiem, co jest prawdą.

– Noah mi przekazał – rzucił Ronan – że jeśli stąd wyjedziesz, to Parrish pojedzie z tobą.

W jego głosie pobrzmiwała zazdrość i Gansey zwrócił się do niego chłodniej, niż zamierzał. Starał się nikogo nie faworyzować.

– Tak? I co jeszcze Noah miał na ten temat do powiedzenia?

Ronan się cofnął. Z widocznym wysiłkiem starał się uporządkować myśli. Żaden z braci Lynch nie lubił, gdy jego działanie wydawało się niezamierzone, nawet jeśli było celowo okrutne.

– Chcesz, żebym pojechał z wami? – zapytał, zamiast odpowiedzieć.

Gansey poczuł, że coś mu utkwilo w piersi.

– Zabrałbym was ze sobą wszędzie. Wszystkich.

W świetle księżyca Ronan przypominał dziwną rzeźbę, surowy posąg nie do końca ukształtowany przez rzeźbiarza, który zapomniał tchnąć w niego uczucie. Wziął głęboki oddech, jak palacz zaciągający się papierosem: ciężko nabrał powietrza przez nozdrza, a potem lekko wypuścił je przez zęby.

– Tamtej nocy. Jest coś... – powiedział po chwili.

Ale potem umilkł i nie dodał nic więcej. Postawił kropkę w rodzaju tych, które Ganseyowi kojarzyły się z tajemnicą i poczuciem winy. Kropkę, jaką stawia człowiek, który postanowił coś wyznać, ale w ostatniej chwili zdradziły go własne usta.

– Co jest?

Ronan wymamrotał coś pod nosem. Potrząsnął koszem na śmieci.

– Co jest, Ronan?

– Ta sprawa z Piłą, z tą całą wróżką i w ogóle... z Noahem. Myślę, że dzieje się coś dziwnego.

Gansey nie mógł powstrzymać irytacji.

– „Coś dziwnego” nic mi nie mówi. O co ci chodzi?

– Sam nie wiem, człowieku, to jakiś obłąd. Jak ci to powiedzieć... Chodzi mi o coś tak dziwnego jak twój głos w nagraniu z dyktafonu – odparł Ronan. – Dziwnego jak córka tej wróżki. Wszystko jest jakby większe. Sam nie do końca wiem, co mówię. Pomyślałem tylko, że mnie akurat powinienesz uwierzyć.

– Nawet nie wiem, w co miałbym uwierzyć.

– Zaczyna się, człowieku – stwierdził Ronan.

Gansey założył ręce. Patrzył na czarne skrzydło martwej osy wystające przez kratkę kosza na śmieci. Czekał, aż Ronan rozwinie swoją teorię, ale on powiedział tylko:

– Jak jeszcze raz zobaczę, że gapisz się na osę, to pozwolę, żeby cię zabiła.

Mam to w dupie.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i poszedł do swojego pokoju.

Gansey powoli podniósł but z miejsca, w którym zostawił go Ronan. Kiedy się wyprostował, zdał sobie sprawę, że obok stoi Noah i zerka z niepokojem to na niego, to na kosz na śmieci. Trup osy zsunął się kilka centymetrów niżej, ale nadal było go widać.

– Co? – zapytał Gansey.

Niepokój Noaha obudził w nim wspomnienie przerażonych twarzy, szerszeni na skórze, błękitnego nieba nad głową. Dawno, dawno temu dano mu drugą szansę, a ostatnio coraz bardziej ciążyło mu poczucie, że powinien nadać swojemu życiu znaczenie.

Odwrócił się i popatrzył w dal przez okna. Nawet teraz wydawało mu się, że czuje przejmującą bliskość gór, jakby przestrzeń między nim a szczytami stała się namacalna. To było równie nieznośne jak wyobrażanie sobie uśpionego oblicza Glendowera.

Ronan miał rację. Wszystko wydawało się większe. Może nie znalazł linii mocy ani jej serca, ale coś się działo, coś się zaczynało.

– Nie zmarnuj tego – powiedział Noah.

Kilka dni później Blue obudziła się przed świtem.

Na podłodze jej pokoju tłoczyły się postrzępione cienie, które przedostały się do środka wraz ze światłem lampki z korytarza. Jak każdej nocy od pamiętnego stawiania kart, kiedy tylko sen rozluźnił swe objęcia, Blue nawiedziło wspomnienie delikatnych rysów Adama i pochylonej głowy Ganseya. Nie mogła przestać odtwarzać w myślach chaotycznych wydarzeń tamtego popołudnia. Zaskakująca odpowiedź Calli na słowa Ronana, intymny język Adama i Ganseya, no i Gansey, który był teraz kimś więcej niż tylko cieniem na drodze umarłych. Ale to nie chłopcy z krukami nie dawali Blue spokoju, choć szanse, że Adam kiedykolwiek zadzwoni, wydawały się teraz bliskie zeru. Nie, najbardziej przejmowała się tym, że matka czegoś jej zabroniła. To uwierało jak za ciasny kołnierzyk.

Postanowiła wstać. Odrzuciła kołdrę.

Choć miała pewną słabość do dziwacznej architektury domu przy Fox Way 300, więcej w tym było sentymentu niż jakichkolwiek głębszych emocji. Za to podwórko za domem darzyła prawdziwie płomiennym uczuciem. Rozpościwał się nad nim wielki, rozłożysty buk. Jego piękna, doskonale symetryczna korona sięgała od początku do końca płotu, przez całą szerokość podwórka. Była tak gęsta, że nawet w najbardziej upalne letnie dni ogród miał soczystozielony kolor. Tylko naprawdę ulewny deszcz był w stanie przebić się przez barierę z liści. Blue mogłaby napęlić cały worek wspomnieniami deszczowych dni spędzonych pod masywnym, śliskim pniem. Uwielbiała słuchać szumu, kapania i rozpryskiwania się o zielony baldachim kropel wody, które nigdy nie docierały do ziemi. Stojąc pod bukiem, czuła się tak, jakby sama była drzewem, a deszcz spływał po jej liściach i korze, gładkiej w dotyku jak skóra.

Blue westchnęła i poszła do kuchni. Otworzyła drzwi na zewnątrz, a potem cicho i starannie zamknęła je za sobą. Po zmroku podwórze zamieniało się w jej osobisty, niepowtarzalny, ciemny świat. Wysoki, drewniany płot, obrośnięty zaniedbanym wiciokrzewem, zasłaniał światła sąsiednich domów, a nieprzenikniony baldachim korony buka nie dopuszczał blasku księżyca. Zwykle wzrok Blue potrzebował kilku długich minut, żeby przyzwycząić się do panujących tu ciemności, ale nie dziś.

Tej nocy pień drzewa rozjaśniał upiorny, niepewny blask. Blue zatrzymała się z wahaniem, próbując zrozumieć znaczenie tego chybotliwego światła, które przesunęło się po bladej, szarej korze. Oparła dłoń o ścianę domu – jeszcze ciepłą od żaru dnia – i pochyliła się do przodu. Teraz dojrzała świeczkę ustawioną z drugiej strony drzewa wśród jego nagich, węzowych korzeni. Drżący płomień przygasał, wydłużał się i znowu zanikał.

Blue zrobiła krok do przodu i zeszła ze splekanego, ceglanego tarasu. Postąpiła jeszcze parę kroków i obejrzała się za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje.

Kto to zrobił? W odległości metra od świeczki, w płątaniu korzeni o gładkiej skórze zebrała się kałuża czarnej wody. Na jej powierzchni błyszczało drżące światło,

jakby drugiej świecy zanurzonej w ciemnej toni.

Blue wstrzymała oddech i zrobiła jeszcze jeden krok.

Nieopodal świeczki i niewielkiej sadzawki, w korzeniach drzewa klęczała Neeve ubrana w luźny sweter i długą, szeroką spódnicę. Z pięknymi dłońmi złożonymi na kolanach była nieruchoma jak drzewo i ciemna jak niebo.

Na widok Neeve Blue gwałtownie wypuściła powietrze, a potem podniosła wzrok na ledwo widoczną twarz ciotki. Ponownie wstrzymała oddech, jakby dopiero teraz się zdziwiła.

– Och – szepnęła Blue. – Przepraszam. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Ale Neeve nie odpowiedziała. Dziewczyna przyjrzała się uważniej i dostrzegła jej nieobecne spojrzenie. Brwi Neeve wydawały się dziwnie bezkształtne i pozbawione wyrazu, jeszcze bardziej niż oczy. Zupełnie jak dwie równo odrysowane, neutralne linie czekające na jakąś treść.

Blue najpierw pomyślała, że to napad choroby. Zdarza się przecież, że ludzie dostają jakiegoś ataku i siedzą nieruchomo. Jak to się nazywało? Ale potem przypomniała sobie miseczkę soku żurawinowo-grejpfrutowego na kuchennym stole i uznała, że Neeve najprawdopodobniej medytuje.

Ale to nie przypominało medytacji. Raczej jakiś... rytuał. Jej matka była przeciwna tego rodzaju praktykom. Kiedyś, pełna oburzenia, oznajmiła klientce: „Nie jestem czarownicą”. Innym razem powiedziała smutno do Persefony: „Nie jestem czarownicą”. Ale kto wie, Neeve może nią była.

Blue nie miała pojęcia, jakie zasady obowiązują w takiej sytuacji.

– Kto tu jest? – zapytała Neeve.

Ale to nie jej głos rozległ się w ogrodzie. Jakby przemawiało przez nią coś głębokiego i odległego.

Blue poczuła ciarki na skórze. Gdzieś wysoko w koronie drzewa syknął jakiś ptak. A przynajmniej Blue pomyślała, że to ptak.

– Podejdź do światła – poleciała Neeve.

Tafla wody między korzeniami drgnęła, a może poruszył się tylko odbity w niej płomień samotnej świecy. Kiedy Blue się rozejrzała, zobaczyła na ziemi pięcioramienną gwiazdę. Koniec jednego z jej ramion wyznaczała zapalona świeca, drugiego – sadzawka z ciemną wodą. Trzecie było zakończone zgaszoną świecą, a czwarte – pustą miską. Zdezorientowana Blue pomyślała, że może jednak się pomyliła, ale potem zdała sobie sprawę, że to Neeve jest ostatnim wierzchołkiem pentagramu.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziała nie-Neeve swoim nowym głosem o brzmieniu ciemności, do których nigdy nie docierają promienie słońca. – Wyczuwam twój zapach.

Blue miała wrażenie, że coś bardzo wolno wędruje po jej karku, tuż pod skórą. Było to tak odrażająco realne uczucie, że miała ochotę się tam klepnąć albo podrapać.

Nade wszystko jednak chciała jak najszybciej wrócić do domu i udawać, że w ogóle z niego nie wychodziła, ale bała się zostawić Neeve samą, bo może...

Blue pragnęła o tym nie myśleć, ale obawa wkradła się już do jej głowy. Nie chciała zostawiać Neeve samej, na wypadek gdyby coś ją opętało.

– Tu jestem – oznajmiła Blue.

Płomień świecy się wydłużył.

– Jak masz na imię? – zapytała nie-Neeve.

Blue przyszło do głowy, że właściwie wcale nie ma pewności, czy usta Neeve poruszają się, kiedy mówi. Nie potrafiła się zdobyć na to, żeby spojrzeć na twarz ciotki.

– Neeve – skłamała Blue.

– Podejdź tu, gdzie mogę cię zobaczyć.

W małej, czarnej sadzawce zdecydowanie coś się poruszało. W wodzie odbijały się kolory, których nie oświetlał płomień świecy. Chwiały się i przesuwwały zupełnie niezależnie od jego ruchów. Blue zadrżała.

– Jestem niewidzialna.

– Ach – westchnęła nie-Neeve.

– Kim jesteś? – zapytała Blue.

Płomień świecy strzelił jeszcze wyżej. Stał się tak cienki, że prawie się prze-rwał. Próbował dosięgnąć Blue.

– Neeve – powiedziała nie-Neeve.

W ciemnym głosie pobrzmiwała teraz jakaś przebiegła nuta. Nikczemny podtekst, który sprawiał, że Blue miała ochotę obejrzeć się przez ramię. Ale nie chciała spuścić z oka świecy, bo bała się, że płomień jej dotknie, gdy tylko się odwróci.

– Gdzie jesteś? – zapytała Blue.

– Na drodze umarłych – odwarknęła nie-Neeve.

Blue uświadomiła sobie, że z ust ciotki wydobywa się para. Jej ramiona nie-spodziewanie pokryły się gęsią skórą. W przyćmionym świetle świecy dostrzegła chmurę oddechu Neeve, która rozdzielała się nad sadzawką, jakby coś stało jej na drodze.

Blue ruszyła naprzód, kopnęła pustą miskę, przewróciła zgaszoną świecę i zgarnęła butem warstwę ziemi, przysypując nią czarną sadzawkę.

Świeca zgasła.

Przez chwilę otaczała je całkowita czerń. Nie było słycać żadnego dźwięku, jakby drzewo i podwórze nie znajdowały się już na terenie miasta. Pomimo panującej dokoła ciszy Blue czuła, że nie jest sama, i było to koszmarnie uczucie.

„Znajduję się wewnątrz bańki – pomyślała wzburzona. – Otacza mnie szkło. Widzę, co jest na zewnątrz, ale nic nie może się dostać do środka. Jestem nietykalna”. Według Maury takie wizualizacje chroniły przed atakiem mocy nadprzyrodzonych, jednak wydawały się niczym wobec głosu, który przed chwilą wydobywał się z ust ciotki Neeve.

Ale nic się nie działo. Gęsia skórka Blue zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Jej oczy powoli przystosowały się do ciemności. Wreszcie zobaczyła Neeve, która wciąż klęczała przy sadzawce z wodą.

– Neeve – szepnęła Blue.

Przez chwilę ciotka trwała nieruchomo, a potem uniosła głowę i ręce.

„Proszę, bądź Neeve. Proszę, bądź Neeve”.

Ciało Blue było gotowe do natychmiastowej ucieczki.

Wtedy zobaczyła, że brwi ciotki wróciły do regularnego kształtu, choć ręce jej drżały. Z ulgą cicho westchnęła.

– Blue? – Głos Neeve brzmiał zupełnie zwyczajnie. A potem, jakby dopiero teraz oprzytomniała, powiedziała: – *Och!* Nie powiesz o tym matce, prawda?

Blue nie odrywała od niej wzroku.

– Oczywiście, że powiem! Co to miało być? Co ty robiłaś?

Serce biło jej szybko. Zdała sobie sprawę, że jest przerażona.

Neeve popatrzyła na zniszczony pentagram, przewróconą świecę i miskę.

– Próbowałam coś wyczytać.

Jej łagodny głos jeszcze bardziej rozjuszył Blue.

– Czytaniem można nazwać to, co kiedyś robiłaś w kuchni. To nie to samo!

– Zaglądałam w tę przestrzeń, którą wtedy widziałam. Miałam nadzieję, że uda mi się nawiązać kontakt z kimś, kto tam jest, żeby dowiedzieć się, co to za miejsce.

Blue nie panowała nad wzburzeniem.

– To coś mówiło! A ty nie byłaś sobą!

– Cóż – odparła Neeve ze złością. – To przez ciebie. Wszystko wzmacniasz. Nie spodziewałam się, że tu przyjdiesz, w przeciwnym razie bym...

Umilkła i z przekrzywioną głową przyjrzała się ogarkowi świecy. Nie był to szczególnie ludzki gest i Blue przypomniła sobie ten paskudny dreszcz, którego doświadczyła chwilę wcześniej.

– No, co byś zrobiła? – dopytywała się. Ona też czuła złość, że Neeve wini ją za coś, co właśnie się stało. – Co to było? Powiedziało, że jest na drodze umarłych. Czy to jest linia mocy?

– Oczywiście. Henrietta na niej leży.

To oznaczało, że Gansey ma rację. Oznaczało to również, że Blue wie dokładnie, którędy przebiega linia mocy, bo zaledwie przed kilkoma dniami widziała, jak szedł po niej cień Ganseya.

– To dlatego nietrudno tu być jasnowidzem – powiedziała Neeve. – Dzięki energii.

– Takiej jak moja?

Neeve wykonała jakiś skomplikowany gest dłonią, a potem zabrała świecę. Podniosła ją do góry nogami i złapała palcami za knot, żeby się upewnić, że jest całkowicie zgaszona.

– Energii takiej jak twoja. Którą karmią się różne rzeczy. Która... Jak to ujęłaś? Nagłaśnia rozmowę. Rozjaśnia żarówkę. Wszystko, co potrzebuje energii do życia, poszukuje jej w otoczeniu. Oni wykorzystują twoją energię.

– Co tam widziałaś? – zapytała Blue. – Kiedy...

– ...czytałam – dokończyła za nią Neeve, choć dziewczyna wcale nie była pewna, czy tak właśnie należało dokończyć to pytanie. – Tam jest ktoś, kto zna twoje imię. I ktoś jeszcze, kto szuka tego, co ty.

– Tego, co *ja!* – powtórzyła Blue przerażona.

Nie wiedziała, że czegoś *szuka*. Chyba że Neeve miała na myśli tajemniczego Glendowera. Przypomniła sobie tamto uczucie połączenia, wrażenie, że została wpłątana w sieć. Otoczona przez chłopców z krukami, śpiących królów i linie mocy. Matkę, która każe jej trzymać się od nich z daleka.

– Tak. Wiesz, co to jest – odparła Neeve. – Ach, teraz wszystko wydaje się o wiele bardziej zrozumiałe.

Blue pomyślała o łąpczywie strzelającym w górę płomieniu świecy, o światłach przesuwających się po ciemnej tafli wody. Poczowała chłód gdzieś w głębi duszy.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tam zobaczyłaś. W kałuży.

Neeve podniosła wzrok. Trzymała w ramionach wszystkie swoje rekwizyty. Jej spojrzenie było tak nieruchome, że mogłaby przeniknąć nim całą wieczność.

– To dlatego, że nie mam pojęcia, co to jest.

Następnego dnia, przed rozpoczęciem lekcji, Whelk pozwolił sobie przeszukać rzeczy Ganseya.

Szafka chłopaka, jedna z nielicznych używanych przez uczniów, znajdowała się niedaleko dawnej szafki Whelka. Otwierając ją, poczuł, że wracają wspomnienia i ogarnia go nostalgia. Dawno, dawno temu to właśnie on był jednym z najbogatszych dzieciaków w Aglionby. Mógł się przyjaźnić, z kim tylko chciał; mógł mieć każdą dziewczynę w Henriecie i chodzić wyłącznie na te zajęcia, na które miał ochotę. Jego ojciec bez skrupułów wspierał szkołę hojnymi darowiznami, żeby pomóc Whelkowi zaliczyć dowolny przedmiot, choć syn od tygodni nie pojawiał się na lekcjach. Tęsknił za swoim starym samochodem. Miejscowi gliniarze dobrze znali jego ojca. Nawet nie zwracali sobie głowy zatrzymywaniem Whelka.

A teraz to Gansey był tutaj królem i nawet nie potrafił z tego korzystać.

Zgodnie z kodeksem honorowym Aglionby w szafkach nie było zamków, więc Whelk mógł zajrzeć do środka bez niepotrzebnego zamieszania. Wewnątrz znalazł parę przykurzonych notatników. W każdym z nich było zaledwie kilka zapisanych stron. Whelk zabrał zeszyty i zostawił w szafce kartkę („Rzeczy osobiste przeniesione na czas dezynsekcji”), na wypadek gdyby Gansey postanowił przyjść do szkoły dwie godziny przed rozpoczęciem lekcji. Następnie poszedł do jednej z mniej uczęszczanych łazienek dla personelu, żeby przejrzeć znalezisko.

Siedząc po turecku na równiutkich, ale nieco przykurzonych kafelkach obok umywalki dowiedział się, że Richard Gansey III ma większą obsesję na punkcie linii mocy niż on sam. W jego poszukiwaniach było coś... maniakalnego.

„Co jest *nie tak* z tym dzieciakiem?” – zastanawiał się Whelk, zaskoczony, że zestarzał się już na tyle, żeby myśleć o Ganseyu jak o dziecku.

Usłyszał stukot obcasów na korytarzu. Przez wąską szparę pod drzwiami łazienki przedostał się do środka zapach kawy. Szkoła zaczynała budzić się do życia. Whelk zabrał się do przeglądania następnego zeszytu ciekawy, co w nim znajdzie.

Brulion zawierał same informacje historyczne o walijskim królu Owenie Glendowerze. Whelka to nie interesowało. Przebiegał wzrokiem po zapiskach, przekonany, że nie mają związku z linią mocy, aż w pewnej chwili powiązał wszystko ze sobą i zrozumiał, czego chce dowieść Gansey. Glendower i linia mocy. Wariat czy nie, Gansey potrafił być przekonujący.

Whelk skupił się na jednej linijce tekstu:

„Ten, kto obudzi Glendowera, będzie mógł liczyć na nagrodę (jakakolwiek?) (nadprzyrodzoną?) (niektóre źródła wspominają o wzajemności – co to oznacza?)”.

Dla Czerny’ego ostateczny wynik poszukiwań nigdy nie miał znaczenia. Dla Whelka z początku również nie. Pociągała ich sama tajemnica. Aż pewnego popołudnia Czerny i Whelk postanowili zbadać krąg naturalnie utworzony przez wielkie głazy. W jego obrębie występowało silne pole magnetyczne. Kiedy na próbę usunęli jeden z kamieni, rozległ się trask i uwolniona energia powaliła obu chłopców na ziemię. Ich oczom ukazała się niewyraźna kobieca postać.

Linia mocy była czystą, nieokiełznaną, niewytłumaczalną energią. Zjawiskiem wyjętym z legend.

Ten, kto potrafiłby ją kontrolować, zyskałby coś więcej niż bogactwo. Ten, kto opanowałby linię mocy, posiadałby władzę, o jakiej pozostali chłopcy z Aglionby mogli jedynie pomarzyć.

Czerny'emu właściwie nadal na tym nie zależało. Był najłagodniejszym, najbardziej pozbawionym ambicji stworzeniem, jakie Whelk w życiu spotkał, i pewnie dlatego właśnie tak bardzo lubił jego towarzystwo. Czerny'emu nie przeszkadzało, że nie jest w niczym lepszy od innych. Wystarczało mu truchtanie za Whelkiem. Barrington zwykle myślał, że Czerny był jak ciełe, ale zdarzało mu się, że w chwilach słabości wspominał go jako lojalnego kolegę.

Chociaż to właściwie jedno i to samo, prawda?

– Glendower – powiedział głośno, żeby przekonać się, jak to brzmi.

Słowo odbiło się od ścian łazienki pustym, metalicznym echem. Zastanawiał się, na jaką nagrodę Gansey, ten zdziwaczały desperat, liczył w zamian za obudzenie Glendowera.

Whelk podniósł się z podłogi i pozbierał wszystkie zeszyty. Skopiowanie notatek w pokoju nauczycielskim zajmie najwyżej parę minut. Gdyby ktoś o coś pytał, zawsze może powiedzieć, że Gansey go o to poprosił.

Glendower.

Gdyby Whelk go odnalazł, poprosiłby go o to, czego pragnął od samego początku: o kontrolę nad linią mocy.

Następnego popołudnia Blue wyszła boso na ulicę i usiadła na krawężniku pod niebieskozielonymi drzewami, żeby poczekać na Callę. Neeve przez całe popołudnie nie wychodziła ze swojego pokoju, a Maura właśnie stawiała karty anielskie jakiejś grupce przyjezdnych pisarzy, którzy szukali w Henriecie spokojnego miejsca do pracy. Blue od kilku godzin zastanawiała się, jak postąpić w związku z nocnym spotkaniem z Neeve. Uznała, że sprawa wymaga konsultacji z Callą.

Kiedy zaczynała się już niecierpliwić, przy krawężniku zatrzymał się samochód.

– Czekasz razem z kubłami na śmieciarkę? – zapytała Calla. Ledwo wygramoliła się z pojazdu, niebieskozielonego, jak wszystko tego dnia.

Miała na sobie nadzwyczaj przyzwoitą sukienkę i niezbyt ekstrawaganckie sandały z kryształków. Z roztargnieniem pomachała ręką kierowcy, a kiedy samochód odjechał, odwróciła się do dziewczyny.

– Muszę cię o coś zapytać – zaczęła Blue.

– I to jest jedno z tych pytań, które lepiej brzmią obok kosza na śmieci? Potrzymaj.

Calla z wysiłkiem zdjęła z ramienia torbę i przewiesiła ją przez ramię Blue. Czuć było od niej jaśminem i papryczką chili, co oznaczało, że miała zły dzień w pracy.

Blue słabo się orientowała, na czym ta praca polega, ale wiedziała, że ma coś wspólnego z Aglionby, papierkową robotą i przeklinaniem uczniów, często w weekendy. Tak czy owak, w gorsze dni wymagało to pocieszenia w postaci burrito.

Calla ruszyła energicznie w stronę drzwi wejściowych.

Dziewczyna bezsilnie wlokła się za nią, taszcząc torbę. W środku musiały być książki lub zwłoki.

– W domu jest pełno ludzi.

Tylko jedna z brwi Calli zaszczyciła Blue ledwie dostrzegalną reakcją.

– Jak zawsze.

Stały już prawie przy drzwiach. Wszystkie pomieszczenia w domu były zajęte przez ciotki, kuzynki i matki. Muzykę Persefony towarzyszącą jej pracy nad doktoratem słyhać było aż tutaj. Jak zwykle tylko na zewnątrz można było liczyć na odrobinę prywatności.

– Powiedz mi, po co przyjechała Neeve.

Calla przystanęła. Zerknęła przez ramię na Blue.

– Cóż, wybacz – odparła bez zrozumienia. – Ja na przykład chciałabym poznać przyczyny zmian klimatycznych, ale nikt mnie nie chce w nie wtajemniczyć.

Blue zacisnęła palce na torbie Calli, jakby była jej zakładnikiem. Nie dawała za wygraną.

– Nie mam już sześciu lat. Może wszyscy wokół czerpią potrzebną im wiedzę z talii kart, ale ja czuję się zmęczona wiecznym błędzeniem w ciemnościach.

Teraz udało jej się wzbudzić zainteresowanie obu brwi rozmówczyni.

– Cholernie bezpośrednio to ujęłaś – przyznała Calla. – Zastanawiałam się, kiedy wreszcie się zbuntujesz. Dlaczego nie zapytasz o to swojej matki?

– Bo jestem na nią zła. Mówi mi, co mam robić.

Calla przestąpiła z nogi na nogę.

– Weź jeszcze to. Co proponujesz?

Blue przyjęła drugą torbę. Ta była ciemnobrązowa i miała rogi, jakby w środku znajdowało się jakieś pudełko.

– Może po prostu mi powiedz?

Calla dotknęła wargi palcem uwolnionej ręki. Jej usta i paznokcie miały ten sam odcień indygo – kolor wydzieliny ośmiornicy i głębokiego cienia w kamienistym ogródku przed domem.

– Sęk w tym, że nie jestem pewna, czy to, co mi powiedziano, jest prawdą.

Blue poczuła, że traci grunt. Sam pomysł okłamywania Calli, Maury czy Persefony wydawał się niedorzeczny. Nawet jeśli nie znały prawdy, zawsze potrafiły rozpoznać kłamstwo. A jednak pojawienie się Neeve było okryte tajemnicą. Do tego doszło czytanie z kałuż po nocach, kiedy Neeve nie spodziewała się, że ktoś ją zobaczy.

– Miała tu przyjechać, żeby kogoś szukać – powiedziała Calla.

– Mojego ojca – domyśliła się Blue.

Calla nie potwierdziła, ale też nie zaprzeczyła.

– Ale myślę, że kiedy znalazła się w Henriecie, pojawił się nowy cel.

Przez chwilę przyglądały się sobie nawzajem jak dwie konspiratorki.

– W takim razie mam inną propozycję – odezwała się wreszcie Blue. Spróbowała unieść brew, tak jak robiła to Calla, ale czuła, że wypadło to niezbyt przekonująco. – Przejrzymy rzeczy Neeve. Ty będziesz ich dotykała, a ja stanę obok, żeby ci pomóc.

Usta Calli zrobiły się bardzo wąskie. Jej wizje psychometryczne bywały niejasne, ale kto wie, może gdyby Blue wzmocniła jej dar? Z tatuażem Ronana bez wątpienia poszło jej nieźle. W ten sposób mogłyby dowiedzieć się czegoś konkretniejszego.

– Proszę – powiedziała Calla, podając Blue ostatni, najmniejszy z tobołów.

Była to krwistoczerwona, skórzana torebka. Niezwykle ciężka. Kiedy Blue usiłowała utrzymać ją razem z pozostałymi, Calla stała z założonymi rękami, poklepując ramiona swymi ciemno zakończonymi palcami.

– Musiałyby wyjść przynajmniej na godzinę – stwierdziła Calla. – Najlepiej, żeby Maura też była w tym czasie czymś zajęta.

Calla zauważyła kiedyś, że matka Blue nie trzyma w domu zwierząt, bo zbyt wiele czasu poświęca na wprowadzanie w życie swoich zasad. Maura była gorliwą wyznawczynią wielu reguł, do których należała bezwzględna ochrona prywatności.

– Ale zrobisz to?

– Dzisiaj spróbuję dowiedzieć się czegoś o ich planach zajęć – odparła Calla. – Co to?

Jakiś samochód zatrzymał się przy końcu chodnika. Calla i Blue przekrzywiły głowy, żeby przeczytać napis na drzwiach: „Kwiaty od Andi”. Kobieta za kierownicą szperała na tylnym siedzeniu samochodu przez pełne dwie minuty, po czym wysiadła,

trzymając w ręce najmniejszą wiązanek kwiatów na świecie. Nawet jej nastroszona grzywka była bardziej okazała niż bukiet.

– Trudno tu trafić! – powiedziała.

Calla wydeła usta. Darzyła szczerą i zajadłą nienawiścią wszystko, co można określić mianem niezobowiązującej pogawędki.

– Co to ma znaczyć? – zapytała.

Zabrzmiało to tak, jakby kwiaty były niechcianym kociakiem.

– To dla... – Kobieta szukała bileciku.

– Orli? – zasugerowała Blue.

Orla dostawała kwiaty od usychających z miłości mężczyzn z całej Henrietty i okolic. Nie tylko zresztą kwiaty. Niektórzy przysyłali jej pakiety spa. Inni kosze owoców. Jeden dał jej nawet portret olejny. Namalował Orle z profilu, przedstawiając w całej okazałości jej długą, elegancką szyję, klasyczne kości policzkowe, romantyczne oczy o ciężkich powiekach i ogromny nos – który jego właścicielka najmniej u siebie lubiła. Zerwała z nim natychmiast.

– Blue? – zapytała kobieta. – Blue Sargent?

Do dziewczyny nie od razu dotarło, że kwiaty są dla niej. Calla odebrała jej jedną ze swoich toreb, żeby Blue mogła przyjąć wiązanek. Kiedy kobieta wróciła do samochodu, Blue nadal obracała w dłoni bukiet. Był to jeden biały goździk, otoczony delikatną mgiełką gipsówki. Kwiaty pachniały ładniej, niż wyglądały.

– Doręczenie musiało kosztować więcej niż bukiet – skomentowała Calla.

Blue odszukała przymocowany do cienkich łodyg maleńki, zapisany kobiecym pismem bilecik. Wiadomość brzmiała: „Mam nadzieję, że nadal chcesz, żebym zadzwonił. Adam”.

Teraz wszystko nabrało sensu. Bukiet pasował do postrzępionego swetra Adama.

– Czerwienisz się – powiedziała Calla z dezaprobatą. Sięgnęła po kwiaty, ale dostała po łapach. – Ktokolwiek to jest, dał z siebie wszystko, nie?

Blue musnęła twarz płatkami białego goździka. Były tak delikatne, że prawie nie czuła ich dotyku. Nie był to portret ani kosz owoców, ale trudno było sobie wyobrazić, żeby Adam przysłał jej coś tak dramatycznego. Te małe kwiatki były dyskretne i skromne jak on.

– Moim zdaniem są śliczne.

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać głupkowaty uśmiech. Prawdę mówiąc, miała ochotę zatańczyć z kwiatami w objęciach, ale to byłoby idiotyczne.

– Kto to jest? – zapytała Calla.

– Będę tajemnicza. Zabieraj swoje toboły.

Blue wyciągnęła rękę i dwie większe torby zsunęły się prosto w dłonie Calli.

Ciotka pokręciła głową, ale nie było w tym dezaprobaty. Dziewczyna podejrzewała ją o skrywany romantyzm.

– Calla? – zaczęła Blue. – Myślisz, że powinnam powiedzieć chłopakom z Aglionby, którędy biegnie droga umarłych?

Calla przyglądała się Blue równie długo jak Neeve.

– Dlaczego uważasz, że znam odpowiedź na twoje pytanie?

– Bo jesteś dorosła – odparła Blue. – I na pewno nauczyłaś się paru rzeczy, za-

nim osiągnęłaś obecny wiek.

– A ja myślę – powiedziała Calla – że i tak już podjęłaś decyzję.

Blue wbiła wzrok w ziemię. Ostatniej nocy myśl o dzienniku Ganseya i o tym, że na świecie istnieje magia, nie pozwalała jej spać. Nie dawało jej spokoju, że być może, tylko prawdopodobnie, gdzieś leży śpiący król, a ona mogłaby położyć dłoń na jego policzku i poczuć pod jego skórą kilkusetletni puls.

Jednak ważniejsze od tego wszystkiego wydawało się wspomnienie jej własnej twarzy na karcie tarota – z figurą pazia kielichów, zroszone deszczem ramiona chłopaka na cmentarzu i głos: „Ganseya. To wszystko”.

Teraz, kiedy przekonała się, że on naprawdę istnieje i zobaczyła kartę przepowiadającą jego śmierć; gdy dowiedziała się, że będzie miała w tym swój udział; stanie z boku i czekanie, aż to się wydarzy, po prostu przestało być możliwe.

– Nie mów mamie – poprosiła.

Calla z obojętnym chrząknięciem szarpnęła drzwi. Blue została z kwiatami na schodach. Ich główki, tak niepozorne, dla niej oznaczały istotną zmianę.

„Od dziś – pomyślała – nie interesuje mnie przepowiadanie przyszłości. Wolę ją przeżywać”.

– Blue, jeśli poznasz go bliżej... – zaczęła Calla. Stała w drzwiach, jedną nogą w środku. – Strzeż swojego serca. Nie zapominaj, że on niedługo umrze.

W czasie, gdy kwiaty Adama dostarczano na Fox Way 300, on sam dojeżdżał na rozklekotanym rowerze do Monmouth Manufacturing. Ronan i Noah siedzieli na zewnątrz na zarośniętym parkingu i budowali drewniany podjazd do jakichś niecnych celów.

Adam usiłował przekonać zardzewiałą nóżkę, żeby utrzymała jego rower w pionie, ale w końcu dał sobie spokój i położył go na ziemi. Spomiędzy szprych wyrzwały żdźbła palusznika.

– Kiedy ma się pojawić Gansey? – zapytał.

Ronan nie od razu mu odpowiedział. Pochylony, ukryty za bmw, mierzył szerokość opon żółtą, składaną miarką.

– Dwadzieścia pięć centymetrów, Noah.

– Tylko tyle? – zdziwił się kolega, który stał obok sterty sklejki i kantówek. – To raczej niewiele.

– Przecież nie kłamię. Dwadzieścia. Pięć. Centymetrów. Ronan wyrzwał zza samochodu i spojrzał na Adama. Popołudniowy zarost Lyncha zamienił się w kilkunastu dniowy. Ronan pozwolił na to chyba tylko po to, żeby dokuczyć Ganseyowi, który ciągle nie mógł wyhodować przyzwoitej brody. Wyglądał jak typ, przed którym kobiety chowają torebki i niemowlęta.

– Kto wie? – rzucił do Adama. – A właściwie o której miał wrócić?

– O trzeciej.

Ronan wstał i obaj odwrócili się, żeby popatrzeć, jak Noah przygotowuje sklejkę na podjazd. W gruncie rzeczy jedyne, co robił, to gapił się na nią. Stał, trzymając palce wskazujące obu dłoni w odległości dwudziestu pięciu centymetrów od siebie, i patrzył zakłopotany przez przestrzeń między nimi na leżące na ziemi drewno. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnych narzędzi.

– Co właściwie zamierzacie z tego zbudować? – zapytał Adam.

Ronan spojrzał na niego ze swoim szatańskim uśmiechem.

– Podjazd. Bmw. Sztucznego satelitę.

To było bardzo w jego stylu. Pokój Ronana Lyncha w Monmouth był pełen drogich zabawek, a on jak zepsute dziecko siedział na podwórku i bawił się patykami.

– To mi nie wygląda na wyrzutnię dla satelity – odparł kpiąco Adam. – Pasuje raczej do tylnej części twojego zawieszenia.

– Nie potrzebuję porad, inżynierze.

Pewnie, że ich nie potrzebował, podobnie jak wróżek. Nawet na kawałku sklejki potrafił wymusić posłuszeństwo. Adam kucnął przy rowerze i znowu zaczął mocować się z nóżką. Sprawdzał, czy da się ją oderwać, nie niszcząc jej przy tym do reszty.

– Z czym konkretnie masz problem? – zapytał Ronan.

– Nie mogę się zdecydować, kiedy powinienem zadzwonić do Blue.

Adam wiedział, że wypowiedzenie tego na głos oznacza wystawienie się na

kpiny Ronana, ale była to jedna z rzeczy, których i tak nie dało się uniknąć.

– Wysłał jej kwiaty – powiedział Noah.

– Skąd wiesz? – wydusił z siebie Adam, bardziej przerażony niż zdziwiony.

Noah uśmiechnął się tajemniczo. Z triumfującą miną kopnął kawałek sklejki.

– Tej lasce od wróżki? Wiesz, co to było za miejsce? – zapytał Ronan. – Gabinet kastracji. Trzeba było jej wysłać swoje jaja, nie kwiaty.

– Jesteś neandertalczykiem.

– Czasami mówisz zupełnie jak Gansey – stwierdził z niesmakiem Ronan.

– A ty rzadko kiedy nie mówisz jak on.

Noah parsknął swoim matowym, prawie bezgłośnym śmiechem. Ronan splunął na ziemię obok bmw.

– Nawet nie wiedziałem, że Parrish gustuje w karlicach – rzucił.

Nie mówił poważnie, ale Adam od razu poczuł się zmęczony Ronanem i jego nieprzydatnością. Od dnia bójki przed restauracją „U Nina” Lynch znalazł już w swojej skrzynce w Aglionby kilka ostrzeżeń przed strasznymi rzeczami, które miały go spotkać, jeśli nie poprawi stopni. A raczej jeśli nie zacznie w ogóle ich dostawać. Ale Ronan wolał budować podjazdy.

Niektórzy ludzie zazdrościli chłopakowi pieniędzy. Adam zazdrościł mu wolnego czasu. Bycie tak bogatym jak Ronan oznaczało, że można chodzić do szkoły i nie robić nic więcej, mieć luksusową wręcz ilość czasu na naukę, odrabianie prac domowych i spanie. Adam nie przyznałby się do tego nikomu, a już z całą pewnością nie Ganseyowi, ale *był* zmęczony. Odrabianiem lekcji w przerwach między jedną pracą a drugą, przysypianiem w wolnych chwilach między poszukiwaniami Glendowera. Podejmowane przez niego zajęcia zarobkowe wydawały się ogromną stratą czasu. Za pięć lat nikogo nie będzie obchodziło, czy pracował kiedyś w fabryce przyczep kempingowych. Będzie się liczyło tylko to, czy skończył Aglionby z najlepszymi ocenami, czy znalazł Glendowera albo czy udało mu się przeżyć. Ronan nie musiał się martwić o żadną z tych rzeczy.

Adam podjął decyzję, że będzie chodził do Aglionby przed dwoma laty. W jakimś sensie stało się to dzięki Ronanowi. Pani Parrish wysłała syna po zakupy ze swoją kartą płatniczą. Na taśmie przy kasie leżała tylko tubka pasty do zębów i cztery puszki ravioli do odgrzania w mikrofalówce, ale kasjerka powiedziała: „Brak środków”. Choć chłopak nie miał na to wpływu, było to dla niego szczególnie wstydliwe i upokarzające doświadczenie. Stał zgarbiony przy kasie i przetrząsał kieszenie, jakby istniała szansa, że znajdzie w nich jakąś gotówkę, którą mógłby zapłacić. Kiedy grzebał w kieszeniach, przy sąsiedniej kasie jakiś chłopak z ogoloną głową szybkim ruchem przesunął kartę przez czytnik i w ciągu kilku sekund pozbił swoje zakupy.

Adam pamiętał, że nawet sposób poruszania się tego chłopaka zrobił na nim wrażenie. Pewność siebie, beztroska, wyprostowane ramiona, uniesiony podbródek, jak u cesarskiego syna. Kiedy kasjerka ponownie wkładała do czytnika kartę Adama i oboje udawali, że to tylko błąd terminala, który źle odczytał kod na pasku magnetycznym, on przyglądał się, jak tamten chłopak wychodzi na zewnątrz i zbliża się do krawężnika, przy którym czeka błyszczący, czarny samochód. Siedziało w nim dwóch jego kolegów w swetrach z krukami na piersi i pod krawatami. W obrzydliwie bez troskich nastrojach dzielili się kupionymi napojami.

Zostawił ravioli i pastę do zębów przy kasie. Pod powiekami czuł pieczenie łez, które nie chciały płynąć.

Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnął być kimś innym.

W jego wspomnieniach chłopak ze sklepu był Ronanem, choć Adam zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Ronan był jeszcze wtedy za młody, żeby mieć prawo jazdy. Spotkał po prostu przypadkowego ucznia Aglionby ze sprawną kartą kredytową i drogim samochodem. Tamto zdarzenie nie było jedynym powodem, dla którego Adam postanowił pójść do Aglionby. Jednak zadziało jak katalizator. Wspomnienie sobowtóra Ronana, beztroskiego i płytkiego, ale z nietkniętą dumą, i Adama, zastraszonego i upokorzonego przed kolejką starszych pań zapadło mu głęboko w pamięć.

Nadal nie był chłopakiem przy sąsiedniej kasie. Ale był coraz bliżej zostania nim.

Adam zerknął na swój zniszczony zegarek, żeby sprawdzić, ile spóźnia się Gansey.

– Daj mi telefon – powiedział do Ronana.

Ronan uniósł brew i sięgnął po komórkę leżącą na dachu bmw.

Adam wybrał numer wróżki. Już po drugim dzwonku odezwał się zachrypnięty głos:

– Adam?

– Blue? – zapytał zaskoczony.

– Nie – powiedział głos. – Persefona. – A potem usłyszał, jak mówi do kogoś w tle: – Dziesięć dolców, Orla. Nie kombinuj, zakład to zakład. Nie, nie wyświetlił się. Widzisz? – A potem znowu do Adama: – Przepraszam. Robię się okropna, kiedy w grę wchodzi współzawodnictwo. Jesteś tym w koszulce coca-coli, tak?

Adam dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Persefonie chodzi o T-shirt, który miał na sobie, kiedy przyszli do wróżki.

– Ach, hm. Tak.

– Cudownie. Zawołam Blue.

Przez krótką, nieprzyjemną chwilę w tle słyszał było szmer głosów. Adam opędzał się od komarów. Trzeba było skosić trawę wokół parkingu. W niektórych miejscach zasłaniała asfalt.

– Nie spodziewałam się, że zadzwonisz – powiedziała cicho Blue.

Adam chyba nie przypuszczał, że dziewczyna podejdzie do telefonu, bo dźwięk jej głosu tak go zaskoczył, że poczuł pustkę w żołądku. Ronan uśmiechnął się znacząco, a Adam miał ochotę walnąć go w ramię.

– Mówiłem, że zadzwonię.

– Dziękuję za kwiaty. Są bardzo ładne. – A potem syknęła: – Spadaj, Orla!

– Wygląda na to, że sporo tam ludzi.

– Owszem. Mieszkają tu trzysta czterdzieści dwie osoby i wszystkie chcą teraz siedzieć w tym pokoju. Co dzisiaj robisz?

Zadała to pytanie tak naturalnie, jakby to była najnormalniejsza rzecz, że rozmawiają przez telefon jak starzy przyjaciele. Dzięki temu Adamowi znacznie łatwiej było powiedzieć:

– Biorę udział w poszukiwaniach. Przyłączysz się?

Ronan wytrzeszczył oczy. Nie wiedział, co odpowiedziała Blue, ale i tak prze-

żył prawdziwy wstrząs.

– Co to za poszukiwania?

Adam zasłonił oczy przed słońcem i rozejrzał się po niebie. Wydawało mu się, że słyszy Ganseya.

– W górach. Co sądzisz o helikopterach?

Zapadła cisza.

– W jakim kontekście? Etycznym?

– Jako o środku transportu.

– Są szybsze niż wielbłądy, ale nie tak ekologiczne. Czy helikopter jest ci dzisiaj pisany?

– Tak. Gansey chce szukać linii mocy, a takie rzeczy zwykle lepiej widać z powietrza.

– Więc oczywiście... wynajął helikopter.

– To Gansey.

Znowu zapadło milczenie. Adam uznał je za chwilę na zastanowienie, więc nie przerywał ciszy.

– No dobrze, przyjdę – powiedziała wreszcie Blue. – Czy to ma być... Co to właściwie jest?

– Nie mam pojęcia – odparł Adam zgodnie z prawdą.

Nieposłuszeństwo wobec matki było dla Blue dziecinnie proste.

Maura Sargent miała niewielkie doświadczenie w dyscyplinowaniu dzieci, a jej córka – w stosowaniu się do nakazów i zakazów, więc nic jej nie powstrzymało przed spotkaniem z Adamem, kiedy pojawił się przed domem. Nie miała nawet wyrzutów sumienia, bo w tym też brakowało jej wprawy. Najbardziej niezwykły w tej sytuacji był pogodny nastrój dziewczyny. Wyszła wbrew życzeniu matki, żeby spotkać się z chłopakiem z krukiem. Powinna być przerażona.

Ale bardzo trudno było jej myśleć o Adamie jak o uczniu Aglionby, kiedy zobaczyła go z rękami w kieszeniach, pachnącego ziemią i skoszoną trawą. Jego siniak dojrzał i był teraz jeszcze bardziej przerażający.

– Ładnie wyglądasz – oznajmił chłopak, kiedy razem wchodzili na chodnik.

Blue nie była pewna, czy mówi poważnie. Włożyła ciężkie buty ze sklepu z używaną odzieżą (zaatakowała je solidną igłą i nićmi do wyszywania) oraz sukienkę, którą uszyła przed paroma miesiącami z kilku różnych warstw zielonego materiału. Niektóre były w prążki. Niektóre szydełkowe. Inne przezroczyste. Adam wyglądał przy niej wyjątkowo konserwatywnie, trochę jakby Blue właśnie go uprowadzała. „Zupełnie do siebie nie pasujemy” – pomyślała dziewczyna z lekkim niepokojem.

– Dziękuję – odpowiedziała. I szybko, zanim opuściła ją odwaga, spytała: – Dlaczego poprosiłeś o mój numer telefonu?

Adam nie zatrzymał się, ale też nie odwrócił wzroku. Na pierwszy rzut oka wydawał się nieśmiały, ale to wrażenie szybko mijało.

– Dlaczego miałbym tego nie zrobić?

– Nie zrozum mnie źle – odparła Blue. Poczuła lekkie ciepło na policzkach, ale zabrnęła już za daleko, żeby móc się teraz wycofać. – Nie chcę, żebyś sobie myślał, że się tym przejmuję, bo to nieprawda.

– W porządku.

– Chodzi mi o to, że... nie jestem ładna. W każdym razie nie przypominam dziewczyn, które podobają się chłopakom z Aglionby.

– Ja chodzę do Aglionby – odrzekł Adam, który nie przypominał innych chłopaków z tej szkoły. – A uważam, że jesteś ładna.

Kiedy to powiedział, Blue po raz pierwszy tego dnia usłyszała jego miejscowy akcent: długie samogłoski i słowo „ładna” wypowiedziane tak, że zabrzmiało jak „zaradna”. Gdzieś na pobliskim drzewie rozległo się ćwierkanie kardynała. Adam zaszurał tenisówkami po chodniku. Blue zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Przemyślała to jeszcze raz.

– *Phi* – prychnęła wreszcie. Czuła się trochę tak jak wtedy, gdy doręczono jej kwiaty i po raz pierwszy przeczytała jego bilecik. Dziwnie zagubiona. Zupełnie jakby słowa omotały ich jakąś nicią, którą teraz trzeba było rozluźnić. – Ale dziękuję. Ty też jesteś ładny.

Chłopak roześmiał się, zaskoczony.

– I jeszcze jedno – dodała Blue. – Pamiętasz, co moja mama powiedziała Gan-

seyowi, kiedy od nas wychodziliście?

Adam zrobił zbolaną minę.

– Właśnie. – Blue wzięła głęboki oddech. – Powiedziała, że wam nie pomoże. Ale ja tego nie powiedziałam.

Po jego telefonie Blue nagryzmoła na kartce z zeszytu orientacyjną mapę dojazdu do bezimiennego kościoła, przed którym siedziały z Neeve w wigilię świętego Marka. Było na niej tylko parę równoległych linii oznaczających główną drogę, kilka przecznic podpisanych ozdobnym pismem i wreszcie kwadrat, a pod nim słowo „kościół”.

Podawała Adamowi tę niezbyt imponującą mapę, a potem wyjęła z torebki dziennik Ganseya.

Adam przystanął. Wpatrywał się we wręczone mu przedmioty. Trzymał dziennik bardzo ostrożnie, jakby był ważny dla niego. Albo jakby był ważny dla kogoś, kto jest ważny dla niego. Blue bardzo chciała, żeby chłopak obdarzył ją szacunkiem i zaufaniem. Po jego minie poznała, że bez wyjaśnień się nie obejdzie.

– Gansey zostawił to u Nina – powiedziała szybko. – Ten notatnik. Miałam mu go oddać, kiedy byliście u nas, ale moja mama... sam widziałeś. Ona... zwykle taka nie jest. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. A teraz chcę się do was przyłączyć. Jeśli tu rzeczywiście dzieje się coś niezwykłego, muszę to zobaczyć. To wszystko.

– Dlaczego? – zapytał tylko Adam.

W kontaktach z nim wchodziła w rachubę wyłącznie prawda i to wyrażona najprościej, jak można. Blue była pewna, że on nie zaakceptuje niczego innego.

– Jestem jedyną osobą w rodzinie pozbawioną daru jasnowidzenia. Słyszałeś, co powiedziała moja mama. Pomagam tylko ludziom, którzy mają zdolności paranormalne. Jeśli magia istnieje, chcę ją zobaczyć. Choć raz.

– Jesteś taka sama jak Gansey – powiedział Adam, ale w jego głosie nie było nagany. – On chce się tylko przekonać, czy to prawda.

Zaczął obracać kartką z mapą to w jedną, to w drugą stronę. Blue poczuła ogromną ulgę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak nieruchomo stał do tej pory. Miała wrażenie, że wcześniej w powietrzu wisiało jakieś napięcie i w tej chwili gdzieś się ulotniło.

– Zaznaczyłam tu drogę umar... linię mocy – wyjaśniła, wskazując na schematyczną mapę. – Kościół leży na tej linii.

– Jesteś pewna?

Blue rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Albo mi wierzysz, albo nie. To ty zapytałeś, czy chcę iść z wami na poszukiwania!

Twarz Adama rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, który całkowicie go odmienił.

– Niczego nie robisz po cichu, co?

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowała, że zrobiła na nim podobne wrażenie, jakie zwykle robiła na mężczyznach Orla. Była z siebie bardzo zadowolona, zwłaszcza że osiągnęła ten efekt, cały czas będąc sobą.

– Niczego, co warto zrobić.

– Hm – mruknął. – Na pewno się zorientujesz, że ja właściwie wszystko robię

po cichu. Jeżeli to ci nie przeszkadza, jakoś sobie poradzimy.

Okazało się, że Blue przechodziła albo przejeżdżała rowerem obok mieszkania Ganseya niemal codziennie, po drodze do szkoły i restauracji „U Nina”. Kiedy zbliżali się do potężnego magazynu, zobaczyła ogniście pomarańczowe camaro na zarośniętym parkingu, a zaledwie sto metrów dalej stał lśniący, granatowy helikopter.

Tak naprawdę nie brała na poważnie ich rozmowy o środkach transportu. Nie aż tak, żeby nie zaskoczył jej widok czekającego na parkingu helikoptera. Wyglądał on tam tak zwyczajnie jak samochód typu SUV przed supermarketem.

Blue stanęła jak wryta.

– Fiu, fiu! – wyszeptała.

– Wiem – powiedział Adam.

Obok śmigłowca pojawił się Gansey, a Blue po raz kolejny usiłowała otrząsnąć się z szoku. Widok jego rzeczywistej postaci wciąż był niezwykle trudny do pogodzenia ze wspomnieniem jego ducha.

– Wreszcie! – krzyknął, podbiegając do nich.

Na nogach miał te same idiotyczne mokasyny, w których pojawił się na Fox Way. Tym razem włożył krótkie bojówki i żółtą koszulkę polo. Wyglądał tak, jakby chciał być gotowy na każdą ewentualność, pod warunkiem, że będzie to awaryjne lądowanie na jachcie. W ręce trzymał karton z ekologicznym sokiem jabłkowym.

Machnął nim w stronę Blue.

– Lecisz z nami?

Podobnie jak podczas stawiania kart, dziewczyna od razu poczuła się przy nim tania, mała i głupia.

– Pytasz, czy lecę z wami helikopterem, który akurat miałeś pod ręką? – zapytała, starając się skracać swoje miejscowe samogłoski.

Gansey zarzucił na ramiona drogi, skórzany plecak. Uśmiechał się łaskawie i swobodnie, zupełnie jakby Maura wcale nie odmówiła mu ostatnio pomocy, a Blue nie próbowała sobie właśnie z niego pokpiwać.

– Czy to coś złego?

Helikopter za jego plecami obudził się z rykiem. Adam podał zaskoczonemu koledze jego dziennik. Część opanowania Ganseya gdzieś się ulotniła i Blue po raz kolejny przekonała się, że to tylko element jego maski.

– Gdzie on był?! – wrzasnął Gansey, bo inaczej nie dało się rozmawiać.

Teraz, przy obracających się łopatach wirnika, ryk helikoptera przypominał krzyk. Pulsowanie powietrza uderzało w uszy mocniej niż sam dźwięk.

Adam wskazał na Blue.

– Dzięki! – krzyknął Gansey.

Znowu był taki jak zawsze. Kiedy tylko otrząsnął się z zaskoczenia, wróciła jego władcza uprzejmość. W dodatku cały czas obserwował Adama w poszukiwaniu wskazówek, jak powinien zachowywać się w stosunku do Blue. Adam kiwnął energicznie głową, a maska Ganseya znowu się trochę zsunęła. Blue zastanawiała się, czy w otoczeniu przyjaciół ta jego prezydencka poza kiedykolwiek całkowicie znika. Może Gansey, którego widziała wtedy przed kościołem, był właśnie tym, który ukrywał się pod maską.

Ta myśl podziałała na nią trzeźwiąco.

Powietrze przetaczało się z łoskotem wokół nich. Blue miała wrażenie, że jej sukienka zaraz odfrunie.

– Czy to jest bezpieczne? – zapytała.

– Bezpieczne jak życie – odparł Gansey. – Adam, jesteśmy spóźnieni! Blue, jeżeli lecisz z nami, to wskakuj.

Po tych słowach pochylony, z koszulką łopoczącą na plecach, ruszył w kierunku helikoptera.

Blue zaczęła się denerwować. Właściwie się nie bała. Tylko że kiedy rano wstawiała z łóżka, nie planowała odrywać się od ziemi z grupką chłopaków z krukami. Helikopter, pomimo okazałych rozmiarów i hałasu, który robił, wydawał jej się zbyt kruchy, żeby powierzać mu swoje życie, a ci chłopcy byli jej prawie obcy. Dopiero teraz naprawdę poczuła się nieposłuszną córką.

– Jeszcze nigdy nie latałam – przyznała się Adamowi, przekrzykując huk.

– Nigdy?! – odkrzyknął.

Pokręciła głową. Chłopak zbliżył usta do jej ucha. Pachniał latem i tanim szamponem. Blue poczuła łaskotanie od pępka aż do stóp.

– Ja tylko raz – powiedział.

Dziewczyna czuła na skórze jego gorący oddech. Była jak sparaliżowana; jedynie, o czym mogła myśleć, to: „No proszę, jak niewiele dzieli nas od pocałunku”. Doszła do wniosku, że to dokładnie tak niebezpieczne, jak sobie zawsze wyobrażała.

– To był koszmar – dodał Adam.

„Muszę mu koniecznie powiedzieć, że nie może mnie pocałować, na wypadek gdyby to jednak on miał być moją prawdziwą miłością” – pomyślała Blue. Tylko jak to zrobić? Jak mogła powiedzieć coś takiego chłopakowi, jeśli nawet nie wiedziała, czy on chce ją pocałować?

Wtedy poczuła, że Adam bierze ją za rękę. Jego dłoń była spocona. Rzeczywiście nie cierpiał latania.

Gansey, który czekał w drzwiach helikoptera, obejrzał się przez ramię. Gdy spojrzał na ich dłonie, jego uśmiech dziwnie się zmienił.

– Nie cierpię tego! – zawołał Adam.

– Wiem! – odwrzasnął Gansey.

W helikopterze były trzy miejsca z tyłu i jedno z przodu, obok pilota. Tylne siedzenie śmigłowca mogłoby należeć do dużego auta, gdyby nie pięciopunktowe pasy bezpieczeństwa, które wyglądały jak wymontowane z myśliwca X-wing. Blue starała się nie myśleć o tym, dlaczego pasażerowie muszą być tak dokładnie przypięci. Może chodziło o to, żeby nie odbijali się od ścian.

Ronan, ten chłopak z krukami, który był inny, zdążył już rozsiaść się przy oknie. Podniósł wzrok, ale się nie uśmiechnął. Adam dał mu kuksańca w ramię i usiadł na środku, a Blue zajęła ostatnie miejsce przy oknie. Kiedy próbowała rozpracować pasy bezpieczeństwa, Gansey zajrzał do kabiny i przybił z Adamem piątkę.

Po kilku minutach, kiedy już siedział z przodu, Blue zobaczyła jego spontaniczny uśmiech. Wydawał się tym lotem niezwykle podekscytowany. Wystudiowana mina zniknęła. Jego twarz wyrażała jakąś intymną radość, w której Blue przypadkiem zdarzyło się uczestniczyć, i to wystarczyło, żeby i jej udzieliła się jego ekscytacja.

Adam nachylił się, żeby coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową, uśmiechając

się, jakby Gansey był elementem skomplikowanego dowcipu, którego nie potrafił powtórzyć.

Ku zaskoczeniu Blue, pilotem okazała się młoda kobieta o imponująco prostym nosie i ciemnych włosach zebranych w piękny węzeł. Luźniejsze pasemka były przyciśnięte słuchawkami, które miała na uszach. Blue odniosła wrażenie, że pilotkę interesują ona i Adam.

– Nie przedstawisz nas, Dick?! – krzyknęła kobieta.

Gansey się skrzywił.

– Blue – powiedział. – Poznaj moją siostrę Helen.

Gansey lubił wszystko, co związane z lataniem. Lotniska, przez które przetaczają się masy ludzi. Samoloty z rozkładanymi stolikami i oknami o grubych szybach. Lubiał uczucie wciskania w fotel, kiedy odrzutowiec rozpędzał się na pasie startowym, bo przypominało mu to dodawanie gazu w camaro. Wycie helikoptera kojarzyło mu się z działaniem. Lubiał małe pokrętła, przełączniki i wskaźniki w kokpicie oraz łatwo zapinające się pasy bezpieczeństwa, które w porównaniu z resztą wyposażenia wydawały się technologicznie zacofane. Czerpał ogromną przyjemność z osiągnięcia celów, przy czym spora część tej euforii wynikała z realizowania ich w sposób efektywny. Gansey nie mógł sobie wyobrazić niczego bardziej skutecznego niż zmierzanie do celu po linii prostej.

Poza tym widok Henrietty z wysokości trzystu metrów bez wątpienia zapierał dech w piersiach. Świat pod nimi miał odcień głębokiej zieleni. Przecinała go wypływająca z samych gór wąska, lśniąca rzeka, w której przeglądało się niebo.

Teraz, w powietrzu, Gansey poczuł się nieco spięty. Pomyślał, że może przesadził z tym helikopterem. Zastanawiał się, czy Blue odebrałaby to lepiej, gdyby wiedziała, że należy do Helen, a on nie zapłacił ani centa za to, żeby z niego dzisiaj skorzystać. A może to pogorszyłoby sprawę. Pewnie tak. Przypomniawszy sobie swoje postanowienie, żeby uważać na to, co mówi, i nie powiedział nic.

– Oto i ona – rozległ się w jego uszach głos Helen. Dzięki słuchawkom słyszeli się nawzajem mimo hałasu śmigieł i silnika. – Dziewczyna Ganseya.

Parsknięcie Ronana ledwo przebiło się przez słuchawki, ale Gansey słyszał je tak często, że nie mógł go nie wychwycić.

– Musi być duża, skoro widać ją z tej wysokości – powiedziała Blue.

– Henrietta – odparła Helen. Spojrzała w lewo, przechylając helikopter. – Mają się pobrać, tylko nie ustalili jeszcze daty.

– Jeżeli narobisz mi obciachu, wyrzucę cię przez okno i sam usiądę za sterami – odezwał się Gansey.

Nie była to realna groźba. Nie wypchnąłby Helen z helikoptera, nawet nie miał licencji pilota. Prawdę powiedziawszy, nie najlepiej sobie radził z lataniem mimo kilku lekcji. Miał problemy z orientacją przy poruszaniu się jednocześnie w pionie i w poziomie, co prowadziło do licznych kolizji z udziałem drzew. Pocieszał się, że przynajmniej potrafi parkować równolegle do krawężnika.

– Masz już prezent dla mamy? – zapytała Helen.

– Tak – odparł Gansey. – Siebie.

– Podarunek, który nigdy nie traci na wartości?

– Nie wydaje mi się, żeby nieletnie dzieci musiały kupować prezenty rodzicom. Przecież jestem od niej zależny finansowo, prawda? – powiedział Gansey.

– Ty zależny! – Roześmiała się. Helen śmiała się jak postać z kreskówki przerażającym: „Ha, ha, ha, ha!”, które budziło u mężczyzn podejrzenie, że śmieje się z nich. – Przestałeś być zależny od kogokolwiek, kiedy skończyłeś cztery lata. Z przedszkolaka od razu zamieniłeś się w faceta w podeszłym wieku z własnym mieszka-

niem.

Gansey lekceważąco machnął ręką. Jego siostra zawsze miała skłonność do przesady.

– A co ty masz dla mamy?

– To niespodzianka – odparła Helen wyniośle, przestawiając jakiś przełącznik palcem o paznokciu pomalowanym na różowo.

Ten róż był u niej jedyną frywolną rzeczą. Uroda Helen miała w sobie coś wspólnego z superkomputerem: zgrabna sylwetka, elegancki, ale praktyczny design, zaawansowane rozwiązania technologiczne i tak drogi serwis, że mało kto może sobie na coś takiego pozwolić.

– Czyli szkło.

Matka Ganseya kolekcjonowała rzadkie malowane talerze z taką samą obsesyjną gorliwością, z jaką jej syn zbierał informacje o śpiącym królu. Ganseyowi trudno było dopatrzeć się w talerzu innego piękna niż to, które wynikało z jego podstawowego przeznaczenia, ale kolekcja matki, często pokazywana w kolorowych czasopiśmie, była ubezpieczona na większą kwotę niż jego ojciec, więc widocznie matka nie była w swojej pasji odosobniona.

– Nie mów, że nic jej nie kupiłeś – powiedziała Helen z kamienną twarzą.

– Nie powiedziałaś jeszcze, co to jest!

– Nazwałeś to szkłem.

– A jak miałem nazwać?

– Nie wszystkie talerze są ze szkła.

– W takim razie jej się nie spodoba.

Helen, której kamienna twarz przybrała jeszcze zimniejszy wyraz, spojrzała ponuro na GPS. Gansey wołał się nie zastanawiać, ile czasu poświęciła na znalezienie tego talerza, który nie był ze szkła. Nie lubił, gdy któraś z kobiet w jego rodzinie czuła się rozczarowana. To mogło zepsuć najlepszy posiłek.

Helen nadal milczała, więc Gansey zaczął myśleć o Blue. Czuł się przy niej jakoś niezręcznie, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Wyjął z kieszeni liść mięty, włożył go do ust i zaczął przyglądać się zarysowanym w dole znajomym ulicom Henrietty. Z powietrza ostre zakręty wyglądały mniej niebezpiecznie niż zza kierownicy camaro. O co chodziło z tą Blue? Adam nie był w stosunku do niej podejrzliwy, choć zwykle okazywał wszystkim nieufność. Z drugiej strony widać było, że jest nią zuroczony. To też był dla Ganseya niepewny grunt.

– Adam! – zawołał.

Odpowiedzi nie było, więc obejrzał się za siebie. Słuchawki Parrisha wisiały zsunięte na jego szyi, a on nachylał się w stronę Blue, pokazując jej coś na ziemi. Kiedy dziewczyna się przesunęła, jej sukienka podniosła się do góry i Gansey zobaczył trójkątny fragment jej szczupłego uda. Dłoń Adama, o palcach zaciśniętych od awersji do latania, spoczywała oparta na siedzeniu w odległości zaledwie kilku centymetrów. Nie było w tej scenie żadnej szczególnej poufałości, ale Gansey, nie wiadomo dlaczego, poczuł się nieswojo, jakby usłyszał jakieś niemiłe słowa.

– Adam! – wrzasnął.

Parrish aż podskoczył. Czym prędzej założył z powrotem słuchawki i Gansey zaraz usłyszał jego głos:

- Skończyliście rozmawiać o talerzach waszej mamy?
- Owszem. Dokąd lecimy? Myślałem o kościele, w którym nagrałem ten głos. Adam podał Ganseyowi pogniecioną kartkę. Przyjaciół rozprostował ją i popatrzył na prymitywnie naszkicowaną mapę.
- Co to jest? – zapytał.
- Blue.

Gansey przyjrzał się jej uważnie, zastanawiając się, czy dziewczyna może mieć jakieś powody, żeby wskazać im zły kierunek. Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Odwrócił się i rozprostował kartkę na desce rozdzielczej.

- Leć tam, Helen.

Pilotka zwróciła helikopter we wskazanym kierunku. Kościół, do którego prowadziła ich Blue, był oddalony od Henrietty o jakieś czterdzieści minut drogi, ale śmigłowcem można było pokonać tę odległość w kwadrans. Gdyby nie niewyraźne mruknięcie Blue, Gansey przegapiłby to miejsce. Były tam tylko opuszczone, zarośnięte ruiny, otoczone wąską linią bardzo starego, kamiennego muru, oraz ślad na ziemi w miejscu, gdzie kiedyś musiało się znajdować jeszcze jedno ogrodzenie.

- To tutaj?
 - Tak. Niewiele z niego zostało. I co dalej?
- W duszy Ganseya coś umilkło i zamarło.
- Co powiedziałaś? – zapytał.
 - To ruina, nie wiem...
 - Nie – przerwał jej. – Powtórz dokładnie to, co powiedziałaś przed chwilą.

Proszę.

Blue zerknęła na Adama, a on wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, co powiedziałam. Chyba... zapytałam, co dalej.

„Co dalej?”

„A dalej?”

To właśnie dręczyło go przez cały ten czas. Wiedział, że słyszał już gdzieś jej głos. Znał ten miejscowy akcent i intonację.

Na dyktafonie nagrał głos Blue.

„Gansey. A dalej? To wszystko”.

– Nie sikam paliwem – warknęła Helen takim tonem, jakby mówiła to już wcześniej, tylko Gansey nie dosłyszał. Możliwe, że tak było. – Zdecyduj się, dokąd chcesz teraz lecieć.

„Co to może znaczyć?”. Znowu dosięgnął go ten ciężar odpowiedzialności, respekt wobec czegoś większego od siebie. Nie mógł się doczekać, a jednocześnie czuł strach.

- Którędy przebiega linia mocy, Blue? – zapytał Adam.

Dziewczyna przycisnęła kciuk i palec wskazujący do szyby, jakby coś odmierzała.

– Tam. W stronę gór. Leć... Widzisz te dwa dęby? To linia prosta, biegnie przez kościół, a potem między tamtymi drzewami.

A jeśli to z Blue rozmawiał w wigilię świętego Marka, co to mogło oznaczać?

– Jesteś pewna? – odezwała się Helen swoim donośnym głosem superkomputera. – Mam paliwo tylko na półtorej godziny.

– *Nie mówiłabym* tego, gdybym nie była pewna – odparła Blue z oburzeniem w głosie.

Helen uśmiechnęła się i zwróciła helikopter we wskazanym kierunku.

– Blue – po raz pierwszy rozległ się głos Ronana i wszyscy, nawet Helen, odwrócili się w jego stronę.

Ronan przekrzywił głowę w sposób, który Gansey rozpoznał jako niebezpieczny. Przyglądał się teraz przenikliwie Blue.

– Czy ty znasz Ganseya? – zapytał.

Gansey przypomniawszy sobie, jak Ronan, oparty o Świnie, w kółko odtwarzał nagranie z dyktafonu.

Pod ostrzałem ich spojrzeń Blue przyjęła pozycję obronną.

– Tylko jego imię – powiedziała niechętnie.

Ronan oparł łokcie na kolanach, zwiesił luźno splecione dłonie i nachylił się w stronę Blue nad kolanami Adama. Potrafił być niesamowicie groźny.

– A jak – dopytywał – poznałaś jego imię?

Trzeba przyznać, że Blue się nie cofnęła. Uszy jej się zaróżowiły, ale powiedziała:

– Przede wszystkim odsuń się ode mnie.

– A jeżeli tego nie zrobię?

– Ronan – rzucił Gansey.

Lynch oparł się o siedzenie.

– Ja też chciałbym to wiedzieć – powiedział Gansey.

Wydawało mu się, że jego serce jest w stanie nieważkości.

Blue spuściła wzrok i zmarszczyła w dłoniach kilka warstw swojej ekstrawaganckiej sukienki.

– No, tego chyba wymaga uczciwość – przyznała wreszcie. Wycelowała gniewnie palec w Ronana. – Ale nie życzę sobie *takich* nacisków. Jeszcze raz się na mnie rzucisz i sami będziecie sobie szukali waszego celu. Co ty na to: powiem ci, skąd znam twoje imię, jeżeli zdradzisz mi, co oznacza kształt, który narysowałeś w swoim dzienniku.

– Dlaczego mielibyśmy negocjować z terrorystami? – zapytał Ronan.

– I kto tu jest terrorystą? – odcięła się Blue. – Proponuję wam pomoc, a wy okazujecie się fiutami.

– Nie wszyscy – powiedział Adam.

– Wypraszam sobie – zaprotestował Gansey. Zrobiło mu się nieprzyjemnie na myśl, że Blue może go nie lubić. – Co chcesz wiedzieć?

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

– Zaraz. Pokażę wam, o co mi chodzi.

Gansey pozwolił jej wziąć do ręki dziennik. Przewróciła kilka kartek i pokazała mu stronę, o którą jej chodziło, tak, żeby jednocześnie sama mogła ją widzieć. Był tam szczegółowy opis jakiegoś przedmiotu, który Gansey znalazł w Pensylwanii. Na stronie widniały również rysunki.

– Sądzę, że to mężczyzna biegnący za samochodem – powiedział Gansey.

– Nie tamto. To.

Wskazała jeden z gryzmołów.



– To są linie mocy.

Gansey wyciągnął rękę po dziennik. Przez jedną dziwną chwilę, kiedy go zabierał, myślał tylko o tym, jak uważnie Blue go obserwuje. Wydawało mu się, że zauważyła, jak poufale obejmuje lewą ręką skórzaną oprawę, jak dobrze kciuk i palec wskazujący prawej dłoni znają siłę nacisku, potrzebną, żeby skłonić kartki do otwarcia się dokładnie we właściwym miejscu. On i dziennik byli parą starych znajomych i chciał, żeby ona o tym wiedziała.

„To ja. Prawdziwy ja”.

Nie miał ochoty zbyt wnikliwie analizować źródła tego odruchu. Wolał się skupić na przerzucaniu kartek. Od razu znalazł potrzebną stronę – mapę Stanów Zjednoczonych, całą pokreśloną krzywymi liniami.

Przesunął palcem po jednej z nich, przechodzącej przez Nowy Jork i Waszyngton. Potem po innej, biegnącej z Bostonu do St. Louis, krzyżującej się z poprzednią. Trzecia przecinała poziomo dwie pierwsze, biegnąc przez Wirginię, Kentucky i dalej na zachód. Jak zawsze, wodzenie palcem po tych liniach sprawiało mu przyjemność. Przypominało harcerską zabawę w podchody i dziecięce rysunki.

– To są trzy główne linie mocy – powiedział Gansey. – Te, które przypuszczalnie mają znaczenie.

– W jakim sensie „mają znaczenie”?

– Ile z tego przeczytałaś?

– Ehm. Trochę. Dużo. Większość.

– Te, które mogą pomóc w poszukiwaniach Glendowera – ciągnął. – Linia, która biegnie przez Wirginię, łączy nas ze Zjednoczonym Królestwem. To znaczy z Wielką Brytanią.

Przewróciła oczami tak demonstracyjnie, że dostrzegł ten gest kątem oka.

– Wiem, co to jest Zjednoczone Królestwo, dzięki. Publiczne szkoły nie są aż takie złe.

Znowu udało mu się niechcący kogoś obrazić.

– Oczywiście, że nie są – zgodził się. – Istnieje wiele przekazów o niezwykłych zjawiskach zaobserwowanych w miejscach położonych na dwóch pozostałych liniach. Zjawiskach... paranormalnych. Złośliwych duchach, człowieku-ćmie i czarnych psach.

Jego wahanie okazało się niepotrzebne. Blue z niego nie drwiła.

– Moja matka narysowała ten kształt – powiedziała. – Nakreśliła linie mocy. I moja ciotka Neeve. Nie wiedziały, co to jest; domyślały się tylko, że to coś ważnego. Dlatego chciałam wiedzieć.

– Teraz ty – zwrócił się Ronan do Blue.

– Widziałam... ducha Ganseya – zaczęła. – Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie zdarzyło. Zazwyczaj nie widuję takich rzeczy. Zapytałam, jak ci na imię, a ty powiedziałeś: „Gansey. To wszystko”. Szczerze mówiąc, to jeden z powodów, dla

których chciałam z wami lecieć.

Ta odpowiedź wydała się Ganseyowi zadowolająca. Blue była w końcu córką wróżki, poza tym to pasowało do nagrania z jego dyktafonu. Jednak męczyło go przekonanie, że nie powiedziała mu wszystkiego.

– Gdzie go zobaczyłaś? – dopytywał się Ronan.

– Siedziałam na dworze z moją przyrodną ciotką.

To chyba zadowolilo również Ronana, bo zapytał:

– A dlaczego przyrodną? Lubi przyrodę?

– Ronan – powiedział Adam. – Wystarczy.

Na chwilę zapadło pełne napięcia milczenie, wypełnione tylko nieustannym, monotonnym wyciem helikoptera. Gansey wiedział, że czekają na jego werdykt. Czy jej uwierzy; czy uzna, że warto pójść za jej wskazówkami; czy jej zaufa?

Głos Blue został zarejestrowany przez dyktafon. Gansey czuł, że nie ma wyboru. Pomyślał o czymś, czego w obecności Helen nie chciał powiedzieć głośno: „Masz rację, Ronan, zaczyna się. Coś się zaczyna”. Pomyślał też: „Zdradź mi, co o niej myślisz, Adam. Dlaczego jej ufasz? Choć raz nie zdawaj się na mnie. Nie wiem, co o tym myśleć”. Ale powiedział tylko:

– Mam do was prośbę. Umówmy się, że od teraz jesteśmy ze sobą szczerzy.

Koniec z gierkami. To dotyczy nie tylko Blue. Wszystkich.

– Ja zawsze jestem szczerzy – prychnął Ronan.

– Człowieku, to największe kłamstwo w twoim życiu – odparł Adam.

– W porządku – zgodziła się Blue.

Gansey podejrzewał, że żadne z nich nie odpowiedziało zupełnie szczerze, ale przynajmniej oznajmił im, czego oczekuje. Czasem musiał się zadowolić świadomością, że zostało to odnotowane.

W słuchawkach zapadła cisza. Adam, Blue i Gansey uważnie wyglądali przez okna. Pod nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągała się zieleń; z tej wysokości wszystko przypominało uroczne zabawki; jakby patrzyli na makietę zbudowaną z aksamitnych pól i maleńkich drzew.

– Czego szukamy? – zapytała Helen.

– Tego, co zwykle – powiedział Gansey.

– A czego szukacie zwykle? – chciała wiedzieć Blue.

Zazwyczaj przeszukiwali hektary pustej przestrzeni, ale Gansey wyjaśnił:

– Czasem linie mocy są oznaczone w sposób widoczny z powietrza. Na przykład w Wielkiej Brytanii można znaleźć wizerunki koni wyryte na zboczach.

Gansey leciał kiedyś z Malory’em awionetką. Wtedy po raz pierwszy zobaczył Białego Konia z Uffington – ponadstumetrowy rysunek wyryty na zboczu wapiennego wzgórza. Jak wszystko, co wiązało się z liniami mocy, koń nie był zupełnie... zwyczajny. Miał rozciągniętą, fantazyjną, wytworną i niesamowitą sylwetkę, będącą raczej zarysem niż wizerunkiem zwierzęcia.

– Powiedz jej o Nazca – mruknął Adam.

– Ach, jasne – zgodził się Gansey.

Blue mogła sporo wyczytać z dziennika, ale wielu rzeczy w nim nie było, a przecież ona – w przeciwieństwie do Ronana, Adama i Noaha – nie zgłębiała tego tematu przez ostatni rok. Chłopakowi trudno było się oprzeć ekscytującej pokusie

opowiedzenia dziewczynie wszystkiego, co wiedział. Ta historia zawsze brzmiała bardziej prawdopodobnie, kiedy przytaczało się więcej faktów.

– W Peru – zaczął – są setki wrytych na ziemi linii, które układają się w różne kształty: ptaków, małp, ludzi i całkowicie fantastycznych stworzeń. Te rysunki powstały przed tysiącami lat, ale widać je tylko z powietrza. Z samolotu. Są za duże, żeby na powierzchni ziemi zobaczyć, co przedstawiają. Kiedy stoi się obok nich, wyglądają jak ścieżki wykrobane w podłożu.

– Byłeś tam – przerwała mu Blue.

Kiedy Gansey zobaczył rysunki na płaskowyżu Nazca, gigantyczne, niesamowite i idealnie symetryczne, wiedział, że nie spocznie, dopóki nie odnajdzie Glendowera. Pierwszą rzeczą, która zrobiła na nim wrażenie, był rozmiar tych figur – setki, tysiące metrów dziwnych obrazów na środku pustyni. Następnie zachwyciła go ich precyzja. Wydawały się wręcz matematycznie doskonałe, idealnie równe. Zaskoczył go ogromny emocjonalny wpływ, jaki wywarły na niego te kształty. Na ich widok odczuwał tajemniczy, autentyczny ból, który nie mijał. Gansey miał wrażenie, że nie przeżyje, jeśli się nie dowie, czy te linie *coś* znaczą. To była jedyna rzecz dotycząca poszukiwań Glendowera, której jakoś nigdy nie udawało mu się wyjaśnić innym.

– Gansey – odezwał się Adam. – Co to jest, tam? – wskazał.

Helikopter zwolnił, a wszyscy pasażerowie wyciągnęli szyje. Byli teraz wysoko w górach. W dole majaczyły zbocza porośnięte tajemniczym, zielonym lasem, falującym jak ciemne morze. Jednak wśród wzgórz i żlebów wyróżniał się pochyły prostokąt porośniętego zielonym dywanem pola z bladymi pęknięciami.

– Czy to się układa w jakiś kształt? – zapytał Gansey. – Helen, *zatrzymaj się*. Zatrzymaj się! – wrzasnął.

– Wydaje ci się, że jedziemy rowerem? – odparła jego siostra, ale helikopter jeszcze zwolnił.

– Patrz – powiedział Adam. – Tam jest jakby skrzydło. A tam dziób. To jakiś ptak?

– Nie – stwierdził Ronan zimnym, spokojnym głosem. – Nie jakiś ptak. To jest kruk.

Gansey powoli dostrzegł rysującą się w wysokiej trawie figurę. Ależ tak: szyja wykręcona do tyłu, skrzydła jakby sprasowane między kartami książki. Rozpostarte pióra ogona, prymitywne szpony.

Ronan miał rację. Nawet jeśli rysunek był nietypowy, czubek głowy, mocno zakrzywiony dziób i żabot z piór na szyi nie pozostawiały wątpliwości, że to kruk.

Gansey dostał gęsiej skórki.

– Posadź helikopter – powiedział natychmiast.

– Nie mogę lądować na prywatnej posesji – sprzeciwiła się twardo Helen.

Chłopak rzucił siostrze błagalne spojrzenie. Musiał spisać współrzędne GPS. Musiał zrobić zdjęcie do swoich archiwów. Musiał naszkicować kształt w dzienniku. Przede wszystkim jednak chciał dotknąć linii układających się w zarys ptaka i poczuć, że są prawdziwe.

– Helen, dwie sekundy.

Jego siostra popatrzyła na niego znacząco. Kiedy Gansey był młodszy i bardziej porywczy, tego rodzaju protekcyjnego spojrzenia łatwo mogło skończyć się

awanturą.

- Jeżeli właściciel mnie zobaczy i wniesie oskarżenie, mogę stracić licencję.
- Dwie sekundy. Sama widziałaś. Tu nie ma żywej duszy, żadnych domów. Spojrzenie Helen było bardzo spokojne.
- Za dwie godziny mam być u rodziców.
- Dwie sekundy.

Wreszcie kobieta przewróciła oczami i oparła się o fotel. Kręcąc głową, usiadła wygodniej, przodem do deski rozdzielczej.

- Dzięki, Helen – powiedział Adam.
- Dwie sekundy – powtórzyła ponuro. – Jeśli zaraz nie wrócicie, odlatuję

sama.

Helikopter wylądował niecałe pięć metrów od serca dziwnego kruka.

Gdy tylko znaleźli się na ziemi, Gansey wyskoczył z kabiny i, z Ronanem u boku, ruszył pewnie przez trawę sięgającą ud. Zachowywał się tak, jakby był właścicielem tego miejsca. Blue usłyszała przez otwarte drzwi, jak rozmawia przez telefon z Noahem. Wypowiedział jego imię, a potem podyktował mu współrzędne GPS dziwnego poletka. Rozpierała go energia i poczucie władzy, jakby dosiadł swojego ulubionego rumaka.

Natomiast Blue poruszała się wolniej niż zwykle. Nogi miała jak z waty. Nie była pewna, czy dobrze zrobiła, że przemilczała część prawdy o wigilii świętego Marka, i obawiała się, że Ronan znowu będzie się jej czepiał.

Nad górską łąką unosił się cudowny zapach – trawy, drzew i wody. Gdzieś w okolicy musiało być dużo wody. Blue pomyślała, że mogłaby być bardzo szczęśliwa, mieszkając tutaj. Obok niej stał Adam, osłaniając ręką oczy. Wyglądał tak, jakby był nieodłącznym elementem tego krajobrazu; jego włosy miały ten sam przydymiony odcień brązu co koniuszki starej trawy. Wydawał się przystojniejszy niż do tej pory. Blue przypomniała sobie, jak wziął ją za rękę, i uznała, że bardzo by chciała, żeby zrobił to znowu.

– Stąd tych linii właściwie nie widać – powiedział Adam z pewnym zaskoczeniem.

Rzeczywiście, choć jeszcze przed chwilą widzieli kruka, po wylądowaniu rysunek przestał być widoczny.

– Tak czy owak, nie cierpię latać. Przepraszam cię za Ronana – dodał po chwili chłopak.

– Latanie nie było akurat takie złe – powiedziała Blue. Właściwie, nie licząc incydentu z Ronanem, lot był całkiem przyjemny; czuła się tak, jakby płynęła w bardzo hałaśliwej bańce, która może poruszać się we wszystkich kierunkach. – Myślałam, że będzie gorzej. Trzeba tylko pogodzić się z tym, że niczego nie kontrolujesz, a potem jest już dobrze. Co do Ronana...

– ...to jest pitbulem – dokończył Adam.

– Znam kilka naprawdę miłych pitbuli.

Jeden z psów, które Blue wyprowadzała co tydzień, żeby sobie dorobić, był ła-ciatym pitbulem o najmielszym uśmiechu, jaki zdarzyło jej się widzieć u czworono-gów.

– On jest pitbulem, o jakich mówi się w wieczornych wiadomościach. Gansey próbuje go na nowo wytresować.

– To bardzo szlachetne.

– Dzięki temu lepiej się czuje jako Gansey.

Blue w to nie wątpiła.

– On bywa bardzo protekcyjny – stwierdziła.

Adam wbił wzrok w ziemię i powiedział:

– Nie robi tego celowo. To przez błękitną krew, która płynie w jego żyłach.

Miał dodać coś jeszcze, ale przerwał mu krzyk:

– SŁYSZYSZ MNIE, GLENDOWERZE?! ZNAJDĘ CIĘ!

Gansey stał z rozpostartymi ramionami i uniesioną głową na środku równej, jasnej ścieżki i krzyczał donośnie. Jego energiczny, dźwięczny głos odbił się echem od górskich zboczy porośniętych drzewami.

Adam zaśmiał się bezgłośnie.

Gansey szeroko się do nich uśmiechnął, pokazując rzędy białych zębów. Trudno było mu się oprzeć w tym wcieleniu: wyglądał jak model z ulotki reklamowej.

– Muszle ostryg. – Schylił się, żeby podnieść jeden z jasnych okruchów pokrywających ścieżkę. Odlamek był biały, miał stępione i starte brzegi. – To one tworzą rysunek kruka. Na wybrzeżu wysypuje się nimi drogi. Muszle ostryg na gołej skale. Co o tym myślicie?

– Ja myślę, że to dość dużo muszli do przytасzczenia znad oceanu – odparł Adam. – I że Glendower też pewnie przybył z wybrzeża.

Gansey w odpowiedzi wycelował w niego palec. Blue położyła ręce na biodrach i zapytała:

– Więc waszym zdaniem zapakowali ciało Glendowera na statek w Walii, popłynęli z nim do Wirginii, a potem zawieźli go w góry? Po co?

– Energia – odparł Gansey.

Przetrzęsnał plecak i wyjął z niego czarne pudełeczko, które przypominało miniaturowy akumulator.

– Co to jest? – zapytała Blue. – Wygląda na drogę.

Gansey manipulował przy przełącznikach z boku urządzenia.

– To miernik natężenia pola elektromagnetycznego. Monitoruje poziom energii. Niektórzy ludzie wykorzystują taki sprzęt do polowania na duchy. Podobno w miejscach nawiedzonych natężenie pola elektromagnetycznego jest większe. Albo tam, gdzie znajduje się jakieś źródło energii. Na przykład na linii mocy.

Blue gniewnie zerknęła na urządzenie. Uważała, że pudełeczko do pomiaru magii obraża i swojego właściciela, i samą magię.

– Więc sprawiłeś sobie elektromagnetyczny gadżet z fajnymi guziczkami. Cemu mnie to nie dziwi? – skomentowała.

Gansey trzymał miernik nad głową, jakby chciał wezwać kosmitów.

– Uważasz, że to nie jest normalne?

Blue widziała, jak bardzo mu zależy, żeby uznała, że nie jest normalny.

– Och, jestem przekonana, że w *pewnych* kręgach to zupełnie normalne.

Chłopak wyglądał tak, jakby się poczuł odrobinę dotknięty, ale jego uwaga skupiała się głównie na mierniku, w którym świeciły dwa słabe czerwone światełka.

– Chciałbym należeć do tych kręgów – powiedział. – Więc, jak już mówiłem, energia. Linie mocy nazywa się też drogami...

– Drogami umarłych – przerwała Blue. – Wiem.

Gansey patrzył na Blue z zadowoleniem i łaskawością, jakimi nauczyciel darzy wzorowego ucznia.

– W takim razie opowiedz mi o nich. Pewnie wiesz o tym więcej ode mnie – w jego głosie zabrzmiała nuta ironii.

Podobnie jak wcześniej, mówił z silnym akcentem szacownej wschodniej Wirginii, przy którym słowa wypowiedane przez Blue brzmiały dziwnie koślawo.

– Wiem tylko, że umarli poruszają się po liniach prostych – zaczęła dziewczyna. – Kiedyś zwłoki przed pogrzebem wnoszono do kościołów po liniach prostych. Wzdłuż tego, co ty nazywasz linią mocy. Panował pogląd, że wnoszenie ciał inną drogą niż ta, którą wędrują dusze zmarłych, byłoby niewłaściwe.

– Właśnie – potwierdził chłopak. – Powodem może być oddziałująca wzdłuż tej linii energia, która umacnia albo ochrania zwłoki. Duszę. Jej... *animus. Eidos.*

– Gansey, litości – przerwał mu Adam, a Blue poczuła ulgę. – Nikt nie wie, co to jest *eidos*.

– *Istota rzeczy.* To, co sprawia, że człowiek jest tym, kim jest. Myślę, że gdyby zabrali Glendowera z drogi umarłych, magia, która utrzymuje go we śnie, zostałaby zakłócona.

– Krótko mówiąc, uważasz, że umarłby na dobre, gdyby go przeniesiono?

– Tak – przyznał Gansey.

Światelka w jego urzędzeniu zaczęły migotać gwałtowniej – prowadziły ich w stronę dziobu kruka i linii drzew, do której dotarł już Ronan.

Blue uniosła ręce, żeby końcówki traw nie kłuły jej dłoni. W niektórych miejscach źdźbła sięgały do pasa.

– A dlaczego po prostu nie zostawili go w Walii? Nie chcieli, żeby właśnie tam się obudził i dalej był ich bohaterem? – zapytała.

– Wybuchło powstanie, a on był zdrajcą brytyjskiej korony – wyjaśnił Gansey. Łatwość, z jaką zaczął opowiadać tę historię, brodząc w trawie i wpatrując się w miernik pola elektromagnetycznego, świadczyła o tym, że opowiadał ją już wielokrotnie. – Glendower walczył z Anglikami przez wiele lat. Toczyły się krwawe spory między rodzinami szlacheckimi posłusznymi różnym królom. Opór Walijszyków okazał się daremny. Glendower zniknął. Gdyby Anglicy dowiedzieli się, gdzie jest, żywy lub martwy, jego ciało z pewnością nie zostałoby potraktowane tak, jak życzyliby sobie tego Walijszy. Nie słyszałaś o wieszaniu, patroszeniu i ćwiartowaniu?

– Czy to równie przykre, jak rozmowy z Ronanem? – zapytała Blue.

Gansey zerknął przelotnie na małą, niewyraźną postać między drzewami.

Adam stłumił śmiech.

– To zależy, czy Ronan jest trzeźwy – odparł Gansey.

– Co on właściwie robi? – zapytał Adam.

– Sika.

– Można się było spodziewać, że Lynch zbruka miejsce takie jak to w ciągu pięciu minut.

– Zbruka? Raczej zaznaczy swoje terytorium.

– W takim razie jest właścicielem większej części Wirginii niż twój ojciec.

– Skoro już o tym mowa, nie pamiętam, by on kiedykolwiek korzystał z toalety w budynku.

Cała ta sytuacja – mówienie do siebie po nazwiskach i pokpiwanie z czyjegoś zwyczaju oddawania moczu na powietrzu – wydawała się Blue bardzo męska, a zarażem w stylu Aglionby. W dodatku odnosiła wrażenie, że to może trwać w nieskończoność, więc przerwała im, kierując rozmowę z powrotem na Glendowera.

– Naprawdę zadaliby sobie aż tyle trudu, żeby ukryć jego ciało?

– Pomyśl o Nedzie Kellym – powiedział Gansey.

Wygłosił to pozbawione sensu stwierdzenie w sposób tak rzeczowy, że Blue natychmiast poczuła się głupia. Zupełnie jakby publiczny system kształcenia naprawdę był kiepski.

– Nikt nie wie, kim jest Ned Kelly, Gansey – upomniał go Adam, zerknąwszy na Blue.

– Naprawdę? – Chłopak wydawał się szczerze zaskoczony. Adam chyba miał rację, że on rzeczywiście nie chciał zachowywać się protekcyjnie. – Kelly był Australijczykiem, człowiekiem wyjętym spod prawa. Kiedy Brytyjczycy go złapali, zrobili z jego ciałem okropne rzeczy. Zdaje się, że szef policji przez jakiś czas używał jego głowy jako przycisku do papieru. Wiesz, co zrobiliby z Glendowerem? Jeśli Walijczycy liczyli na to, że Glendower spróbuje zmartwychwstać, na pewno chcieli, żeby jego ciało pozostawiono w spokoju.

– No dobrze, w takim razie dlaczego góry? – nalegała Blue. – Dlaczego nie zostawili go na brzegu?

To chyba przypomniało o czymś Ganseyowi, bo nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Adama.

– Dzwoniłem do Malory’ego w sprawie rytuału, żeby zapytać, czy go przeprowadził. Powiedział, że jego zdaniem nie można tego zrobić w dowolnym punkcie na linii mocy. Przypuszcza, że do tego potrzebne jest miejsce gdzieś w jej „sercu”, gdzie energia jest najsilniejsza. Myślę, że właśnie w takim miejscu Walijczycy chcieliby pochować Glendowera.

– A co z *twoją* energią? – zwrócił się Adam do Blue.

Pytanie ją zaskoczyło.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że dzięki tobie osoby jasnowidzące słyszą wszystko wyraźniej – wyjaśnił Adam. – Czy to znaczy, że czerpią od ciebie energię?

Blue była niezmiernie zadowolona, że to zapamiętał, a także absurdalnie szczęśliwa, że odpowiedział jej zamiast Ganseyowi, który teraz zabijał komary na twarzy, czekając, co ona powie.

– Tak – odparła. – Myślę, że zasilaam wszystko, co potrzebuje energii. Jestem chodzącą baterią.

– Jesteś jak ten stolik, przy którym każdy chce siedzieć w Starbucksie – podsumował Gansey i znowu ruszył przed siebie.

Blue zamrugwała.

– Co?

– Stolik obok gniazdka – rzucił Gansey przez ramię. Przycisnął miernik do pnia drzewa i zaczął go obserwować z ogromnym zainteresowaniem.

Adam pokręcił głową, patrząc na dziewczynę.

– Chodziło mi o to, że może dzięki Blue każde miejsce na linii mocy mogłoby stać się odpowiednie do przeprowadzenia rytuału. Czekaj, idziemy do lasu? Co z Helen?

– Dwie sekundy chyba jeszcze nie minęły – powiedział Gansey. – To ciekawy pomysł z tą energią. Chociaż... Czy twoja bateria może się wyczerpać? Kiedy zajmiesz się czymś innym niż dyskusje o prostytucji?

Nie zaszczyciła go odpowiedzią. Przypomniała sobie słowa matki, że nie ma

się czego obawiać ze strony umarłych, i minę Neeve, która wyglądała tak, jakby jej nie dowierzała. Czuwanie w kościele w oczywisty sposób *czegoś* Blue pozbawiło; a kto wie, czy nie miało wywołać jeszcze innych, gorszych konsekwencji, których na razie nie odkryła.

– Hm, ciekawe – zauważył Gansey.

Stał okrakiem nad maleńkim strumykiem na skraju lasu. Właściwie była to tylko strużka wody wypływająca z bulgotem z jakiegoś podziemnego źródła i podmywająca trawę dokoła. Gansey był teraz całkowicie skupiony na mierniku, który trzymał bezpośrednio nad wodą. Licznik wskazywał stałą poziom.

– Helen – odezwał się Adam ostrzegawczo.

Dołączył do nich Ronan i obaj spojrzeli w stronę helikoptera.

– Powiedziałem: ciekawe – powtórzył Gansey.

– A ja powiedziałem: Helen.

– Jeszcze kilka metrów.

– Będzie wściekła.

Gansey zrobił groźną minę i Blue od razu widziała, że Adam nie będzie się upierał.

– *Mówiłem* ci – dodał Parrish.

Ospały strumyk wypływał pomiędzy dwóch dereni o spękanej korze. Wszyscy powędrowali za Ganseyem wzdłuż brzegu. Zrobiło się wyraźnie chłodniej. Blue nie zdawała sobie sprawy, jak hałaśliwe były owady w trawie, dopóki ich brzęczenie nie ucichło, zastąpione śpiewem ptaków.

Znaleźli się w pięknym, starym lesie. Potężne dęby i jesiony wyrastały z pęknięć w wielkich blokach skalnych. W szczelinach panoszyły się paprocie, a pnienie drzew porastał zielony mech. Powietrze pachniało zielenią, roślinnością i wodą. Przez liście przenikało złote światło. Wszystko dokoła nich żyło.

– Jak tu pięknie – szepnęła Blue.

Powiedziała to do Adama, nie do Ganseya, ale widziała, że Gansey ogląda się przez ramię. Stojący obok niego Ronan zachowywał się dziwnie cicho; w jego postawie była jakaś pokora.

– Czego my w ogóle szukamy? – zapytał Adam.

Gansey zamienił się w psa myśliwskiego, który pochwycił trop. Miernik pola elektromagnetycznego prowadził go wzdłuż coraz szerzej rozlewającego się strumienia. Po chwili nie dało się już iść okrakiem nad wodą. Na dnie koryta leżało sporo kamieni i ostrych odłamków skalnych. Co dziwne, były tam także nieliczne muszle ostryg.

– Tego, co zawsze.

– Helen cię znienawidzi – ostrzegł Adam.

– Wyśle mi SMS-a, jeżeli będzie bardzo zła – powiedział Gansey. Wysunął telefon z kieszeni, żeby to zademonstrować. – Ups, nie ma zasięgu.

W takim miejscu brak zasięgu nikogo nie dziwił, ale Gansey gwałtownie się zatrzymał. Cała czwórka przystanęła, tworząc nierówny okrąg, a on przesunął kciukiem po wyświetlaczu telefonu. Miernik w jego drugiej ręce świecił nieprzerwanie na czerwono.

– Czy ktoś jeszcze ma zegarek? – zapytał Gansey.

Jego głos wydawał się trochę zmieniony.

W weekendy Blue zasadniczo nie czuła potrzeby dokładnego odmierzania czasu, więc ona nie miała, a Ronan nosił na nadgarstku tylko swoje rzemyki. Adam podniósł rękę. Miał na niej tani zegarek z brudnym paskiem.

– Ja mam – powiedział. – Ale chyba nie działa – dodał z żalem.

Gansey bez słowa pokazał wszystkim wyświetlacz swojego telefonu. Po chwili Blue zdała sobie sprawę, że zegar ustawiony na tapecie komórki stoi. Cała trójka przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nieruchome cyfry. Serce Blue odmierzało sekundy, jakby chciało wyręczyć zegar.

– Może... – zaczął Adam i zaraz umilkł. Spróbował jeszcze raz: – Może to dlatego, że energia linii mocy zakłóca zasilanie?

– Zasilanie twojego zegarka? Twojego nakręcanego zegarka? – powiedział Ronan uszczypliwie.

– No... raczej nie – przyznał po chwili namysłu Gansey. – Telefon cały czas działa. Miernik też. Tylko czas... Zastanawiam się, czy...

Ale nie dało się tego logicznie wyjaśnić i wszyscy o tym wiedzieli.

– Chcę pójść dalej – powiedział Gansey. – Chociaż kawałek.

Zaczekał chwilę, żeby się przekonać, czy pozostali będą chcieli go powstrzymać. Nikt się nie odezwał. Kiedy ruszył dalej i razem z Ronanem zaczęli już się wspinać po skalnej płycie, Adam zerknął na Blue. Jego wzrok pytał: „W porządku?”.

Wszystko było w porządku, podobnie, jak przed wejściem na pokład helikoptera. Nie przstraszyła się błyskających światełek miernika ani tego, że zegarek Adama nie chodzi. Tylko że, wstając rano z łóżka, nie spodziewała się znaleźć w miejscu, w którym nie płynie czas.

Wyciągnęła rękę.

Adam chwycił ją mocno i bez wahania, jakby właśnie na to czekał.

– Serce mi bije jak szalone – powiedział cicho, tylko do niej.

Dziwne, że to nie jego palce splecione z jej palcami najbardziej podziały na Blue, ale ciepły nadgarstek przyciśnięty do jej nadgarstka.

„Muszę mu powiedzieć, że nie może mnie pocałować” – pomyślała.

Ale jeszcze nie teraz. Teraz chciała tylko czuć dotyk jego skóry przyciśniętej do jej skóry, jego puls równie gwałtowny i niepewny jak jej.

Trzymając się za ręce, wspinali się za Ganseyem. Rosły tu jeszcze większe drzewa. Niektóre, pozrastane ze sobą, wyglądały jak potężne twierdze z wieżyczkami. Ich korony rozpościerały się wysoko w górze i szeleściły nabożnie. Wszystko było zielone, soczysto zielone. Gdzieś z przodu dobiegał plusk wody.

Przez jedną krótką chwilę Blue wydawało się, że słyszy muzykę.

– Noah?

W głosie Ganseya brzmiała panika. Zatrzymał się pod potężnym bukiem i rozejrzał dokoła. Kiedy Blue doszła do miejsca, w którym stał, zdała sobie sprawę, że zatrzymał się na brzegu niewielkiej górskiej sadzawki. Wypływająca z niej woda zasilala strumień, wzdłuż którego szli. Sadzawka była płytka i krystalicznie czysta. Przezroczysta tafla aż błagała, żeby jej dotknąć.

– Wydawało mi się, że słyszę... – Gansey urwał.

Jego wzrok padł na złęczone dłonie Adama i Blue. Na jego twarzy ponownie

odmalowało się coś w rodzaju zdziwienia. Adam mocniej ścisnął rękę dziewczyny, choć odniosła wrażenie, że zrobił to raczej bezwiednie.

To też była rozmowa bez słów, choć Blue nie sądziła, żeby któryś z chłopców wiedział, co chce powiedzieć.

Gansey odwrócił się w stronę sadzawki. Miernik pola elektromagnetycznego w jego ręce zgasł. Chłopak przykucnął i wyciągnął drugą rękę, z szeroko rozstawionymi palcami, nad wodę, zaledwie kilka milimetrów nad jej powierzchnią. Woda poniżej jego ręki poruszyła się, ściemniała i Blue zorientowała się, że pływają w niej tysiące maleńkich rybek. Błyskały srebrem i czernią, skupione wokół niewyraźnego cienia dłoni Ganseya.

– Skąd się tu wzięły ryby? – zapytał Adam.

Strumień, wzdłuż którego szli, był o wiele za płytki, żeby mogły żyć w nim ryby. Wyglądało na to, że sadzawka jest zasilana deszczem padającym w wyższych partiach gór. Przecież pływające w niej żyjątka nie spadły z nieba.

– Nie wiem – odparł Gansey.

Rybki kotłowały się i zderzały ze sobą, nie przestając się poruszać, jak maleńkie znaki zapytania. Blue znowu wydało się, że słyszy muzykę. Spojrzała na Adama i pomyślała, że może to tylko szmer jego oddechu.

Gansey podniósł wzrok i Blue wyczytała na jego twarzy najprawdziwszy zachwyt tym miejscem. Malowało się na niej coś jeszcze, coś nowego, co nie przypominało zwykłej radości z odnalezienia linii mocy czy ukradkowej przyjemności z przekomarzania się z nią. Rozpoznała to dziwne szczęście, płynące z miłości do czegoś niekoniecznie konkretnego; to dziwne szczęście, które czasem bywa tak bezgraniczne, że można je pomylić ze smutkiem. Podobnie czuła się Blue, spoglądając na gwiazdy.

Ni stąd ni zowąd, znalazła się bliżej tamtego Ganseya, którego widziała na cmentarzu, i zdała sobie sprawę, że nie może znieść jego widoku.

Wysunęła rękę z dłoni Adama i podeszła do buka, przy którym stał Gansey. Ostrożnie ominęła sterczące sękate korzenie drzewa i położyła dłoń na jego gładkiej, szarej korze. Jej powierzchnia była chłodna jak śnieg i dziwnie krzepiąca.

– Adam – rozległ się głos Ronana, a potem kroki Adama, który ostrożnie i powoli ruszył wokół sadzawki.

W miarę jak się oddalał, trzask gałązek pękających pod jego stopami stawał się coraz cichszy.

– Te ryby chyba nie są prawdziwe – powiedział cicho Gansey.

To zabrzmiało tak idiotycznie, że Blue odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Przechylał dłoń to w jedną, to w drugą stronę, obserwując wodę.

– Myślę, że są tutaj dlatego, że o nich pomyślałem – wyjaśnił Gansey.

– Tak, Panie Boże – odparła Blue sarkastycznie.

Gansey jeszcze raz obrócił rękę. Dziewczyna znowu zobaczyła w wodzie połykające rybki.

– Kiedy stawialiście nam tarota, co powiedziała tamta kobieta? – zapytał z wahaniem. – Ta z włosami. Że ważna jest... percepcja? Nie, intencja.

– Persefona. Intencja liczy się przy stawianiu kart – wyjaśniła Blue. – Trzeba pozwolić wróżce zajrzeć do swojej głowy, aby mogła zobaczyć zależności między

przeszłością i przyszłością. To nie ma zastosowania do ryb. Jaka intencja mogłaby mieć znaczenie w ich przypadku? Życie nie jest do negocjacji.

– Jaki kolor miały te ryby, kiedy tu przyszliśmy? – zapytał Gansey.

Były srebrno-czarne, a przynajmniej takie się wydawały. Blue zdawała sobie sprawę, że Gansey szuka znaków niewytłumaczalnej magii, ale nie miała zamiaru tak łatwo dać się przekonać. Niebieski czy brązowy mógł wyglądać jak czarny lub srebrny, w zależności od kierunku padania i barwy światła. Tak czy owak, Blue podeszła do Ganseya i przykucnęła na wilgotnej ziemi na brzegu sadzawki. Ryby w cieniu jego dłoni były ciemne i dość niewyraźne.

– Przyglądałem się im i zastanawiałem, jak się tu znalazły. Potem przypomniałem sobie, że istnieje gatunek pstrąga, który potrafi przeżyć w jeszcze mniejszych strumykach – powiedział Gansey. – Pstrąg źródłany, tak się chyba nazywa. To miało by jakiś sens. Może ta sadzawka albo jakaś inna, trochę wyżej, w górę strumienia została kiedyś zarybiona przez człowieka. Tak sobie pomyślałem. Pstrąg źródłany jest srebrny na grzbiecie i czerwony od spodu.

– *W porządku* – zgodziła się Blue.

Wyciągnięta ręka Ganseya była zupełnie nieruchoma.

– Moim zdaniem, kiedy tu przyszliśmy, w tej sadzawce nie było czerwonych ryb.

Blue nie odpowiedziała. Popatrzył na nią. Pokręciła głową. Czerwonych zdecydowanie nie było.

Szybko cofnął rękę.

Rybki z maleńkiej ławicy rozpierchły się w różne strony w poszukiwaniu schronienia, ale Blue zdążyła dostrzec, że wszystkie są srebrno-czerwone.

Nie czerwone, ale jaskrawoczerwone, czerwone jak zachód słońca. Jakby nigdy nie były innego koloru.

– Nie rozumiem – zastanowiła się Blue.

Ale czuła ból w sercu, jakby rozumiała, tylko nie potrafiła tego wyrazić słowami ani w myślach. Miała wrażenie, że sama jest częścią snu, który śni się temu miejscu, albo to miejsce jest fragmentem jej marzenia sennego.

– Ja też nie.

Usłyszeli czyjś głos i jednocześnie odwrócili głowy w lewo.

– Czy to był Adam? – zapytała Blue.

Pomyślała, że to dziwne, że potrzebuje potwierdzenia, ale nic już nie wydawało się pewne.

Znowu usłyszeli głos Adama, tym razem wyraźniej. Stał z Ronanem na przeciwnym brzegu jeziora, pod wielkim dębem. Z grubego pnia ział czernią spróchniały otwór wielkości człowieka. W sadzawce widać było odbicie Adama i drzewa – lustrzany obraz, chłodniejszy i bardziej odległy niż ten rzeczywisty.

Adam gwałtownie rozcierał ramiona, jakby zmarzł. Ronan stał obok niego i spoglądał za siebie na coś, czego Blue nie widziała.

– Chodźcie tutaj – powiedział Adam. – Wejdźcie do środka. I powiedzcie mi, że straciłem rozum.

Mówił z wyraźnym akcentem, co, jak Blue zdążyła się zorientować, oznaczało, że jest zbyt przejęty, żeby starać się go ukryć.

Spojrzała na zbutwiałe drewno. Jak wszystkie spróchniałe pnie ten również był wilgotny, nierówny i czarny; grzyb pod korą drzewa nadal pracował nad powiększeniem krateru. Krawędzie otworu były poszarpane i cienkie. Wydawało się, że roślina tylko jakimś cudem utrzymuje się przy życiu.

– Nic wam nie jest? – zapytał Gansey.

– Zamknij oczy – polecił Adam. Stał z założonymi rękami, zaciskając palce na ramionach. Jego dyszenie przypominało Blue uczucie, jakie czasami ogarniało ją po przebudzeniu z koszmaru: bijące serce, urywany oddech, nogi obolałe od ucieczki, której nigdy nie było. – Kiedy już tam staniesz.

– Wchodziłeś tam? – zapytał Gansey Ronana, który pokręcił głową.

– To on mi to pokazał – powiedział Adam.

– Ja tam nie wchodziłem – oznajmił Ronan głosem matowym jak drewno.

Zabrzmiało to jak zwyczajstwo zasad nad tchórzostwem, jak odmowa przyjęcia karty podczas wróżenia.

– A ja wejdę – powiedziała Blue.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby odczuwać strach osłonięta przez drzewo, nieważne, jak niesamowity wydawałby się las dokoła niej. Weszła do dziury i stanęła twarzą do zewnętrznego świata. Powietrze w środku miało zapach wilgoci i zamkniętej przestrzeni. Było tam ciepło i chociaż Blue wiedziała, że to wynik procesów gnilnych, poczuła się tak, jakby w drzewie płynęła krew równie gorąca, jak jej.

Przed sobą miała Adama, który wciąż stał nieruchomo, otaczając się ramionami. „Czego on się spodziewa?”.

Zamknęła oczy. Natychmiast poczuła zapach deszczu. Nie woń nadciągającej ulewy, ale prawdziwy zapach szalejącej nawałnicy i otwartej przestrzeni niesiony bryzą przedzierającą się przez strugi wody. Wtedy uświadomiła sobie, że coś dotyka jej twarzy.

Kiedy otworzyła oczy, była jednocześnie w swoim ciele i widziała je z zewnątrz, ale nigdzie nie dostrzegła dziury w drzewie. Miała przed sobą Blue, która stała naprzeciwko chłopaka w swetrze Aglionby. On pochylał się lekko, a jego ramiona były mokre od deszczu. Dotyk, który czuła był musnięciem jego palców.

Po twarzy tamtej Blue płynęły łzy. Za sprawą magii czuła je również na własnej twarzy. Podobnie jak straszliwą, wzbierającą rozpacz, która ogarnęła ją wtedy na cmentarzu; żal, który wydawał jej się silniejszy niż ona sama. Łzy tej drugiej Blue płynęły bez końca. Jedna toczyła się za drugą.

Chłopak w swetrze Aglionby oparł czoło o czoło Blue. Poczuła dotyk jego skóry, a zaraz potem zapach mięty.

„Wszystko będzie dobrze – powiedział Gansey do tej drugiej Blue. Widziała, że on się boi. – Wszystko będzie dobrze”.

Wiedziała, że ta druga Blue płacze, bo kocha Ganseya. A chłopak dotykał jej w taki sposób, tak ostrożnie, dlatego że zdawał sobie sprawę, że jej pocałunek może go zabić. Dziewczyna czuła, jak bardzo ta druga Blue pragnie go pocałować mimo przerażenia. Choć nie mogła zrozumieć, dlaczego jej prawdziwe wspomnienia dzisiejszego dnia zatarły się z chwilą wejścia do pnia drzewa, jakby przyćmione nieprawdziwymi wspomnieniami ich prawie dotykających się warg i czegoś, co ta druga Blue już przeżyła.

„W porządku. Jestem gotowy – głos Ganseya nieznacznie się załamał. – Blue, pocałuj mnie”.

Wstrząśnięta, otworzyła oczy. Znowu otaczała ją czern spróchniałego pnia i ciemny, zgniły zapach drzewa. Wnętrza skręcały jej się ze straszliwego żalu i pragnienia, które ogarnęły ją w trakcie tej wizji. Czuła mdłości i zażenowanie, a kiedy wyszła na zewnątrz, nie mogła spojrzeć Ganseyowi w oczy.

– No i? – zapytał on.

– Coś... tam się dzieje.

Nic więcej nie powiedziała, więc Gansey zajął jej miejsce w pustym pniu dębu.

To, co zobaczyła, wydawało się takie prawdziwe. Czy to była przyszłość? Czy tylko jedna z jej możliwych wersji? A może sen na jawie? Blue nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zakochać się akurat w Ganseyu, jednak kiedy była w drzewie, wydawało się to nie tylko możliwe, ale wręcz oczywiste.

Gdy Gansey znajdował się we wnętrzu pnia, Adam chwycił Blue za ramię i przyciągnął ją bliżej. Zrobił to niezbyt delikatnie, ale dziewczyna była przekonana, że nie chciał być brutalny. Bardzo się zdziwiła, kiedy otarł jej łzy. Płakała naprawdę.

– Chcę, żebyś wiedziała – wyszeptał Adam z wściekłością – że nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił. To nie było naprawdę. *Nigdy* mu tego nie zrobię.

Jego palce zaciskały się mocno na jej ramieniu. Drżał. Blue ocierała policzki. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że on musiał zobaczyć coś zupełnie innego niż ona.

Ale gdyby go o to zapytała, musiałaby mu powiedzieć, co sama widziała.

Ronan wpatrywał się w nich surowo, jakby wiedział, co się działo w drzewie, choć sam nie próbował tam wejść.

Niecałe dwa metry od nich w pniu dębu stał Gansey. Z pochyloną głową i dłońmi splecionymi przed sobą wyglądał jak posąg w kościele. Łuk drzewa nad głową Ganseya i poszarzałe w jego cieniu powieki chłopaka miały w sobie coś pradawnego. Był sobą, ale pojawiło się w nim coś jeszcze. Coś, co Blue dostrzegła podczas stawiania tarota. Teraz znowu ogarnęło ją to uczucie *odmienności, obecności czegoś większego*, co promieniowało z nieruchomej postaci Ganseya w świątyni ciemnego drzewa.

Adam odwrócił twarz i Blue dopiero teraz zrozumiała emocje, które się na niej malowały: to był wstyd. Adam zobaczył coś w wydrążonym drzewie i był przekonany, że jego przyjaciel też to widzi. Nie mógł tego znieść.

Oczy Ganseya nagle się otworzyły.

– Co zobaczyłeś? – zapytała Blue.

Powolnym, sennym ruchem przekrzywił głowę.

– Widziałem Glendowera – powiedział.

Tak jak obawiał się Adam, nie udało im się zbadać narysowanego na ziemi kruka, przejść brzegiem strumienia przez las, zaobserwować, jak ryby zmieniają kolory, odkryć halucynogenne drzewa i wrócić do Helen w ciągu dwóch sekund.

Według zegarka Ganseya zajęło to siedem minut.

Helen była wściekła.

Kiedy brat powiedział jej, że te siedem minut było prawdziwym cudem i że tak naprawdę powinni byli spędzić tam ponad pół godziny, wywołało to taką kłótnię, że Ronan, Adam i Blue zdjęli słuchawki i czekali, aż rodzeństwo przestanie na siebie wrzeszczeć. Oczywiście bez słuchawek cała trójka na tylnym siedzeniu nie mogła ze sobą rozmawiać. Wbrew pozorom, okazało się, że bez słów jest łatwiej.

– To niemożliwe – powiedziała Blue, kiedy już wysiedli, a helikopter poderwał się z parkingu i zrobiło się dostatecznie cicho, żeby rozmawiać. – Przecież czas nie mógł się zatrzymać.

– Wręcz przeciwnie – odparł Gansey, idąc przez parking w stronę budynku. Otworzył drzwi Monmouth Manufacturing. – Noah, jesteś w domu?! – zawołał w górę ciemnej klatki schodowej.

– To prawda – potwierdził Adam. – Teoria mówi, że czas wzdłuż linii mocy może być płynny.

Był to jeden z najczęściej odnotowywanych rodzajów zjawisk na liniach mocy, szczególnie w Szkocji. W tamtejszym folklorze od wieków znany był mit podróży zmylonych przez elfy lub sprowadzonych na manowce przez miejscowe złośliwe duszki. Wędrowcy nagle zaczynali podążać prostym szlakiem i nieuchronnie gubili drogę. Potem nie mogli sobie przypomnieć, jak doszli do miejsca, w którym się znaleźli, kilkaset metrów, a nawet kilometrów od punktu, w którym się zgubili, podczas gdy ich zegarki wskazywały godzinę o kilka minut wcześniejszą lub o wiele godzin późniejszą od tej, która była, gdy wyruszali w drogę. Zupełnie jakby potknęli się o zmarszczkę czasoprzestrzeni.

Energia linii mocy płatała im figle.

– A co z wizjami w drzewie? – zapytała Blue. – Czy to były halucynacje? Sen? „Glendower. To był Glendower. *Glendower*”.

Gansey ciągle miał go przed oczami. Czuł ekscytację, lęk, albo jedno i drugie.

– Nie wiem – powiedział. Wyjął kluczyki i trzepnął rękę Ronana, która po nie sięgnęła. Prędzej Świnia zacznie latać, niż on pozwoli Ronanowi prowadzić swój samochód. Widział, co kumpel wyprawia z bmw, i nie miał zamiaru sprawdzać, co mógłby zrobić, mając do dyspozycji dodatkowe kilkadziesiąt koni. – Ale zamierzam się tego dowiedzieć. Chodźcie. Jedziemy.

– Jedziemy? Dokąd? – zapytała Blue.

– Do więzienia – odparł uprzejmie Gansey.

Pozostali dwaj chłopcy już popychali ją w stronę Świni.

Gansey czuł, że unosi się jak latawiec, rozpierała go euforia.

– Do dentysty. Do jakiegoś okropnego miejsca.

– Muszę być w domu przed... – zaczęła Blue, ale się zacięła – ...nie wiem którą. W granicach rozsądku...

– A co to jest rozsądek? – zapytał Adam.

Ronan parsknął śmiechem.

– Odwieziemy cię, zanim zamienisz się w dynię. – Gansey miał zamiar dodać „Blue” na końcu zdania, ale nazywanie jej w ten sposób wydawało mu się dziwne. – Czy Blue to przezwisko?

Brwi dziewczyny nagle się ściągnęły.

– Nie chodzi mi o to, że twoje imię nie jest fajne – szybko dodał chłopak. – Tylko jest takie... niespotykane.

– Dziwaczne – mruknął Ronan, ale ponieważ powiedział to z nieobecną miną, żując jeden z rzemyków na nadgarstku, można było to puścić mimo uszu.

– Cóż, nie jest zbyt popularne. Nie to co „Gansey” – odparła Blue.

Chłopak uśmiechnął się pobłaźliwie. Przyglądał się jej, drapiąc się po niedawno unicestwionym zaroście. Ledwo sięgała Ronanowi do ramienia, a jednocześnie wydawała równie *duża* jak on, równie obecna. Kiedy stali razem wokół Świni, Gansey miał silniejsze niż kiedykolwiek poczucie, że wszystko jest *jak należy*. Jakby to Blue, a nie linia mocy, była tym brakującym elementem, którego szukał od lat, jakby poszukiwania Glendowera tak naprawdę się nie zaczęły, dopóki ona nie wzięła w nich udziału. Ta dziewczyna była ich integralną częścią, tak samo jak Ronan, Adam i Noah. Kiedy wszyscy byli w komplecie, Gansey poczuł ogromną ulgę, podobnie jak wtedy w helikopterze, gdy odkrył, że głos zarejestrowany przez dyktafon należy do Blue.

Oczywiście w każdej chwili mogła odejść.

„Nie odejdzie – pomyślał Gansey z dziwnym przekonaniem. – Ona też musi to czuć”.

– Zawsze podobało mi się imię Jane – rzucił od niechcenia.

Blue otworzyła szeroko oczy.

– Że... co?! Och! Nie, nie! Nie możesz tak po prostu zmieniać ludziom imion, tylko dlatego, że ci się nie podobają!

– Podoba mi się imię „Blue”. Jest bardzo fajne – odparł Gansey. Nie wierzył, że dziewczyna naprawdę poczuła się urażona. Jej twarz nie wyglądała tak jak wtedy u Nina, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wtedy jej uszy zrobiły się różowe. Pomyślał, że może już nauczył się jej nie obrażać, choć nie potrafił przestać jej dokuczać. – Niektóre moje ulubione koszule są niebieskie. Ale podoba mi się również imię „Jane”.

– Nie zamierzam tego komentować – powiedziała twardo Blue.

– Nie proszę cię o to.

Gansey otworzył drzwi camaro i odchylił przednie siedzenie. Adam posłusznie wsiadł na tył auta.

Blue wycelowała palec w Ganseya.

– Nie skomentuję tego – powtórzyła.

Ale wsiadła do samochodu. Ronan wydobyl z bmw swój odtwarzacz MP3, po czym usadowił się na przednim siedzeniu Świni. Choć używane radio w camaro właściwie nie działało, Ronan kopał w deskę rozdzielczą tak długo, aż rozległ się głośny,

wstrętny dźwięk jakiegoś elektronicznego utworu. Gansey szarpnął drzwi po stronie kierowcy. Pomyślał, że już naprawdę najwyższa pora nakłonić Ronana do nauki, bo inaczej nie uda się zapobiec wyrzuceniu go z Aglionby. Ale na razie jeszcze raz zawołał Noaha i wsiadł do samochodu.

- Masz koszmarny gust, jeśli chodzi o muzykę – rzucił do Ronana.
- Czy tu zawsze śmierdzi benzyną?! – wrzasnęła Blue z tylnego siedzenia.
- Tylko wtedy, kiedy silnik pracuje! – odkrzyknął jej Gansey.
- Czy to jest *bezpieczne*?!
- Bezpieczne jak życie!
- Dokąd jedziemy?! – krzyknął Adam.

– Na *gelato*. Przy okazji Blue wyjaśni nam, skąd wiedziała, którędy biegnie linia mocy – powiedział Gansey. – Opracujemy strategię, wyciągniemy z Blue wszystko, co wie o energii, i zastanowimy się, co dalej. Adam, powiesz mi, co przeczytałeś o upływie czasu na liniach mocy, a ty, Ronan, jeszcze raz przypomnisz, czego się dowiedziałeś o czasie snu i *liniach pieśni*². Zanim wrócimy do tego lasu, musimy dowiedzieć się jak najwięcej o środkach bezpieczeństwa.

Ale nie zrealizowali tego planu. Rzeczywiście pojechali do kawiarni „U Harry’ego”, zaparkowali camaro obok jakiegoś audi i przypadkowego lexusa, a potem Gansey zamawiał kolejne smaki *gelato*, aż na stole zabrakło miejsca na pucharki. Ronan przekonał obsługę, żeby puścili głośniej muzykę, a Blue po raz pierwszy roześmiała się z czegoś, co powiedział Gansey. Zachowywali się bardzo hałaśliwie i pewnie, jakby byli królami Henrietty, bo znaleźli linię mocy i coś się zaczynało. Coś się zaczynało.

Gansey, tryskając energią, zaplanował kolejne trzy dni poszukiwań Glendowera.

Ku zaskoczeniu Adama Blue nie opuściła żadnego. Choć nie powiedziała tego wprost, chłopak był pewien, że kontakty z nimi utrzymuje w tajemnicy, bo nigdy nie dzwoniła do nich z domu ani nie umawiała się z nimi w pobliżu Fox Way 300.

Chociaż nie ustalali z wyprzedzeniem godzin swoich spotkań, a o ich wolnym czasie decydowała w dużej mierze szkoła, udawało im się widywać z niezwykłą systematycznością.

Na razie nie wracali jednak do dziwnego lasu. Za to poszli do sądu, żeby sprawdzić, kto jest właścicielem ziemi, na której widnieje kruk. Przejrzeli mikrofiszki w bibliotece miejskiej, żeby ustalić, czy dziwny las ma jakąś nazwę. Rozmawiali o historii Glendowera. Zaznaczali linię mocy na mapie, mierzyli jej szerokość. Wędrowali po polach, odwracali kamienie, układali z nich kręgi i mierzyli poziomy energii wewnątrz kromlechów.

Pochłaniali przy tym ogromne ilości taniego jedzenia z supermarketów. To była wina Blue. Po ich pierwszym triumfalnym przyjęciu z *gelato* upierała się, że sama będzie za siebie płacić, ograniczając tym samym liczbę miejsc, w których mogli jadać. Nie znosiła, gdy którykolwiek z chłopaków próbował jej coś kupić, ale chyba najbardziej się złościła, kiedy robił to Gansey.

Kiedyś w sklepie Gansey już miał zapłacić za chipsy Blue, ale ona wyrwała mu je z ręki.

– Nie będziesz kupował mi jedzenia! – syknęła. – Jeżeli za to zapłacisz, będę się czuła, jakbym ci coś...

– Zawdzięczała? – podsunął uprzejmie Gansey.

– Nie wkładaj swoich słów w moje usta.

– Przecież to właśnie chciałaś powiedzieć.

– *Założyłeś*, że to właśnie chcę powiedzieć. Nie możesz sobie tak po prostu robić założeń.

– Ale przecież to właśnie chciałaś powiedzieć, prawda?

Blue się skrzywiła.

– Nie rozmawiam z tobą.

A potem kupiła sobie chipsy, choć było oczywiste, że dla niej był to wydatek, a dla Ganseya nie. Adam był z niej bardzo dumny.

Drugiego dnia dołączył do nich Noah. Adam ucieszył się, kiedy się okazało, że przyjaciel znalazł wspólny język z Blue. Relacje z Noahem wiele mówiły o ludziach. Był on tak nieśmiały i niezręczny, że starał się być niewidoczny, a innym łatwo przychodziło ignorowanie go albo wyśmiewanie się z niego. Natomiast Blue nie tylko była dla niego miła, ale wręcz miała z nim świetny kontakt. Adam odetchnął z ulgą, bo czuł się odpowiedzialny za wprowadzenie Blue do ich paczki. Ostatnio tak rzadko podejmował decyzje bez Ganseya, Ronana czy Noaha, że wątpił w słuszność swoich sądów, gdy działał sam.

Dni mijały, a oni nie wracali do dziwnej sadzawki i śniącego drzewa. Gansey wciąż powtarzał: „Potrzebujemy więcej informacji”.

– On chyba się boi – powiedział kiedyś Adam do Blue.

Sam się bał. Prześladowało go to, co zobaczył we wnętrzu drzewa: Gansey umiera, a Adam zdaje sobie sprawę, że to przez niego. Blue, zszokowana, wpatruje się w Adama. Ronan, nieszczęśliwy, klęczy obok Ganseya i warczy do Adama: „I co, jesteś zadowolony? O to ci chodziło?”.

Czy to był sen? A może prorocstwo?

Na pytanie Adama Gansey odpowiedział enigmatycznym „Nie wiem”.

Zazwyczaj ten, kto tak mówił, tracił szacunek Adama. Jedynym sposobem zatarcia złego wrażenia było dodanie natychmiast: „ale się dowiem”. Jednak Adam nie dawał ludziom zbyt wiele czasu na to, żeby mogli się zrehabilitować. Nie więcej, niż dałby sam sobie. Gansey nigdy go nie zawiodł. Dowiedzieliby się tego. Tylko... tym razem Adam wcale nie był pewny, czy chce wiedzieć.

Pod koniec drugiego tygodnia czekanie po lekcjach na Blue stało się zwyczajem ich paczki, podobnie jak wyruszanie razem na misję pod kierunkiem Ganseya.

Był pochmurny wiosenny dzień, który bardziej przypominał jesień – zimną, wilgotną i stalowoszarą.

Przed przyjściem Blue Ronan postanowił nauczyć wreszcie Adama prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów. Przez kilka minut wyglądało na to, że Adam nie-źle sobie radzi. Sprzęgło w bmw chodziło dobrze, instrukcje udzielane przez Ronana były krótkie i rzeczowe, a Adam okazał się pojętym uczniem, bo nie przeszkadzało mu w nauce przerośnięte ego.

Gansey i Noah stali pod ścianą budynku, obserwując z bezpiecznej odległości, jak Adam coraz sprawniej zatacza pętle na parkingu. Przez opuszczone szyby bmw co jakiś czas docierało do niego ich pohukiwanie.

A potem – prędzej czy później musiało się to zdarzyć – silnik zgasł efektownie wśród hałasu i przedśmiertnych drgawek wstrząsających samochodem. Ronan zaczął kląć. Puścił długą wiązkę obfitującą w złożone związki frazeologiczne. Wpatrując się ze skrucą w swoje kolana, Adam pomyślał, że Ronan bardzo melodyjnie przeklina: dobiera słowa z ostrożną, pełną czułości precyzją, jakby tworzył jakąś czarną poezję. W jego głosie było znacznie mniej nienawiści niż wtedy, kiedy nie przeklinał.

– Litości... Parrish, uważaj trochę, to nie jest honda civic twojej matki, rocznik siedemdziesiąty pierwszy – rzucił Ronan na koniec.

– Hondy civic zaczęli produkować w siedemdziesiątym trzecim – odwarknął Adam.

Zanim wściekły Ronan zdążył zaatakować, obaj usłyszeli serdeczny okrzyk Ganseya:

– Jane! Myślałem, że już nie przyjdiesz. Ronan uczy Adama obchodzić się z ręczną skrzynią biegów.

Blue wsunęła głowę do samochodu przez okno po stronie pasażera. Miała rozwiane włosy, pachniała polnymi kwiatami. Kiedy Adam rejestrował ten fakt na mentalnej liście rzeczy przesądzających o atrakcyjności Blue, ona powiedziała pogodnie:

– Chyba nieźle ci idzie. Co to za zapach?

Ronan bez słowa wysiadł z samochodu, trzaskając drzwiami.

Obok Blue pojawił się za to Noah, radosny i pełen uwielbienia jak labrador. Od samego początku zachowywał się tak, jakby był gotów zrobić dla niej wszystko, i gdyby chodziło o kogoś innego, Adam byłby naprawdę bardzo zły.

Blue pozwoliła, żeby Noah przyglądał jej nastroszone włosy. Adam sam miał ochotę to zrobić, ale czuł, że w jego wykonaniu ten gest miałby zupełnie inną wymowę.

– No to chodźmy – powiedział Gansey.

Lubił dodawać swoim wypowiedziom dramatyzmu, wertując dziennik albo spoglądając na zegarek. Wyraźnie czekał, aż ktoś go zapyta, dokąd idą.

– Dokąd dzisiaj? – rzucił Adam przez okno samochodu.

Gansey podniósł z ziemi plecak.

– Do lasu.

Blue i Adam wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Czas mija – powiedział Gansey wyniośle i ruszył w stronę camaro.

Blue odskoczyła, kiedy Adam wygramolił się zza kierownicy bmw.

– Wiedziałaś o tym? – szepnęła.

– Nie miałem pojęcia.

– Musimy wrócić za trzy godziny – zastrzegł Ronan. – Przed chwilą nakarmiłem Piłę, ale niedługo znowu zgłodnieje.

– To właśnie dlatego – odparł Gansey – nie chciałem mieć z tobą dziecka.

Ze swobodą wynikającą z przyzwyczajenia czym prędzej wpakowali się do camaro, chociaż zdrowy rozsądek nakazywałby jechać bmw. Ronan i Gansey wyrwali sobie przez chwilę kluczyki (Gansey zwyciężył, jak zwykle w każdej sprawie).

Adam, Blue i Noah, dokładnie w tej kolejności, wcisnęli się razem na tylne siedzenie. Noah siedział skulony przy oknie, rozpaczliwie próbując nie dotknąć Blue. Adam wręcz przeciwnie. Starał się być grzeczny przez pierwsze dziesięć minut pierwszego dnia poszukiwań, do chwili kiedy się przekonał, że Blue nie przeszkadza, że ich nogi się dotykają.

Jemu też to nie przeszkadzało.

Wszystko wydawało się takie jak zwykle, ale z jakiegoś powodu serce biło mu niespokojnie. Przez parking mknęły młode wiosenne liście, zerwane z drzew nagłym porywem zimnego wiatru. Blue, ubrana w ekstrawagancki szydełkowy sweterek, dostała gęsiej skórki. Wyciągnęła ręce i złapała jednocześnie za koszule chłopaków, przyciskając je do swojego ciała jak koce.

– Jejku, ty zawsze jesteś taki zimny, Noah – powiedziała Blue.

– Wiem – odparł chłopak ponuro.

Adam nie był pewien, co było pierwsze – to, że Blue zaczęła traktować ich jak przyjaciół, czy to, że zostali przyjaciółmi. Wydawało mu się, że taki sposób budowania relacji wymaga dużej pewności siebie. Za sprawą jakiejś szczególnej magii odnosiło się wrażenie, że Blue szuka z nimi Glendowera od samego początku.

Z ramieniem przyciśniętym do sweterka dziewczyny Adam pochylił się między przednimi siedzeniami.

– Gansey, mamy jakieś ogrzewanie? – zapytał.

– Jak samochód zapali.

Silnik rzeźił i rzeźił. Adamowi zrobiło się tak zimno, że niemal szczął zęba-

mi, choć wydawało się niemożliwe, żeby temperatura aż tak bardzo spadła. Było mu zimno *od środka*.

– Gaz. Dodaj gazu – odpowiedział.

– Już to zrobiłem.

Ronan położył rękę na prawym kolanie Ganseya i mocno przycisnął. Silnik zawył i zaskoczył. Kierowca oschle podziękował za pomoc.

– Twoje serce... – szepnęła Blue Adamowi do ucha. – Masz duszę na ramieniu. Denerwujesz się?

– Nie wiem... Nie jestem pewny, dokąd jedziemy – odparł cicho.

Teraz, gdy poruszali się samochodem, a nie helikopterem, potrzebowali więcej czasu, żeby dostać się na miejsce, którego współrzędne Gansey zanotował w dzienniku. Kiedy zaparkowali samochód przy pustym domku kempingowym i pokonali ostatni odcinek drogi piechotą, przekonali się, że w pochmurny dzień las nabrał zupełnie innego charakteru. Kruk wydawał się teraz nagi i martwy, muszle bieleły w trawie jak szkielet. Drzewa sprawiały wrażenie wyższych niż poprzednio. Nawet wśród strzelistych górskich jodeł były prawdziwymi gigantami. Cały krajobraz tonął w cieniu bezsłonecznego dnia, ale pas skarłowaciałej trawy na skraju lasu wydawał się ciemniejszy niż wszystko inne.

Serce Adama wciąż zachowywało się nieobliczalnie. Chłopak musiał przyznać przed samym sobą, że aż do tej pory tak naprawdę nie wierzył w nadprzyrodzoną teorię Ganseya o liniach mocy; nigdy jej do końca nie zaakceptował. A teraz okazała się prawdą. Magia istniała, Adam zaś nie był pewien, jak bardzo zmienia to jego obraz świata.

Przez długą chwilę wszyscy stali w milczeniu, wpatrując się w las, jakby oceniali siły przeciwnika. Gansey potarł palcem usta. Blue, kuląc się z zimna, obejmowała się ramionami i zaciskała szczękające zęby. Nawet Ronan wydawał się zaniepokojony. Tylko Noah wyglądał tak samo jak zawsze: stał przygarbiony, z luźno zwieszonymi rękami.

– Czuję się obserwowana – powiedziała wreszcie Blue.

– To może być wpływ energii – odparł Gansey. – Wiele przypadków zjawisk nadprzyrodzonych udało się wytłumaczyć oddziaływaniem starych, nieosłoniętych instalacji. Pole elektromagnetyczne może wywoływać u ludzi wrażenie bycia obserwowanym. Nerwowość. Mdłości.

Podejrzliwość. Impulsy elektryczne w mózgu zaczynają robić kawały.

Noah z zadartą głową obserwował falujące wolno czubki drzew. Adam odruchowo wypatrywał ruchu między ich pniami.

– Ale to przecież nie wszystko – zauważył Adam. – Pole elektromagnetyczne zapewnia duchom energię. Dzięki niemu są widoczne, prawda? Więc kiedy ma się uczucie bycia obserwowanym albo nawiedzonym przez duchy, to całkiem prawdopodobne, że tak właśnie jest.

– A woda może to odwracać – dodał Gansey. – Zamieniać pole elektromagnetyczne i energię w pozytywne emocje.

– Stąd te wszystkie bzdury o uzdrawiających źródłkach – wtrącił Ronan, żeby nie zostać w tyle.

Blue rozcierała ramiona.

– Hm, woda jest tam. Idziemy?

Drzewa westchnęły. Gansey zmrużył oczy.

– Myślicie, że jesteśmy zaproszeni? – zapytał Adam.

– Ja myślę – odparł Noah – że trzeba się wprosić.

On pierwszy wszedł do lasu. Ronan mamrotał coś ze złością, prawdopodobnie dlatego, że to Noah – *Noah!* – wykazał się większą odwagą niż którykolwiek z nich. Ruszył za nim.

– Zaczekaj. – Gansey spojrzał na zegarek. – Jest 16:13. Trzeba to zapamiętać.

I poszedł za Noahem i Ronanem.

Serce Adama biło jak szalone. Blue wyciągnęła rękę, a on ją złapał. „Tylko nie zmiażdż jej palców” – upomniął sam siebie.

Ruszyli za innymi.

W lesie było jeszcze ciemniej niż na łące. Cienie pod przewróconymi drzewami były czarne i płaskie, a pnie miały kolory czekolady, grafitu, onyksu.

– Noah – wyszeptał Gansey. – Noah, gdzie jesteś?

Głos kolegi rozległ się za ich plecami.

– Tutaj.

Adam obejrzał się za siebie, cały czas ściskając dłoń Blue, ale nie zobaczył nic, tylko gałęzie szeleszczące na lekkim wietrze.

– Co widzisz? – odezwał się Gansey.

Kiedy Adam odwrócił się z powrotem, okazało się, że Noah idzie przodem.

„Impulsy elektryczne w mózgu zaczynają robić kawały”.

– Nic.

– Dokąd idziemy? – zapytał Ronan – zgarbiony, czarny kształt w odległości kilku metrów.

„Wszędzie, tylko nie do tamtego drzewa – pomyślał Adam. – Nie chcę tego więcej oglądać”.

Gansey szukał śladów strumienia, wzdłuż którego szli poprzednio.

– Myślę, że tam, gdzie wtedy. Prawdopodobnie przeprowadzone doświadczenie powinno zostać powtórzone w tych samych warunkach, prawda? Tylko że wody jest jakby mniej. Trudniej ją zobaczyć. To chyba nie było daleko?

Jednak już po kilku minutach marszu wzdłuż płytkiego strumienia okazało się, że krajobraz wygląda inaczej niż poprzednim razem. Drzewa były wysokie, cienkie i patykowate, wszystkie pochylone, jakby pod naporem silnego wiatru. Z jałowej gleby wystawały potężne skalne bloki. Ani śladu koryta potoku, sadzawki, śniącego drzewa.

– Zmylono nas – powiedział Gansey stanowczym, oskarżycielskim tonem, jakby to las ponosił winę.

– Poza tym – Blue wskazała coś palcem, puściwszy dłoń Adama – widzieliście te drzewa?

Chłopak dopiero po chwili zrozumiał, co dziewczyna ma na myśli. Niektóre z liści były bladożółte. Z pewnością nie był to kolor typowy dla wiosny. Większość jednak miała przydymiony, czerwono-zielony odcień końca jesieni. Pod stopami przybyszów szeleściły brązowe i pomarańczowe liście, zniszczone przez wczesny przymrozek zimy, która nadchodziła zupełnie nie w porę.

Adam czuł jednocześnie zdumienie i niepokój.

– Gansey – powiedział – którą masz godzinę?

Przyjaciół obrócił nadgarstek.

– 17:27. Druga wskazówka na razie się porusza.

W ciągu nieco ponad godziny widzieli dwie pory roku. Adam napotkał wzrok Blue. Tylko pokręciła głową. Co miała zrobić?

– Gansey! – zawołał Noah. – Tu jest coś napisane!

Noah stał za ogromną skałą, przy bloku kamienia sięgającego mu do brody. Powierzchnia gładzi była spękana, poprzecinana żłobieniami przypominającymi naskazane przez Ganseya linie mocy. Noah pokazał im kilkadziesiąt słów u dołu bloku. Atrament użyty przez autora napisu był teraz pościerany i nierówny: w niektórych miejscach czarny, w innych śliwkowy.

– Co to za język? – zapytała Blue.

– Łacina – odpowiedzieli jednocześnie Adam i Ronan.

Ronan przykucnął przy kamieniu.

– Co to znaczy? – zapytał Gansey.

Ronan przebiegł wzrokiem po tekście raz i drugi. Ni stąd, ni zowąd parsknął śmiechem.

– To jakiś żart. Ta pierwsza część. I to napisany gównianą łaciną.

– Żart? – powtórzył jak echo Gansey. – Z czego?

– Nie rozśmieszyłyby cię.

Adam nic z tego nie rozumiał, więc zrezygnował z próby odczytania napisu. A jednak coś w tych literach go niepokoiło. Nie potrafił powiedzieć co. Ich kształt...

– Po co ktoś miałby wypisywać dowcipy na przypadkowych kamieniach?

Z twarzy Ronana zniknęło rozbawienie. Dotknął słów, przesunął po nich palcem. Jego pierś unosiła się i opadała, oddychał ciężko.

– Ronan – zaczął Gansey.

– Ten żart jest tu na wypadek, gdybym nie rozpoznał własnego charakteru pisma – odparł wreszcie Ronan, nie odrywając wzroku od kamienia.

Adam wreszcie zrozumiał, co go niepokoiło. Teraz, kiedy Ronan rozpoznał swoje pismo, stało się oczywiste, że to on napisał ten tekst. Po prostu nikt się tego nie spodziewał. Te słowa, wypisane na skale tajemniczym atramentem, rozmazane i star-te przez pogodę, pozbawione kontekstu, były dla wszystkich zaskoczeniem.

– Nie rozumiem. – Ronan wciąż na nowo śledził kształt liter. Był wstrząśnięty.

Gansey pierwszy się opanował. Nie mógł znieść widoku żadnego z chłopaków w takim stanie.

– Widzieliśmy już, jak linia mocy igra z czasem – powiedział takim tonem, jakby był całkowicie pewien tego, co mówi, jakby prowadził wykład z historii świata.

– Teraz widzimy to na moim zegarku. Czas jest płynny. Nie było cię tu wcześniej, Ronan, ale to nie znaczy, że nie przyjdiesz tu później. Za kilka minut, dni, lat zostawisz dla siebie wiadomość, którą zaczniesz od dowcipu na dowód tego, że to naprawdę ty ją napisałeś. Wiedziałeś, że czas się może załamać, a ty możesz się tu znaleźć, żeby to przeczytać.

„Dobra robota, Gansey” – pomyślał Adam. Choć zdawał sobie sprawę, że przyjaciel sklecił to wyjaśnienie, żeby uspokoić Ronana, sam też poczuł się dzięki

niemu lepiej. Byli teraz odkrywcami, naukowcami, antropologami historycznej magii. Tego właśnie chcieli.

– A co jest dalej? Za tym dowcipem?

– *Arbores loqui latine* – odparł Ronan. – Drzewa mówią po łacinie.

To nie miało sensu. Może to był jakiś kalambur, a jednak Adam poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Wszyscy popatrzyli na drzewa. Otaczały ich liście w tysiącach odcieni zieleni, uczone miliony smaganych wiatrem gałęzi przypominających szpony.

– A ta linijka pod spodem? – zapytał Gansey. – Ostatnie słowo nie wygląda na łacińskie.

– *Nomine appellant* – przeczytał Ronan. – Mów do niego po imieniu – umilkł.
– Cableswater.

Cabeswater – powtórzył Gansey.

Już sam wyraz wydawał się magiczny. „Cabeswater” – to brzmiało jak jakaś prastara tajemnica, coś, co nie należy do Nowego Świata. Gansey jeszcze raz odczytał łaciński tekst na kamieniu. Teraz, kiedy Ronan odwalił czarną robotę, jego znaczenie wydawało się oczywiste. Potem, podobnie jak pozostali, Gansey przyjrzał się otaczającym ich drzewom.

„Co ty najlepszego zrobiłeś? – zapytał sam siebie. – Dokąd ich przyprowadziłeś?”.

– Proponuję poszukać wody – powiedziała Blue. – I pozwolić, żeby zrobiła z tą energią wszystkie pozytywne rzeczy, o których wspomniał Ronan. A potem... Zdaje się, że powinniśmy powiedzieć coś po łacinie.

– To jest jakiś plan – zgodził się Gansey, zastanawiając się nad dziwną naturą miejsca, w którym tak absurdalna propozycja mogła wydawać się praktyczna. – Wracamy, skąd przyszliśmy, czy wchodzimy głębiej?

– Głębiej – powiedział Noah.

Ponieważ Noah rzadko wyrażał swoje zdanie, jego słowo stało się decydujące. Wyruszyli w dalszą drogę, krążąc po własnych śladach w poszukiwaniu wody. Dokoła nich opadały liście: najpierw czerwone, potem brązowe, a następnie szare, aż w końcu drzewa zrobiły się zupełnie nagie. W bardziej zacienionych miejscach ziemia była oszroniona.

– Zima – stwierdził Adam.

Oczywiście to było niemożliwe, podobnie jak wszystko, co dotąd się wydarzyło. Gansey przypominał sobie, jak jechali kiedyś z Malorym przez Krainę Jezior. W pewnej chwili poczuli, że otacza ich tyle niewyobrażalnego piękna, że Gansey nie potrafił go już przyswoić. W końcu przestał je dostrzegać.

Niemożliwe, żeby teraz była zima. A jednak nie było to bardziej nieprawdopodobne od żadnej z rzeczy, które się do tej pory wydarzyły.

Dotarli do kępy nagich wierzb, porastających łagodne zbocze. Między drzewami wił się leniwie płytki strumyk. Malory powiedział kiedyś Ganseyowi, że tam, gdzie rosną wierzby, jest również woda. Wyjaśnił, że przedstawiciele tego gatunku rzucają nasiona do płynącej wody, która unosi je ze sobą, żeby mogły wykiełkować i zakorzenić się w jakimś odległym miejscu.

– Jest i woda – dodała Blue.

Gansey odwrócił się do pozostałych. Z ich ust wydobywała się para, poza tym wszyscy byli nieodpowiednio ubrani. Niewłaściwy wydawał się nawet kolor ich skóry, zbyt mocno muśniętej słońcem jak na to bezbarwne zimowe otoczenie. Wyglądali jak turyści z innej strefy klimatycznej. Gansey zdał sobie sprawę, że drży, ale nie wiedział, czy to od niespodziewanego chłodu, czy z emocji.

– No dobrze – odezwał się. – Co zamierzałeś powiedzieć po łacinie?

– Czy mógłbyś się na początek przywitać? – zwróciła się Blue do Ronana. – Tego wymaga uprzejmość.

Chłopak się skrzywił. Uprzejmość nie była w jego stylu.

– Salve – powiedział jednak. – To właściwie znaczy „bądź pozdrowiony” – wyjaśnił Blue.

– Dobra robota – pochwaliła. – Zapytaj, czy z nami porozmawiają.

Teraz Ronan cierpiał jeszcze bardziej, bo miał zrobić coś idiotycznego, a więc rzecz zupełnie nie w jego stylu, ale podniósł głowę i powiedział:

– *Loquere tu nobis?*

Wszyscy stali cicho. Mieli wrażenie, że słyszą szmer przypominający szelest liści poruszanych słabym zimowym wietrzykiem. Tylko że na gałęziach nie było liści.

– Nic – odparł Ronan. – Czego się spodziewaliście?

– Cicho – zarządził Gansey, bo teraz z całą pewnością słyszał coś więcej niż tylko szelest. Brzmiało to zupełnie jak szept zachrypniętych głosów. – Słyszycie? – wyszeptał powoli.

Wszyscy oprócz Noaha pokręcili głowami.

– Ja słyszę – powiedział Noah ku uldze Ganseya.

– Poproś, żeby powtórzyły.

Ronan znowu powiedział coś po łacinie.

Szelest rozległ się ponownie i teraz już nie ulegało wątpliwości, że to szept; wszyscy zdali sobie sprawę, że to od początku nie były liście. Gansey wyraźnie usłyszał łacińskie zdanie. Zaczął żałować, że nie przykładał się bardziej do nauki tego języka. Powtórzył Ronanowi słowo po słowie, sylabizując głoski.

– Narzekają, że nie słuchałeś tego, co mówiły – powiedział Ronan. Potarł tył swojej ogolonej głowy. – Gansey, jaja sobie ze mnie robisz czy naprawdę coś słyszysz?

– Myślisz, że Gansey jest taki dobry z łaciny? – uciął Adam. – To twoim piśmem było napisane, że one mówią po łacinie. Zamknij się.

Drzewa zasyczały ponownie, a Gansey powtórzył ich słowa Ronanowi. Noah go poprawił, bo chłopak przekreślił czasownik.

Wzrok Ronana przeniósł się na Blue.

– Powiedziały, że cieszą się ze spotkania z córką wróżki.

– Ze mną! – wykrzyknęła Blue.

Drzewa wysyczały cicho coś jeszcze, a Gansey powtórzył ich słowa.

– Nie wiem, co to znaczy – powiedział Ronan. – Cieszą się też z ponownego spotkania z... *Greywaren?* Nie znam takiego słowa po łacinie.

– Ronan – wyszeptały drzewa. – Ronan Lynch.

– To ty – powiedział Gansey zdziwiony. Poczuł, że przebiega go dreszcz. – Ronan Lynch. Wymieniły twoje nazwisko. To ciebie miło im znowu widzieć.

Ronan nie okazał emocji.

– *Znowu.* – Blue przycisnęła dłonie do zaróżowionych od zimna policzków. Jej oczy były szeroko otwarte, a twarz wyrażała taką samą trwogę i ekscytację, jakie odczuwał Gansey. – Zadziwiające. Drzewa? Niewiarygodne.

– Dlaczego tylko ty i Noah je słyszycie? – zapytał Ganseya Adam.

Jąkając się – nawet w klasie rzadko odzywał się po łacinie i wypowiadanie na głos własnych myśli w tym języku wydawało mu się nienaturalne – Gansey powie-

dział:

– *Hic gaudemus. Gratias tibi... loquere... loqui pro nobis.* – Spojrzał na Ronana. – Jak zapytać, dlaczego ich nie słyszycie?

– Boże, Gansey. Trzeba było uważać w... – Ronan zamknął oczy i zastanowił się. – *Cur non te audimus?*

Tym razem Gansey nie musiał czekać na tłumaczenie Ronana. Odpowiedź drzew była dostatecznie prosta.

– Droga nie została obudzona – powiedział na głos.

– Linia... mocy? – domyśliła się Blue. – Ale to nie wyjaśnia, dlaczego tylko ty i Noah słyszycie ten głos – dodała z lekkim smutkiem.

– *Si expergefaceret via, erimus in debitum* – wymamrotały drzewa.

– Jeśli obudzimy drogę, będą nam zobowiązane – powiedział Ronan.

Przez chwilę wszyscy stali cicho, a potem popatrzyli na siebie. Sporo tego było jak na jeden raz. Bo nie chodziło tylko o to, że drzewa do nich mówią. Właśnie odkryli, że drzewa są wrażliwymi istotami, zdolnymi do obserwowania ich poczynąń. Czy tę umiejętność posiadały wyłącznie drzewa w tym dziwnym lesie, czy może inne też im się przyglądały? Czy już wcześniej próbowały do nich mówić? Nie mieli też pojęcia, jak się dowiedzieć, czy te drzewa są dobre, czy złe, czy kochają, czy nienawidzą ludzi, czy kierują się jakimiś zasadami albo uczuciami. Gansey pomyślał, że te rośliny są jak obcy. I to tacy, którzy przez długi czas byli bardzo źle traktowani. „Gdybym ja był drzewem, nie widziałbym powodu, żeby kochać ludzi”.

To naprawdę się działo. Cekał na to przez wszystkie lata poszukiwań.

– Zapytaj je, czy wiedzą, gdzie jest Glendower – polecił Gansey.

Adam wyglądał na przestraszonego. Ronan natychmiast przetłumaczył pytanie.

I tym razem syczące głosy odpowiedziały dopiero po chwili. Gansey nie potrzebował tłumaczenia.

– Nie – powtórzył.

Zanim zadał to pytanie, poczuł, że coś powoli zaciska się wokół jego piersi. Sądził, że gdy usłyszy odpowiedź, uścisk się rozluźni, ale tak się nie stało. Teraz wszyscy na niego patrzyli, a on nie wiedział dlaczego. Może miał coś na twarzy. Czuł, że coś jest z nią nie tak. Odwrócił głowę.

– Jest bardzo zimno. *Valde frigida.* Jak stąd wyjść? Proszę... *Amabo te, ubi exitum?*

Drzewa szeptały i syczały, a Gansey zdał sobie sprawę, że być może się pomylił. To od samego początku mógł być tylko jeden głos. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, nie był też wcale pewien, czy rzeczywiście go słyszał. Może przez cały ten czas głos przemawiał wyłącznie w jego głowie. Ta myśl go zaniepokoiła i przeszkadzała mu się skupić. Noah musiał mu pomóc powtórzyć wszystko, co zostało powiedziane, a Ronan bardzo długo myślał, zanim udało mu się to przetłumaczyć.

– Przepraszam – powiedział Ronan. Tak bardzo starał się skoncentrować, że zapomniał o pozie luzaka. – To trudne. One... powiedziały, że musimy przejść z powrotem przez pory roku. Wzdłuż... drogi. Linii mocy. Powiedziały, że jeśli pójdziemy brzegiem strumienia i skreślimy w lewo przy dużym... jaworze, nie, płatanie... powiedziały *Platanus*?... znajdziemy tam coś, co ich zdaniem chcemy znaleźć. A potem będziemy mogli wyjść z lasu i znaleźć drogę do naszego... do naszego dnia. Nie

wiem. Coś mi uciekło, ale chyba... Przykro mi.

– W porządku – powiedział Gansey. – Naprawdę dobrze ci idzie. – Jak uważasz? – zapytał po cichu Adama. – Zastanawiam się, czy można im ufać.

Zmarszczone brwi Adama oznaczały, że jemu też to przyszło do głowy.

– Mamy inne wyjście? – zapytał.

– Myślę, że powinniśmy im zaufać – powiedziała Blue. – Znają mnie i Ronana. W jakimś sensie. A na kamieniu nie znaleźliśmy żadnego ostrzeżenia, prawda?

Coś rzeczywiście w tym było. Wskazówki Ronana, które wyczytali na kamieniu, dowiodły już swojej prawdziwości; dostarczyły im informacji umożliwiających rozmowę z drzewami, jednak nie zawierały żadnego ukrytego ostrzeżenia.

– Wracamy – powiedział Gansey. – Uważajcie, żeby się nie poślizgnąć. – A potem głośno i wyraźnie dodał: – *Gratias. Reveniemus.*

– Co powiedziałeś? – zapytała Blue.

Adam wyjaśnił za niego:

– Dziękujemy. I że wrócimy.

Nietrudno było trzymać się wskazówek. Strumień rozlewał się tutaj szeroko, zimna woda płynęła wolno między oszronionymi brzegami. Idąc wzdłuż brzegu, przemierzali się cały czas w dół. Powietrze wokół nich stopniowo stawało się cieplejsze. Gałęzi trzymały się nieliczne czerwone liście, a kiedy Blue wskazała na ogromny platan, którego kora odrywała się od szarobiałego pnia, zbyt grubego, żeby mogła go otoczyć, znajdowali się już w lepkich objęciach lata. Dorodne zielone liście poruszały się i pocierały o siebie, mrucząc i szeleszcząc. Gdyby teraz rozległ się jakiś głos, Gansey nie był pewien, czyby go usłyszał.

– Kiedy szliśmy tą drugą drogą, przeskoczyliśmy lato – zauważył Adam. – Od razu zaczęła się jesień.

– Magiczne komary – powiedział Ronan, klepiąc się w ramię. – Wspaniałe miejsce.

Zgodnie ze wskazówkami skrzyli w lewo przy ogromnym platanie. Gansey zastanawiał się, co zdaniem drzew chcieliby znaleźć. Wydawało mu się oczywiste, że szuka tylko jednego.

Wtedy gęsty las się przerzedził i wyszli na sporą polanę rozgrzaną słońcem. Nagle stało się jasne, o czym szumiały drzewa.

Na środku niezadrzewionego terenu, jak niepasujący rekwizyt, stał porzucony samochód. Czerwony mustang, jeden z późniejszych modeli. Na pierwszy rzut oka wydawał się ubłocony, ale kiedy przyjrzeni mu się bliżej, okazało się, że jest przysypany pyłkiem kwiatów i liśćmi. W szczelinach wokół maski, pod spojlerem, wokół wycieraczek i opon zebrały się sterty liści. Spod samochodu wyrastało młode drzewko, wygięte wzdłuż linii przedniego błotnika. Widok przywodził na myśl wraki statków, kilkusetletnie żaglowce zamienione w rafy koralowe przez podstępny czas.

Za samochodem biegła zarośnięta droga. Wyglądała tak, jakby prowadziła na skraj lasu. To musiało być wyjście, o którym mówiły drzewa.

– Krzykliwy – zauważył Ronan, kopiąc oponę samochodu.

Mustang miał masywne, drogie koła, a kiedy Gansey mu się przyjrzał, dojrzał liczne akcesoria tuningowe: szerokie felgi, spojler, ciemne szyby, wielką rurę wydechową. Jego ojciec powiedziałby: „Pieniądze parzą nuworysza”.

– Patrz – odezwał się Adam.

Starł palcem kurz z tylnej szyby. Obok naklejki z nazwą zespołu Blink-182 znajdowało się godło Aglionby.

– To ma sens – zauważyła Blue.

Ronan spróbował otworzyć drzwi po stronie kierowcy. Ustąpiły. Parsknął krótkim, nerwowym śmiechem.

– Tu jest jakiś zmumifikowany hamburger.

Wszyscy otoczyli samochód, żeby zajrzeć do środka, ale poza leżącym na siedzeniu pasażera hamburgerem – wysuszonym, nadgryzionym, jeszcze w papierze – nie było tam wiele do oglądania.

To była nowa łamigłówka, trochę jak głos Blue zarejestrowany przez dyktafon. Gansey czuł się tak, jakby była przeznaczona w szczególności dla niego.

– Otwórzcie bagażnik – zarządził.

W bagażniku leżała kurtka, a pod nią dziwny zestaw drążków i sprężyn. Gansey ze zmarszczonym czołem wydobył ten wynalazek, trzymając za najdłuższy z prętów. Pozostałe wskoczyły na miejsce i teraz poniżej głównego elementu zwisało i kręciło się kilka mniejszych. Gansey natychmiast zrozumiał przeznaczenie urządzenia.

– To różdżka.

Odwrócił się do Adama, żeby się przekonać, co on o tym myśli.

– Zbieg okoliczności – powiedział Parrish, oczywiście mając na myśli coś wręcz przeciwnego.

Gansey poczuł się podobnie jak wtedy na parkingu przed restauracją „U Nina”, kiedy Adam podzielił się z nim swoimi podejrzeniami, że ktoś jeszcze szuka linii mocy. A potem zorientował się, że nigdzie nie widać Blue ani Noaha.

– Gdzie jest Blue i Noah?

Słyszając swoje imię, dziewczyna przeskoczyła jakąś kłodę i wróciła na polanę.

– Noah wymiotuje – powiedziała.

– Co mu jest? – zainteresował się Gansey. – Żle się poczuł?

– Zapytam – odparła. – Jak tylko przestanie rzygać.

Gansey się skrzywił.

– Z pewnością zaraz się przekonasz, że Gansey woli słowo „wymiotować”. Albo „zwracać” – powiedział pogodnie Ronan.

– Myślę, że „odruch wymiotny” byłby bardziej odpowiednim określeniem – uściśliła Blue.

– Odruch wymiotny! – powtórzył Ronan bez niepokoju. Wreszcie coś, na czym się znał. – Gdzie on jest? Noah! – zawołał.

Ruszył w stronę, z której przyszła Blue.

Dziewczyna zauważyła dziwny przedmiot w rękach Ganseya.

– Różdżka! Była w samochodzie?

Nic dziwnego, że wiedziała, co to jest. Nawet jeśli nie miała daru jasnowidzenia, posiadała go jej matka, a różdżka należała do jej narzędzi pracy.

– W bagażniku.

– To znaczy, że oprócz nas na pewno ktoś jeszcze szuka linii mocy!

Adam przesunął palcem po pokrytej pyłkami karoserii. Wydawał się zaniepo-

kojony.

– I że to było dla niego ważniejsze niż samochód.

Gansey popatrzył na otaczające ich drzewa, a potem znów na drogę auto. W oddali słyhać było stłumione głosy Ronana i Noaha.

– Lepiej już chodźmy. Myślę, że potrzebujemy więcej informacji.

Blue czuła się rozdarta, kiedy szykowała się do wyjścia. Niedziela była dniem wyprowadzania psów. Właściwie dziewczyna robiła to dwa razy w tygodniu, ale ostatnio dwukrotnie wyblagała wolne w czwartek, bo chciała spędzić ten czas z chłopakami. Teraz miała wrażenie, że już od dawna nie widziała swoich czworonożnych podopiecznych. Kłopot polegał na tym, że kończyły jej się pieniądze. W dodatku zaczynało jej również ciążyć nieposłuszeństwo wobec Maury. Doszło już do tego, że Blue nie była w stanie spojrzeć matce w oczy przy obiedzie. Jednak zrezygnowanie ze spotkań z chłopakami wydawało jej się niemożliwe. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby pogodzić jedno z drugim.

Ale najpierw trzeba było wyprowadzić psy.

Właśnie miała wyjść, kiedy w kuchni zadzwonił telefon. Zdołała go odebrać, ze szklanką mętnego soku jabłkowego w jednej ręce i sznurówkami wysokiego trampka w drugiej.

– Słucham.

– Chciałbym rozmawiać z Blue, jeśli można – powiedział jedyny w swoim rodzaju uprzejmy głos Ganseya, zdolny zamienić słomę w złoto.

Gansey z całą pewnością zdawał sobie sprawę, czym ryzykuje, dzwoniąc do niej do domu, i z całą pewnością był przygotowany na to, że słuchawkę może podnieść ktoś inny. Pomimo rosnących podejrzeń, że poszukiwań Glendowera nie uda się już długo utrzymać w tajemnicy, Blue poczuła się niewyraźnie na myśl o tym, że Gansey mógł ją wydać.

– Blue właśnie wychodzi, żeby wyprowadzić na spacer psy innych ludzi – powiedziała, odstawiając sok i wciągając trampki.

Słuchawkę przytrzymała ramieniem. Całe szczęście, że to ona odebrała, a nie ktoś inny.

– Przygotowałem się na taką ewentualność – odpowiedział Gansey.

Dziwnie było słuchać jego głosu przez telefon. Niezupełnie do niego pasował.

– A jednak cieszę się, że cię złapałem. Jak się masz? Ufam, że dobrze?

„On nie chce być protekcyjny” – przypomniała sobie Blue. Powtarzała to sobie wielokrotnie.

– Nie mylisz się.

– Wspaniale. Słuchaj. Adam dzisiaj pracuje, Ronan poszedł z braćmi do kościoła, a ja chciałem gdzieś wyjść i tak tylko... się rozglądam – dokończył szybko. – Nie do lasu. Myślałem, żeby może wybrać się do tego kościoła z twojej mapy. Nie chciałabyś...

Zająknął się.

Gansey się zająknął? Blue dopiero po chwili jego milczenia zdała sobie sprawę, że on pyta, czy nie chciałaby pójść razem z nim. Minęła następna chwila, zanim dotarło do niej, że jeszcze nigdzie z nim nie przebywała bez towarzystwa pozostałych chłopaków.

– Muszę wyprowadzić psy – powtórzyła.

- Och – odparł Gansey. Wydawał się zgaszony. – W porządku.
- Ale to zajmie najwyżej godzinę.
- Och – powtórzył jakieś czternaście tonów radośniej. – Przyjechać po ciebie? Blue zerknęła ukradkiem w stronę salonu.
- Nie, lepiej nie... Może... spotkajmy się na parkingu.
- Wspaniale – powtórzył chłopak. – Pierwszorządnie. Myślę, że to może być

ciekawe. A więc do zobaczenia za godzinę.

„Pierwszorządnie?”. Gansey bez Adama. Blue nie była pewna, co z tego wyniknie. Z wyjątkiem nieśmiałego zainteresowania jej osobą ze strony Adama, chłopcy sprawiali wrażenie, że są nierozłączni jak jedna wielogłowa istota. Spotkanie z którymś z nich bez towarzystwa pozostałych wydawało się... niebezpieczne.

Ale odmówienie Ganseyowi spotkania zupełnie nie wchodziło w grę. Blue chciała odkrywać tak samo jak on.

Zanim jeszcze zdążyła odłożyć słuchawkę, usłyszała, że ktoś ją woła:

– Bluu-UUU-uuu, moje dziecko, moja droga, przyjdź tu, proszę!

To był ironiczny głos Maury.

Dziewczyna, pełna złych przeczuć, poszła za głosem do salonu. Siedziały tam Maura, Calla i Persefona, popijając coś, co, jak podejrzewała, było wódką z sokiem pomarańczowym. Kiedy Blue weszła do pokoju, kobiety skierowały na nią rozleniwione spojrzenia. Wyglądały jak stado lwic.

Blue uniosła brwi na widok drinków, którym światło poranka nadawało wspaniały, przejrzysty żółty odcień.

– Jest dopiero dziesiąta rano – stwierdziła.

Calla wyciągnęła rękę, złapała dziewczynę za nadgarstek i pociągnęła ją na dwuosobową kanapę w kolorze mięty. Jej szklanka była już prawie pusta.

– Jest niedziela. Co innego miałybyśmy robić? – odparła ciotka.

– Ja muszę iść wyprowadzić psy – powiedziała Blue.

Maura, usadowiona na fotelu w błękitne pasy, stojącym po przeciwnej stronie pokoju, wypila łyk swojego drinka i skrzywiła się.

– Och, Persefono. Dodajesz stanowczo za dużo wódki.

– Drży mi ręka – odpowiedziała smutno Persefona, siedząca na wiklinowej ławce pod oknem.

Blue już miała wstać, kiedy odezwała się Maura:

– Posiedź z nami chwilę, Blue. – W jej głosie pobrzmiwał lodowaty ton. – Porozmawiaj z nami o wczorajszym dniu. I przedwczorajszym. I przedprzedwczorajszym. I... Och, pogadajmy po prostu o tych ostatnich tygodniach.

Wtedy Blue zdała sobie sprawę, że matka jest wściekła. Widziała ją w takim stanie najwyżej kilka razy, a teraz w dodatku to ona była jego przyczyną. Natychmiast oblała się zimnym potem.

– No, byłam...

Umilkła. Kłamstwo wydawało się bezcelowe.

– Nie jestem strażnikiem więziennym – przerwała jej Maura. – Nie zarygluję drzwi twojego pokoju ani nie wyślę cię do klasztoru, na litość boską. Możesz dać sobie spokój z tym wymykaniem się po kryjomu.

– Ale ja się nie...

– Wymykasz się. Jestem twoją matką, odkąd się urodziłaś, i wierz mi, wymykasz się. Więc zakładam, że ty i Gansey dobrze się dogadujecie, zgadza się?

Wyraz twarzy Maury był irytująco znaczący.

– *Mamo.*

– Orla mówi, że on jeździ sportowym samochodem – ciągnęła Maura. W jej głosie wciąż pobrzmiwała złość i sztuczna wesołość. Blue świetnie zdawała sobie sprawę, że na to zasłużyła, przez co jad był jeszcze trudniejszy do zniesienia. – Nie planujesz chyba go całować, co?

– Mamo, *nigdy* do tego nie dojdzie – zapewniła ją Blue. – Poznałaś go przecież.

– Kto wie, czy jeżdżenie starym, głośnym camaro nie jest męskim odpowiednikiem darcia podkoszulków i przyklejania do ścian pokoju tekturowych drzew.

– Zaufaj mi – powiedziała Blue. – Gansey i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Poza tym moje drzewa nie są tekturowe. Są z odzyskanego płótna.

– Środowisko naturalne odetchnęło z ulgą. – Maura upiła kolejny łyk swojego drinka. Zmarszczyła nos i rzuciła gniewne spojrzenie Persefonie. Na jej twarzy malowało się cierpienie. Po chwili milczenia Maura odezwała się odrobinę łagodniejszym tonem:

– Nie podoba mi się, że wsiadasz do samochodu, w którym nie ma poduszek powietrznych.

– *Nasze* auto też ich nie ma – zauważyła Blue.

Maura zdjęła z krawędzi szklanki długi włos Persefony.

– Tak, ale ty zawsze jeździsz rowerem.

Blue wstała. Podejrzewała, że jej legginsy są teraz z tyłu pokryte zielonym meksykiem z sofy.

– Czy mogę już iść? Czy mam kłopoty?

– Tak, masz kłopoty. Mówiłam ci, żebyś trzymała się od niego z daleka, a ty mnie nie posłuchałaś – powiedziała Maura. – Jeszcze nie zdecydowałam, co z tym zrobię. Zraniłaś moje uczucia. Kilka osób, z którymi rozmawiałam, potwierdziło, że mam prawo czuć się zraniona. Czy nastolatkom daje się jeszcze szlaban, czy tak było tylko w latach osiemdziesiątych?

– Jeżeli zabronisz mi wychodzić, będę bardzo zła – powiedziała Blue. Dezaprobata matki była dla niej czymś nowym i ciągle jeszcze drżał jej głos. – Prawdopodobnie się zbuntuję i ucieknę oknem po linie z prześcieradła albo wymyślę coś innego.

Maura przesunęła ręką po twarzy. Jej złość zupełnie się ulotniła.

– Już zdążyłaś się zaangażować, prawda? Wystarczyło tak niewiele czasu.

– Jeżeli nie będziesz mi zabraniała się z nimi widywać, nie będę musiała być nieposłuszną – podsunęła Blue.

– Tak się kończy wykorzystywanie własnego DNA do zrobienia dziecka – podsumowała Calla.

Maura westchnęła.

– Blue, wiem, że nie jesteś idiotką. Ale mądrzy ludzie też czasami robią głupie rzeczy.

– Nie bądź jedną z nich – warknęła Calla.

– Persefono? – zapytała Maura.

– Nie mam nic do dodania – powiedziała Persefona swoim cichym głosem. Po chwili zastanowienia dodała jednak:

– Gdybyś chciała dać komuś w nos, nie chowaj kciuka do środka. Szkoda byłoby go złamać.

– Dobrze – odparła pośpiesznie Blue. – Wychodzę.

– Mogłabyś przynajmniej przeprosić – mruknęła Maura. – Udawać, że mam nad tobą jakąś władzę.

Blue nie była pewna, co na to odpowiedzieć. Władza rodzicielska Maury przybierała różne formy, ale na ogół nie przejawiała się w stawianiu ultimatów czy wprowadzaniu godziny policyjnej. Więc powiedziała tylko:

– Przepraszam. Powinnam była cię uprzedzić, że zamierzam zrobić to, czego mi zabroniłaś.

– To nie sprawiło mi takiej satysfakcji, jak się spodziewałam – zauważyła Maura.

Calla znowu złapała Blue za nadgarstek. Przez chwilę dziewczyna martwiła się, że ciotka wyczuje, jak niezwykle charakter mają poszukiwania Ganseya. Ale ona tylko przełknęła ostatni łyk swojego drinka i wymruczała:

– Tylko przez tę całą bieganie nie zapomnij o naszym wyjściu do kina.

– Naszym... wyjściu... do kina... – powtórzyła Blue.

Brwi Calli się uniosły.

– Obiecałaś.

Przez jedną mglistą chwilę Blue usiłowała sobie przypomnieć jakąkolwiek rozmowę z Callą na temat kina, a potem zdała sobie sprawę, o co jej chodzi – miały przetrząsnąć rzeczy Neeve.

– Zapomniałam, że to w tym tygodniu – odparła Blue.

Maura zamieszała drinka. Jej szklanka była prawie pełna. Zawsze wołała się przyglądać, jak piją inni, niż sama pić.

– Na co idziecie?

– Na *Nawet karły były kiedyś małe* – wymyśliła natychmiast Calla. – W oryginalnym tytule brzmi: „Auch Zwerge haben klein angefangen”.

Maura się skrzywiła, choć Blue nie potrafiła powiedzieć, czy to z powodu filmu, czy też akcentu Calli.

– Wszystko jedno. Neeve i ja i tak wychodzimy.

Calla znowu uniosła brew, a Persefona podniosła jakąś nitkę ze swoich koronkowych pończoch.

– Dokąd się wybieracie? – zapytała Blue. – „Szukać mojego ojca? Czytać z kałuży?” – pomyślała.

Maura przestała obracać drinkiem.

– Nie będziemy się włóczyły z Ganseyem.

Blue przynajmniej mogła być pewna, że matka jej nie okłamie.

Po prostu nie powie nic.

Dlaczego do kościoła? – zapytała Blue.

Po raz pierwszy jechała na przednim siedzeniu camaro. Wrażenie, że samochód składa się z kilku tysięcy luźnych części, które lecą dokąds w niepewnym szyku, było z tego miejsca jeszcze silniejsze.

Gansey, usadowiony wygodnie za kierownicą, w drogich okularach przeciwsłonecznych i swoich ulubionych mokasynach, nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Nie wiem. Bo jest na linii mocy, ale nie przypomina... Cableswater, czymkolwiek jest Cableswater. Muszę się nad tym zastanowić, zanim tam wrócimy.

– To trochę jak wchodzenie do czyjegoś domu – Blue starała się nie patrzeć na buty Ganseya. Miała o nim lepsze zdanie, kiedy zapominała, że ma je na nogach.

– Właśnie! To dokładnie takie uczucie.

Wycelował w nią palec, tak jak celował w Adama, kiedy zgadzał się z czymś, co on powiedział. Potem znów oparł rękę na drążku zmiany biegów, żeby powstrzymać jego drżenie.

Blue uważała, że dokonali fascynującego odkrycia. Drzewa są myślącymi stworzeniami, potrafią mówić. I *znają* ją.

– Skręć tutaj! – zakomenderowała, kiedy Gansey omal nie minął ruin kościoła.

Chłopak wykonał manewr z szerokim uśmiechem, redukując bieg. Wjechali na zarośniętą polną drogę przy zaledwie kilku gumowych jękach sprzeciwu. Przy okazji otworzył się schowek w samochodzie i wypuł zawartość na kolana Blue.

– Dlaczego właściwie jeździsz tym samochodem? – zapytała.

Gansey zgasił silnik, ale ona miała wrażenie, że jej nogi nadal wibrują.

– Bo jest doskonały – odparł sztywno. – To unikat.

– Ale gruchot. Nie możesz jeździć doskonałym unikatem, który...

Blue zademonstrowała, co ma na myśli, kilkakrotnie zatrzaskując schowek. Kiedy w końcu udało jej się wepchnąć rzeczy do środka i zamknąć klapkę, schowek z powrotem wyrzucił wszystko na jej kolana.

– Och, mogę – powiedział Gansey, a Blue wychwyciła w jego głosie lekkie rozdrażnienie; niezupełnie złość, raczej pobłażanie.

Chłopak włożył do ust listek mięty i szybko wysiadł z samochodu.

Blue odłożyła do schowka dowód rejestracyjny i wiekowy pasek suszonej wołowiny, a potem obejrzała inne przedmioty, które miała na kolanach. Była wśród nich autostrzykawka z adrenaliną, mająca przywrócić człowiekowi akcję serca w przypadku silnej reakcji alergicznej. W przeciwieństwie do suszonej wołowiny, nie była przeterminowana.

– Czyje to? – zapytała Blue.

Gansey stał już na zewnątrz z miernikiem pola elektromagnetycznego w ręce i przeciągał się jak po kilkugodzinnej, a nie zaledwie trzydziestominutowej podróży. Blue zauważyła, że ma imponujące mięśnie ramion, które mogły mieć jakiś związek z naklejonym na klapce schowka logo drużyny wioślarskiej Aglionby.

– Moje – odparł lekceważąco, zerkając na nią przez ramię. – Trzeba pchnąć za-

trzask w prawo. Przydaje się do tego łom. Wtedy się nie otworzy.

Blue postąpiła zgodnie z jego zaleceniem i schówek rzeczywiście się domknął, z autostrzykawką w środku.

Gansey zatrzymał się i zadarł głowę, żeby popatrzeć na burzowe chmury, piętrzące się jak żywe, ruchome wieże. Daleko na horyzoncie miały prawie ten sam błękitny kolor co granie gór. Droga, którą przyjechali, wyglądała jak wijąca się w stronę miasta cętkowana, błękitnozielona rzeka. Przefiltrowane przez chmury światło słoneczne wyglądało niesamowicie: prawie żółte, nabrzmiałe wilgocią. Poza śpiewem ptaków słyszeć było wyłącznie leniwy, odległy pomruk grzmotu.

– Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma – mruknął Gansey.

Ruszył zamaszystym krokiem w stronę ruin kościoła. Blue odkryła, że chłopak porusza się prawie wyłącznie w ten sposób – zamaszystym krokiem. Chodzenie było dobre dla zwykłych ludzi.

Zawsze uważała, że w świetle dnia kościół wydaje się bardziej niesamowity niż nocą, i takie właśnie wrażenie odniosła teraz, stojąc obok Ganseya.

Wewnątrz zburzonych murów, między fragmentami zawalonego dachu walczyły o światło trawa do kolan i drzewka sięgające czubka głowy Blue. Nie było śladu po ławkach, w których siadali wierni. Wszystko to wydawało się jakieś ponure i bezcelowe – jak śmierć bez życia pozagrobowego.

Przypomniała sobie, jak przed kilkoma tygodniami przyszła tutaj z Neeve. Ciekawe, czy ona naprawdę szuka jej ojca, a jeśli tak, to co zamierza zrobić, kiedy go znajdzie. Blue pomyślała o cieniach idących do kościoła i zastanawiała się, czy Gansey...

– Czuję się tak, jakbym tu już kiedyś był – powiedział.

Blue nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zdradziła mu tylko połowę prawdy o wydarzeniach z wigilii świętego Marka i nie była pewna, czy powinna ujawnić resztę. W dodatku nie była przekonana, czy on w to wierzy. Kiedy stała obok Ganseya, nie potrafiła sobie wyobrazić, że został mu niecały rok życia. Miał na sobie turkusową koszulkę polo, a wydawało się niemożliwe, żeby ktoś w turkusowej koszulce polo mógł umrzeć na cokolwiek innego niż choroba serca w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, zapewne w trakcie meczu polo.

– Co teraz robi twoje magiczne urządzone? – zapytała Blue.

Gansey odwrócił się w jej stronę. Palce zbiegały mu w stawach. W ręce trzymał miernik błyskający czerwonymi światełkami.

– Wysiadło. Tak samo jak w lesie – odparł Gansey.

Blue obserwowała okolicę. Teren najprawdopodobniej był czyjąś własnością, łącznie z działką, na której stał kościół. Niemniej okolica za budynkiem wyglądała na całkowicie wyludnioną.

– Tam może uda nam się uniknąć zastrzelenia za naruszenie własności prywatnej. W tej koszulce nie masz co liczyć na to, że przemkniesz niezauważony.

– Akwamaryna to piękny kolor, nie uda ci się obrzydzić mi tego ubrania – powiedział Gansey.

Ale jego głos brzmiał niepewnie. Znowu zerknął na kościół. W tej chwili wydawał się młodszy niż zwykle, miał zmrużone oczy, potargane włosy, naturalny wyraz twarzy. Wydawał się młodszy i, co dziwne, przestraszony.

„Nie mogę mu powiedzieć. Nigdy nie będę mogła mu o tym powiedzieć. Muszę po prostu spróbować temu zapobiec” – pomyślała Blue.

A potem Gansey, po dawnemu czarujący, machnięciem ręki wskazał fioletową tunikę Blue.

– Prowadź, Bakłazanie.

Dziewczyna znalazła sobie kij do odganiań węży i wyruszyli przez trawę. Wiatr pachniał deszczem, a ziemia drżała od grzmotów, ale nie padało. Urządzenie w rękach Ganseya zamrugało czerwonymi lampkami, które nagle zmieniły kolor na pomarańczowy, kiedy oddalali się od niewidzialnej linii mocy.

– Dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś, Jane – powiedział Gansey.

Blue rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

– Nie ma za co, Dick.

Gansey się skrzywił.

– Proszę, nie.

Jego szczery niesmak pozbawił Blue całej złośliwej satysfakcji. Szła dalej.

– Jesteś jedyną osobą, która nie wydaje się tym wszystkim skrepowana – powiedział po chwili. – Nie, żebym sam był do tego przyzwyczajony, ale widziałem już kilka niewytłumaczalnych rzeczy i chyba po prostu... Ale Ronan, Adam i Noah... wszyscy są jacyś... skonfundowani.

Blue udała, że wie, co znaczy „skonfundowany”.

– Może tak jest, bo mam z tym do czynienia na co dzień. W końcu moja mama jest wróżką. Wszystkie jej przyjaciółki są wróżkami. To... no wiem, może to rzeczywiście nie jest *normalne*. Ale zawsze sobie wyobrażałam, że tak właśnie widzą świat osoby takie jak one... osoby, które mogą zobaczyć rzeczy niewidzialne dla innych.

– Dojście do tego etapu zajęło mi całe lata – przyznał Gansey. Brzmienie jego głosu zaskoczyło Blue. Dopiero kiedy odezwał się znowu, zdała sobie sprawę, że mówi tym samym tonem, którym rozmawiał z Adamem. – Przez osiemnaście miesięcy szukałem linii mocy biegnącej przez Henriettę.

– Czy tego właśnie się spodziewałeś?

– Nie wiem, czego się spodziewałem. Czytałem o tych wszystkich zjawiskach, które mogą zachodzić na linii mocy, ale nie sądziłem, że mogą być aż tak wyraźne. Tak... Nie spodziewałem się tych drzew. Nie sądziłem też, że to się zdarzy tak szybko. Przyzwyczailem się, że raz na miesiąc trafiam na jakąś wskazówkę, a potem tracę czas i energię, dopóki nie pojawi się następna. Nie spodziewałem się tego. – Umilkł. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim, życzliwym uśmiechu. – To dzięki tobie. Wreszcie trafiliśmy na linię mocy. Mam ochotę cię ucałować.

Oczywiście to był tylko żart, ale Blue czym prędzej czmychnęła gdzieś w bok.

– Co to miało być?

– Wierzysz wróżkom? – zapytała.

– No, w końcu *poszedłem* do jednej z nich, prawda?

– To nic nie znaczy. Mnóstwo ludzi chodzi do wróżek tylko dla hecy.

– Ja zrobiłem to dlatego, że im wierzę. No, mam na myśli te, które są dobre w swoim fachu. Tylko że wcale nie jest łatwo się do nich dostać. Dlaczego pytasz?

Blue brutalnie dźgnęła ziemię kijem na węże.

– Bo odkąd się urodziłam, moja mama przepowiada mi, że jeśli pocałuję chło-

paka, którego kocham, on umrze.

Gansey się roześmiał.

– Nie śmieć się, ty...

Miała zamiar powiedzieć „łajdaku”, ale w ostatniej chwili wydało jej się, że to za mocne określenie.

– No, to przecież brzmi jak zwykła przestroga, nie? Nie chodź na randki, bo oślepniesz. Nie całuj się z chłopakiem, bo cię ugryzie.

– Nie tylko mama mi to mówi! – zaprotestowała Blue. – Każda napotkana wróżka i medium to powtarza. Poza tym moja mama taka nie jest. Nie wygłupiałyby się z podobnymi tekstami. To nie jest *na niby*.

– Przepraszam – powiedział Gansey, bo zdał sobie sprawę, że Blue jest szczerze rozgniewana. – Znowu zachowałem się jak ostatni fiut. Nie wiesz, jak on ma zgiąć, ten nieszczęśnik?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ha, diabeł tkwi w szczegółach. Więc na wszelki wypadek nikogo nie całujesz? – Patrzył, jak kiwa głową. – To przykre, Jane. Nie ma co ukrywać.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Zwykle nie zwierzam się z tego nikomu. Nie wiem, dlaczego teraz to robiłam. Nie mów Adamowi.

Brwi Ganseya uniosły się prawie do linii włosów.

– A więc to tak?

Jej twarz natychmiast zaczęła płonąć.

– Nie. To znaczy... Nie. Nie. Tylko że, dlatego że... dlatego że nie wiem... Po prostu wolę uważać.

Blue marzyła o tym, żeby móc cofnąć czas do chwili, gdy wysiedli z samochodu. Rozmawiałyby wtedy z Ganseyem o pogodzie albo o tym, jakie przedmioty wybrał w szkole. Miała wrażenie, że jej twarz już nigdy nie przestanie płonąć.

– Cóż, jeżeli zabijesz Adama, będę na ciebie zły.

Głos Ganseya brzmiał trochę szorstko.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby go nie zabić.

Na chwilę zapadła głucha, niezręczna cisza.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś – odezwał się w końcu Gansey, już bardziej zwyczajnym głosem. – Że zaufałaś mi w takiej sprawie.

– Cóż, ty mi powiedziałeś o Ronanie, Adamie i ich skonfundowaniu. Tylko że ciekawa jestem... Dlaczego właściwie go szukacie? Tego Glendowera?

Uśmiechnął się smutno i przez chwilę Blue się bała, że znowu zamieni się w nonszalanckiego, pretensjonalnego Ganseya, ale on powiedział tylko:

– Trudno to ująć w kilku słowach.

– Chodzisz do szkoły, której absolwenci trafiają na najlepsze uniwersytety. Spróbuj.

– No dobrze. Od czego by tu zacząć? Może... Widziałaś moją autostrzykawkę. To na wypadek, gdyby użądliła mnie pszczoła. Jestem silnie uczulony.

Blue zatrzymała się w pół kroku. Była przerażona. Szerszenie budowały gniazda w ziemi, a to miejsce idealnie się do tego nadawało – spokojne tereny w pobliżu drzew.

– Gansey! Jesteśmy za miastem. Tu żyją pszczoły! – wykrzyczała zdenerwowana.

Machnął lekceważąco ręką, jakby chciał szybko zmienić temat.

– Po prostu machaj swoim kijem i wszystko będzie w porządku.

– Moim kijem! Cały tydzień chodzimy po lasach! To przecież okropnie...

– Niefrasobliwe? – podsunął Gansey. – Prawda jest taka, że nie ma większego sensu nosić przy sobie tej autostrzykawki. Ostatnią rzeczą, jakiej się dowiedziałem, było to, że adrenalina może mi pomóc, jeżeli zostanę użądłony nie więcej niż raz, a i to nie na sto procent. Miałem cztery lata, kiedy pierwszy raz musiałem jechać do szpitala z powodu wstrząsu anafilaktycznego. Nic na to nie poradzę. Mogę się pogodzić z ryzykiem albo żyć pod kloszem.

Blue przypomniała sobie kartę śmierci i to, że jej matka nie zinterpretowała jej właściwie dla Ganseya. Możliwe, że karta wcale nie przedstawiała tragedii, która go czeka, tylko jego życie. To, że każdego dnia ociera się o śmierć.

Blue uderzyła mocno patykiem ziemię przed nimi.

– No dobrze, i co dalej?

Gansey przygryzł na chwilę wargę.

– No więc, jakieś siedem lat temu byłem z rodzicami na obiedzie. Nie pamiętam, co to była za okazja. Coś ważnego. Zdaje się, że któryś z przyjaciół ojca otrzymał nominację partyjną.

– Do... *kongresu*?

Grzmot wprawił w drżenie ziemię pod ich stopami i powietrze dokoła.

– Tak. Nie pamiętam. Wiesz, jak to jest, kiedy czasami nie pamięta się czegoś dokładnie? Ronan mówi, że wspomnienia są jak sny. Człowiek nie może sobie przypomnieć, jak dotarł do tablicy bez ubrania. Tak czy owak, przyjęcie było nudne – miałem dziewięć czy dziesięć lat. Wszędzie czarne sukienki, czerwone krawaty i jedzenie, jakie tylko sobie wymarzysz, pod warunkiem że uwielbiasz krewetki. Dzieci zaczęły się bawić w chowanego. Pamiętam, jak pomyślałem, że jestem za duży na zabawę w chowanego, ale nic innego nie było do roboty.

Weszli do wąskiego zagajnika. Nie był gęsty, między drzewami rosła trawa, żadnych jeżyn. Gansey, który snuł teraz swoją opowieść, był zupełnie inną osobą niż ten, z którym Blue miała do tej pory do czynienia. Nie mogła go nie słuchać.

– Było gorąco jak w Hadesie. Wiosna chyba nagle postanowiła zamienić się w lato. Wiosna w Wirginii. Wiesz, o czym mówię. Bywa ciężko. W ogrodzie ani kawałka cienia, ale dalej był las. Ciemny, zielononiebieski. Skojarzył mi się z nurkowaniem w jeziorze. Wszedłem do niego i zrobiło się cudownie chłodno. Po pięciu minutach straciłem z oczu zarys domu.

Blue przestała dźgać ziemię.

– Zgubiłeś się?

Gansey pokręcił lekko głową.

– Nadepnąłem na gniazdo. – Zmrużył oczy jak ktoś, kto usiłuje zachowywać się swobodnie, ale widać było, że ta historia nie jest dla niego obojętna. – Szerszeni właśnie. Budują gniazda w ziemi, wiadomo. Ale ja wtedy tego nie wiedziałem. Najpierw poczułem lekkie ukłucie przez skarpetkę. Myślałem, że zahaczyłem o jakiś cień – rosło tam mnóstwo takich zielonych chaszcz – ale potem poczułem następne

ukłucie. To prawie nie bolało, wiesz?

Blue poczuła, że robi jej się niedobrze.

– A potem coś ukłuło mnie w rękę – ciągnął. – Odskokczyłem i zobaczyłem, że obsiadły mi całe ręce, od dłoni aż po rękawy koszulki.

Słuchając opowiadania Ganseya, Blue czuła się, jakby uczestniczyła w jego przeżyciu. Miała wrażenie, że jej serce jest sparaliżowane jadem.

– I co zrobiłeś?

– Wiedziałem, że nie żyję. Zrozumiałem to, zanim poczułem, że coś się dzieje z moim ciałem. Leżałem już w szpitalu z powodu jednego użądlenia, a teraz było ich mnóstwo. Miałem szerszenie we włosach, w uszach.

– Bałeś się? – zapytała.

Nie musiał odpowiadać. Widziała pustkę w jego oczach.

– Co się stało?

– Umarłem – powiedział. – Czułem, jak moje serce się zatrzymuje. Szerszeniom to nie przeszkadzało. Nadal mnie żądliły, chociaż już nie żyłem.

Gansey umilkł.

– Teraz jest trudna część – wyznał wreszcie.

– Takie lubię najbardziej – odparła Blue. Otaczające ich drzewa nie ruszały się. Słysząc było wyłącznie pomruk piorunów. Po chwili Blue dodała, trochę zawstydzona: – Przepraszam. Nie chciałam... Całe moje życie jest jedną wielką „trudną częścią”. Nikt nie wierzy w to, w co wierzy moja rodzina. Nie będę się śmiała.

Gansey powoli wypuścił powietrze.

– Usłyszałem głos. To był szept. Nigdy tego nie zapomnę. Powiedział: „Będziesz żył dzięki Glendowerowi. Ktoś inny na linii mocy umiera, choć nie powinien, a ty będziesz żył, choć nie powinienes”.

Blue milczała. Powietrze było ciężkie.

– Powiedziałem Helen. Uznała, że musiałem mieć halucynacje. – Gansey odgarnął winorośl z twarzy. Zarośla robiły się coraz gęstsze, drzewa rosły tutaj bliżej siebie. Pewnie powinni wracać. Głos Ganseya brzmiał teraz inaczej. Oficjalnie i pewnie. – To nie były halucynacje.

Stał tu teraz ten sam Gansey, który napisał dziennik. Prawdziwość tej historii, jej magia porwały Blue.

– I dlatego jesteś gotów całe życie szukać Glendowera?

– Kiedy Artur dowiedział się, że święty Graal istnieje, czy mógł go nie szukać? – odparł Gansey.

Pod ich stopami znowu przetoczył się grzmot, jak pomruk niewidzialnej, głodnej bestii.

– To nie jest odpowiedź – zauważyła Blue.

Gansey nie patrzył na nią.

– *Muszę*, Blue – odpowiedział jakimś przerażającym głosem.

Wszystkie światła miernika zgasły.

Blue poczuła ulgę, że wraca na bezpieczny grunt, a jednocześnie rozczarowanie tym, że nie pozna bliżej tego innego Ganseya. Dotknęła urządzenia.

– Zeszliśmy z linii mocy?

Cofnęli się o kilka metrów, ale przyrząd nie włączył się z powrotem.

– Może bateria się wyczerpała? – zasugerowała.

– Nie wiem, jak to się sprawdza – Gansey wyłączył urządzenie i znów je włączył.

Blue sięgnęła po miernik. W chwili gdy zabrała go z ręki Ganseya, światelka rozbłysły na czerwono. Świeciły nieprzerwanie, bez migotania. Blue przesuwiała przyrząd to w jedną, to w drugą stronę. Pomarańczowe z lewej. Czerwone z prawej.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Weź to – poleciła Blue.

Ale kiedy tylko Gansey dotknął miernika, światelka zgasły. Pod wpływem kolejnego grzmotu, uwodzicielskiego i przeciągłego, dziewczyna poczuła się tak, jakby coś wewnątrz niej zaczęło drzeć i nie przestawało nawet po tym, gdy odgłosy burzy umilkły.

– Wiem, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie – powiedział Gansey. – Ale przez cały tydzień go nie znalazłem.

Blue pomyślała, że z całą pewnością jest jakieś logiczne wytłumaczenie i jej zdaniem brzmiało następująco: w jej obecności wszystko lepiej słyszeć. Tylko że nie miała pojęcia, co takiego nagłaśnia w tej chwili.

Przez las znowu przetoczył się pomruk burzy. Teraz nie było już śladu słońca. Otaczało ich ciężkie powietrze.

– Dokąd nas to prowadzi? – zastanawiał się Gansey.

Idąc za czerwonym światelkiem, Blue z wahaniem skierowała się między drzewa. Pokonali kilka metrów i urządzenie znowu zgasło. Żadne przekładanie z ręki do ręki i kręcenie nim nie zdołało go uruchomić.

Stali z głowami pochylonymi nad miernikiem, wpatrując się w milczeniu w ciemny wyświetlacz.

– Co teraz? – zapytała Blue.

Gansey spojrzał na ziemię pod stopami, dokładnie pod urządzeniem.

– Cofnij się. Tu jest...

– O Boże – jęknęła Blue, gwałtownie odskakując od Ganseya. – O Bo...

Ale nie dokończyła, bo właśnie zdjęła stopę z czegoś, co było koszmarnie podobne do ludzkiej kości ramiennej. Gansey przykucnął i zaczął odgarniać liście. Pod pierwszą kością znajdowała się druga. Szkielet nadgarstka otaczał brudny zegarek. Wszystko to wydawało się jakąś makabryczną imitacją.

„To nie może być prawda”.

– Czekaj – wyszeptała Blue. – Nie dotykaj tego. Odciski palców.

Ale zwłoki leżały w lesie już o wiele za długo, żeby zachowały się na nich odciski palców. Kości były czyste jak muzealne eksponaty, ciało dawno zgniło, z ubrania zostały strzępy. Gansey ostrożnie zdjął liście i odsłonił cały szkielet. Leżał spleciony, z jedną nogą wykrzywioną, ramionami rozrzuconymi po bokach czaszki, jak postać w zatrzymanym kadrze jakiegoś horroru. Czas, działając według niezrozumiałego klucza, oszczędził niektóre fragmenty, a zniszczył inne: zegarek ocalał, koszuli nie było, ale został krawat, pomarszczony na wzgórzach i dolinach zapadniętych żeber. Skórzane buty były brudne, ale zachowały się w dobrym stanie, podobnie jak skarpety wewnątrz nich – dwa woreczki pełne kości stóp.

Jedna z kości policzkowych została zmiażdżona. Blue zastanawiała się, czy to

było przyczyną śmierci.

– Gansey – powiedziała bezbarwnym głosem. – To był licealista. Uczeń Aglionby.

Wskazała na klatkę piersiową. Między dwoma gołymi żebrami tkwiła wygięta naszywka Aglionby, której syntetyczne włókna okazały się odporne na proces rozkładu.

Spojrzeli na siebie nad szkieletem. Ich twarze oświeciła błyskawica. Blue myślała tylko o czaszce pod skórą Ganseya, o jego kościach policzkowych, wyraźnych i kanciastych jak na karcie śmierci.

– Powinniśmy to gdzieś zgłosić – powiedziała.

– Zaczekaj – odparł.

Błyskawicznie odszukał portfel tuż pod kością biodrową szkieletu. Był zrobiony z wytrzymałej skóry, trochę poplamionej i wyblakłej, ale poza tym nienaruszonej. Gansey otworzył go i przyjrzał się wystającym z jednej strony różnokolorowym krawędziom kart kredytowych. Dostrzegł brzeg prawa jazdy i wysunął je kciukiem z kieszonki.

Blue usłyszała, jak Gansey wciąga powietrze.

Na zdjęciu widniała twarz Noaha.

O dwudziestej Gansey zadzwonił do fabryki przyczep kempingowych, w której pracował Adam.

– Przyjeżdżam po ciebie – powiedział i rozłączył się.

Nie dodał, że to ważne, ale nigdy dotąd nie poprosił Adama, żeby wyszedł wcześniej z pracy, więc musiało chodzić o coś ważnego.

Na parkingu stał camaro. Silnik pracował na jałowym biegu, a jego nierównomierne drzenie niosło się echem w ciemności. Adam wsiadł.

– Wszystko ci wytłumaczę, kiedy będziemy na miejscu – powiedział Gansey.

Wrzucił bieg i wcisnął gaz z taką siłą, że tylne opony zapiszczały na asfalcie. Z miny Ganseya Adam wywnioskował, że coś złego przydarzyło się Ronanowi. Spodziewał się najgorszego. Ale nie jechali do szpitala. Camaro wpadł na parking przed Monmouth Manufacturing. Wspięli się na drugie piętro po ciemnych, skrzypiących schodach. Gansey pchnął drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę.

– Noah! – zawołał.

Odległe części piętra były pograżone w ciemności, sprawiając wrażenie, że pomieszczenie ciągnie się w nieskończoność. Miniaturowe zabudowania Henrietty kontrastowały z tłem nieba za oknami. Budzik Ganseya dzwonił nieprzerwanie, jakby ostrzegał przed nadejściem godziny, która minęła już dawno temu.

Palce Adama bezskutecznie szukały włącznika światła.

– Musimy porozmawiać! – zawołał Gansey ponownie. – Noah!

W odpowiedzi otworzyły się drzwi do pokoju Ronana, na podłogę padł kwadratowy snop światła. Ronan pojawił się w progu, oświetlony od tyłu. Jedną ręką przyciskał do piersi kruczą znajdę. Wyciągnął z uszu drogą słuchawkę i przewiesił je sobie przez szyję.

– Człowieku, długo cię nie było. Parrish? Myślałem, że dzisiaj pracujesz.

Więc Ronan wiedział tyle samo co on. Adam poczuł z tego powodu coś w rodzaju ulgi, którą szybko stłumił.

– Pracowałem.

Adam wreszcie znalazł włącznik światła. Pokój zamienił się w krainę zmierzchu, zaludnioną przez cienie o ostrych krawędziach.

– Gdzie jest Noah? – zapytał Gansey.

Uciszył budzik, wyszarpując wtyczkę z kontaktu.

Ronan przyjrzał się Ganseyowi i uniósł brew.

– Wyszedł.

– Nie – powiedział Gansey stanowczo. – Nie wyszedł. Noah! – krzyknął.

Wrócił na środek pokoju i powoli obejrzał wszystkie kąty, krokwie, zagładał w miejsca, w których nikt normalny nie szukałby współlokatora. Adam z wahaniem stał przy drzwiach. Nie mógł zrozumieć, skąd to zamieszanie wokół Noaha – Noaha, którego można było nie zauważać godzinami, którego pokój był nieskazitelnie czysty, który nigdy nie podnosił głosu.

Gansey przerwał poszukiwania.

– Adam – rzucił. – Pamiętasz nazwisko Noaha?

Zanim Gansey go o to zapytał, Adam był przekonany, że pamięta. Ale teraz, gdy miał już odpowiedź na końcu języka, ona umknęła mu gdzieś, a potem na dobre wyleciała z głowy, więc stanął z otwartymi ustami. Poczuł się tak, jakby zgubił drogę do szkolnej klasy, do własnego domu albo zapomniał numeru telefonu do Monmouth Manufacturing.

– Nie pamiętam – przyznał.

Gansey wycelował palec w pierś Adama, jakby strzelał z pistoletu albo chciał coś podsumować.

– Czerny. Zerny. Czer-ni. Czy jak to się tam wymawia. Noah Czerny. – Zadarł głowę i krzyknął: – Wiem, że tu jesteś, Noah!

– Facet, odbiło ci – zauważył Ronan.

– Otwórz drzwi do jego pokoju – zarządził Gansey. – I powiedz mi, co widzisz.

Z pełnym wdziękiu wzruszeniem ramion Ronan wyszedł ze swojej sypialni i nacisnął klamkę w drzwiach pokoju Noaha. Przez szparę widać było róg zawsze pościelonego łóżka.

– Celę w żeńskim klasztorze, jak zwykle – odrzekł Ronan. – Klimaty jak w psychiatryku. A co chciałbyś tu znaleźć? Narkotyki? Dziewczyny? Broń?

– Skup się – poprosił Gansey – na jakie przedmioty chodzisz z Noahem.

Ronan prychnął.

– Na żaden.

– To zupełnie jak ja – odparł Gansey. Popatrzył na Adama, który nieznacznie pokręcił głową. – I Adam. Jak to możliwe? – Nie czekał na odpowiedź. – A co on je? Widzieliście *kiedyś*, żeby Noah jadł?

– Niespecjalnie mnie to obchodzi – oznajmił Ronan.

Pogłaskał jednym palcem główkę Piły, a ona w odpowiedzi uniosła w górę dziób. To była zagadkowa chwila tego zagadkowego wieczoru i gdyby miała miejsce dzień wcześniej, Adama uderzyłaby niespotykana, bezmyślna uprzejmość Ronana.

Gansey nie przestawał zasypywać ich pytaniami.

– Czy on płaci czynsz? Wiecie, kiedy się wprowadził? Pytaliście go kiedyś o to?

Ronan pokręcił głową.

– Stary, naprawdę cię poniosło. Jaki masz problem? – zapytał.

– Spędziłem upojne popołudnie na policji. Pojechaliśmy z Blue do tego kościoła...

Adam poczuł nagle, głębokie i nieoczekiwane ukłucie zazdrości, które pozostawiło po sobie piekącą ranę. Brak pewności, co właściwie było jego przyczyną, nie czynił tego doświadczenia ani trochę mniej bolesnym.

– Nie patrzcie tak na mnie – zaprotestował Gansey. – Znaleźliśmy ciało. Szkielet. Wiecie czyj?

Ronan wytrzymał spojrzenie Ganseya.

Adam poczuł się tak, jakby odpowiedź na to pytanie mu się przyśniła.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych. Odwrócili się jednocześnie, ale nikt go nie zobaczyli. Tylko łopotanie rogów mapy zawieszanej na ścianie świadczyło o tym, że ktoś przed chwilą otworzył drzwi.

Stali wpatrzeni w delikatny ruch papieru. Trzaśnięcie niesło się echem po pokoju.

Nie było przeciągu. Adam poczuł dreszcz.

– Mój – odezwał się Noah.

Odwrócili się niemal równocześnie.

Jego skóra była jasna jak pergamin, oczy podkrążone i niewyraźne, jak zawsze po zmroku. Do tego ta rozmazana plama na twarzy, która teraz wyglądała jak brud, krew, a może dziura w miejscu, gdzie jego kości zostały zmiażdżone pod skórą.

Ronan wydawał się spięty.

– Twój pokój był pusty. Przed chwilą tam zaglądałem.

– *Mówiłem* wam – przypomniał Noah. – *Mówiłem* wszystkim.

Adam musiał na chwilę przymknąć oczy.

Gansey przeciwnie, wreszcie wyglądał tak, jakby odzyskał panowanie nad sytuacją. Oczekiwał od życia faktów, rzeczy, które mógł zanotować w swoim dzienniku, zapisać dwukrotnie i podkreślić, nieważne jak nieprawdopodobne by się wydawały. Adam zdał sobie sprawę, że przez cały czas, kiedy tu jechali, Gansey właściwie nie wiedział, czego się spodziewać. Skąd miał wiedzieć? Bo jak ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógłby uwierzyć...

– On nie żyje – oznajmił Gansey, stojąc z założonymi rękami. – Ty naprawdę nie żyjesz, prawda?

– *Mówiłem* wam – powtórzył Noah płaczliwym głosem, w którym słychać było wyrzut.

Wpatrując się w Noaha, stojącego niecałe dwa metry od Ronana, Adam pomyślał, że on rzeczywiście jest nierealny. Teraz wydawało się to oczywiste. Wręcz niedorzeczne, że się nie zorientowali. Absurdalne, że nie pomyśleli o jego nazwisku, o tym skąd pochodził, na które przedmioty uczęszczał, a na które nie. Jego zimne ręce, jego nieskazitelną pokój, jego niezmienna, rozmyta twarz. Był martwy, odkąd go znali.

Przerażająca prawda sprawiła, że Adam zaczął tracić grunt pod nogami.

– Cholera, facet – odezwał się wreszcie Ronan, trochę rozpaczliwie. – Cały czas marudziłeś, że nie daję ci spać. Przecież ty nie potrzebujesz snu!

– Jak umarłeś? – zapytał Adam ledwo słyszalnie.

Noah odwrócił głowę.

– Nie – zaprotestował Gansey z determinacją w głosie. – To nie jest właściwie postawione pytanie, prawda? Powinno brzmieć: kto cię zabił?

Noah zrobił typową dla siebie wycofaną minę, jak zawsze, gdy czuł się niezręcznie. Umykające spojrzenie, opadające powieki, obce oczy.

Adam nagle z przejmującą wyrazistością poczuł, że Noah jest martwy, a on – żywy.

– Powiedz mi – naciskał Gansey. – Znajdę sposób, żeby naprowadzić policję na właściwy trop.

Noah jeszcze bardziej odwrócił głowę, jego twarz dziwnie pociemniała, oczodoły wydawały się puste jak w gołej czaszce.

Czy mieli przed sobą prawdziwego chłopaka? Czy może raczej coś, co jedynie go przypominało?

Adam miał ochotę powiedzieć tylko: „Daj mu spokój, Gansey”.

Nagle Piła zaczęła skrzeczeć w rękach Ronana. Radosne, gwałtowne krakanie przeszło powietrze. Zupełnie jakby na świecie nie było nic innego, tylko jej szalone pokrzykiwania. Wydawało się niemożliwe, aby z tak małego ciała wydobywał się tak potężny dźwięk.

Noah podniósł głowę. Jego oczy były szeroko otwarte, zwyczajne. Wyglądał na przerażonego.

Ronan przykrył dłonią głowę Piły, aż umilkła.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział Noah.

Wcisnął głowę w ramiona aż po same uszy. Teraz wyglądał jak ten Noah, którego znali, zanim komukolwiek przyszło do głowy wątpić, że jest jednym z nich.

Jednym z żywych.

– W porządku – rzucił Gansey. A potem powtórzył: – W porządku. Co masz zamiar zrobić?

– Chciałbym... – zaczął Noah i umilkł.

Jak miał w zwyczaju, wycofał się do swojego pokoju. Adam zastanawiał się, czy Noah tak właśnie zachowywał się za życia. Może, gdy się jest martwym, trudniej podtrzymywać zwyczajną rozmowę?

Ronan i Adam jednocześnie spojrzeli na Ganseya. Czuli, że nie pozostało nic do zrobienia ani do powiedzenia. Nawet Ronan wydawał się przygaszony, ukrył gdzieś swoje kolce. Wyglądało na to, że na razie, dopóki nie zorientują się z grubsza w nowej sytuacji, woli nie prowokować ducha Noaha.

– Noah... – odezwał się Gansey, odwracając wzrok od pozostałych.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był ich przyjaciel, nie zobaczył nikogo.

Ronan stanął w progu jego sypialni i pchnął drzwi, żeby otworzyć je szerzej. Wnętrze pokoju było surowe i nietknięte, łóżko wyraźnie od dawna nieużywane.

Świat wokół Adama buzował możliwościami, z których nie każda wydawała się przyjemna. Czuł się jak lunatyk. Nie wierzył w prawdziwość niczego, czego najpierw nie dotknął.

Ronan zaczął przeklinać, głośno, długo, szpetnie, jednym tchem.

Gansey pocierał nerwowo kciukiem dolną wargę.

– Co tu się dzieje? – zapytał Adama.

– W tym mieszkaniu straszy.

Blue była zaskoczona, jak bardzo przygnębiła ją świadomość, że Noah nie żyje.

Z rozmowy z policją wynikało jasno, że nie żył przez cały czas, kiedy go znali, a ona odczuwała irracjonalny żal z powodu jego śmierci. Przede wszystkim odkrycie ciała Noaha wyraźnie wpłynęło na charakter jego obecności w Monmouth. Właściwie nie zdarzało się już, żeby był całkowicie widoczny – Gansey słyszał jego głos na parkingu, Blue widywała jego cień na chodniku, Ronan znajdował zadrapania na skórze.

Noah od początku był duchem, ale dopiero teraz zachowywał się jak zjawą.

– Może to dlatego, że jego ciało zostało zabrane z linii mocy – zastanawiał się Adam.

Blue nie mogła przestać myśleć o czasce z pogruchotanymi kośćmi twarzy, o tym, jak Noahowi zebrało się na wymioty na widok mustanga. Nie wymiotował na prawdę, tylko zachowywał się tak, jakby to robił. Umarli nie wymiotują.

Chciała, żeby sprawca został złapany i gnił w więzieniu do końca swoich dni.

Zaabsorbowana losem Noaha, prawie zapomniała, że razem z Callą miały przeszukać pokój Neeve. Ciotka musiała zauważyć jej roztargnienie, bo zostawiła na lodówce beczelnie oczywistą wiadomość: „Blue, pamiętaj o kinie dziś wieczorem”. Dziewczyna zobaczyła ją przed wyjściem do szkoły. Zabrała karteczkę z drzwi lodówki i schowała do plecaka.

– Blue – rozległ się nagle za jej plecami głos Neeve.

Dziewczyna podskoczyła tak wysoko, jak tylko może podskoczyć ludzka istota, jednocześnie obracając się w powietrzu.

Ciotka siedziała przy kuchennym stole z kubkiem herbaty i jakąś książką w ręce. Miała na sobie kremową bluzkę, dokładnie tego samego koloru co zasłony za jej plecami.

– Nie zauważyłam cię! – wykrzyknęła Blue.

Karteczka w plecaku paliła ją jak wyrzut sumienia.

Neeve uśmiechnęła się łagodnie i odłożyła książkę grzbietem do góry.

– Prawie cię w tym tygodniu nie widywałam.

– S-spotykałam się... z... przyjaciółmi – powiedziała Blue, jękając się.

Między jednym słowem a drugim powtarzała sobie w myślach, że musi mówić swobodnym tonem.

– Słyszałam o Ganseyu – oznajmiła Neeve. – Mówiłam Maurze, że skoro waszym przeznaczeniem jest się spotkać, próby zapobieżenia temu są niemałe.

– Och. Emm. Dzięki.

– Wyglądasz na przygnębianą. – Neeve poklepała piękną dłońią krzesło obok siebie. – Może mogłabym coś dla ciebie zrobić? Coś wyczytać? Może ci powróżyć?

– Och, dziękuję, ale nie mogę... śpieszę się do szkoły – odparła szybko Blue.

Zastanawiała się, czy Neeve zadaje te pytania z uprzejmości, czy może dlatego, że podejrzewa, co planują z Callą, i spodziewa się, że napotka jej opór. Blue, tak czy owak, nie chciała, żeby ktokolwiek jej wróżył. Pomachała tylko niedbale, idąc z

plecakiem na ramieniu do drzwi.

Nie zdążyła do nich dojść, kiedy ponownie dobiegł ją głos Neeve.

– Szukasz jakiegoś bóstwa – powiedziała ciotka do odwróconej plecami dziewczyny. – Nie przyszło ci do głowy, że możesz się natknąć na diabła?

Blue zatrzymała się w pół kroku. Obejrzała się, ale nie popatrzyła Neeve w oczy.

– Och, ja naprawdę nie wtykam nosa w nie swoje sprawy – zapewniła Neeve. – To, co robisz, tak bardzo rzuca się w oczy, że, chcąc nie chcąc, wszystko doskonale widzę. Nawet jeśli patrzę w zupełnie inną stronę.

Blue odwróciła się przodem do ciotki. Łagodny wyraz twarzy Neeve się nie zmienił. Jej dłonie nadal obejmowały kubek.

– Najłatwiejsze są liczby – ciągnęła Neeve. – One przychodzą pierwsze. Pojawiają się znikąd. Ważne daty. Numery telefonów. Widzę je wyraźnie. Ale zaraz potem jest śmierć. Zawsze wiem, kto się z nią zetknął.

Blue zacisnęła dłonie na ramionach plecaka. Maura i jej przyjaciółki były ekscentryczne, ale miały tego *pełną świadomość*. Kiedy mówiły coś dziwnego, zdawały sobie sprawę, jak to brzmi. Neeve zachowywała się tak, jakby nie miała o tym pojęcia.

– Nie żył od dawna – odparła wreszcie Blue.

Neeve wzruszyła ramionami.

– Będzie więcej ofiar, zanim to się skończy.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Powoli pokręciła głową.

– Ja tylko chcę cię ostrzec – podjęła Neeve. – Miej się na baczności. Tam, gdzie jest bóstwo, zwykle są i rzesze diabłów.

Piątek zwyczajowo był dniem, kiedy nauczyciele przygotowywali się do zajęć i sprawdzali prace domowe uczniów, ale Adam po raz pierwszy w życiu nie cieszył się, że nie ma lekcji. Gansey niechętnie pojechał do rodziców ze spóźnioną wizytą urodzinową, Ronan pił w swoim pokoju i zachowywał się ordynarnie, a Adam pod nieobecność Ganseya uczył się przy jego biurku. W szkole publicznej odbywały się wprawdzie tego dnia normalne lekcje, ale liczył na to, że po południu Blue pojawi się w Monmouth.

Kiedy siedział sam w głównym pokoju, mieszkanie wydawało mu się przytłaczające. Dla towarzystwa byłby nawet gotów wywabić Ronana z jego sypialni, ale powstrzymywała go świadomość, że przyjaciel na swój nieprzyjemny, milczący sposób oplakuje Noaha. Więc ślęczał przy biurku Ganseya nad zadaniem domowym z łaciny, zdając sobie sprawę, że światło wpadające przez okna nie oświetla desek podłogi tak jasno jak zwykle. Jakieś wędrowne cienie przylegały do szyb. W doniczce na biurku Ganseya intensywnie pachniała mięta; Adam czuł wyraźnie także zapach Noaha – kombinację jego dezodorantu, mydła i potu.

– Noah – odezwał się Adam do pustego mieszkania. – Jesteś tutaj? Czy pojechałeś straszyć Ganseya?

Nie było odpowiedzi.

Spuścił wzrok na swoją kartkę.

Łacińskie czasowniki wydawały mu się bez sensu, jak słowa w jakimś zmyślnym języku.

– Można to jakoś naprawić, Noah? Odkręcić to, co się stało, żebyś znowu był taki jak przedtem?

Tuż obok niespodziewanie rozległ się łoskot, Adam podskoczył na krześle. Dopiero po chwili zauważył, że mięta Ganseya wylądowała na podłodze. Obok kupki ziemi leżał odłamany trójkąt glinianej doniczki.

– To nie pomoże – powiedział Adam spokojnie, choć był wstrząśnięty.

Problem w tym, że nie wiedział, co mogłoby pomóc. Jakiś czas po odkryciu szkieletu Noaha Gansey dzwonił jeszcze na policję, żeby wypytać o postępy w sprawie, ale śledczy niewiele zdolali ustalić. Wiedzieli tylko, że Noah zaginął siedem lat wcześniej. Adam jak zawsze był zwolennikiem powściągliwości w dzieleniu się informacjami i Gansey tym razem go posłuchał. Nie wspomnieli o odkrytym w lesie mustangu. Samochód zaprowadziłby policjantów do Cableswater, a to wydawało się zbyt dużą komplikacją, wręcz naruszeniem prywatności.

Adam usłyszał pukanie do drzwi. Z początku nie zareagował, sądząc, że to Noah. Po chwili jednak stukot rozległ się ponownie i tym razem towarzyszył mu donośny głos Declana:

– Gansey!

Westchnął, wstał, odstawił miętę na miejsce i poszedł otworzyć drzwi. Widok Declana ubranego inaczej niż w szkolny sweter albo garnitur, który nosił na praktykach, zaskoczył Adama. W dzinsach wydawał się zupełnie inną osobą, nawet jeśli

spodnie były nieskazitelnie ciemne i drogie. Wyglądał na młodszego niż zwykle.

– Cześć, Declan.

– Gdzie jest Gansey?

– Tu go nie ma.

– Daj spokój.

Adam nie lubił, gdy zarzucano mu kłamstwo. Znał lepsze metody, żeby osiągnąć cel, na którym mu zależało.

– Pojechał do domu. Jego mama ma urodziny.

– Gdzie jest mój brat?

– Tu go nie ma.

– Teraz kłamiesz.

Adam wzruszył ramionami.

– Owszem.

Declan chciał wejść do środka, ale Adam oparł się o futrynę, zastawiając drzwi.

– To nie jest najlepsza pora. Gansey twierdzi, że nie powinniście ze sobą rozmawiać, kiedy nie ma go w pobliżu. A ja się z nim zgadzam.

Declan nie cofnął się. Jego pierś napierała na rękę Adama. Parrish wiedział, że nie może teraz dopuścić do spotkania braci Lynch. Ronan był pijany, a Declan wściekły. Bez Ganseya mogło się to skończyć wyłącznie bójką. Tylko to się liczyło.

– Chyba nie będziesz się ze mną bił, co? – zapytał Adam, siłąc się na spokój. – Myślałem, że to są metody Ronana, nie twoje.

Zadziało lepiej, niż się spodziewał. Declan natychmiast się wycofał. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobył z niej złożoną kopertę. Adam zauważył herb Aglionby przy adresie nadawcy.

– Wywalają go – powiedział Declan i podał kopertę Adamowi. – Gansey miał dopilnować, żeby poprawił stopnie. *Obiecał* mi to. Zaufałem mu, a on mnie zawiódł. Kiedy wróci, powiedz mu, że przez niego mój brat wyleciał ze szkoły.

Adam uznał, że tego już za wiele.

– O, nie! – zawołał. Miał nadzieję, że Ronan go słyszy. – Ronan dokonał tego zupełnie samodzielnie. Nie wiem, kiedy ty i Gansey zrozumiecie, że to, czy twój brat skończy Aglionby, zależy wyłącznie od niego. Najwyższa pora, żeby zaczął o sobie decydować. A na razie obaj marnujecie czas.

Adam wiedział, że nie przekona kogoś takiego jak Declan. Niezależnie od tego, jak słuszne by przytoczył argumenty. Miał przecież akcent z Henrietty.

Rozprostował kopertę. Gansey się wścieknie, jak się dowie. Przez krótką, króciutką chwilę zastanawiał się, czy nie zachować tej wiadomości dla siebie do czasu, kiedy już będzie za późno, ale doszedł do wniosku, że się na to nie zdobędzie.

– Przekażę mu to.

– Ma się wyprowadzić – powiedział Declan. – Przypomnij o tym Ganseyowi. Nie chodzi do Aglionby, nie mieszka w Monmouth.

„To tak, jakbyś go zabił” – pomyślał Adam, bo nie mógł sobie wyobrazić Ronana przebywającego pod jednym dachem z bratem. Nie wyobrażał sobie też Ronana, który mieszka z dala od Ganseya. Kropka. Ale powtórzył tylko:

– Powiem mu.

Declan zszedł po schodach i po chwili Adam usłyszał, jak jego samochód rusza z parkingu.

Otworzył kopertę i powoli przeczytał list. Westchnął, wrócił do biurka i podniósł słuchawkę telefonu stojącego obok pękniętej doniczki z miętą. Szybko wybrał numer z pamięci.

– Gansey?

Oddalony o siedem godzin drogi od Henrietty Gansey właśnie tracił zainteresowanie przyjęciem urodzinowym matki. Telefon Adama odebrał mu resztkę pogody ducha. Wkrótce potem jego siostra i matka zaangażowały się w uprzejmą, podszytą rozgoryczeniem rozmowę. Obie udawały, że wcale nie chodzi o nieszkłane szkło Helen. W środku pełnej napięcia niekłótni Gansey włożył ręce do kieszeni i wyszedł do garażu ojca.

Zwykle w domu – rozłożystej rezydencji z żółtego wapienia na obrzeżach Waszyngtonu – doświadczał swego uczucia nostalgicznego komfortu, ale dziś nie mógł w nim wytrzymać. Bez przerwy myślał o szkielecie Noaha, okropnych stopniach Ronana i drzewach mówiących po łacinie.

I o Glendowerze. Glendowerze spoczywającym w półmroku grobowca wypełnionego delikatnym blaskiem królewskiej zbroi. Kiedy Gansey ujrzał go po wejściu do tajemniczego drzewa, Król Kruków wydawał się zdumiewająco prawdziwy. Gansey dotknął zakurzonego napierśnika, przesunął palcami po grocie włóczni, zdmuchnął kurz z kielicha spoczywającego w osłoniętej rękawicą prawej dłoni śpiącego. Pochylił się i wyciągnął ręce, żeby podnieść przyłbicę. To była chwila, na którą czekał – odnalezienie i obudzenie Glendowera.

I wtedy właśnie wizja się urwała.

Gansey zawsze czuł się trochę tak, jakby miał dwie różne osobowości. Oprócz chłopaka, który wszystko ma pod kontrolą, potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji, z każdym umie rozmawiać, był jeszcze drugi Gansey – delikatny, roztrzęsiony i niepewny, żenująco szczery, wiedziony naiwną tęsknotą. Ten drugi, jak nigdy dotąd, liczył teraz na to, że uda mu się dojść do głosu, i temu pierwszemu to się nie podobało.

Wystukał kod – datę urodzin Helen – na panelu przy drzwiach garażu, który był równie duży jak dom. Solidny budynek z kamienia i drewna o zdobionym łukami sklepieniu przypominał stajnię, w której pod maskami samochodów drzemało kilka tysięcy koni.

Dick Gansey II, podobnie jak jego syn, uwielbiał stare samochody, ale w przeciwieństwie do Dicka Ganseya III zatrudniał zespoły najlepszych ekspertów od renowacji, którzy pracowali nad przywróceniem jego pojazdom klasycznej elegancji. Byli to ludzie obeznani z takimi terminami jak „podnośnik obrotowy” czy „aukcja samochodowa Barrett-Jackson”. Większość aut została sprowadzona z Europy, niektóre miały kierownicę po prawej stronie albo instrukcję obsługi pojazdu w obcym języku. A co najważniejsze, wszystkie samochody Ganseya seniora były z czegoś znane. Niektóre należały do celebrytów, inne wykorzystywano przy kręceniu filmów, jeszcze inne brały udział w kolizji z pojazdem prowadzonym przez jakąś sławną postać historyczną.

Gansey usadowił się w peugeocie koloru lodów waniliowych, który podobno należał kiedyś do Charlesa Lindbergha albo Adolfa Hitlera, albo Marilyn Monroe.

Rozparty na siedzeniu, ze stopami na pedałach, przeglądał wizytówki w portfelu. Wreszcie wybrał numer szkolnego psychologa, pana Pintera, i szybko przywołał tę chwilowo wycofaną, kontrolującą wszystko wersję siebie.

– Pan Pinter? Proszę wybaczyć, że niepokoję pana po pracy – zaczął Gansey. Z rękami opartymi o kierownicę przeglądał plik wizytówek i kart kredytowych. Wnętrze samochodu przypominało mu mikser kuchenny matki. Skrzynia biegów wydawała się narzędziem równie odpowiednim do wrzucenia dwójki, jak do przygotowania bezy. – Mówi Richard Gansey.

– Pan Gansey – powtórzył Pinter.

Wypowiedzenie tych kilku sylab zajęło mu więcej czasu, niż powinno.

Chłopak wyobraził sobie, jak Pinter usiłuje dopasować do nazwiska jakąś twarz. Psycholog z Aglionby był schludnym, zmotywowanym człowiekiem, którego Gansey nazywał tradycjonalistą, a Ronan kaznodzieją.

– Dzwonię w imieniu Ronana Lyncha.

– Ach. – Pinter od razu połączył twarz z nazwiskiem. – Cóż, obawiam się, że nie wolno mi rozmawiać na temat szczegółów wydalenia pana Lyncha...

– Z całym szacunkiem, panie Pinter – przerwał mu Gansey, w pełni świadomy, że nie okazuje mu żadnego szacunku. – Nie jestem pewny, czy zapoznano pana ze wszystkimi szczegółami sytuacji.

Drapiąc się po głowie kartą kredytową, Gansey opisał delikatny stan emocjonalny Ronana, skłonności do lunatyzmu, zbawienny wpływ Monmouth Manufacturing na jego nastrój oraz poprawę, którą u niego zaobserwował, odkąd Ronan tam zamieszkał. Zakończył swoją opowieść, wyrażając przekonanie, że jego przyjaciel świetnie sobie poradzi, kiedy tylko uda mu się wyleczyć krwawiącą ranę w sercu – pustkę po Niallu Lynchu.

– Mam wątpliwości, czy przysze sukcesy pana Lyncha należą do tej samej sfery, w której zazwyczaj realizują się wychowankowie Aglionby – powiedział psycholog.

– Panie Pinter – zaprotestował Gansey, chociaż w tej akurat kwestii w głębi ducha się z nim zgadzał. Pokręcił gałką korbki do opuszczania szyb. – Uczniowie Aglionby tworzą niezwykle zróżnicowane i nietuzinkowe grono. To jeden z powodów, dla których moi rodzice wybrali dla mnie tę szkołę.

W rzeczywistości ich decyzja była wynikiem wielu godzin spędzonych przez Ganseya na przeszukiwaniu internetu i urabianiu ojca przez telefon, ale Pinter nie musiał tego wiedzieć.

– Panie Gansey – odparł nauczyciel – doceniam pana troskę o przyjaciele...

– Brata – przerwał mu Gansey. – Ronan Lynch jest dla mnie jak brat. A dla moich rodziców jak syn. W każdym znaczeniu tego słowa. Emocjonalnym, praktycznym oraz *finansowym*.

Pinter się nie odezwał.

– Podczas ostatnich odwiedzin w Aglionby mój ojciec zauważył, że szkolna biblioteka posiada bardzo ubogie zbiory z dziedziny historii żeglarstwa – powiedział Gansey. Wetknął do otworu wentylacyjnego kartę kredytową, żeby się przekonać, jak głęboko uda się ją włożyć, zanim napotka opór. W ostatniej chwili uratował ją przed zniknięciem we wnętrzościach samochodu. – Jego zdaniem to wynik niedofinanso-

wania w kwocie, och, jakichś trzydziestu tysięcy dolarów.

– Nie wydaje mi się, żeby pan rozumiał, dlaczego dni pana Lyncha w Aglionby są policzone – powiedział Pinter trochę niższym głosem. – Pan Lynch wręcz afiszuje się z łamaniem szkolnego regulaminu i okazuje nauczycielom wyłącznie pogardę. Stosowaliśmy wobec niego taryfę ulgową z uwagi na szczególnie trudną sytuację rodzinną, ale pan Lynch najwyraźniej zapomina, że uczęszczanie do Aglionby Academy to przywilej, a nie obowiązek.

Zostanie usunięty ze szkoły od poniedziałku.

Gansey pochylił się i oparł głowę na kierownicy. „Ronan, Ronan, dlaczego...”.

– Wiem, że to schrzanił. Wiem, że już dawno powinien wylecieć. Ale proszę dać mu czas do końca roku szkolnego. Pomogę mu się przygotować do egzaminów końcowych.

– On nie chodził na *żadne zajęcia*, panie Gansey.

– Pomogę mu się przygotować do egzaminów.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Gansey słyszał grający w tle telewizor.

Wreszcie Pinter powiedział:

– Ma mieć na egzaminach czwórki ze wszystkich przedmiotów. I zachowywać się poprawnie, w przeciwnym razie zostanie skreślony z listy uczniów ze skutkiem natychmiastowym. Wykorzystał już wszystkie szanse.

Gansey wyprostował się na siedzeniu i wypuścił powietrze.

– Dziękuję panu.

– I proszę pamiętać o zainteresowaniu ojca naszą sekcją historii żeglarstwa. Będę ją miał na oku.

A Ronan sądził, że Pinter nie może go niczego nauczyć. Gansey skrzywił się ponuro do deski rozdzielczej, bo zupełnie nie było mu do śmiechu.

– Żeglarstwo zawsze było ważne dla naszej rodziny. Dziękuję, że odebrał pan telefon po pracy.

– Miłego weekendu, panie Gansey – odparł Pinter.

Gansey wcisnął „zakończ” i rzucił telefon na deskę rozdzielczą. Zamknął oczy i zaklął pod nosem. Już raz pomógł Ronanowi prześlizgnąć się przez egzaminy semestralne. Z pewnością uda mu się to zrobić jeszcze raz. Musi mu pomóc jeszcze raz – nie ma wyjścia.

Peugeot zakołysał się pod ciężarem pasażera, który rozsiadł się na siedzeniu obok. Przez jedną szaloną chwilę Gansey pomyślał: „Noah?”.

Ale potem usłyszał głos ojca:

– Dajesz się uwieść tej francuskiej piękności? Przy niej twoja wieśniacka fura wygląda trochę ordynarnie, co?

Gansey otworzył oczy. Ojciec przejechał palcami po desce rozdzielczej, aby sprawdzić, czy nie jest zakurzona. Następnie przyjrzał się synowi spod zmrużonych powiek, jakby wystarczało mu to do pełnej oceny stanu jego zdrowia i umysłu.

– Niebrzydka – przyznał Gansey. – Ale raczej nie w moim typie.

– Aż dziwne, że ta twoja kupa złomu tu dojechała – powiedział ojciec. – Dlaczego nie weźmiesz chevroleta suburban?

– Camaro jest w porządku.

– Śmierdzi benzyną.

Teraz Gansey wyobraził sobie, jak ojciec z rękami założonymi z tyłu drepcze wokół zaparkowanego przed garażem camaro w poszukiwaniu wycieku oleju i zarysowań lakieru.

– Jest w porządku, tato. Sprawuje się *bez zarzutu*.

– Wątpię – powiedział ojciec uprzejmym tonem.

Richard Gansey II rzadko zachowywał się inaczej. „Czarujący człowiek, ten twój ojciec” – mówili ludzie Ganseyowi. „Zawsze uśmiechnięty. Nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi. I co za osobowość”. Ostatnie zdanie odnosiło się do jego zamiłowania do dziwnych starych przedmiotów, zagłębienia do dziur w murach i notowania w specjalnym dzienniku wszystkiego, co działo się czternastego kwietnia każdego roku od zarania dziejów.

– Masz pojęcie, dlaczego twoja siostra kupiła ten szkaradny brązowy talerz za trzy tysiące dolarów? – spytał ojciec. – Chciała dokuczyć matce? A może stroi sobie z niej żarty?

– Myślała, że jej się spodoba.

– To nie jest *szkło*.

Gansey wzruszył ramionami.

– Próbowałem ją ostrzec.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Chcesz go wypróbować? – zapytał ojciec.

Ganseyowi specjalnie na tym nie zależało, ale znalazł kluczyk w stacyjce i przekręcił go. Silnik zaskoczył natychmiast, budząc się posłusznie do życia, zupełnie inaczej niż w camaro.

– Stanowisko czwarte, otwórz – powiedział ojciec i brama garażowa zaczęła się podnosić. – Kazałem zainstalować sterowanie głosowe – wyjaśnił, pochwyciwszy spojrzenie Ganseya. – Na razie jest z nim kłopot, bo jeżeli stojąc na zewnątrz, bardzo głośno krzykniesz, otwierają się drzwi najbliższej ciebie. Oczywiście to niewybaczalne uchybienie. Pracuję nad tym. Kilka tygodni temu mieliśmy próbę włamania. Udało im się dostać tylko do frontowej bramy. Zainstalowałem tam zabezpieczenia oparte na czujnikach wagowych.

Kiedy drzwi garażu się otworzyły, ich oczom ukazał się camaro zaparkowany tak, że zagradzał im wyjazd. W porównaniu z dość skromnym, pełnym rezerwy, zawsze uśmiechniętym peugeotem, ciężka sylwetka nisko zawieszanej Świni wydawała się wyzywająca. Gansey poczuł gwałtowny przypływ miłości do swojego samochodu. Kupno tego auta było najlepszą decyzją w jego życiu.

– Ciągle nie mogę się do niego przyzwyczaić – powiedział ojciec Ganseya, przyglądając się Świni bez cienia złośliwości.

Pewnego razu Gansey podsłuchiwał rozmowę rodziców.

– Dlaczego u licha upatrzył sobie akurat ten samochód? – zastanawiał się ojciec.

– Och, wiem dlaczego – odpowiedziała matka.

Przy najbliższej okazji musi koniecznie wrócić do tej rozmowy i zapytać, dlaczego według niej kupił camaro. Analizowanie powodów, dla których tolerował ten samochód, sprawiało, że robił się nerwowy, ale wiedział, że to ma coś wspólnego z uczuciem, które go ogarniało gdy siedział w idealnie odnowionym peugeotcie. Uwa-

żał, że samochód jest opakowaniem, które powinno pasować do zawartości, i gdyby czuł się podobny do któregoś z samochodów w tym garażu, nie mógłby ze sobą wytrzymać. Miał świadomość, że zewnętrznie przypomina ojca. Wewnątrz wołałby być podobny do swojego camaro. Czyli do Adama.

– Jak tam w szkole? – zapytał ojciec.

– Świetnie.

– Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

– Historia świata.

– Dobry nauczyciel?

– Bardzo kompetentny.

– Jak sobie radzi twój przyjaciel stypendysta? Uważa, że zajęcia są trudniejsze niż w publicznej szkole?

Gansey przestawił boczne lusterko po stronie kierowcy tak, że odbijał się w nim sufit.

– Adam radzi sobie dobrze.

– Musi być inteligentny.

– To geniusz – powiedział Gansey z przekonaniem.

– A ten Irlandczyk?

Gansey nie mógł się zmusić do wymyślenia przekonującego kłamstwa na temat Ronana, nie teraz, nie po rozmowie z Pinterem. W takiej chwili bardzo trudno mu było być Ganseyem młodszym.

– Ronan to Ronan. Ciężko mu bez Nialla – odparł.

Ojciec nie zapytał o Noaha, a Gansey zdał sobie sprawę, że nie pamięta, żeby kiedykolwiek o niego pytał. Właściwie nie mógł sobie przypomnieć, czy sam wspominał o Noahu komuś z rodziny. Zastanawiał się, czy policja zadzwoni do domu rodziców w związku ze znalezionym przez Ganseya ciałem. Skoro do tej pory tego nie zrobili, wydawało się to mało prawdopodobne. Dali Ganseyowi i Blue wizytówki z numerem psychologa, ale oni uważali, że potrzebują innego rodzaju pomocy.

– A jak idą poszukiwania linii mocy?

Gansey zastanawiał się, ile zdradzić ojcu.

– Udało mi się dokonać przełomu, którego właściwie się nie spodziewałem. Henrietta wygląda obiecująco.

– Więc sprawy mają się nieźle? Twoja siostra powiedziała, że wydajesz jej się przygnębiony.

– Przygnębiony? Kretynka.

Ojciec cmoknął.

– Wcale tak nie myślisz, Dick. Uważaj na słowa.

Chłopak zgasił silnik i spojrzał na ojca.

– Podarowała mamie brązowy talerz.

Gansey senior wyartykułował niewyraźne „hm”, na znak, że zgadza się z opinią Ganseya juniora.

– Po prostu mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy i w twoim życiu coś się dzieje – dodał ojciec.

– Och – powiedział Gansey, zabierając telefon z deski rozdzielczej. Jego umysł już pracował nad rozwiązaniem różnych problemów. Jak wtłoczyć do mózgu Ronana

zaległości z trzech miesięcy szkolnej edukacji. Jak przywrócić Noahowi jego dawną postać. Jak przekonać Adama do opuszczenia domu rodziców. Jaką przewrotną rzecz powiedzieć Blue, kiedy znowu się zobaczą. – Nie narzekam na nudę.

Po zajęciach w szkole Blue zapukała do drzwi Monmouth Manufacturing. Otworzył Ronan.

– Nie czekaliście na zewnątrz – powiedziała, trochę skřępowana. Nigdy jeszcze nie była w ich mieszkaniu i nawet stojąc na zrujnowanej klatce schodowej, czuła się trochę jak włamywacz. – Myślałam, że was nie ma.

– Gansey imprezuje u mamusi – wyjaśnił Ronan. Czuć było od niego piwem. – A Noah jest pieprzonym trupem. Ale Parrish tu jest.

– Wpuść ją – polecił Adam, który pojawił się za plecami Ronana. – Cześć, Blue – zwrócił się do niej. Pierwszy raz na górze?

– Tak. Nie chcę wam...

– No coś ty, wejdź...

Nastąpiło małe poruszenie, po którym dziewczyna znalazła się w środku, drzwi się za nią zamknęły, a chłopcy uważnie obserwowali jej reakcję.

Blue rozejrzała się z ciekawością po apartamencie. Przypominał pracownię szalonego wynalazcy, opętanej obsesją naukowca albo wyjątkowo niechłujnego odkrywcy. Blue zaczęła podejrzewać, że Gansey może być każdym z nich po trochu.

– A co jest piętro niżej?

– Kurz – odparł Adam. Jednocześnie dyskretnie kopnął pod łóżko parę brudnych dżinsów z bokserkami w środku. – I beton. I jeszcze trochę kurzu. I brud.

– A ponadto – dodał Ronan, wycofując się w stronę drzwi na drugim końcu pomieszczenia – kurz.

Przez chwilę Ronan i Adam rozglądali się po otaczającej ich przestrzeni, jakby też widzieli ją pierwszy raz. Ogromne wnętrze, mieniające się czerwienią promieni popołudniowego słońca, wpadających swobodnie przez dziesiątki okiennych szyb, było piękne, choć zagracone. Blue poczuła się podobnie jak wtedy, kiedy zobaczyła dziennik Ganseya.

Po raz pierwszy od wielu dni powróciło wspomnienie dotyku jego dłoni na jej twarzy.

„Pocałuj mnie, Blue”.

Przymknęła oczy na ułamek sekundy, żeby zresetować umysł.

– Muszę nakarmić Piłę – powiedział Ronan.

To zdanie wydało się jej całkowicie pozbawione sensu. Ronan zniknął w ciastym pokoiku i zamknął za sobą drzwi.

Po chwili dobiegł zza nich jakiś nieludzki, skrzekliwy odgłos. Adam go nie skomentował.

– Nie mamy planów na dzisiaj – oznajmił. – Chciałabyś zostać?

Blue rozejrzała się w poszukiwaniu kanapy. Łatwiej byłoby zostać w mieszkaniu z kanapą. Na środku pokoju stało nieposłane łóżko, a naprzeciwko jednego z okien sięgających od podłogi do sufitu – skórzany fotel z błyszczącymi mosiężnymi ćwiekami, który wyglądał na drogi. Było jeszcze krzesło przy zarzuconym papierami biurku.

Żadnej kanapy.

– Czy Noah...

Adam pokręcił głową.

Blue westchnęła. Pomyślała, że może Adam miał rację w kwestii zwłok Noaha. Może zabranie ciała z linii mocy pozbawiło go energii.

– Czy on tu jest? – zapytała.

– Tak mi się wydaje. Nie jestem pewien.

– Noah, możesz skorzystać z mojej energii – odezwała się Blue w pustą przestrzeń. – Jeżeli jej potrzebujesz.

– Odważnie – powiedział Adam z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Blue wcale tak nie uważała. Była pewna, że gdyby to wymagało odwagi, matka nie zabierałaby jej na czuwanie w kościele.

– Lubię się do czegoś przydać. Więc ty też tutaj mieszkasz?

Adam pokręcił głową. Stał wpatrzony w panoramę Henrietty za oknami.

– Gansey chciałby, żebym tu mieszkał. Lubi mieć wszystkich pod ręką – zabrzmiało to trochę gorzko. – Nie powinienem tak mówić – dodał po chwili. – On chce dobrze. A ja... Chodzi o to, że to jest mieszkanie Ganseya. Wszystko tutaj należy do niego. Ja muszę czuć się równy, a to byłoby niemożliwe, gdybym tu się przeprowadził.

– A gdzie w takim razie mieszkasz?

Usta Adama były mocno zaciśnięte.

– W miejscu przeznaczonym do mieszkania.

– To właściwie nie jest odpowiedź.

– To właściwie nie jest dom.

– A czy to byłoby takie okropne, gdybyś tu mieszkał?

Podniosła głowę, żeby obejrzeć wysoki sufit. Wszędzie unosił się zapach kurzu, ale przyjemny, trochę jak w bibliotece albo w muzeum.

– Tak – odparł Adam. – Kiedy wyprowadzę się z domu, to tylko do miejsca, w którym będę czuł się u siebie.

– I dlatego chodzisz do Aglionby.

Popatrzył jej w oczy.

– I dlatego chodzę do Aglionby.

– Chociaż nie jesteś bogaty.

Zawahał się.

– Daj spokój, nie obchodzi mnie to – powiedziała Blue. Z punktu widzenia analizy składowej, nie było to najodważniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, ale Blue wydawało się śmiało. – Wiem, że dla niektórych ludzi to jest ważne, ale nie dla mnie.

Skrzywił się lekko, a potem pochylił głowę, co było niewyraźnym przytaknięciem.

– Chociaż nie jestem bogaty.

– Co za wyznanie... Ja też nie jestem bogata.

Adam roześmiał się głośno, a ona odkryła, że naprawdę zaczyna lubić ten śmiech, którym on za każdym razem wydawał się zaskoczony. To odkrycie trochę ją przestraszyło.

– Och. Wiesz co? Chodź tutaj. To ci się powinno spodobać – powiedział.

Podłoga zaskrzypiała pod jego stopami. Minął biurko i podszedł do okien po drugiej stronie pokoju.

Blue poczuła zawrót głowy. Wielkie, wysokie okna starej fabryki zaczynały się tuż nad deskami podłogi, a dolna kondygnacja budynku była znacznie wyższa niż parter jej domu.

Adam przykucnął i zaczął grzebać w pudłach na akta ustawionych rzędem pod oknami. Wreszcie wysunął jeden z kartonów i dał znak Blue, żeby usiadła obok niego. Tak zrobiła. Adam usadowił się wygodniej. Ich kolana się dotknęły. Nie patrzył na nią, ale w jego sposobie siedzenia było coś, co zdradzało, że ta bliskość nie uszła jego uwadze.

Blue przełknęła ślinę.

– To są znaleziska Ganseya – oznajmił Adam. – Te niewystarczająco atrakcyjne dla muzeów, i te, których wieku nie dało się udowodnić, albo też takie, z którymi po prostu nie chciał się rozstać.

– W tym pudełku? – zapytała Blue.

– We wszystkich. W tym akurat są rzeczy z Wirginii.

Przechylił pudło i wysypał jego zawartość na podłogę, razem z ogromną ilością ziemi.

– Pudełko z Wirginii. A reszta?

Coś w jego uśmiechu przywodziło na myśl małego chłopca.

– Z Walii, Peru, Australii, Montany i innych dziwnych miejsc.

Blue wzięła ze sterty przedmiotów rozwidlony patyk.

– A to jeszcze jedna różdżka?

Choć sama nigdy czegoś takiego nie używała, wiedziała, że niektórym jasnowidzom różdżka pomaga wzmocnić intuicję, prowadząc ich do zagubionych przedmiotów, martwych ciał albo ukrytych zasobów wodnych, jak tradycyjna wersja skomplikowanego miernika pola elektromagnetycznego, którego używał Gansey.

– Możliwe. Albo zwykły patyk.

Adam pokazał jej starą rzymską monetę. Użyła jej, żeby zeszkrobać wiekową ziemię z maleńkiej kamiennej figurki psa. Zwierzęciu brakowało tylnej łapy. Poszarpana rana w tym miejscu odsłaniała kamień jaśniejszy niż reszta brudnej powierzchni.

– Wygląda na głodnego – zauważyła Blue.

Stylizowany posązek przypominał jej kruka wyżłobionego w zboczu wzgórza: wygięta do tyłu głowa, wydłużone ciało.

Adam podniósł kamień z dziurą w środku i popatrzył przez niego na Blue. Kształt kamienia idealnie zasłaniał resztki jego siniaka.

Blue znalazła podobny kamień i spojrzała przez otwór na Adama. Popołudniowe światło zabarwiło jedną stronę jego twarzy na czerwono.

– Dlaczego to leży w tym pudełku?

– Te otwory wyżłobiła woda – wyjaśnił Adam. – Woda morska. Ale Gansey znalazł te kamienie w górach. Chyba mówił, że przypominają coś, co znalazł wcześniej w Wielkiej Brytanii.

Wciąż patrzył na nią przez otwór jak przez ekstrawagancki kamienny monokl.

Blue przyglądała się, jak porusza się jego szyja. Wtedy on wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

– Naprawdę uważam, że jesteś ładna – powiedział półgłosem.

– To ten kamień – odparła natychmiast. Czuła, że jej ciało zalewa ciepło, opuszki jego palców dotknęły właśnie kącika jej ust. – Korzystnie się wygląda przez tę dziurę.

Adam delikatnie wyjął kamień z jej ręki i położył go na podłodze. Przesunął palcami po jednym z niesfornych kosmyków przy jej uchu.

– Moja mama mawia: „Nie odrzucaj komplementów, dopóki są za darmo” – brzmiał bardzo poważnie. – A ten był bezinteresowny.

Blue pociągnęła za brzeg sukienki, ale nie odwróciła wzroku.

– Nie wiem... nie wiem, jak zareagować, kiedy mówisz takie rzeczy.

– Możesz powiedzieć, czy chcesz, żebym mówił je dalej, czy żebym przestał.

Blue czuła się rozdarta. Chciała go zachęcić, a jednocześnie bała się, co mogłoby z tego wyniknąć.

– Lubię, kiedy mówisz takie rzeczy.

– Ale?

– Nie powiedziałam „ale”.

– Miałaś zamiar. Słyszałem.

Spojrzała na jego twarz. Z tym siniakiem wydawał się kruchy i obcy. Blue pomyślała o tym, jak łatwo można odnieść wrażenie, że Adam jest nieśmiały albo że brakuje mu pewności siebie. Wcale taki nie był. Noah był nieśmiały. Adam był po prostu milczący. Nie *brakowało* mu tematów do rozmów. Po prostu wolał obserwować.

Jednak świadomość tych cech chłopaka nie pomagała jej w podjęciu decyzji, czy powiedzieć mu o niebezpieczeństwie. O wiele łatwiej było jej rozmawiać o tym z Ganseyem. Wtedy miała wrażenie, że to właściwie bez znaczenia. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to wystraszyć Adama rozmowami o „prawdziwej miłości”, gdy ledwo się poznali. Ale jeśli nic mu nie powie, zawsze może się zdarzyć, że on znienacka ją pocałuje i będą kłopoty.

– Lubię, kiedy mówisz takie rzeczy, ale... boję się, że będziesz chciał mnie pocałować – wyznała Blue. I od razu odniosła wrażenie, że zabrnęła w ślepy zaułek. Ponieważ Adam milczał, czym prędzej dodała: – Dopiero co się poznaliśmy. A ja... jestem... przecież jestem jeszcze... *bardzo młoda*.

Gdy tylko zaczęła, opuściła ją odwaga i nie powiedziała Adamowi o przepowiedni, ale nie miała pojęcia, dlaczego uznała, że tak będzie lepiej. „Jestem bardzo młoda!”. Skrzywiła się.

– To brzmi... – Adam szukał odpowiednich słów – bardzo rozsądnie.

Tego właśnie przymiotnika użyła Neeve w odniesieniu do Blue wkrótce po przyjeździe do Henrietty. Coś w tym musi być. To przygnębiające. Robiła, co mogła, żeby uchodzić za osobę ekscentryczną, a i tak, gdy przychodziło co do czego, okazywało się, że jest *rozsądna*.

Na dźwięk kroków oboje podnieśli wzrok. Podszedł do nich Ronan, trzymając coś pod pachą. Ostrożnie usiadł po turecku obok Adama i westchnął ciężko, jakby uczestniczył w ich rozmowie do tego momentu i bardzo go to wyczerpało. Blue czuła

jednocześnie ulgę i rozczarowanie z powodu jego obecności, która skutecznie położyła kres ewentualnym dalszym rozważaniom na temat całowania.

– Chcesz ją potrzymać? – zapytał Ronan.

Wtedy Blue zorientowała się, że to, co przyniósł, jest żywe. Przez krótką chwilę nie mogła się nadziwić ironii losu – jeden z chłopców z krukiem naprawdę miał kruka. Jednak Ronan tymczasem najwyraźniej uznał, że odpowiedź brzmi: „nie”.

– Co robisz? – zdziwiła się Blue, kiedy cofnął rękę. – Jasne, że chcę.

Właściwie wcale nie była tego pewna – kruk też nie wyglądał tak, jakby ten pomysł przypadł mu do gustu – ale nie mogła postąpić inaczej. Znowu zdała sobie sprawę, że próbuje zdobyć uznanie Ronana, i to wyłącznie dlatego, że jemu nie można zaimponować, ale pocieszyła się myślą, że to, co robi w poszukiwaniu jego aprobaty, jest dość niewinne. Ronan ostrożnie umieścił pisklę w jej dłoniach. Blue miała wrażenie, że ptak nic nie waży. Jego pióra i skóra były lekko wilgotne w miejscach, gdzie stykały się z dłońmi Ronana. Kruk przechylił masywną głowę i rozdziawiwszy dziób, wpatrywał się wybałuszonymi oczami w Blue, a potem w Adama.

– Jak ma na imię? – zapytała Blue.

Trzymanie pisklęcia było zarazem cudowne i przerażające. Ptaszek wydawał się nieskończenie maleńkim, wątłym okruczem życia, jego serduszek uderzało gwałtownie o dłonie Blue.

– Piła – odparł Adam z miażdżącą pogardą.

Kruk otworzył dziób szerzej i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

– Chce z powrotem do ciebie – powiedziała Blue, bo nie dało się ukryć, że tak właśnie jest.

Ronan zabrał pisklę i delikatnie pogłaskał je po piórkach z tyłu głowy.

– Wyglądacie jak dwa czarne charaktery – powiedział Adam, patrząc na tę dziwną parę.

Ronan wyszczerzył zęby, ale Blue jeszcze nigdy nie wydawał się taki łagodny. Zupełnie jakby kruk był jego sercem, które trzymał odsłonięte na dłoni.

Wszyscy usłyszeli skrzypnięcie drzwi po drugiej stronie pokoju. Adam i Blue spojrzeli na siebie. Ronan skulił się nieznacznie, jakby spodziewał się ciosu.

Nikt się nie odezwał, kiedy Noah bezszelestnie zajął miejsce między Ronanem i Blue. Był taki, jak kiedyś: przygarbione ramiona i poruszające się niespokojnie dłonie. Na jego twarzy nadal widniał cień w miejscu zmiażdżonego policzka. Im dłużej Blue się w niego wpatrywała, tym większej nabierała pewności, że jego ciało jest jednocześnie martwe i żywe. Plama na policzku była sposobem, w jaki jej mózg próbował sobie z tym poradzić.

Pierwszy odezwał się Adam.

– Noah – powiedział i uniósł pięść.

Noah przybił z nim żółwika. A potem potarł kark.

– Czuję się lepiej – powiedział, jakby był chory, a nie martwy.

Rzeczy z pudełka wciąż leżały na podłodze między nimi. Noah zaczął je przeglądać. Podniósł coś, co przypominało kawałek kości. Kiedyś musiał być na nim wyrzeźbiony jakiś wzór, ale został tylko jego fragment, jakby brzeg liścia akantu i może jakiś wypukły zawijas. Noah zbliżył przedmiot do szyi jak amulet. Nie patrzył na chłopaków, ale jego kolano dotykało kolana Blue.

– Chcę, żebyście wiedzieli – powiedział, przyciskając kość do swojego jabłka Adama, jakby mogła wydobyć z niego słowa – że kiedy żyłem, istniałem... *bar-dziej...*

Adam gryzł dolną wargę, szukając odpowiednich słów. Jednak Blue pomyślała, że wie, co Noah ma na myśli. Jego podobieństwo do krzywo uśmiechniętej twarzy na zdjęciu z prawa jazdy było jak podobieństwo kserokopii do oryginału. Nie potrafiła sobie wyobrazić tego Noaha, którego знаła, za kierownicą tamtego odpicowanego mustanga.

– Teraz istniejesz wystarczająco – stwierdziła Blue. – Brakowało mi ciebie.

Noah wyciągnął rękę i uśmiechając się blado, przyglądał jej włosy, zupełnie jak kiedyś. Dotyk jego palców był ledwo wyczuwalny.

– Hej, człowieku. Nie dość, że nigdy nie pożyczałeś mi notatek, to jeszcze mówiłeś mi, żebym chodził na zajęcia. A sam nigdy tego nie robiłeś.

– *Chodziłeś*, prawda, Noah? – wtrąciła się Blue, myśląc o naszywce Aglionby, którą znaleźli razem z jego szkieletem. – Byłeś uczniem Aglionby.

– Jestem – powiedział Noah.

– *Byłeś* – poprawił Ronan. – Nie chodzisz na zajęcia.

– Ty też nie – odparł Noah.

– Ronan też niedługo będzie byłym uczniem – złośliwie wtrącił Adam.

– *Już dobrze!!* – zawołała Blue z rękami w powietrzu. Zaczynała odczuwać przenikliwe zimno, bo Noah czerpał jej energię. Ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to poczuć się tak wycieńczona jak wtedy na cmentarzu. – Na policji powiedzieli, że siedem lat temu uznali cię za zaginionego. Czy to się zgadza?

Noah zamrugał. Wydawał się roztargniony i zaniepokojony.

– Ja nie... Nie mogę...

Blue wyciągnęła do niego rękę.

– Złap mnie – poleciła. – Kiedy moja mama komuś wróży i musi się skupić, trzyma mnie za rękę. Może tak będzie ci łatwiej.

Noah z wahaniem wyciągnął dłoń. Była lodowato zimna. W dodatku wydawała się dziwnie pusta, jak ciało pozbawione pulsu.

„Proszę, nie umieraj naprawdę”.

Westchnął przeciągle.

– Boże – powiedział.

Jego głos zabrzmiał inaczej niż przedtem. Teraz bardziej przypominał głos dawnego Noaha, tego, którego uważali za jednego z nich. Blue widziała, że nie tylko ona to zauważyła, bo Adam i Ronan wymienili szybkie spojrzenia.

Patrzyła, jak jego pierś unosi się i opada, a oddech się wyrównuje. Wcześniej właściwie nie widziała, żeby oddychał.

Noah zamknął oczy. W drugiej ręce wciąż trzymał rzeźbioną kość, opierając dłoń luźno na mokasynach.

– Pamiętam swoje świadectwo i datę na nim sprzed siedmiu lat.

Siedem lat. Zgadzało się. Rozmawiali z chłopakiem, który nie żył od siedmiu lat.

– W tym samym roku Gansey został użądłony przez szerszenie – przypomniał Adam cicho. A potem dodał: – „Będziesz żył dzięki Glendowerowi. Ktoś inny na linii

mocy umiera, choć nie powinien, a ty będziesz żył, choć nie powinienes’”.

– Zbieg okoliczności – powiedział Ronan, choć dobrze wiedzieli, że to nie był przypadek.

Noah wciąż miał zamknięte oczy.

– Mówił, że to ma coś zrobić z linią mocy. Nie pamiętam, co takiego.

– Obudzić ją – podsunął Adam.

Noah pokiwał głową. Jego powieki były zaciśnięte. Ręka Blue zdrętwiała z zimna aż do ramienia.

– Właśnie. Mnie było wszystko jedno. To on był zaangażowany w tę sprawę, ja trzymałem się z nim tylko dlatego, że dzięki temu miałem coś do roboty. Naprawdę nie wiedziałem, że chce...

– To ten rytuał, o którym mówił Gansey – powiedział Adam do Ronana. – Ktoś tego *spróbował*. Ofiara to symboliczne dotknięcie linii mocy. Byłeś tą ofiarą, prawda, Noah? To dlatego cię zabił.

– Moja twarz – poskarżył się cicho Noah i odwrócił głowę, przyciskając do ramienia swój pogruchotany policzek. – Nie pamiętam, kiedy przestałem żyć.

Blue zadrżała. Choć siedzieli w popołudniowym wiosennym słońcu, przemarzła do szpiku kości.

– Tylko że rytuał się nie powiódł – uzupełnił Ronan.

– Prawie obudziłem Cableswater – wyszeptał Noah. – Byliśmy tak blisko, że to mogło się udać. Ale cieszę się, że nigdy się tego nie dowiedział. Nie wie. Nie wie, gdzie to jest.

Blue nie zdawała sobie sprawy, że drży za sprawą przejmującego zimna ręki Noaha i tej koszarnej historii. Zastanawiała się, czy tak właśnie czują się jej matka, ciotki i przyjaciółki Maury w czasie seansu spirytystycznego albo stawiania kart.

„Czy one też podają ręce zmarłym?”.

Kiedyś sądziła, że śmierć to jakiś trwały stan, a przynajmniej w bardziej oczywisty sposób... pozbawiony życia. Ale wyglądało na to, że w przypadku Noaha nie jest ani jednym, ani drugim.

– No dobra, dość tych wygłupów – odezwał się Ronan. – Kto to zrobił, Noah?

Blue poczuła, że dłoń Noaha drży.

– Poważnie, człowieku. Wyrzucić to z siebie. Nie proszę cię o notatki. Pytam, kto rozwalił ci czaszkę.

W głosie Ronana pobrzmiwał słuszny gniew, jednak skierowany był również przeciwko Noahowi, jakby uważał go za współwinnego.

– Byliśmy przyjaciółmi – powiedział gorzko Noah, upokorzony.

– Przyjaciół nigdy by cię nie zabił – zaprzeczył gwałtownie Adam.

– Nie rozumiecie – wyszeptał Noah. Blue bała się, że on zniknie. Zrozumiała, że nosi w sobie tę tajemnicę od siedmiu lat i wciąż nie jest gotów jej wyjawic. – Przeżył wstrząs. Wszystko stracił. Gdyby myślał jasno, nigdy by... nie miał zamiaru... byliśmy przyjaciółmi jak... Czy wy się boicie Ganseya?

Nie odpowiedzieli, nie musieli. Ich więc z Ganseyem, czymkolwiek była, wydawała się kuloodporna. Jednak Blue znowu zobaczyła cień wstydu na twarzy Adama. Wizja czegoś, co zaszło między nim a Ganseyem, nadal nie dawała mu spokoju.

– Daj spokój, Noah. Nazwisko. – Ronan wpatrywał się w niego z przekrzywio-

ną głowę, podobnie jak jego kruk. – Kto cię zabił?

Noah podniósł głowę i otworzył oczy. Wysunął rękę z dłoni Blue i położył ją na kolanach. Powietrze dokoła nich było lodowate. Kruk kulił się na kolanach Rona, który opiekuńczo trzymał rękę nad jego głową.

– Przecież już wiecie – powiedział Noah.

Kiedy Gansey wyjeżdżał z domu rodziców, było ciemno. Rozpierała go podszycia niepokojem i frustracją energia, która ostatnimi czasy wdzierała się do jego duszy po każdej wizycie w domu. To miało coś wspólnego ze świadomością, że dom jego rodziców nie jest już dla niego prawdziwym domem – jeśli w ogóle kiedykolwiek nim był – i coś wspólnego z odkryciem, że oni się nie zmienili, a on tak.

Gansey opuścił szybę i wystawił rękę przez okno. Radio znowu przestało działać i towarzyszyła mu teraz tylko muzyka silnika, który po zmroku pracował głośnie.

Rozmowa z Pinterem nie dawała mu spokoju. Łapówkarstwo. Więc do tego już się posunął. Zdał sobie sprawę, że to, co czuje, to wstyd. Nieważne, jak bardzo się starał, coraz bardziej upodabniał się do Ganseyów.

Ale czy był inny sposób na to, żeby Ronan mógł zostać w Aglionby i w Monmouth? Gansey przemyślał wszystko, co chciał mu powiedzieć, ale brzmiało to jak argumenty, których Ronan nie zechce słuchać. Czy chodzenie na zajęcia naprawdę aż tyle go kosztowało? Jakim *poświęceniem* mogło być dla niego wytrzymanie jeszcze tylko jednego roku w szkole?

Do Henrietty zostało pół godziny jazdy. Gansey zatrzymał się na czerwonym świetle z powodu nieistniejącego ruchu na skrzyżowaniu w maleńkiej miejscowości, składającej się wyłącznie z nienaturalnie jaskrawej stacji benzynowej.

Od Ronana oczekiwano jedynie chodzenia na zajęcia, czytania lektur, dostawiania ocen. Potem byłby wolny, dostałby pieniądze od Declana i mógłby robić, co mu się żywnie podoba.

Gansey zerknął na wyświetlacz telefonu. Nie było zasięgu. Chciał porozmawiać z Adamem.

Powietrze wpadające przez okno wypełniło wnętrze samochodu zapachem liści i wody, rzeczy rosnących i tajemniczych. Gansey marzył tylko o tym, żeby spędzić więcej czasu w Cableswater, ale lwia część nadchodzącego tygodnia miała mu upłynąć w szkole. Teraz, po porozumieniu z Pinterem, nie było mowy, żeby któryś z nich urwał się z lekcji. A po zajęciach trzeba będzie zaciągnąć Ronana do odrabiania prac domowych. Akurat teraz, kiedy świat stał przed nim otworem, Noah go potrzebował, Glendower znowu wydawał się prawdziwy, on zamiast iść i sięgnąć po swoją szansę, musiał niańczyć Lyncha. *Cholerny Ronan*.

Światło zmieniło się na zielone. Gansey wcisnął gaz i Świnia wystrzeliła do przodu z piskiem dymiących opon. *Cholerny Ronan*. Gansey wrzucał kolejne biegi. Szybciej, jeszcze szybciej. Ryk silnika zagłuszał bicie jego serca. *Cholerny Ronan*. Wskazówka prędkościomierza biegła coraz dalej, aż wreszcie dotknęła czerwonego obszaru ostrzegawczego.

Osiągnął dozwoloną prędkość. Świnia miała jeszcze znaczny zapas mocy. Silnik radził sobie dobrze w chłodnym powietrzu, samochód sunął szybko i gładko, a Gansey bardzo chciał poznać granice jego możliwości. Jednak powstrzymał się z przeciągłym westchnieniem.

Gdyby był Ronanem, dodałby gazu. Sęk w tym, że Lynch nie miał hamulców,

nie znał strachu, nie uznawał granic. Gdyby Gansey był Ronanem, wcisnąłby pedał gazu w podłogę i mogłaby go zatrzymać tylko droga, policja albo drzewo. Urwałby się następnego dnia z lekcji i poszedłby do lasu. Powiedziałby Ronanowi, że to jego problem, że go wyrzucają, o ile w ogóle zawracaliby sobie głowę rozmową.

Gansey nie potrafił być kimś takim.

Nagle camaro gwałtownie się zatrząsał. Kierowca zdjął nogę z gazu i popatrzył na wszystkie słabo oświetlone wskaźniki, ale nic nie rzuciło mu się w oczy. Chwilę później samochód znowu zadrżał i Gansey już wiedział, jak to się skończy.

Zdażył tylko znaleźć względnie płaski fragment pobocza, żeby się zatrzymać, kiedy silnik zgasł, dokładnie tak samo jak w dniu świętego Marka. Zjeżdżając na luzie z drogi, jeszcze przekręcił kluczyk, ale bez skutku.

Pozwolił sobie na wątpliwą przyjemność wypowiedzenia na głos najgorszego przekleństwa, jakie znał, a potem wysiadł i podniósł maskę. Adam nauczył go podstawowych rzeczy: wymiany świec i uzupełniania oleju. Gdyby gdzieś zwiślał luźno jakiś pasek albo z wnętrza samochodu sterczała wystrzępiona końcówka jakiejś rurki, być może potrafiłby to naprawić. Ale w tej sytuacji silnik stanowił dla niego zagadkę.

Gansey wydobyl z tylnej kieszeni telefon. Na wyświetlaczu świeciła się tylko jedna kreseczka zasięgu. Wystarczająco dużo, żeby sobie z niego zadrwić, ale za mało, żeby gdziekolwiek zadzwonić.

Gansey okrążył kilkakrotnie samochód, trzymając telefon wysoko nad głową jak Statua Wolności pochodnię. Nic.

Z odrobiną goryczy przypomniał sobie, że ojciec proponował mu swojego chevroleta.

Nie był pewien, jak daleko zdażył odjechać od stacji benzynowej na skrzyżowaniu ze światłami, ale miał wrażenie, że znajduje się bliżej granic Henrietty. Jeśli pójdzie piechotą w stronę miasta, może złapie zasięg albo znajdzie inną stację benzynową. A może lepiej byłoby po prostu zostać w samochodzie. Czasami Świnia odmawiała posłuszeństwa, a potem udawało się znowu zapalić, kiedy silnik trochę ostygł.

Ale Gansey był zbyt niespokojny, żeby siedzieć.

Gdy tylko zamknął samochód, z tyłu coś się zatrzymało, oślepiając go światłami. Odwrócił się. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i chrzęst kroków na żwirze pobocza.

Przez mgnienie oka postać, którą miał przed sobą, wydawała się pozbawiona jakichkolwiek charakterystycznych cech, jak homunkulus, a nie prawdziwy człowiek. A potem Gansey go rozpoznał.

– Pan Whelk? – zapytał.

Barrington Whelk miał na sobie ciemną kurtkę, a na nogach buty do biegania. Jego karykaturalne rysy twarzy wyrażały jakieś niezrozumiałe, silne emocje. Wyglądał tak, jakby bardzo chciał zadać jakieś pytanie, ale nie potrafił znaleźć słów.

Nie zapytał: „problemy z samochodem?” ani: „pan Gansey?”. Nie powiedział nic, czego Gansey spodziewałby się w podobnej sytuacji.

Oblizał usta.

– Chcę ten twój dziennik – rzucił. – Telefon też lepiej mi daj.

Gansey uznał, że się przesłyszał.

– Słucham? – zapytał.

Whelk wydobył z kieszeni ciemnej kurtki mały, niezwykle prawdziwie wyglądający pistolet.

– Ten zeszyt, który przynosisz do szkoły. I komórkę. Szybko.

Fakt, że Whelk ma broń, był trudny do przyswojenia. Niełatwo było pokonać mentalną przepaść między strasznym i śmiesznym zarazem nauczycielem łaciny, z którego można pożartować z chłopakami, a prawdziwie złowrogim Barringtonem Whelkiem, który ma pistolet i mierzy z niego do Ganseya.

– Cóż. – Chłopak zamrugął. – No dobrze.

Wyglądało na to, że nie pozostaje nic więcej do powiedzenia. Życie wydawało się Ganseyowi cenniejsze od prawie wszystkich rzeczy, które posiadał, no, może z wyjątkiem camaro, ale tego Whelk nie zażądał. Gansey podał nauczycielowi telefon.

– Dziennik jest w samochodzie – wyjaśnił.

– Wyjmij go. – Łacinnik wycelował broń w twarz Ganseya.

Chłopak otworzył drzwi.

Ostatnim razem widział Whelka, kiedy oddawał mu test z czwartej deklinacji łacińskich rzeczowników.

– Nie próbuj tym odjeżdżać – powiedział nauczyciel.

Nawet gdyby camaro był na chodzie, Ganseyowi nie przyszłoby to do głowy.

– Poza tym chcę wiedzieć, gdzie się włóczyliście w tym tygodniu – dodał Whelk.

– Słucham? – zapytał Gansey uprzejmie.

Szukał dziennika wśród papierów leżących na tylnym siedzeniu. Ich szelest zagłuszył głos Whelka.

– Nie prowokuj mnie – warknął nauczyciel. – Dzwonili z policji. Nie mogę w to uwierzyć. Po siedmiu latach zadzwonili do szkoły. Będą zadawali miliony pytań. *Bez problemu* odpowiedzą sobie na nie moim nazwiskiem. Wszystko przez ciebie. Siedem lat, a już myślałem, że... Mam przesrane. Załatwiliście mnie.

Kiedy Gansey wyłonił się z camaro z dziennikiem w ręce, dotarło do niego, o czym mówi Whelk.

Noah.

Człowiek, którego miał przed sobą, to jego morderca.

W żołądku Ganseya działo się coś dziwnego, choć nadal nie przypominało to strachu. Czuł się tak, jakby wędrował po naprężonym, wiszącym moście, który ledwo utrzymuje jego ciężar. Nagle zaświtało mu w głowie podejrzenie, że poza tą chwilą w jego życiu właściwie nic nie było prawdziwe.

– Panie Whelk...

– *Mów, gdzie byłeś.*

– W górach, niedaleko Nethers – powiedział Gansey głosem dobiegającym z oddali.

Nie skłamał, bo tak czy owak, nie miało to znaczenia. Zanotował współrzędne GPS w dzienniku, który właśnie miał oddać Whelkowi.

– Co tam odkryłeś? Znalazłeś Glendowera?

Ku swojemu zaskoczeniu Gansey się wzdrygnął. Do tej chwili zdołał jakoś przekonać samego siebie, że chodzi o coś innego, o coś bardziej logicznego. Nie spodziewał się, że usłyszy z ust Whelka imię Glendowera.

– Nie – odparł. – Znaleźliśmy rysunek na ziemi.

Nauczyciel wyciągnął rękę po dziennik. Gansey przełknął ślinę.

– Whelk... Proszę pana... Jest pan pewien, że to jedyny sposób?

Usłyszał ciche kliknięcie, którego nie dało się z niczym pomylić. Choć Gansey nigdy nie słyszał go w rzeczywistości, doskonale wiedział, jaki dźwięk wydaje odbezpieczany pistolet – jak każdy, kto ogląda filmy akcji i gra godzinami w gry komputerowe.

Whelk przystawił Ganseyowi lufę do czoła.

– Niekoniecznie – powiedział. – To na przykład jest inny sposób.

Gansey miał podobne uczucie rozdwojenia jak wtedy, kiedy w Monmouth Manufacturing patrzył na osę. W jednej chwili zobaczył jednocześnie rzeczywistość: pistolet przyciśnięty do skóry nad brwiami, tak zimny, że wydawał się ostry, i prawdopodobną przyszłość – palec pociągający za spust, pocisk wbijający się w jego czaszkę, śmierć zamiast szukania sposobu dotarcia do Henrietty.

Dziennik ciążył mu w rękach. Nie potrzebował go. Nie było w nim nic, czego nie miałby w głowie.

Tylko że ten brulion był mu *bardzo* bliski. Czuł, że oddaje wszystko, nad czym pracował.

„Założę nowy”.

– Wystarczyło zapytać – rzekł Gansey. – Powiedziałbym panu wszystko, co wiem. Zrobiłbym to z przyjemnością. To nie jest tajemnica.

Lufa na czole Ganseya zadrżała.

– Nie mogę uwierzyć, że się odzywasz z pistoletem przystawionym do głowy. Nie rozumiem, dlaczego to mówisz – wycodził Whelk.

– Dlatego, że to prawda – odparł Gansey. Pozwolił nauczycielowi zabrać dziennik.

– Brzydzę się tobą – powiedział Whelk, przyciskając brulion do piersi. – Myślisz, że jesteś niezwyciężony. I wiesz co? Ja też tak kiedyś myślałem.

Wtedy Gansey zdał sobie sprawę, że Whelk go zabije. Bo przecież niemożliwe, żeby człowiek, który, trzymając pistolet, mówi z taką goryczą i nienawiścią, nie pociągnął za spust.

Twarz Whelka stężała.

Na chwilę czas przestał istnieć. Była tylko przestrzeń między jednym uwolnionym oddechem a kolejnym.

Siedem miesięcy wcześniej Ronan nauczył Ganseya, jak wyprowadzać sierpowy.

„Uderzaj całym ciałem, nie tylko pięścią.

Patrz, gdzie celujesz.

Łokieć zgięty pod kątem prostym.

Nie myśl o tym, jak to będzie bolało.

Gansey, mówiłem ci: nie myśl o tym, jak to będzie bolało”.

Zamachnął się.

Zapomniał prawie wszystko, czego nauczył go Ronan, ale pamiętał o patrzeniu na cel i tylko to oraz szczęście sprawiło, że udało mu się wytrącić Whelkowi z ręki pistolet. Broń upadła na wysypane żwirem pobocze.

Nauczyciel wydał z siebie nieartykułowany ryk.

Obaj rzucili się, żeby podnieść pistolet. Gansey upadł na jedno kolano i kopał na oślep drugą nogą. Poczul, że jego stopa w coś trafiła. Najpierw w rękę Whelka, a potem w coś twardszego. Pistolet poleciał w stronę tylnych kół Świni, Gansey pobiegł go szukać. Światło reflektorów samochodu Whelka tu nie docierało. Gansey myślał wyłącznie o tym, żeby się ukryć pod osłoną ciemności.

Usiłując powstrzymać dyszenie, oparł zimny policzek o ciepły metal karoserii Świni. Czuł pulsowanie w kciuku, którym uderzył o broń.

„Nie oddychaj”.

Whelk przeklinał bez końca. Przydrożny żwir głośno chrząścił. Morderca nie mógł znaleźć pistoletu.

Z oddali dobiegł dźwięk silnika – jakiś samochód, być może jadący w tym kierunku. Ratunek. Albo przynajmniej świadek.

Whelk na chwilę się zatrzymał, a potem nagle zerwał się i pobiegł do swojego wozu.

Gansey ukucnął i zajrzał pod podwozie Świni, która stygła z cichym tykaniem. Między tylnymi kołami dostrzegł smukły kontur pistoletu, oświetlonego od tyłu przez reflektory samochodu Whelka.

Nie był pewien, czy morderca zrezygnował, czy tylko poszedł po latarkę. Gansey wycofał się głębiej w ciemność. Czekał. Serce łomotało mu w uszach, trawa kłuła go w policzek.

Samochód Whelka wypadł na autostradę i z rykiem oddalił się w kierunku Henrietty.

Drugie auto przemknęło zaraz za nim. Kierowca nie zwrócił uwagi na stojącego na poboczu camaro.

Gansey długo leżał w trawie porastającej rów. Słuchał brzęczenia owadów w koronach drzew i posapywania stygnącego silnika Świni. Kciuk bolał go coraz bardziej. Miał prawdziwe szczęście. Ale i tak bolało.

No i dziennik. Gansey czuł się obnażony – odebrano mu siłą kronikę jego najgorętszych pragnień.

Samochód Whelka więcej się nie pojawił.

Gansey podniósł się i obszedł camaro. Ukląkł, wczołgał się pod podwozie najgłębiej, jak mógł, i wydobył pistolet. Ostrożnie zabezpieczył broń. W jego głowie rozległ się głos Blue: „odciski palców”, jak wtedy, kiedy znaleźli ciało Noaha.

Gansey poruszał się jak we śnie. Otworzył drzwi samochodu i rzucił pistolet na siedzenie pasażera. Miał wrażenie, że wyjechał z domu rodziców dawno temu, zupełnie innej nocy, zupełnie innym samochodem, jako zupełnie inny człowiek.

Zamknął oczy i przekręcił kluczyk.

Świnia kaszłała i kaszłała. W końcu zapaliła.

Otworzył oczy. Nic nie było takie jak przedtem.

Włączył światła i wyjechał na drogę. Dodał gazu, żeby sprawdzić silnik. Chodził bez zarzutu.

Wcisnął gaz do dechy i pomknął w kierunku Henrietty. Whelk zabił Noaha i wiedział, że wszystko się wydało. Nie miał nic do stracenia.

Blue nigdy nie była wielką fanką poddasza, nawet przed pojawieniem się Neeve. Liczne skosy stwarzały dziesiątki okazji do nabicia sobie guza. Niewykończone deski podłogi i dziury załatane szorstką sklejką były nieprzyjazne dla bosych stóp. Latem poddasze zamieniało się w piekło. Poza tym zasadniczo nie było tutaj nic oprócz kurzu i os. Maura była zagorzałą przeciwniczką składowania niepotrzebnych rzeczy, więc wszystko, czego nie używały, przekazywały sąsiadom albo organizacji charytatywnej. Naprawdę nie było po co wchodzić na strych.

Aż do teraz.

Kiedy zrobiło się późno, Blue zostawiła chłopaków z problemem, jak udowodnić, że nauczyciel łaciny jest winny śmierci Noaha. Oczywiście jeżeli policja jeszcze go z tym morderstwem nie powiązała. Gdy tylko wróciła do domu, zadzwonił Adam, żeby jej powiedzieć, że Noah zniknął w chwili, kiedy wyszła.

Więc to prawda. Rzeczywiście *była* tym stolikiem w Starbucksie, przy którym każdy chce siedzieć.

– Mamy najwyżej godzinę – powiedziała Calla, kiedy Blue otworzyła drzwi na poddasze. – Powinny wrócić około jedenastej. Wejść pierwsza. Na wypadek...

Dziewczyna uniosła brew.

– Co takiego spodziewasz się tu znaleźć?

– Nie wiem.

– Fretki?

– Nie bądź śmieszna.

– Czarodziejów?

Calla ostrożnie minęła Blue i zaczęła wchodzić na górę. Światło jedynej żarówki zainstalowanej na strychu nie sięgało schodów.

– To już bardziej prawdopodobne. Och, co za zapach.

– A jednak fretki.

Calla zatrzymała się i zmroziła wzrokiem Blue, która uznała, że jej spojrzenie jest bardziej niebezpieczne niż cokolwiek, co mogłyby znaleźć na strychu. Nie dało się jednak ukryć, że Calla ma rację. W powietrzu unosił się jakiś smród. Blue nie mogła go z niczym skojarzyć, choć wydawał się znajomy, jak zapach gnijącej cebuli albo brudnych skarpet.

– Siarka – powiedziała Blue. – Albo trup.

Kiedy przypomniła sobie koszmarny głos wydobywający się z ust Neeve, doszła do wniosku, że ani jedno, ani drugie by jej nie zdziwiło.

– Raczej asafetyda – poprawiła Calla ponuro.

– Co to takiego?

– Coś, co przydaje się w czarach albo jako przyprawa do pikantnego curry.

Blue próbowała oddychać przez usta. Nie wierzyła, że można cokolwiek przypisać czemuś, co tak przekonująco śmierdzi skarpetami nieboszczyka.

– A według ciebie?

Calla dotarła do szczytu schodów.

– To nie curry – powiedziała.

Teraz, kiedy znalazły się na górze, Blue zdała sobie sprawę, że poddasze wygląda zupełnie inaczej, niż je zapamiętała. Na podłodze leżał materac przykryty narzutą. W całym pokoju porozstawiano różnej wysokości świece, po kilka obok siebie, a także miski w ciemnych kolorach i szklanki z wodą. Na podłodze między niektórymi przedmiotami poprzyklejano jaskrawą taśmę malarską. Tuż pod nogami Blue, na przysypanym popiołem talerzu leżała nadpalona łodyga jakiejś rośliny. W jednym z wąskich mansardowych okien stały naprzeciw siebie dwa wysokie lustra, odbijając obrazy *in perpetuum*³ w obu kierunkach.

Poza tym było tu zimno. Na poddaszu nie powinno być chłodno po gorącym dniu.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegła Calla.

Zważywszy na to, jaki był cel ich wizyty, zabrzmiało to ironicznie.

Blue posłuchała ciotki, ale weszła trochę dalej, żeby przyjrzeć się małej statuette kobiety z oczami na brzuchu. To pomieszczenie przyprawiało ją o dreszcze.

– Ona musiałaby gotować ogromne ilości curry.

Za ich plecami skrzypnęły schody. Calla i Blue podskoczyły.

– Czy mogę wejść na górę? – zapytała Persefona.

Pytanie było trochę niewłaściwie sformułowane, bo już była na górze. Ubrana w koronkową sukienkę, którą uszyła jej Blue, stała na szczycie schodów. Jej włosy były ciasno upięte, co oznaczało, że nie boi się pobrudzić sobie rąk.

– *Persefono!* – zagrmiała Calla. Otrząsnęła się już z szoku i teraz była tylko zła, że dała się zaskoczyć. – Powinnaś wydawać jakieś dźwięki przed wejściem do pomieszczenia.

– Pozwoliłam, żeby stopień skrzypnął – zauważyła Persefona. – Maura powiedziała, że wróci o północy, więc skończcie do tego czasu.

– Ona wie? – zapytały Blue i Calla jednogłośnie.

Persefona przykucnęła, żeby przyjrzeć się czarnej, skórzanej masce z długim, spiczastym dziobem.

– Chyba nie sądziłyście, że uwierzy w wasz film o liliputach, co?

Calla i Blue wymieniły spojrzenia. Dziewczyna zastanowiła się, co mogło to oznaczać – Maura, tak samo jak one, chciała dowiedzieć się więcej o Neeve.

– Zanim zaczniemy, czy mogłabyś mi powiedzieć, co Neeve *mówiła* o powodach swojego przyjazdu do Henrietty? – zapytała Blue.

Calla chodziła po pokoju, zacierając ręce. Może chciała się rozgrzać, a może zastanawiała się, od czego zacząć. Wreszcie odparła:

– To dość proste. Maura poprosiła ją, żeby przyjechała odnaleźć twojego ojca.

– No, to niezupełnie prawda – poprawiła Persefona. – Maura powiedziała mi, że to Neeve się z nią skontaktowała. Twierdziła, że być może uda jej się go znaleźć.

– Na dwoje babka wróżyła – mruknęła Calla.

– Nie lubię tego powiedzenia – skrzywiła się z niesmakiem Persefona.

– Ale tak ni z tego, ni z owego? – Calla wzięła do ręki świecę. – To wydaje się dziwne.

Blue zaplotła ręce na piersiach.

– Nie rozpieszczacie mnie nadmiarem informacji.

Calla przełożyła świecę do drugiej ręki.

– Zasadniczo twój ojciec zjawił się tu osiemnaście lat temu, zawrócił Maurze w głowie, sprawiając, że przez rok była całkowicie bezużyteczna jako przyjaciółka, zrobił jej dziecko i zniknął zaraz po twoim urodzeniu. Był tajemniczy i uroczy, więc uznałam, że to jakiś włóczęga z kartoteką policyjną.

– *Calla!* – upomniała ją Persefona.

– Nie jest mi przykro – odparła Blue. Jak mogłoby być jej przykro z powodu przeszłości obcego człowieka? – Chciałam tylko znać fakty.

– Musisz być zawsze taka rozsądna? – Persefona pokręciła głową.

Blue wzruszyła ramionami.

– Co ci mówi ta świeca? – zapytała Callę.

Kobieta trzymała przedmiot w wyciągniętej ręce, przyglądając mu się spod przymrużonych powiek.

– To, że za jej pomocą rzucano zakęcie umożliwiające określanie położenia przedmiotów. Nic nadzwyczajnego.

Kiedy Calla grzebała dalej w rzeczach Neeve, Blue rozmyślała o tym, czego się właśnie dowiedziała o swoim ojcu, i odkryła, że wciąż darzy go nieuzasadnioną sympatią. Poza tym ucieszyła się, że był uroczym człowiekiem.

– Słyszałam, jak mama mówiła do Neeve, że poszukiwania miały polegać na wpisaniu jego nazwiska do wyszukiwarki.

– Myślę, że to prawda – przytaknęła Calla. – Kierowała nią czysta ciekawość. Nie usychała z tęsknoty za nim.

– Och – wymamrotała Persefona. – Nie byłabym tego taka pewna.

Blue nadstawiła uszu.

– Czekaj, myślisz, że moja matka jest wciąż zakochana w... czy on ma jakieś imię?

– Pieseczek – odparła Calla, a Persefona zachichotała, widocznie na wspomnienie Maury trafionej strzałą Amora.

– Nie wierzę, że mama kiedykolwiek mówiła do faceta „Pieseczku” – powiedziała Blue.

– Och, ależ tak. A także „Kochasiu”. – Calla podniosła pustą miskę. Na jej dnie był osad, jakby pozostałość po jakimś gęstym płynie. Na przykład puddingu. Albo krwi. – I jeszcze „Kabaczku”.

– Teraz to już *zmyślasz*.

Blue wstydziła się za swoją matkę.

Persefona, lekko zaczerwieniona od powstrzymywanego śmiechu, pokręciła głową. Z wężła na jej głowie wymknęły się grube pasma włosów i wyglądała teraz tak, jakby uciekła przed tornadem.

– Obawiam się, że nie.

– Dlaczego ktoś miałby w ogóle *nazywać* kogoś...

– Użyj wyobraźni – poradziła Calla, spoglądając na Blue spod wyjątkowo nastrozonych brwi, a Persefona zaczęła bezwiednie chichotać.

Blue założyła ręce.

– Och, naprawdę.

Jej powaga pozbawiła obie kobiety resztek opanowania. Śmiejąc się spazma-

tycznie, zaczęły wymieniać na przemian inne przezwiska, które Maura wymyśliła przed osiemnastu laty.

– Moje panie – powiedziała stanowczo Blue. – Zostało nam czterdzieści pięć minut. Calla, dotknij tego.

Wskazała na lustro. Uznała, że ze wszystkich dziwnych rzeczy w pokoju budziły największą grozę, a to wydawało się wystarczającym powodem do ich zbadania.

Powstrzymując śmiech, Calla podeszła do luster. Bezużyteczność dwóch lustrowanych powierzchni skierowanych na siebie nawzajem była dziwnie niepokojąca.

– Nie stawaj między nimi – ostrzegła Persefona.

– Nie jestem idiotką – odparowała Calla.

– Dlaczego ma tego nie robić? – zapytała Blue, zaciekawiona.

– Kto wie, do czego Neeve ich używa. Nie chcę, żeby moja dusza została zamknięta w butelce w jakimś innym wymiarze czy coś w tym rodzaju.

Calla chwyciła za brzeg lustra stojącego bliżej, ostrożnie, żeby w drugim lustrze nie pojawiło się jej odbicie. Marszcząc brwi, wyciągnęła rękę w kierunku Blue, która posłusznie podeszła i pozwoliła Calli przycisnąć palce do swojego ramienia.

Minęła chwila ciszy zakłócaną tylko brzęczeniem owadów za oknem.

– Nasza mała Neeve ma wielkie aspiracje – mruknęła wreszcie Calla, zaciskając palce jednocześnie na ramieniu Blue i na ramie lustra. – Wygląda na to, że obecna sława jej nie wystarcza. Programy telewizyjne są dla plebsu.

– Daruj sobie sarkazm, Calla – powiedziała Persefona. – Lepiej nam powiedz, co widzisz.

– Widzę, jak stoi między tymi lustrami w tej czarnej masce. To chyba jest gdzieś w jej domu, bo dostrzegam aż cztery lustra. Za tymi dwoma jeszcze dwa większe. Widzę cztery odbicia Neeve, ale każde jest inne. W jednym lustrze jest szczuplejsza. W drugim ubrana na czarno. W innym jej skóra wygląda tak, jakby była chora. Nie wiem, do czego ich potrzebuje... Może przedstawiają jakieś wersje... – Calla umilkła. Blue poczuła chłód na myśl o czterech różnych Neeve. – Podaj mi maskę. Nie, nie ty, Blue, ty tu zostań. Persefono?

Kobieta ostrożnie przyniosła maskę. Znowu zapadła cisza, kiedy Calla odczytywała przeszłość przedmiotu, zaciskając na nim dłonie, aż zbieleły jej palce.

– Była rozczarowana, kiedy to kupowała – powiedziała Calla. – Zdaje się, że któraś z jej książek miała złe recenzje. Albo któryś z programów. Nie. Widziała nakład albo wyniki oglądalności i one ją rozczarowały. Tak, widzę te liczby i ona właśnie o nich myśli, kiedy to kupuje. Porównywała się z Leilą Polotsky.

– Kto to jest? – zapytała Blue.

– Medium sławniejsze od Neeve – wyjaśniła Calla.

– Nie sądziłam, że to możliwe – zdziwiła się Blue.

Wydawało jej się, że program telewizyjny i cztery książki to sława przerastająca oczekiwania każdej wróżki na tym świecie pełnym niedowiarków.

– Och, to bardzo możliwe – powiedziała Calla. – Możesz zapytać Persefonę.

– No nie wiem – zawahała się wróżka.

Blue nie była pewna, czy Persefona wątpi w sławę, czy we własną znajomość tematu.

Calla ujawniała następne rewelacje.

– W każdym razie nasza Neeve marzy o tym, żeby podróżować po świecie i zdobyć uznanie. A ta maska pomaga jej to sobie zwizualizować.

– Co to ma wspólnego z jej przyjazdem tutaj?

– Jeszcze nie wiem. Potrzebuję jakiegoś odpowiedniejszego przedmiotu.

Calla puściła lustro i odwiesiła maskę na miejsce.

Dalej myszkowały po pokoju. Blue znalazła różgę zrobioną z trzech patyków przewiązanych czerwoną wstążką i czerwoną maskę, identyczną jak czarna. W pobliżu okna natknęła się na źródło obrzydliwego zapachu: płócienny woreczek z czymś zaszytym w środku.

Podawała śmierdzącą sakiewkę Calli, która pottrzymała ją przez chwilę.

– To właśnie jest asafetyda – powiedziała z lekceważeniem. – Zwykły amulet. Przestraszył ją jakiś sen, dlatego go zrobiła.

Persefona przykucnęła i zbliżyła dłonie do jednej z misek. Ten widok przypominał Blue Ganseya z ręką wyciągniętą nad sadzawką w Cableswater.

– Sporo w tym wszystkim niezdecydowania, prawda? – zauważyła Persefona.

– To właśnie wyczuwam. Może przyjechała, żeby pomóc Maurze, a potem dała się trochę ponieść magii Henrietty.

– Masz na myśli drogę umarłych? – zapytała Blue. – Przyłapałam ją raz w środku nocy na czytaniu z kałuży. Powiedziała, że dzięki drodze umarłych nietrudno tu zostać medium.

Calla uśmiechnęła się szyderczo, a potem wróciła do przeszukiwania rzeczy leżących przy łóżku.

– I tak, i nie – wyjaśniła Persefona. – Droga promieniuje energią, więc to tak, jakbyś cały czas była w pokoju do wróżenia. Ale z drugiej strony, to też trochę tak jak z tymi twoimi chłopakami. Jest dosyć głośno.

„Moimi chłopakami!” – pomyślała Blue i najpierw trochę się nadęła, potem uznała, że to jej pochlebia, a następnie znowu poczuła się urażona.

– Co tam znalazłaś? – zwróciła się Persefona do Calli, która stała teraz plecami do nich.

– Jedenaście miesięcy temu jakiś mężczyzna zadzwonił do Neeve i poprosił ją, żeby przyjechała do Henrietty w Wirginii. Chciał, żeby przy użyciu wszystkich dostępnych jej środków określiła przebieg linii mocy i położenie miejsca mocy, które według niego znajduje się gdzieś blisko, ale sam nie może go znaleźć. Powiedział, że pokryje wszystkie koszty jej pobytu w mieście. Odparła, że nie jest zainteresowana, ale potem doszła do wniosku, że mogłaby się rozejrzeć na własną rękę. Uznała, że Maura pozwoli jej się u siebie zatrzymać, jeśli zaproponuje jej pomoc w ustaleniu miejsca pobytu dawnego chłopaka.

Persefona i Blue były szczerze zaskoczone.

– To niesamowite! – wykrzyknęła dziewczyna.

Calla odwróciła się do nich i pomachała niewielkim notatnikiem.

– Znalazłam *kalendarzyk* Neeve.

– Ach, ta technologia – westchnęła Persefona. – Wydawało mi się, że słyszałam samochód. Zaraz wracam.

Kiedy Persefona schodziła po schodach, równie cicho jak po nich weszła, Blue

podeszła do Calli i zajrzała jej przez ramię, oparłszy na nim podbródek.

– Gdzie to wszystko jest napisane? – zapytała.

Calla przerzuciła kilka kartek pokrytych pismem Neeve i pokazała jej strony z przyziemnymi notatkami dotyczącymi spotkań, terminów wydania książek i umówionych lunchów. Potem wróciła do miejsca ze szczegółami rozmowy z mężczyzną z Henrietty. Wszystko było tak, jak powiedziała Calla, z jednym godnym uwagi wyjątkiem. Neeve zanotowała również nazwisko i numer telefonu mężczyzny.

Blue poczuła, że wszystkie mięśnie jej ciała wiotczeją.

Bo nazwisko człowieka, który zadzwonił do Neeve przed tyloma miesiącami, było dość osobliwe. Blue знаła je bardzo dobrze: Barrington Whelk.

Znowu usłyszały skrzypienie schodów i niewyraźne „ehm” Persefony.

– To nadal brzmi trochę złowieszczo – powiedziała Calla, odwracając się.

Persefona stała z dłońmi splecionymi przed sobą.

– Mam dwie złe wiadomości – zwróciła się do Blue. – Po pierwsze, twoi chłopcy z krukami tu są i zdaje się, że jeden z nich złamał sobie kciuk o pistolet.

Zza pleców Persefony dobiegło skrzypnięcie, jakby ktoś jeszcze wchodził po schodach. Blue i Calla wzdrygnęły się lekko, kiedy obok Persefony pojawiła się Neeve ze swoim uporczywym, niewzruszonym spojrzeniem.

– Po drugie – dodała Persefona – Neeve i Maura wróciły wcześniej.

Kuchnia była pełna ludzi. Nigdy nie wydawała się przestronna, a z trzema chłopcami, czterema kobietami i jedną Blue w środku miało się wrażenie, że nikt więcej by się tu nie zmieścił.

Adam był uprzejmy i pomógł Persefonie zrobić wszystkim herbatę, chociaż co chwilę musiał pytać: „Gdzie są kubki?”, „A łyżeczki?” i „A cukier?”. Ronan nie potrafił być taki opanowany. Chodził niespokojnie w tę i z powrotem i zajmował przestrzeń, której z powodzeniem wystarczyłoby dla trzech osób.

Z góry zeszła Orla, ciekawa plotek, ale tylko gapiała się na Ronana z takim zachwytem, że Calla wrzasnęła na nią, żeby sobie poszła i nie robiła tłoku.

Neeve i Gansey siedzieli przy stole. Adam i Ronan wyglądali dokładnie tak jak wtedy, kiedy Blue widziała ich ostatni raz, ale oczy Ganseya wydawały się zupełnie inne. Długo się zastanawiała, co takiego się w nich zmieniło, i wreszcie uznała, że są trochę bardziej błyszczące, a skóra wokół nich – napięta.

Gansey trzymał przed sobą wyciągniętą rękę. Jego kciuk był unieruchomiony.

– Czy ktoś mógłby mnie uwolnić od tej bransoletki? – poprosił z wymuszoną bezceremonialnością, roztaczając wokół siebie aurę męstwa, a zarazem budując napięcie. – Czuję się jak inwalida. Proszę.

– Widzisz, Blue? *Mówiłam* ci, żebyś nie chowała kciuka do środka, kiedy będziesz chciała komuś przyłożyć – zauważyła Persefona, podając mu nożyczki do przecięcia opaski na nadgarstku.

– Nie wspomniałaś, że mam uprzedzić o tym *jego* – odparowała Blue.

– W porządku – powiedziała Maura, stojąc w drzwiach i pocierając czoło opuszkami palców. – Nie ulega wątpliwości, że sporo się tu dzieje. Ciebie ktoś właśnie próbował zabić – to było do Ganseya. – Wy dwaj mówicie mi, że wasz przyjaciel został zamordowany przez człowieka, który właśnie próbował zabić jego – to było do Ronana i Adama. – Wy trzy mówicie mi, że Neeve odebrała telefon od mężczyzny, który zabił ich przyjaciela i właśnie próbował zabić Ganseya – to było do Blue, Persefony i Calli. – A ty mówisz mi, że nie kontaktowałaś się z nim od czasu tamtej rozmowy telefonicznej – ostatnie zdanie było skierowane do Neeve.

Choć Maura mówiła do wszystkich, oni przez cały czas patrzyli na jej przyrodną siostrę, która odparła:

– A ty pozwoliłaś im grzebać w moich rzeczach.

Blue spodziewała się, że jej matka okaże skruchę, tymczasem Maura sprawiała wrażenie, jakby jeszcze urosła.

– I jak widać, miałam powody. Nie mogę uwierzyć, że nie byłaś ze mną szczerą. Dlaczego po prostu nie powiedziałaś, że chcesz się zabawić na drodze umarłych? Myślałaś, że ci odmówię? Po co udawałaś, że tak bardzo się starasz...

Umilkła i popatrzyła na córkę.

– ...znaleźć Kabaczka – dokończyła Blue.

– O Boże – powiedziała Maura. – Calla, to twoja sprawa, prawda?

– Nie – zaprzeczyła Blue. Bardzo starała się nie myśleć o tym, że wszyscy

chłopcy patrzą teraz na nią. – Uważam, że ja też mam prawo się gniewać. Nie mogłaś mi po prostu powiedzieć, że prawie nie znałaś mojego ojca? I że kiedy się urodziłam, nie byliście małżeństwem? Dlaczego to jest taka wielka tajemnica?

– Kto mówi, że go prawie nie znałam? – odparła Maura bezbarwnym głosem, z wyrazem twarzy, którego Blue nie lubiła. Było w nim trochę za dużo emocji.

Blue popatrzyła na Persefonę.

– Nie sądzisz, że byłabym po prostu zadowolona, gdybym poznała prawdę? Nie *obchodzi* mnie, czy moim ojcem był próżniak zwany Kabaczkiem. W moim życiu to niczego nie zmienia.

– Kabaczek to chyba nie jest jego prawdziwe imię? – zapytał Gansey Adama przyciszonym głosem.

Przez panujący w kuchni gwar przebił się łagodny jak zawsze głos Neeve:

– Myślę, że to zbyt duże uproszczenie. *Staralam się* odnaleźć ojca Blue. Ale nie tylko *jego* szukałam.

– Więc po co to całe tajemnicze zachowanie? – warknęła Calla.

– To niebezpieczne sprawy. – Neeve spojrzała znacząco na unieruchomiony kciuk Ganseya. – Wy z pewnością także czujecie potrzebę zachowania tajemnicy, w przeciwnym razie podzieliłybyście się swoją wiedzą z Blue.

– Moja córka nie jest medium – powiedziała rzeczowo Maura. – To, czego jej nie przekazałyśmy, to głównie rzeczy, które mogłyby mieć znaczenie tylko dla kogoś, kto zajmuje się przepowiadaniem przyszłości albo czytaniem znaków na drodze umarłych.

– Ze mną też nie chciała się pani podzielić swoją wiedzą – wytknął jej Gansey, wpatrując się ze ściągniętymi brwiami w swój kciuk.

Nagle Blue zdała sobie sprawę, dlaczego jego oczy wyglądają inaczej. Na nosie miał okulary w dyskretnych drucianych oprawkach. Tego rodzaju szkielec łatwo nie zauważyć. Wydawał się w nich starszy i poważniejszy, zresztą może po prostu taki miał w tej chwili wyraz twarzy. Choć Blue nigdy, przenigdy by mu tego nie powiedziała, wołała takiego Ganseya od tamtego miotanego wiatrem, wyluzowanego przystojniaka.

– Kiedy stawialiście nam karty – ciągnął – i zapytałem o linię mocy, odmówiła mi pani informacji.

Teraz dopiero Maura wyglądała, jakby jej było głupio.

– Skąd miałam wiedzieć, co z nią zrobisz? I gdzie jest teraz ten człowiek? Barrington... ? Czy to jego *prawdziwe* nazwisko?

– Barrington Whelk – odpowiedzieli jednocześnie Adam i Ronan.

A potem spojrzeli na siebie, krzywiąc się.

– Kiedy byłem w szpitalu, policjanci mówili, że go szukają. Policja w Henriecie i policja stanowa – wyjaśnił Gansey. – Ale nie znaleźli go w domu i wyglądało to tak, jakby był spakowany.

– Czyli można chyba powiedzieć, że ukrywa się przed organami ścigania – podsumował Ronan.

– Myślisz, że nadal się tobą interesuje? – zapytała Ganseya Maura.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek go interesował. Ani żeby działał według pla-

nu. Po prostu chciał dostać dziennik. Szuka Glendowera.

– Ale on chyba nie wie, gdzie jest Król Kruków?

– *Nikt* tego nie wie – odparł Gansey. – Mam w Wielkiej Brytanii kolegę – Roman parsknął, słysząc słowo „kolega”, ale Gansey mówił dalej – który opowiadał mi o rytuałach. Whelk do czegoś podobnego wykorzystał Noaha. Niewykluczone, że spróbuje tego ponownie, w innym miejscu. Takim jak Cableswater.

– Myślę, że powinniśmy ją obudzić – powiedziała cicho Neeve.

Znowu wszystkie oczy zwróciły się na nią. Wydawała się nieporuszona – uosobienie spokoju z dłońmi splecionymi na piersiach.

– Słucham?! – wykrzyknęła Calla. – Wydawało mi się, czy przed chwilą słyszałam, że to wymaga trupa?

Neeve przekrzywiła głowę.

– Niekoniecznie. Złożenie ofiary nie musi przecież oznaczać zabijania.

Gansey nie wyglądał na przekonanego.

– Nawet jeśli to prawda, Cableswater jest dość dziwnym miejscem. Co zacznie się dziać na linii mocy, jeżeli uda nam się ją obudzić?

– Nie wiem. Ale już teraz mogę wam powiedzieć, że ktoś ją obudzi – oznajmiła Neeve. – Nie potrzebuję mojej miski, żeby to przewidzieć. Czyżbyś się ze mną nie zgadzała? – zwróciła się do Persefony.

Wróżka trzymała kubek przed nosem, zasłaniając nim usta.

– Ależ skąd, ja również to widzę. Ktoś bez wątplenia *obudzi* linię mocy w ciągu najbliższych kilku dni.

– I wiercie mi, nie chcecie, żeby to był pan Whelk – ciągnęła Neeve. – Ktokolwiek obudzi drogę umarłych, będzie mógł liczyć na nagrodę. Zarówno ten, kto złoży ofiarę, jak i ten, kto zostanie złożony w ofierze.

– Nagrodę? – przerwała Blue. – Noah jakoś mi nie wygląda na szczęściarza.

– Z tego, co tu słyszę, był fizycznie obecny w mieszkaniu tych chłopców – zauważyła Neeve. – To brzmi jak coś znacznie lepszego od tradycyjnej egzystencji duchów.

Ja bym to uznała za dar.

Gansey w zamyśleniu przesunął palcem po wardze.

– Nie jestem tego pewien – powiedział. – Dar, który otrzymał Noah, jest powiązany z linią mocy, prawda? Odkąd jego ciało zostało z niej zabrane, on sam jest znacznie mniej... obecny. Gdyby ktoś z nas przeprowadził rytuał, czy my też zostalibyśmy powiązani z linią mocy w taki sposób? Nawet zakładając, że ta ofiara nie wymagałaby niczyjej śmierci? Zbyt wiele tu niewiadomych. Rozsądniejsze wydaje się *powstrzymanie* Whelka od prób powtórzenia rytuału. Moglibyśmy po prostu podać policji współrzędne Cableswater.

– Nie!

Neeve i Maura zaprotestowały równocześnie, jednak ciotka Neeve z większym dramatyzmem, zrywając się z krzesła.

– Myślałam, że byliście w Cableswater – dodała.

– Byliśmy.

– Nie czuliście magii tego lasu? Chcecie, żeby został zniszczony? Ilu ludzi ma go zobaczyć? Czy Cableswater wygląda jak miejsce, któremu nie zaszkodzą tłumy tu-

rystów? Ono jest... *święte*.

– Ja też nie mam ochoty wysyłać do Cableswater policji – przyznał Gansey. – Ale zamiast budzić linię mocy, wolałbym raczej dowiedzieć się więcej o tym miejscu, a potem znaleźć Glendowera.

– A co z Whelkiem? – zapytała Maura.

– Nie wiem – przyznał. – Po prostu nie mam ochoty zawracać sobie nim głowy.

Kilka zrozpaczonych twarzy zwróciło się równocześnie w jego stronę.

– No cóż, to, że ty nie chcesz zawracać sobie nim głowy, nie spowoduje, że on sobie odpuści – stwierdziła rzeczowo Maura.

– Nie powiedziałem, że sądzę, iż Whelk da sobie spokój – odparł Gansey, nie odrywając wzroku od swojego unieruchomionego palca. – Powiedziałem tylko, że nie chcę zawracać sobie nim głowy.

Ale zdawał sobie sprawę, że to naiwna odpowiedź.

– Wracam do Cableswater. Zabrał mi dziennik, ale nie pozwolę, żeby odebrał mi też Glendowera. Nie przestanę go szukać tylko dlatego, że on go szuka. I mam zamiar przywrócić Noahowi jego dawną postać. Znajdę sposób.

Blue spojrzała na matkę, która przyglądała się Ganseyowi z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Pomogę ci – zdecydowała.

Już czuję się winny – powiedział Ronan, zaciągając gwałtownie hamulec ręczny. – Wszędzie dobrze, tylko w domu do dupy.

W ciemności podwójny dom mobilny Parrishów wyglądał jak ponure, szare pudełko z dwoma oświetlonymi otworami. Jakaś postać w kuchennym oknie odsunęła firankę, żeby zerknąć na bmw. Ronan i Adam byli sami. Gansey przyjechał na Fox Way swoim camaro, a potem wrócił nim do Monmouth. Nikt nie miał o to do niego pretensji. Adam i Ronan aktualnie nie prowadzili żadnej wojny, a obaj byli zbyt wstrząśnięci wydarzeniami tego dnia, żeby rozpocząć nową.

Adam sięgnął na tylne siedzenie po swoją torbę kurierską, jedyny prezent, który kiedykolwiek przyjął od Ganseya, i to tylko dlatego, że bardzo jej potrzebował.

– Dzięki za podwiezienie.

Do postaci w oknie dołączyła druga – pan Parrish. Adam poczuł klucie w żołądku. Zaciśnął palce na pasku torby, ale nie wysiadał.

– Człowieku, nie musisz tam iść – odezwał się Ronan.

Adam nie odpowiedział. To mu nie ułatwiało sprawy.

– Nie masz jakichś lekcji do odrobienia? – zapytał w końcu.

Ale Ronan był ekspertem od ironicznych uwag i żadne docinki nie robiły na nim wrażenia. Jego okrutny uśmiech błysnął w blasku deski rozdzielczej.

– Tak, Parrish. Myślę, że mam.

Adam nie wysiadał. Nie podobało mu się wzburzenie, które zauważył u ojca. Ale przesiadywanie w samochodzie – szczególnie w tym samochodzie, który aż krzyczał, że należy do ucznia Aglionby – też było niemądre. Ojciec zarzuci mu afiszowanie się znajomościami.

– Myślisz, że zdążą aresztować Whelka przed lekcją łaciny? – zapytał Ronan.

– Bo jeśli tak, to nie warto czytać lektury.

– Nawet jeżeli pojawi się w klasie – odparł Adam – to wydaje mi się, że lektura będzie jego najmniejszym zmartwieniem.

Zapadła cisza.

– Muszę nakarmić ptaka – westchnął w końcu Ronan. Ale tylko popatrzył w roztargnieniu na dźwignię zmiany biegów. – Wciąż myślę o tym, że Whelk mógł dzisiaj zastrzelić Ganseya – powiedział.

Adam nie pozwolił sobie na roztrząsanie tej możliwości. Za każdym razem, kiedy jego myśli do tego wracały, czuł, że otwiera się w nim jakaś ciemna otchłań o ostrych krawędziach. Nie potrafił już sobie przypomnieć, jak wyglądało jego życie przed pojawieniem się Ganseya. Szczątkowe wspomnienia z tamtego okresu mówiły, że było trudne, samotne i obfitujące w wieczory spędzone na schodach mobilnego domu. Przesiadywał na nich do późna, przełykając łzy i zastanawiając się, po co się przejmuje. Był wtedy młodszy, choć od tamtego czasu minęło zaledwie półtora roku.

– Ale nie zastrzelił.

– Tak – odparł Ronan.

– Całe szczęście, że nauczyłeś go tego sierpowego.

- Najwyraźniej jest mało pojętny, skoro sobie złamał kciuk.
 - To cały Gansey. Próbuje tylko wyglądać na kompetentnego.
 - Frajer – podsumował krótko Ronan, który nagle znowu był sobą.
- Adam pokiwał głową, zbierając się do wyjścia.
- Do jutra. Jeszcze raz dzięki.

Ronan odwrócił wzrok w stronę ciemnych pól. Bębnił palcami o kierownicę. Coś go nękało, ale jak zwykle w jego przypadku trudno było powiedzieć, czy nadal chodzi o Whelka, czy tym razem o coś zupełnie innego.

- Żaden problem, człowieku. Do jutra.

Adam westchnął i wysiadł. Stuknął pięścią w dach samochodu i Ronan powoli odjechał. Gwiazdy nad głową Adama świeciły jasno i wyraźnie.

Kiedy pokonał trzy stopnie prowadzące do domu, drzwi wejściowe otworzyły się, rzucając na jego nogi snop światła. Ojciec stał w otwartych drzwiach, mierząc go wzrokiem.

- Cześć, tato.

– Nie podlizuj się. – Już był nakręcony. Czuć było od niego papierosami, chociaż nie palił. – O której to się wraca do domu? Myślisz, że ukryjesz swoje kłamstewka?

- Co? – zapytał Adam ostrożnie.

– Matka była dzisiaj w twoim pokoju i coś tam znalazła. Domyślasz się, co to może być?

Kolana Adama powoli stawały się miękkie. Bardzo starał się ukrywać swoje szkolne życie przed ojcem i przyszła mu do głowy niejedna rzecz, która na pewno by go nie zachwyciła.

Niepewność była prawdziwą męczarnią. Bał się spojrzeć ojcu w oczy.

Robert Parrish złapał syna za kołnierz, zmuszając go do podniesienia głowy.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię. Pasek płacowy. Z fabryki.

„Och”.

„Myśl, Adam. Co on powinien usłyszeć?”.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś zły – powiedział wreszcie.

Ze wszystkich sił starał się panować nad głosem, ale teraz, kiedy już wiedział, że chodzi o pieniądze, nie miał pojęcia, jak się z tego wywinąć.

Ojciec przyciągnął go do siebie. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Adam nie tylko słyszał, ale i czuł jego słowa.

- Okłamałeś matkę, kiedy pytała, ile zarabiasz.

- Nie okłamałem.

To był błąd i Adam zdał sobie z tego sprawę już w chwili, gdy te słowa wyszły z jego ust.

- *Nie kłam!* – krzyknął ojciec.

Choć Adam był na to przygotowany, nie zdążył zasłonić twarzy.

Miał wrażenie, że usłyszał odgłos uderzenia, ale go nie poczuł. Dobiegło go coś w rodzaju stuknięcia młotka trafiającego w gwóźdź. Usiłował odzyskać równowagę i utrzymać się na nogach, ale stopa zsunęła mu się ze stopnia, a ojciec pozwolił mu upaść.

Uderzając głową o poręcz, zobaczył prawdziwą eksplozję światła. W ciągu jed-

nej chwili przekonał się, ile barw składa się na kolor biały.

Coś syczało mu wewnątrz czaszki.

W jego pamięci powstała biała plama, wymazując sekundę, która upłynęła między uderzeniem o poręcz a upadkiem. Na twarzy i w ustach miał ziemię. Usiłował przypomnieć sobie podstawowe czynności: oddech, otwarcie oczu, znowu oddech.

– Daj spokój – powiedział jego ojciec zmęczonym głosem. – Wstawaj. No już.

Adam powoli uniósł się na dłoniach i kolanach. Zatoczył się do tyłu, próbując uklęknąć. W uszach mu dzwoniło bez końca. Czekał, aż przestanie. Ale teraz słyszał tylko narastający świst.

W połowie drogi na osiedle rozbłysły światła stopu.

„Po prostu jedź, Ronan”.

– Nie ze mną te numery! – warknął Robert Parrish. – Nie myśl sobie, że jak się rzucisz na ziemię, to ci się upiecze. Wiem, kiedy udajesz. Nie jestem głupi. Zarabiasz tyle kasy, a wyrzucasz wszystko na tę cholerną szkołę! Mało razy słyszałeś o rachunkach za prąd, za telefon?

Ojciec bynajmniej nie skończył. Adam poznawał to po tym, w jaki sposób odpychał się stopami od krawędzi stopni, kiedy schodził po schodach, po nachyleniu jego ciała. Adam przyciągnął łokcie do siebie i pochylił głowę w nadziei, że dzwonięcie w uszach ustanie. Teraz musiał znaleźć się w głowie ojca, odszukać słowa, które rozładują sytuację.

Ale nie miał pojęcia, co by to mogło być. Jego myśli rozbijały się z hukiem o ziemię w rytmie uderzeń serca. Lewe ucho ćmiło i sprawiało ogromny ból. Było tak gorące, że wydawało się mokre.

– Okłamałeś nas – warknął ojciec. – Powiedziałeś, że szkoła płaci za twoją naukę. Nie przyznałeś się, że zarabiasz... – Zamilkł, wydobywając z kieszeni koszuli zmięty kawałek papieru. Potrząsnął nim. – Osiemnaście tysięcy czterysta dwadzieścia trzy dolary rocznie!

Adam ciężko dyszał.

– Co to ma być?!

Ojciec podszedł bliżej. Chwycił Adama za kołnierz i podciągnął go do góry z taką łatwością, jakby podnosił psa. Adam ledwo się trzymał na nogach. Ziemia gdzieś umykała, czuł, że się zatacza. Walczył, żeby odnaleźć właściwe słowa, miał wrażenie, że coś zostało w nim połamane na kawałki.

– Częściowo – wydyszał Adam. – Mam częściowe stypendium.

Ojciec wrzasnął coś jeszcze do jego lewego ucha, ale z tamtej strony dobiegał tylko świst.

– *Nie olewaj mnie* – warknął. A potem odwrócił się i zawołał: – A ty czego tu szukasz?

– A tego – mruknął Ronan Lynch i przyłożył Robertowi Parrishowi pięścią w twarz.

Za jego plecami stało bmw z otwartymi drzwiami.

Reflektory samochodu oświetlały tumany piachu.

„Ronan” – powiedział Adam. A może tylko to pomyślał. Teraz, kiedy ojciec go nie trzymał, słaniał się na nogach.

Robert Parrish chwycił Ronana za koszulę i pchnął z całej siły. Ale chłopak już

po chwili stanął na nogi, a jego kolano bez trudu odnalazło brzuch Roberta Parrisha. Ojciec Adama, zgięty w pół, wyciągnął rękę w stronę napastnika. Jego palce zsunęły się bezsilnie po ogolonej głowie Ronana, odpychając go na ułamek sekundy. Wtedy Parrish uderzył czaszką w twarz Lyncha.

Adam pochwycił prawym uchem wołanie matki, żeby przestali. Trzymała w ręce telefon i machała nim do Ronana, jakby to go miało powstrzymać. Ale tylko jedna osoba na świecie mogła powstrzymać Ronana Lyncha, a matka Adama nie znała jej numeru.

– Ronan – powiedział Adam i tym razem był pewien, że mówi głośno, choć nie poznawał własnego głosu. Czuł się tak, jakby był owinięty watą.

Zrobił krok, a ziemia całkowicie usunęła mu się spod nóg. „Wstawaj”. Rozejrzał się na czworakach. Niebo wyglądało tak samo jak ziemia. Poczul zupełną bezsilność. Nie mógł wstać. Mógł tylko patrzeć, jak dwa metry dalej jego przyjaciel mocuje się z jego ojcem. Był oczami pozbawionymi ciała.

To była brudna walka. W pewnym momencie Ronan upadł, a Robert Parrish z całej siły kopnął go w twarz. Chłopak uniósł instynktownie ramiona, żeby się zasłonić. Parrish rzucił się, żeby je złapać. Ręka Ronana zaatakowała błyskawicznie jak wąż, pociągając przeciwnika na ziemię.

Do Adama docierały jedynie przebłyski: ojciec i Ronan kotłują się, ciągną, okładają pięściami. Nagle od ścian domu odbiły się czerwone i niebieskie światła, na sekundę oświetliły pola. Gliny.

Matka wciąż wrzeszczała.

Wszędzie panował hałas. Adam wiedział, że musi odzyskać zdolność chodzenia i myślenia, żeby powstrzymać Ronana, zanim stanie się coś okropnego.

– Synu... – Obok klęczał policjant. Pachniał jałowcem. Adam pomyślał, że może się nim udławił. – Nic ci nie jest?

Wsparty na ramieniu policjanta, Adam stanął chwiejnie na nogach. W tym czasie inny funkcjonariusz odciągał Ronana od Roberta Parrisha.

– Nic mi nie jest – powiedział Adam.

Policjant puścił jego rękę i zaraz z powrotem ją złapał.

– Akurat! Piłeś?

Ronan musiał usłyszeć to pytanie, bo wyrzucił z siebie liczne wulgaryzmy, a także frazę: „daje mu pierdol”.

Obraz przed oczami Adama przesuwiał się i wyostrzał na przemian. Gdzieś mięgnęła mu niewyraźnie postać Ronana.

– Czy oni go skuli? – zapytał zbulwersowany.

„To niemożliwe. On nie może przeze mnie iść do więzienia”.

– Piłeś? – powtórzył gliniarz.

– Nie – odpowiedział Adam. Wciąż nie mógł utrzymać się na nogach. Ziemia chwiała się i osuwała przy każdym ruchu głowy. Wiedział, że wygląda, jakby był pijany. Musiał się pozbierać. Jeszcze tego popołudnia dotykał twarzy Blue, czuł się tak, jakby wszystko było możliwe, jakby świat stał przed nim otworem. Próbował uczepić się tego uczucia, ale teraz wydawało mu się zupełnie nieprzekonujące. – Nie...

– Co „nie”?

„Nie słyszę na lewe ucho” – pomyślał Adam.

Matka stała na werandzie, obserwując scenę spod zmrużonych powiek. Chłopak dobrze wiedział, o czym myśli, rozmawiali o tym tyle razy: „Nic nie mów, Adam. Powiedz im, że się przewróciłeś. To właściwie była trochę twoja wina, prawda? Niech to zostanie w rodzinie”.

Gdyby doniósł na ojca, jego życie ległoby w gruzach. Gdyby doniósł na ojca, matka nigdy by mu nie wybaczyła. Gdyby doniósł na ojca, już nigdy nie mógłby wrócić do rodzinnego domu.

Tymczasem jeden z policjantów położył rękę na głowie Ronana, żeby wepchnąć go do samochodu.

Nawet jednym uchem Adam wyraźnie słyszał, co mówi jego przyjaciel.

– Powiedziałem, że *sam* wsiadę, człowieku. Myślisz, że nigdy nie byłem w radiowozie?

Adam nie mógł przeprowadzić się do Ganseya. Tak ciężko pracował na to, żeby kiedyś móc wyprowadzić się z domu na własnych zasadach. Nie Roberta Parrisha, nie Richarda Ganseya.

Albo na zasadach Adama Parrisha, albo wcale.

Dotknął lewego ucha. Skóra dookoła niego była gorąca i piekła. Nie słyszał, jak jego palec przesuwają się po małżowinie, więc miał wrażenie, że tylko wyobraża sobie dotyk. Świst ucichł i teraz nie słyszał... nic. Zupełnie nic.

„Nie wyprowadzisz się z powodu własnej dumy?” – zapytał go Gansey.

– Ronan mnie bronił. – Usta Adama były suche jak ziemia pod jego stopami. Wyraz twarzy policjanta był coraz bardziej skupiony. – Przed moim ojcem. To wszystko... to on mnie pobił. Moja twarz i moje...

Matka wpatrywała się w niego.

Zamknął oczy. Nie mógł znieść jej spojrzenia. Nawet z zamkniętymi oczami czuł, jakby się przewracał, jakby horyzont się kołysał, jakby głowa mu się przekrzywiała. Ogarnęło go przerażające uczucie, że ojciec zdołał jednym uderzeniem zniszczyć w nim coś bardzo ważnego.

I wtedy powiedział to, czego nie mógł powiedzieć wcześniej:

– Czy... czy mogę wnieść zarzuty?

Whelk tęsknił za dobrym jedzeniem z czasów, kiedy był bogaty.

Żadne z jego rodziców nie gotowało; kiedy przyjeżdżał do domu z Aglionby, codziennie jadł obiad przyrządzony przez ich kucharkę. Carrie, bo tak miała na imię, była wylewną, choć przerażającą kobietą, która uwielbiała siekać różne rzeczy nożem. Boże, jak on tęsknił za jej pysznym *guacamole*⁴.

W tej chwili siedział na krawężniku zamkniętej już stacji benzynowej i jadł zeschniętego hamburgera kupionego w fast foodzie kilka kilometrów dalej. Był to jego pierwszy hamburger od siedmiu lat. Nie wiedział, z jaką intensywnością gliny szukał jego samochodu, więc na wszelki wypadek zaparkował poza zasięgiem światła latarni i wrócił na krawężnik, żeby zjeść.

Przeżuwając, obmyślał plan. Stwierdził, że musi odzyskać siły, więc postanowił zdrzemnąć się na tylnym siedzeniu samochodu, a rano zdecydować co dalej. To nie wystarczyło, żeby dodać mu otuchy i poprawić nastrój. Doszedł do wniosku, że powinien być po prostu uprowadzić Ganseya, ale wymagałoby to znacznie więcej czasu niż napad z bronią w rękę; zresztą, wychodząc z domu, nie był przygotowany na zamykanie ludzi w bagażniku. Po prostu skorzystał z okazji, kiedy Ganseya ze psuł się samochód. Gdyby wcześniej o tym pomyślał, mógłby wykorzystać chłopaka do przeprowadzenia rytuału, kiedy już odnajdzie serce linii mocy.

Tylko że Gansey to najgorszy wybór. Na jego mordercę urządzono by gigantyczną obławę. Tak naprawdę lepszy byłby Parrish. Nikt nie szukałby dzieciaka, który urodził się w przyczepie. Ale – on przynajmniej zawsze oddawał zadania domowe w terminie.

Przygnębiony Whelk odgryzł kolejny kęs wstrętnego hamburgera. Nie poczuł się przez to ani trochę lepiej.

Gdzieś obok rozdzwonił się automat telefoniczny. Whelk nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest w pobliżu telefon. Właściwie sądził, że komórki już dawno wyparły automaty. Na parkingu stał tylko jeden samochód poza jego własnym. Był pusty, a sflaczała opona wskazywała na to, że postój się przeciągnie.

Whelk czekał z niepokojem. Telefon zadzwonił dwanaście razy, ale nikt się nie pojawił. Kiedy wreszcie ucichł, Barrington odetchnął z ulgą, jednak i tak nie mógł usiedzieć w miejscu. Zawinął w papier niedojedzonego hamburgera i wstał.

Telefon znowu zaczął dzwonić.

Dzwonił przez cały czas, kiedy Whelk szedł w kierunku kosza na śmieci po drugiej stronie wejścia na stację benzynową („Zapraszamy, otwarte!”, kłamała obracana tabliczka na drzwiach) i wtedy, kiedy wracał do krawężnika, żeby podnieść frytkę, której wcześniej nie zauważył. Nie przestał dzwonić nawet wówczas, gdy Whelk ruszył do samochodu.

Łacinnik nie miał skłonności do altruizmu, ale przyszło mu do głowy, że dzwoniącemu wyjątkowo zależy na tym, żeby się z kimś skontaktować. Wrócił do automatu – który nadal dzwonił staromodnym dzwonkiem, jakich już się nie spotyka – i podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– Panie Whelk – powiedziała łagodnie Neeve. – Mam nadzieję, że miło spędza pan wieczór.

Mężczyzna zacisnął palce na słuchawce.

– Skąd pani wiedziała, jak się ze mną skontaktować?

– Liczby to dla mnie żaden problem, panie Whelk. Nietrudno pana znaleźć.

Mam też kilka pańskich włosów.

Głos Neeve brzmiał zarazem słodko i upiornie. „Nie znam nikogo innego – pomyślał Whelk – kto mówiłby w sposób tak bardzo przypominający nagrania w automatycznych centralach telefonicznych”.

– Dlaczego pani do mnie dzwoni?

– Dobrze się składa, że pan pyta. Kontaktuję się z panem w sprawie, o której rozmawialiśmy ostatnim razem.

– Wtedy nie była pani zainteresowana moją propozycją – odparł Whelk.

Nie mógł przestać myśleć o tym, że ta kobieta ma jego włos. Z przerażeniem wyobraził sobie, jak powolnym, miękkim krokiem przechadza się po jego ciemnym, opuszczonym mieszkaniu. Stanął plecami do stacji benzynowej i popatrzył w noc. Niewykluczone, że gdzieś tu jest, może go śledziła i stąd wiedziała, gdzie zadzwonić. Ale zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Skontaktował się z nią, bo był przeświadczony, że jej zdolności są prawdziwe. Na czymkolwiek miałyby polegać.

– Jeśli chodzi o pana propozycję – powiedziała Neeve – zmieniłam zdanie.

Hej, Parrish – powiedział Gansey.

Camaro stał w cieniu przy chodniku, tuż przed szklanymi drzwiami szpitala. Przed pojawieniem się Adama Gansey obserwował, jak otwierają się i zamykają za niewidocznymi pacjentami. Wsiadający do samochodu Adam wydał mu się dziwnie niepoobijany. Zwykle po potyczkach z ojcem był posiniaczony i pokaleczony, tym razem rzucało się w oczy jedynie zaczerwienienie jednego ucha.

– Powiedzieli, że nie jesteś ubezpieczony – zaczął Gansey. Przekazali mu też, że Adam prawdopodobnie już nigdy nie będzie słyszał na lewe ucho. Najtrudniejsze do zaakceptowania było to, że tym razem jego okaleczenie okazało się trwałe, choć niewidoczne. Gansey czekał, aż Adam powie, że zwróci mu koszty. Ale przyjaciel tylko obracał szpitalną bransoletkę na nadgarstku. – Zająłem się tym – dodał Gansey ostrożnie.

W tym miejscu Adam zawsze coś mówił. Zawsze się wściekał. Warczał: „Nie chcę twoich cholernych pieniędzy, Gansey. Nie możesz mnie sobie kupić”. Ale teraz tylko obracał papierową bransoletkę w tę i z powrotem, bez ustanku.

– Wygrałeś – powiedział wreszcie zmęczonym głosem. Przeczesał ręką nierówno obcięte włosy. – Jedźmy po moje rzeczy.

Gansey już miał zapalić silnik, ale nagle cofnął rękę od kluczyka.

– Niczego nie wygrałem. Myślisz, że chciałem, żeby tak się stało?

– Tak – odparł Adam. Nie patrzył na niego. – Tak właśnie myślę.

Ból i złość Ganseya toczyły ze sobą walkę na śmierć i życie.

– Nie bądź dupkiem.

Adam ciągle skubał nierówne łączenie bransoletki.

– Ja tylko mówię, że teraz możesz powiedzieć: „A nie mówiłem”. I dodać: „Trzeba było już dawno się wyprowadzić”.

– A czy kiedykolwiek tak powiedziałem? Dlaczego się zachowujesz tak, jakby to był koniec świata?

– Bo to jest koniec świata.

Między nimi a szpitalnymi drzwiami zatrzymała się karetka. Nie jechała na sygnale, ale sanitariusze wyskoczyli z szoferki i pobiegli zająć się jakimś cichym nagłym wypadkiem. Gansey czuł, że pod mostkiem coś rozgrzało mu się do czerwoności.

– Wyprowadzenie się z domu twojego ojca to koniec świata?

– Wiesz, czego chciałem – odparł Adam. – Wiesz, że nie tak to miało wyglądać.

– Zachowujesz się tak, jakby to była moja wina.

– Powiedz, że jest ci przykro, że tak to się skończyło.

Nie miał zamiaru kłamać. Jasne, że chciał, żeby Adam wyniósł się z domu. Ale nigdy nie życzył mu, żeby z tego powodu cierpiał. Nigdy nie życzył mu, żeby musiał uciekać, zamiast triumfalnie stamtąd wymaszerować. W szczególności zaś nie chciał, żeby Adam patrzył na niego w taki sposób. Więc jego odpowiedź była szczera.

– Jest mi przykro, że tak to się skończyło.

– Tak czy owak – odpalił Adam – chciałeś, żebym się wyprowadził na dobre.

Gansey pogardzał krzykiem (zawsze, kiedy miał ochotę podnieść głos, słyszał swoją matkę: „Krzyczą tylko ludzie, którzy mają zbyt ubogie słownictwo, żeby szeptać”), ale czuł, że traci nad sobą kontrolę. Z wysiłkiem się opanował.

– Nie chciałem, żeby to się odbyło w ten sposób. Ale przynajmniej masz dokąd iść. Koniec świata... W czym *problem*, Adam? Moje mieszkanie napawa cię aż taką odrazą? Dlaczego każdą uprzejmość z mojej strony uważasz za przejaw litości? Wszystko jest według ciebie jałmużną. Mam *dość* chodzenia na paluszkach wokół twoich zasad.

– A ja mam dość tej twojej protekcjonalności, Gansey – powiedział Adam. – Nie rób ze mnie kretyna. Kto rzuca tekstami w stylu „napawać odrazą”? Robisz to tylko po to, żebym poczuł się głupi.

– Taki mam sposób mówienia. Przykro mi, że tatuś nie powiedział ci, co znaczy „napawać odrazą”. Może był zbyt zajęty rozwalaniem ci łba o ścianę przyczepy, kiedy ty przepraszałeś, że żyjesz.

Obaj wstrzymali oddech.

Gansey wiedział, że posunął się za daleko. Posunął się za daleko, zreflektował się za późno, powiedział za dużo.

Adam otworzył drzwi.

– Pieprz się, Gansey. Pieprz się – rzucił cicho, z furją.

Gansey zamknął oczy.

Adam trzasnął drzwiami – dwukrotnie, bo za pierwszym razem się nie domknęły.

Gansey nie otwierał oczu. Nie chciał patrzeć na to, co robi Adam. Nie chciał oglądać ludzi, którzy patrzą, jak jakiś gość kłóci się z chłopakiem w swetrze Aglionby w jaskrawopomarańczowym camaro. W tamtej chwili nienawidził swojego mundurka z krukiem, swojego krzykliwego samochodu, wszystkich trzy- i czterosylabowych słów, których jego rodzice używali przy obiedzie; nienawidził odrażającego ojca Adama, jego uległej matki, a ponad wszystko – najbardziej ze wszystkiego – nienawidził brzmienia ostatnich słów Adama, które cały czas dźwięczały mu głowie.

Nie mógł tego znieść, tych wszystkich emocji, które się w nim kłębiły.

Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że jest nikim. I dla Adama, i dla Ronana. Adam wyładował na nim całą swoją frustrację, a Ronan zmarnował wszystkie ostatnie szanse, jakie dostał. Gansey był po prostu bogatym gościem, w którego wnętrzu ziele pustka i z roku na rok pochłania po kawałku jego serce.

Zawsze go zostawiali. Jednak on nigdy nie potrafił zostawić ich.

Otworzył oczy. Karetka stała tam, gdzie poprzednio, ale Adama nie było.

Odnalazł go dopiero po dłuższej chwili. Przeszedł już kilkaset metrów parkingu, kierował się w stronę drogi. W ślad za nim podążał jego mały, niebieskawy cień.

Gansey wychylił się, żeby odsunąć szybę po stronie pasażera, i zapalił silnik. Zanim okrążył zatoczkę dla karetek i wyjechał na parking, Adam dotarł do nowiutkiej czteropasmowej autostrady biegnącej obok szpitala. Pomimo ruchu Gansey prawie zatrzymał się przy krawędzi jezdni, obok Adama idącego poboczem. Jadące prawym pasem samochody wyprzedzały go, trąbiąc.

– Dokąd idziesz, Adam? – zawołał. – Gdzie chcesz się dostać?

Chłopak oczywiście zauważył Ganseya – camaro robił więcej hałasu niż inne samochody – ale szedł dalej.

– Adam – powtórzył Gansey. – Powiedz, że tam nie wracasz.

Nic.

– Przecież nie musisz mieszkać w Monmouth – spróbował Gansey po raz trzeci. – Przynajmniej pozwól mi się zawieźć tam, dokąd idziesz.

„Proszę, po prostu wsiądź”.

Wreszcie Adam się zatrzymał. Z wściekłością wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiami. Potem jeszcze dwa razy, żeby się zamknęły. Milczeli, kiedy Gansey włączył się do ruchu. Słowa cisnęły mu się na usta, błagały, żeby je wypowiedzieć, ale on uparcie milczał.

Wreszcie odezwał się Adam.

– Nieważne, jak to nazwiesz – powiedział, nie patrząc na niego. – Do tego właśnie zmierzałeś. Wreszcie masz wszystko pod ręką. Całą swoją własność zgromadziłeś tam, gdzie możesz ją mieć na oku...

Ale potem umilkł. Opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Zbielałymi palcami mierzwił włosy nad uszami.

Nabrał powietrza z rwącym się jękiem kogoś, kto powstrzymuje płacz.

Gansey myślał o stu rzeczach, które mógłby powiedzieć Adamowi: że wszystko będzie dobrze, że tak będzie najlepiej, że zanim Adam Parrish poznał Ganseya, należał tylko do siebie samego i zwykła zmiana adresu tego nie zmienia, że czasami Gansey marzy o tym, żeby być na jego miejscu, mieć w sobie jego szczerość i autentyzm. Ale słowa Ganseya posiadały niezrozumiałą moc stawania się śmiercionośną bronią. Nie miał do siebie zaufania, bał się ryzykować, że znowu kogoś zrani.

Pojechali więc w milczeniu po rzeczy Adama, a kiedy, odprowadzani spojrzeniem siedzącej w kuchennym oknie pani Parrish, po raz ostatni opuszczali osiedle mobilnych domów, Adam nie obejrzał się za siebie.

Kiedy Blue przyjechała tego popołudnia do Mon mouth Manufacturing, sądziła, że nikogo nie zastała. Na parkingu nie było ani jednego samochodu, a cały budynek wydawał się przygnębiająco osamotniony. Próbowwała sobie wyobrazić, że jest Ganseyem: widzi ten magazyn po raz pierwszy i dochodzi do wniosku, że to świetne miejsce do zamieszkania. Nie potrafiła. Podobnie jak nie umiała sobie wyobrazić, że ktoś mógł zobaczyć Świnie i dojść do wniosku, że to znakomity samochód, albo spojrzeć na Ronana i pomyśleć, że dobrze byłoby się z nim zaprzyjaźnić. A jednak te decyzje okazały się trafne, bo mieszkanie uwielbiała, Ronan zaczynał jej się podobać, a samochód...

Cóż, nie musiała darzyć go uczuciem.

Blue zapukała do drzwi budynku.

– Noah! Jesteś tu?

– Jestem.

Nie była zaskoczona, kiedy usłyszała jego głos za plecami, a nie za drzwiami. Odwróciła się. Miała wrażenie, że najpierw pojawiły się jego nogi, a potem stopniowo cała reszta. Wciąż nie była pewna, czy zmaterializował się cały ani czy był tam od samego początku – ostatnio trudno było pojąć naturę egzystencji Noaha.

Pozwoliła, żeby przyglądał jej włosy.

– Nie takie nastroszone jak zwykle – powiedział smutno, dotykając ich swoimi lodowatymi palcami.

– To dlatego, że się nie wyspałam. Dobrej jakości nastroszenie wymaga snu. Cieszę się, że cię widzę.

Noah zaplótł ramiona, rozplótł je, włożył ręce do kieszeni, a potem je wyjął.

– Tylko w twojej obecności czuję się normalnie. To znaczy tak, jak się czułem, zanim znaleźli moje ciało. Pewnie, że to nie to, co wtedy, kiedy...

– Nie wierzę, że za życia byłeś taki znowu inny – przerwała mu Blue.

A jednak wciąż nie potrafiła pogodzić tego wizerunku Noaha z porzuconym czerwonym mustangiem.

– Myślę – powiedział ostrożnie Noah do swoich wspomnień – że wtedy byłem gorszy.

Blue odniosła wrażenie, że rozmowa na ten temat może doprowadzić do jego zniknięcia, więc zapytała szybko:

– Gdzie są pozostali?

– Gansey pojechał z Adamem po jego rzeczy, żeby mógł się tu wprowadzić – odrzekł Noah. – Ronan poszedł do biblioteki.

– Wprowadzić! Myślałam, że mówił... czekaj, Ronan poszedł... dokąd?

Milknąc wielokrotnie, wzdychając i spoglądając na drzewa, Noah opisał jej wydarzenia minionego wieczoru.

– Gdyby Ronan został aresztowany za to, że uderzył ojca Adama, wyleciałby z Aglionby, żeby nie wiem co – zakończył swoją relację. – Nie ma mowy, żeby komuś coś takiego uszło płazem. Ale Adam wniósł zarzuty przeciwko ojcu i to oczyściło Ro-

nana. Oczywiście teraz Adam musi się wyprowadzić, bo ojciec go nienawidzi.

– Rany! To okropne – powiedziała Blue. – Noah, to *okropne*! Nie wiedziałam, że Adam ma takie problemy.

– Bo nie chciał, żebyś wiedziała.

„Miejsce przeznaczone do mieszkania”. Przypomniała sobie, w jaki sposób Adam mówił o domu. Przywołała w pamięci jego straszne siniaki i dziesiątki komentarzy wymienianych między chłopakami. Wtedy nie rozumiała zawołanych odniesień do jego życia rodzinnego. W pierwszej chwili zrobiło jej się przykro, że Adam nie zaufał jej na tyle, żeby jej się zwierzyć. Ale to była tylko przelotna myśl, którą prawie natychmiast zastąpiło koszmarnie odkrycie, że Adam nie ma rodziny. Kim byłaby Blue bez swoich bliskich?

– No dobrze, więc co Ronan robi w bibliotece? – zapytała.

– Wkuwa – odparł Noah. – W poniedziałek ma egzamin.

To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką Blue kiedykolwiek usłyszała na temat poczynąń Ronana.

Wtedy rozległ się dzwonek telefonu, wyraźnie słyszalny z mieszkania.

– Powinnaś odebrać! – powiedział Noah gwałtownie. – Szybko!

Blue za długo mieszkała z kobietami z Fox Way 300, żeby kwestionować czyjąś intuicję. Czym prędzej wbiegła za nim na klatkę schodową, a potem po schodach na górę. Drzwi do mieszkania były zamknięte na klucz. Noah wykonał serię niezrozumiałych gestów. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był taki zdenerwowany.

– Mógłbym to zrobić, gdybym... – zawołał.

„Gdyby miał więcej energii” – pomyślała Blue. Dotknęła jego ramienia. Z jej pomocą Noah pchnął zasuwę, poruszając mechanizmem zamka, i otworzył drzwi. Blue rzuciła się do telefonu.

– Słucham? – wydyszała do słuchawki stojącego na biurku Ganseya staromodnego czarnego aparatu z obrotową tarczą.

Trzeba przyznać, że świetnie pasował do właściciela i jego upodobania do wszystkiego co dziwaczne i nefunkcjonalne. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że założył sobie numer stacjonarny tylko po to, żeby móc korzystać z tego właśnie telefonu.

– Och, witaj moja droga – powiedział wolno nieznajomy głos z wyraźnym akcentem. – Czy zastałem Richarda Ganseya?

– Nie ma go – odparła Blue. – Ale mogę przekazać wiadomość.

Miała wrażenie, że jak dotąd to było jej główną życiową rolę.

Noah dźgnął ją swoim zimnym palcem.

– Powiedz, kim jesteś.

– Pracuję z Ganseyem – dodała Blue. – Pomagam mu w poszukiwaniach linii mocy.

– Och! – wykrzyknął głos. – W takim razie miło mi cię poznać. Obawiam się, że nie dosłyszałem twojego imienia. Mówi Roger Malory.

Robił coś przeraźliwie skomplikowanego z głoską „r” i przez to trudno go było zrozumieć.

– Blue. Nazywam się Blue Sargent.

– Blair?

– Blue.

– Blaize?

Blue westchnęła.

– Jane.

– Ach, Jane! Wydawało mi się, że wcześniej z jakiegoś powodu mówiłaś „Blue”. Miło mi cię poznać, Jane. Obawiam się, że mam dla Ganseya złe wieści. Przekaż mu, z łaski swojej, że razem z kolegą – tym chłopakiem z Surrey, o którym mu wspominałem, uroczy człowiek, doprawdy, gdyby nie ten jego koszmarny oddech... No więc próbowaliśmy rytuału i, krótko mówiąc, poszło nam nie najlepiej. Lekarze mówią, że nic mu nie będzie, ale spędzi kilka tygodni w szpitalu. Przeszczerpy przyjmują się wyśmienie, tak mówią.

– Chwileczkę – powiedziała Blue. Złapała pierwszy z brzegu świstek papieru leżący na biurku Ganseya. Miała wrażenie, że jest na nim fragment jakichś obliczeń czy coś w tym rodzaju, ale ponieważ Gansey nabazgrał już na tej kartce kota atakującego człowieka, uznała, że można ją wykorzystać. – Już notuję. Chodzi o rytuał, który ma obudzić linię mocy, tak? Co dokładnie poszło nie tak?

– Cóż, trochę to wszystko niejasne, Jane. Dość powiedzieć, że w liniach mocy drzemie większa energia, niż obaj z Ganseyem przypuszczaliśmy. Możemy to nazywać magią albo nauką, ale bez wątplenia chodzi o energię. Mój kolega... jakby to powiedzieć... wyszedł ze skóry. Byłem pewien, że nie przeżyje; nie sądziłem, że człowiek może stracić tyle krwi i nie umrzeć. Och, nie mów tego wszystkiego Ganseyowi. Chłopak ma hopla na punkcie śmierci, nie chcę go zdenerwować.

Blue nie zauważyła, żeby Gansey miał „hopla” na punkcie śmierci, ale obiecała, że oszczędzi mu szczegółów.

– No dobrze, ale nie powiedział pan jeszcze, czego właściwie *próbowaliście* – zauważyła Blue.

– Och, nie powiedziałem?

– Nie. Głupio byłoby popełnić ten sam błąd.

W słuchawce rozległ się zdławiony chichot, do złudzenia przypominający wsysanie bitej śmietany z powierzchni gorącej czekolady.

– Masz rację. To było właściwie zupełnie logiczne. Prawdę mówiąc, wykorzystaliśmy jeden z pomysłów Ganseya sprzed lat. Ustawiliśmy krąg z kamieni dających szczególnie wysokie odczyty energetyczne – to oczywiście termin różdżkarski, Jane, nie wiem, ile zdążyłaś się dowiedzieć o tych rzeczach. Cieszę się, że jest w to wszystko zaangażowana dziewczyna. W tej dziedzinie zwykle musimy się zadowolić męskim towarzystwem, miło jest dla odmiany usłyszeć kobiecy głos...

– Tak – powiedziała Blue. – Świetnie. Bardzo dobrze się bawię. Więc ustawiliście kamienny krąg?

– No tak, właśnie. Ustawiliśmy krąg z siedmiu kamieni w miejscu, które, jak przypuszczaliśmy, znajdowało się w centrum linii mocy, i obracaliśmy nimi tak długo, aż pomiary w środku kręgu wykazały wysoki poziom energii. To coś jak ustawianie soczewek, żeby skupić światło.

– I wtedy właśnie pana kolega stracił skórę?

– Mniej więcej wtedy. Mierzył poziom energii w środku kręgu i z przykrością muszę stwierdzić, że nie pamiętam dokładnie tego, co powiedział, tak bardzo byłem

wstrząśnięty tym, co nastąpiło później: zrobił jakąś luźną uwagę czy zażartował, wiesz, jacy są młodzi ludzie, Gansey też bywa skory do żartów...

Blue wcale nie była przekonana, czy Gansey rzeczywiście bywa skory do żartów, ale odnotowała w pamięci, żeby zwrócić na to uwagę w przyszłości.

– ...to było coś o wychodzeniu ze skóry czy obdzieraniu ze skóry. Niestety, skutki były dość opłakane. Nie wiem, jak to możliwe, żeby *słowa* wywołały taką reakcję, i nie sądzę, żebyśmy obudzili linię mocy, a przynajmniej nie tak, jak należało, ale cóż. Doprawdy, bardzo mi przykro.

– Szczęście w nieszczęściu, że pana partner przeżył, będzie mógł przestrzec innych – powiedziała Blue.

– Cóż, na razie to ja jestem tym, który musi to opowiadać.

Pomyślała, że to dowcip. W każdym razie nie czuła wyrzutów sumienia, kiedy się roześmiała. A na koniec podziękowała Malory'emu, wymienili uprzejmości i odłożyła słuchawkę.

– Noah? – zawołała w pustkę, bo chłopak zniknął.

Nie odpowiedział, za to Blue usłyszała trzaśnięcie drzwiczek od samochodu i czyjeś głosy na parkingu.

Przypomniała sobie sformułowanie „mój kolega wyszedł ze skóry” i choć nie miała „hopla” na punkcie śmierci, musiała przyznać, że wyobraźnia podsunęła jej dość makabryczny obraz.

Po chwili na schodach rozległy się kroki.

Pierwszy wszedł do mieszkania Gansey. Wyraźnie nie spodziewał się nikogo w nim zastać, bo na jego niezamaskowanej twarzy malowało się cierpienie. Na widok Blue natychmiast wydobył skądś serdeczny uśmiech.

Trzeba przyznać, że był niezwykle przekonujący. Nawet po tym, co zobaczyła przed zaledwie sekundą, łatwo mogłaby zapomnieć, że ten uśmiech jest sztuczny. Dlaczego chłopak, którego życie jest praktycznie beztroskie, nauczył się w jednej chwili konstruować tak sugestywną fałszywą fasadę szczęścia? To przekraczało jej zdolność pojmowania.

– Cześć, Jane – powiedział, a jej wydało się, że słyszy w jego radosnym głosie nieszczęśliwy ton, choć twarz niczego już nie zdradzała. – Przepraszam, że musiałaś sama sobie otworzyć.

W uchu Blue rozległ się głos Noaha – pozbawiony ciała, zimny szept: „Pokłócili się”.

Weszli Adam i Ronan. Ronan uginał się pod ciężarem brezentowego worka i plecaka, a Adam niósł wgniecione pudełko po płatkach śniadaniowych, z którego wystawał robot z serii Transformers.

– Ładny transformer – pochwaliła Blue. – To ten, który zmienia się w samochód policyjny?

Adam się nie uśmiechnął. Patrzył na Blue nieobecny wzrokiem.

– Tak – odpowiedział o jedną chwilę za późno.

Ronan poszedł z bagażami prosto do pokoju Noaha.

– Ha. Ha. Ha – roześmiał się w rytm swoich kroków, z rezygnacją kogoś, kto śmieje się jako jedyny w całym towarzystwie.

– Dzwonił ten facet – rzuciła Blue, unosząc kartkę z nazwiskiem Malory'ego.

Wyglądało to tak, jakby wykrzykiwał je naszkicowany poniżej kot.

– Malory – powtórzył Gansey, wyjątkowo nie okazując entuzjazmu.

Spod zmrużonych powiek obserwował plecy Adama, który szedł za Ronanem ze swoim pudełkiem. Dopiero kiedy drzwi do pokoju Noaha się za nimi zamknęły, otworzył oczy i spojrzał na Blue. Mieszkanie wydawało się teraz puste, jakby pozostali przenieśli się do jakiegoś innego świata, a nie tylko do innego pokoju.

– Czego chciał? – zapytał Gansey.

– Próbował przeprowadzić rytuał na linii mocy, tylko że coś poszło nie tak i człowiek, który z nim był... jego, ehm, kolega... został ranny.

– Ranny? W jaki sposób?

– Po prostu ranny. Ciężko. Wyzwolili silną energię.

Gansey dwoma zamaszystymi kopniakami zrzucił buty. Jeden przeleciał nad makietą Henrietty, a drugi trafił w bok biurka. Odbił się od starego drewna i upadł na ziemię.

– Juhu – wymamrotał Gansey pod nosem.

– Wyglądasz tak, jakby coś cię strasznie gnębiło – powiedziała Blue.

– Naprawdę? – zapytał.

– O co się pokłóciliście z Adamem?

Gansey zerknął na zamknięte drzwi do pokoju Noaha.

– Skąd wiesz? – zapytał ze znużeniem.

Rzucił się na swoje niezaścielone łóżko.

– Daj spokój – zniecierpliwiła się Blue, bo domyśliłaby się nawet bez pomocy Noaha.

Wymamrotał coś w pościel i machnął ręką. Blue przykucnęła przy łóżku i oparła łokcie o wezglowie.

– Jeszcze raz, tylko nie w poduszkę.

Gansey nie odwrócił głowy, więc jego głos był nadal stłumiony.

– Moje słowa to broń masowego rażenia, a ja nie mam pojęcia, jak ją rozbroić. Tylko pomyśl: żyję dzięki temu, że Noah umarł. Co za wspaniała ofiara, jaki pożytek dla świata! – Zrobił kolejny chaotyczny ruch ręką, nie podnosząc twarzy z poduszki. Próbował w ten sposób obrócić to w żart, choć jego słowa były przepełnione gorzką ironią. – Wiem, wiem, użalam się nad sobą – ciągnął. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Więc Malory uważa, że budzenie linii mocy to zły pomysł? Jasne. Bardzo mnie cieszę ślepe zaułki.

– Owszem, *użalas* się nad sobą.

Ale Blue nawet się to podobało. Pierwszy raz miała okazję oglądać prawdziwe oblicze Ganseya przez tak długi czas. Jaka szkoda, że musiał się czuć nieszczęśliwy, żeby to było możliwe.

– Prawie skończyłem. Będziesz musiała to znosić jeszcze tylko przez chwilę.

– Wolę, kiedy taki jesteś.

Gdy tylko to powiedziała, jej twarz z jakiegoś powodu zaczęła płonąć. Cieszyła się, że Gansey cały czas leży z twarzą w poduszce, a pozostali chłopcy nie wychodzą z pokoju Noaha.

– Zdruzgotani, załamani... – ciągnął Gansey. – Oto, jakimi lubią ich widzieć kobiety. Powiedział, że ten gość został ciężko ranny?

– Tak.

– Hmm, w takim razie to koniec. – Obrócił się na plecy, tak że widział teraz do góry nogami Blue opartą o jego łóżko. – Nie będziemy ryzykować.

– Myślałam, że *musisz* znaleźć Glendowera.

– Ja muszę – powiedział Gansey. – Oni nie muszą.

– Więc zrobisz to sam?

– Nie, znajdę inny sposób. Byłoby cudownie, gdyby energia linii mocy wskazała mi miejsce jego spoczynku gigantycznymi strzałkami, ale mogę też po prostu dalej mozolnie szukać. Co dokładnie stało się temu gościowi?

Blue mruknęła coś wymijająco, pamiętając o prośbie Malory'ego, żeby oszczędzić Ganseyowi szczegółów.

– Blue. Co mu się stało?

Jego spojrzenie było niewzruszone, jakby łatwiej mu było patrzeć jej w oczy, kiedy widział jej twarz odwrotnie.

– Powiedział coś o wychodzeniu ze skóry i wtedy rzeczywiście zeszła mu skóra. Malory nie chciał, żebym ci to mówiła.

Gansey wydał usta.

– Wciąż pamięta, jak... Nieważne. Zeszła mu skóra? To przykre.

– Co jest przykre? – zapytał Adam, podchodząc bliżej.

Ronan przyjrzał się pozie Blue i Ganseya.

– Blue, jeżeli spluniesz, trafisz go prosto w oko – zauważył.

Gansey błyskawicznie przeczołgał się na drugą stronę łóżka. Zerknął na Adama i natychmiast odwrócił wzrok.

– Blue powiedziała, że Malory próbował obudzić linię mocy i człowiek, który mu pomagał, został poważnie ranny. Więc nie zrobimy tego. Nie teraz.

– Nie obchodzi mnie ryzyko – skwitował Adam.

– Mnie też nie. – Ronan na chwilę przerwał dłubanie w zębach.

– Ty nie masz nic do stracenia – rzucił Gansey do Adama. Spojrzał na Ronana. – A tobie nie chce się żyć. Dlatego wasza ocena sytuacji jest niemiarodajna.

– Ty nie masz nic do zyskania – zauważyła Blue. – Twoja ocena sytuacji jest równie niemiarodajna. Ale chyba się z tobą zgadzam. Ze względu na to, co spotkało tego Brytyjczyka.

– Dziękuję ci, Jane, przemawia przez ciebie głos rozsądku – powiedział Gansey. – Nie patrz tak na mnie, Ronan. Odkąd to uważamy, że obudzenie linii mocy to jedyny sposób na znalezienie Glendowera?

– Nie mamy czasu na szukanie innej metody – nalegał Adam. – Jeżeli to Whelk ją obudzi, będzie miał przewagę. W dodatku on mówi po łacinie. A jeśli drzewa wiedzą? Znajdzie Glendowera, ten go wynagrodzi i morderstwo ujdzie mu płazem. Koniec pieśni, zło wygrywa.

Gansey zwiesił nogi z boku łóżka. Na jego twarzy nie było już ani śladu bezbronności.

– To naprawdę zły pomysł, Adam. Powiedz mi, jak tego dokonać, żeby nikomu nie stała się krzywda, a jestem za. Na razie czekamy.

– Nie mamy *czasu* – powtórzył Adam z naciskiem. – Persefona powiedziała, że ktoś obudzi linię mocy w ciągu kilku dni.

Gansey wstał.

– Na drugim końcu świata ktoś właśnie został obdarty ze skóry, bo wygłupiał się na linii mocy. *Widzieliśmy* Cableswater. To nie jest zabawa. To się dzieje naprawdę i kryje się za tym potężna siła. Tu nie ma miejsca na *wygłupy* – powiedział, wytrzymując spojrzenie Adama.

W wyrazie twarzy Parrisha było teraz coś zupełnie obcego. Blue przyszło do głowy, że tak naprawdę w ogóle go nie zna. Przypomniała sobie, jak podał jej matce kartę tarota i jak Maura zinterpretowała dwójkę mieczy. „Moja matka jest bardzo dobra w tym, co robi” – pomyślała smutno.

– Czasem – odparł Adam – zastanawiam się, jak ty ze sobą wytrzymujesz.

Barrington Whelk nie był zadowolony z pomocy Neeve. Po pierwsze, odkąd wsiadła do samochodu, nie przestawała opychać się krakersami z humusem, wypełniając wnętrze pojazdu nieznośnym zapachem czosnku i przeżuwanych ciasteczek. Świadomość, że kruszy na siedzenie kierowcy, była jedną z najbardziej dokuczliwych myśli, które pojawiły się w głowie Whelka w ciągu całego, obfitującego w nie tygodnia. Ponadto, zaraz po wymianie pozdrowień, przetestowała na nim paralizator. Potem nastąpiło kolejne upokorzenie – został związany na tylnym siedzeniu własnego auta.

„Nie dość, że muszę patrzeć, jak robi mi chlew z samochodu, to teraz jeszcze w nim umrę” – pomyślał Whelk.

Wprawdzie nie powiedziała wprost, że zamierza go zabić, ale łacinnik od czterdziestu minut oglądał głównie podłogę za przednim siedzeniem, gdzie leżała duża, płaska gliniana miska, a w niej zestaw świec, nożyczki i noże. Wprawdzie noże nie musiały oznaczać zbliżającego się morderstwa – nawet jeśli były spore i wyglądały groźnie – ale gumowe rękawiczki na rękach Neeve i druga, zapasowa para w misce nie pozostawiały wątpliwości co do jej zamiarów.

Whelk nie miał pewności, czy zmierzają w kierunku linii mocy, ale sądząc po tym, jak długo Neeve przeglądała dziennik Ganseya, to było prawdopodobne. Nie lubił niczego z góry przesądzać, ale podejrzewał, że czeka go taki sam los, jaki przed siedmiu laty spotkał Czerny’ego.

A więc rytualna śmierć. Ofiara, krew wsiąkająca w ziemię, aby osiągnąć drzemiącej pod nią linii mocy. Whelk potarł o siebie związanymi nadgarstkami i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Neeve, która, trzymając kierownicę jedną ręką, zjadała w najlepsze krakersy z humusem. I jakby tego było mało, puściła sobie płytę z jakimiś hipnotyzującymi dźwiękami natury. Może przygotowywała się w ten sposób do rytuału.

Whelk pomyślał, że wraz z jego śmiercią na linii mocy historia zatoczyłaby koło.

Ale historia go nie interesowała. Obchodził go zaśmiecony samochód, utraciona godność. Obchodziło go to, czy zaśnie, kiedy nadejdzie noc. Obchodziły go języki wymarłe dostatecznie dawno, żeby nie mogły go już niczym zaskoczyć. Obchodził go sos guacamole, który przygotowywała dawna kucharka jego rodziców.

I to, że Neeve nie związała go dostatecznie mocno.

Po opuszczeniu Monmouth Manufacturing Blue wróciła do domu i ukryła się za bukiem w ogrodzie, żeby odrobić lekcje. Ale okazało się, że szukanie wartości x nie zaprzęta jej myśli tak bardzo jak Noah, Gansey i Adam. Zdążyła już się poddać i siedziała oparta o drzewo, kiedy z domu wyłonił się Adam i wkroczył w ciemnozielony, chłodny półmrok.

– Persefona powiedziała mi, że tu jesteś.

Czekał na skraju cienia.

Blue już miała powiedzieć: „Tak mi przykro z powodu twojego ojca”, ale tylko wyciągnęła do niego rękę. Adam wydał z siebie urywane westchnienie w rodzaju tych, które można dostrzec z odległości dwóch metrów. Bez słowa usiadł obok, położył głowę na jej kolanach i nakrył twarz ramionami.

Blue była tak zaskoczona, że tylko zerknęła przez ramię, żeby się upewnić, że są niewidoczni z domu. Poczuła się trochę tak, jakby podeszło do niej dzikie zwierzę. Była zaszczyczona, że obdarzyło ją takim zaufaniem, i bała się, że je spłoszy. Po chwili ostrożnie przyglądała kilka grubych, popielatych pasemek włosów Adama, przyglądając się jednocześnie jego szyi. W jej piersi coś śpiewało, wyrывało się, żeby go dotknąć i wciągnąć w nozdrza unoszący się od niego zapach kurzu i ropy.

– Masz włosy koloru ziemi w dolinie – zauważyła.

– Wiedzą, skąd pochodzą.

– To ciekawe – zauważyła Blue – bo w takim razie moje też powinny być tego koloru.

Jego ramiona poruszyły się w odpowiedzi.

– Czasem obawiam się, że on mnie nigdy nie zrozumie – wymamrotał.

Pogłaskała palcem tył jego ucha. Poczuła, że to niebezpieczne i ekscytujące, ale nie aż tak niebezpieczne i ekscytujące, jak mogłoby być, gdyby na nią patrzył.

– Powiem to tylko raz i więcej do tego nie wrócę – oznajmiła. – Uważam, że jesteś diabelnie odważny.

Milczał przez nieskończenie długą chwilę. Gdzieś w okolicy słychać było silnik samochodu. Wiatr poruszył liśćmi buku, odwracając je w sposób zapowiadający deszcz.

– Chciałbym cię pocałować Blue. Nieważne, ile masz lat – wyznał Adam, nie podnosząc głowy.

Palce Blue przestały się poruszać.

– Nie chcę cię zranić – odparła.

Uwolnił się z jej kolan i usiadł tuż obok niej. Jego ponura mina zupełnie nie wskazywała na to, że chce ją pocałować.

– I tak już jestem zraniony.

Blue pomyślała, że wcale nie chodzi mu o pocałunek, i poczuła, że jej policzki płoną. Nie musiała się już obawiać. Zresztą nie tak to powinno wyglądać.

– Zawsze może być jeszcze gorzej.

Słyszając jej słowa, przełknął ślinę i odwrócił głowę. Jego ręce spoczywały bez-

władnie na kolanach.

„Gdybym była kimś innym – pomyślała z żalem Blue – to byłby mój pierwszy pocałunek. Ciekawe, jakie to byłoby uczucie pocałować tego zachłannego, zasmuczonego chłopaka”.

Obserwował światło migoczące wśród liści buka nad ich głowami.

– Nie pamiętam, jak twoja mama radziła mi rozwiązać problem. Kiedy stawiała mi karty. Powiedziała coś o wyborze, którego powinienem dokonać.

Blue westchnęła. Od początku wiedziała, że o to chodzi, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Poszukaj trzeciej możliwości – przypomniała. – I następnym razem weź ze sobą coś do pisania.

– Nie pamiętam, żeby mówiła o czymś do pisania.

– Bo nie wspominała o tym. Ja ci to mówię, teraz. Następnym razem, kiedy pójdziesz do wróżki, zapisz sobie, co powiedziała. W ten sposób będziesz mógł porównać notatki z tym, co się stanie, i zorientujesz się, czy wróżka zna się na rzeczy.

Spojrzał na nią, ale nie była pewna, czy *patrzy* na nią naprawdę.

– Tak zrobię.

Podniósł się z ziemi.

– Tym razem oszczędzę ci kłopotu – dodała Blue, unosząc głowę. Jej palce i skóra tęskniły za tym chłopakiem, którego trzymała za rękę kilka dni temu. Ten, którego miała teraz przed sobą, zupełnie go nie przypominał. – Moja matka jest dobrą wróżką.

Włożył ręce do kieszeni i potarł policzkiem o ramię.

– Więc myślisz, że powinienem jej posłuchać?

– Nie, powinieneś posłuchać mnie.

Adam pośpiesznie przywołał uśmiech tak wąty, że wyglądał tak, jakby mógł zaraz zgasnąć.

– A co ty mi radzisz?

Blue nagle się go przestraszyła.

– Żebyś nie przestawał być odważny.

Wszędzie była krew.

„I co, Adam, jesteś zadowolony?”. Ronan klęczał obok Ganseya, który leżał na ziemi wstrząsany drgawkami. Blue wpatrywała się z przerażeniem w Adama i to było najgorsze ze wszystkiego. To była jego wina. Ronan odchodził od zmysłów. „O to ci chodziło?”.

Jeszcze przez chwilę po przebudzeniu z tego krwawego snu wszystko w nim wrzało od adrenaliny. Nie wiedział, gdzie jest. Czuł się tak, jakby lewitował, nic się nie zgadzało, było za mało światła, za dużo przestrzeni nad głową, od ścian nie odbijał się echem szmer oddechu.

Wtedy przypomniał sobie, że leży w ciasnym pokoju Noaha z wysokim sufitem. Zalała go fala nowego przynębnienia, którego źródło potrafił wskazać z wielką precyzją: tęsknota za domem. Przez kilka nieprzyjemnych minut leżał rozbudzony, próbując przekonać samego siebie, że z racjonalnego punktu widzenia nie ma za czym tęsknić. Adam dobrze o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że cierpi na syndrom sztokholmski – identyfikuje się ze swoim prześladowcą, traktując jak przejaw

dobroci to, że ojciec akurat go nie uderzył. Rozumiał, że, obiektywnie rzecz biorąc, był maltretowany. Wiedział, że rany, które mu zadano, są znacznie głębsze i trwalsze niż którykolwiek z siniaków, z którymi zdarzyło mu się pójść do szkoły. Potrafił bez końca analizować swoje reakcje, wątpić we własne emocje, zastanawiać się, czy on też będzie kiedyś bił swoje dziecko.

Ale teraz, kiedy leżał w ciemności nocy, dudniła mu w głowie tylko jedna myśl: „Mama nigdy już się do mnie nie odezwie. Jestem bezdomny”.

Prześladowało go widmo Glendowera i linii mocy. Choć legenda wydawała mu się teraz bliższa prawdy niż kiedykolwiek przedtem, jego wiara w szczęśliwe zakończenie jeszcze nigdy nie była tak słaba. Whelk szukał śpiącego króla dłużej niż Gansey. Z pewnością, jeśli nikt mu w tym nie przeszkodzi, znajdzie go szybciej niż oni.

„Trzeba obudzić linię mocy”.

Umysł Adama zamienił się w kalejdoskop wspomnień. Ostatni raz, kiedy ojciec go uderzył. Świnia zatrzymująca się obok niego, gdy szedł poboczem. Sobowtór Ronana przy kasie w dniu, w którym Adam postanowił, że skończy szkołę. Pięść Ronana trafiająca w twarz jego ojca. W jego duszy było tyle pragnień, zbyt wiele, żeby ustalić priorytety, wszystkie wydawały się sprawami życia i śmierci. Nie musieć tyle pracować, dostać się do dobrego college’u, dobrze wyglądać w krawacie, nie czuć głodu po zjedzeniu przyniesionej do pracy marnej kanapki, jeździć lśniącym audi, które oglądali kiedyś z Ganseyem po szkole, iść do domu, samemu uderzyć wtedy ojca, mieć mieszkanie z granitowymi blatami w kuchni i telewizor większy niż biurko Ganseya, mieć swoje miejsce na świecie, iść do domu, iść do domu, iść do domu.

Gdyby obudzili linię mocy, gdyby znaleźli Glendowera, jego marzenia wciąż jeszcze mogłyby się ziścić. Większość z nich.

Ale ciągle od nowa stawał mu przed oczami obraz ранego Ganseya, powracało wspomnienie bólu na jego twarzy po ich kłótni. W jaki sposób mógł narazić Ganseya na niebezpieczeństwo?

Nie miał zamiaru pozwolić, żeby Whelk zgarnął im sprzed nosa to, do czego od tak dawna dążyli. *Czekać!* Gansey zawsze mógł sobie pozwolić na czekanie. Adam natomiast nie.

Podjął decyzję. Chodził na palcach po pokoju i wkładał rzeczy do torby. Trudno przewidzieć, co może się przydać. Wysunął spod łóżka pistolet i długo wpatrywał się w jego czarny, złowieszczy kształt na drewnianej podłodze. Wcześniej Gansey zobaczył, jak go rozpakowywał.

– Co to jest? – zapytał przerażony.

– Dobrze wiesz, co to jest – odparł Adam.

To był pistolet jego ojca. Adam nie miał pojęcia, czy ojciec ośmieliłby się strzelić z niego do matki, ale nie miał zamiaru ryzykować.

Niepokój Ganseya na widok broni był niemal namacalny. „Możliwe – pomyślał Adam – że to trauma po bliskim spotkaniu z Whelkiem”.

– Nie chcę tego tutaj.

– Nie mogę go sprzedać – powiedział Adam. – Już o tym myślałem. Ale nie da się tego zrobić legalnie. Jest zarejestrowany na jego nazwisko.

– Na pewno możesz się go jakoś pozbyć. Zakop go.

– Żeby jakiś dzieciak go znalazł?

– Nie chcę tego tutaj.

– Wymyślę jakiś sposób, żeby się go pozbyć – obiecał Adam. – Ale nie mogłem zostawić go w domu. Nie teraz.

Tego wieczoru Adam wcale nie chciał zabierać ze sobą żadnej broni.

Ale nie wiedział, co będzie musiał złożyć w ofierze.

Upewnił się, że pistolet jest zabezpieczony, i włożył go do torby. Wstał, odwrócił się i z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia. Stał twarzą w twarz z Noahem, przed oczami miał jego puste oczodoły, naprzeciwko uszkodzonego ucha jego zmiażdżony policzek, a kilkanaście centymetrów od własnych ust – jego usta, jedno i drugie tak samo bez tchu.

Pod nieobecność Blue, która mogła dodać mu energii, bez Ganseya, przy którym wydawał się bardziej ludzki, bez Ronana, dzięki któremu był jednym z nich, Noah przerażał Adama.

– Nie wyrzucaj tego – wyszeptał.

– Nie mam zamiaru – odparł Adam, podnosząc swoją torbę kurierską.

Z pistoletem w środku wydawała się nienaturalnie ciężka. „Upewniłem się chyba, że jest zabezpieczony? Na pewno. Na pewno sprawdzałem”.

Kiedy się wyprostował, Noaha już nie było. Adam przeszedł przez chmurę czarnego, lodowatego powietrza, które po nim zostało, i otworzył drzwi. Gansey leżał zwinięty na łóżku, ze słuchawkami w uszach. Pomimo osłabionego słuchu Adam zdołał wychwycić brzękliwe dźwięki muzyki, która dotrzymywała Ganseyowi towarzysztwa, kołysała go do snu.

„Nie zdradzam go – pomyślał Adam. – Nadal robimy to razem. Tylko że kiedy wrócę, będziemy równi”.

Gansey nawet się nie poruszył. Kiedy Adam znalazł się na zewnątrz, towarzyszył mu jedynie szepcący nocny wiatr w koronach drzew Henrietty.

Gansey obudził się oświetlony blaskiem księżyca.

Kiedy po chwili znowu otworzył oczy, na dobre przytomniejąc, zdał sobie sprawę, że na niebie wcale nie ma księżyca – nieliczne światła Henrietty odbijały się matowym fioletem od nisko wiszących chmur. Szyby były skropione deszczem.

Księżyc nie było, a jednak Ganseya obudziło jakieś światło. Miał wrażenie, że słyszy w oddali głos Noaha. Czuł, jak włosy na przedramionach stają mu dęba.

– Nie rozumiem – wyszeptał. – Przykro mi. Czy mógłbyś powiedzieć to głębiej, Noah?

Teraz zjeżyły mu się włosy na karku. Powietrze nad jego ustami nagle zrobiło się zimne, a oddech Ganseya zamienił się w parę.

– Adam – powiedział głos Noaha.

Gansey wygramolił się z łóżka, ale było już za późno. W pokoju Noaha nikogo nie było. Rzeczy Adama leżały rozrzucone. Spakował się i odszedł. Ale... ubrania zostały. Widocznie jednak nie miał zamiaru zniknąć na zawsze.

– Ronan, wstawaj – rzucił Gansey, otworzywszy drzwi do drugiego pokoju.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na klatkę schodową i przez wybite okno na podeście wyjrzał na parking. Na zewnątrz mżyło, drobny kapuśniaczek tworzył aureole wokół światel w odległych oknach. Właściwie się tego spodziewał, a mimo to przeżył wstrząs, kiedy przekonał się na własne oczy, że z parkingu zniknął camaro. Pewnie łatwiej go było uruchomić niż bmw Ronana. Wystarczyło zewrzeć przewody. To ryk zapalającego się silnika musiał obudzić Ganseya, a światło księżyca było jedynie wspomnieniem innej bezsennej nocy.

– Gansey, co jest, człowieku? – zapytał Ronan.

Stał w drzwiach do mieszkania, zaspany, pocierając ręką tył głowy.

Gansey nie chciał mówić. Wypowiedzenie tego na głos sprawi, że wszystko stanie się prawdą, jakby rzeczywiście się wydarzyło, jakby Adam naprawdę to zrobił. Nie bolałoby go to, gdyby chodziło o Ronana. Po nim mógłby się czegoś takiego spodziewać. Ale to był Adam. *Adam*.

„Mówiłem mu, prawda? Powiedziałem mu, że musimy poczekać. Rozumiał, o co mi chodzi”.

Gansey próbował spojrzeć na sytuację z innej strony, ale nie potrafił zobaczyć jej w taki sposób, żeby to, co zaszło, wydawało się mniej bolesne. Czuł, że w jego wnętrzu nadal coś się kruszy.

– Co się dzieje? – Ton głosu Ronana się zmienił.

Gansey nie miał innego wyjścia, musiał to powiedzieć.

– Adam pojechał obudzić linię mocy.

Niecałe dwa kilometry dalej, przy Fox Way 300, Blue podniosła głowę na dźwięk pojedynczego stuknięcia do uchylonych drzwi swojego pokoju.

– Śpisz? – zapytała Maura.

– Tak – odparła Blue.

Jej matka weszła do środka.

– Nie zgasiłaś światła – zauważyła i z westchnieniem usiadła na brzegu łóżka.

W półmroku wydawała się delikatna jak kwiat. Przez kilka długich minut nie mówiła, przeglądała tylko książki ułożone na przysuniętym do materaca stoliku do kart. W tym milczeniu nie było nic nadzwyczajnego. Odkąd Blue pamiętała, matka przychodziła wieczorami do jej pokoju i czytały książki, każda swoją, usadowione na przeciwnych końcach łóżka. Stary podwójny materac wydawał się wtedy większy, bo Blue była mała, ale teraz, kiedy dorosła, nie dało się już uniknąć dotykania się kolanami albo poszturchiwania łokciami. Czytając, mogły nie rozmawiać godzinami.

Po kilku chwilach zamartwiania się nad książkami Maura splotła dłonie na kolanach i rozejrzała się po ciasnym pokoiku. Lampka nocna wypełniała go przyćmionym zielonkawym światłem. Naprzeciwko łóżka Blue poprzyklejała na ścianie drzewa. Ich pnie wycięła z płótna, a liście z gazet i czerpanego papieru. Cała powierzchnia drzwi szafy była oklejona suszonymi kwiatami. Większość z nich trzymała się całkiem nieźle, ale niektóre nie oparły się działaniu czasu. Z wentylatora na suficie zwisały kawałki koronki i kolorowe pióra. Blue mieszkała w tym pokoju przez całe szesnaście lat swojego życia i można się było tego domyślić.

– Chyba powinnam cię przeprosić – powiedziała wreszcie Maura.

Blue, która bez powodzenia usiłowała czytać tekst zadany na zajęcia z literatury amerykańskiej, odłożyła książkę.

– Za co?

– Chyba za to, że nie byłam z tobą szczerą. Wiesz, bardzo trudno być rodzicem. To wszystko wina Świętego Mikołaja. Człowiek najpierw latami kombinuje, żeby dziecko się nie zorientowało, że on nie istnieje, a potem nie wie, kiedy przestać.

– Mamo, nakryłam cię i Callę na pakowaniu prezentów dla mnie, kiedy miałam chyba z sześć lat.

– To była metafora, Blue.

Blue postukała palcami w książkę do literatury.

– Metafora ma coś wyjaśniać poprzez przytoczenie przykładu. To niczego nie wytłumaczyło.

– Wiesz, o co mi chodzi, czy nie?

– Jest ci przykro, że nie powiedziałaś mi o Kabaczku.

Maura popatrzyła gniewnie na drzwi, jakby się spodziewała, że stoi za nimi Calla.

– Chciałabym, żebyś nigdy nie mówiła na niego w ten sposób.

– Gdybyś sama mi o nim powiedziała, nie używałabym przezwiska, które usłyszałam od Calli.

– W porządku.

– Więc jak *naprawdę* się nazywał?

Maura położyła się w poprzek łóżka, podciągnęła nogi i oparła stopy na krawędzi materaca. Blue musiała zabrać swoje, żeby nie zostały przygniecione.

– Artemus.

– Nic dziwnego, że wołałaś Kabaczka – stwierdziła Blue. I zanim jej matka zdążyła cokolwiek dodać, zapytała: – Zaczekaj, czy Artemus to nie jest przypadkiem rzymskie imię? Łacińskie?

– Taak. I wcale nie uważam, żeby było złe. Nie wychowałam cię na osobę, która bez namysłu wygłasza krytyczne sądy.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała Blue.

Zastanawiała się, czy to zbieg okoliczności, że nagle w jej życiu jest tyle łaciny. Chyba zaczynała podzielać przekonania Ganseya, bo przypadki nie wydawały jej się już tak przypadkowe jak kiedyś.

– No, może – zgodziła się Maura po chwili. – Tak czy owak, posłuchaj. Oto, co wiem. Myślę, że twój ojciec ma coś wspólnego z Cableswater albo z linią mocy. Na długo przed twoim urodzeniem Calla, Persefona i ja eksperymentowałyśmy z rzeczami, z którymi przypuszczalnie nie powinnyśmy były igrzać...

– Z narkotykami?

– Z rytuałami. Chyba nie eksperymentujesz z narkotykami?

– Nie. Już prędkiej z rytuałami.

– Wołałabym narkotyki.

– Nuda. Ich działanie zostało udowodnione... Gdzie tu zabawa? Powiedz mi coś więcej.

Maura wystukała na brzuchu jakiś rytm, wpatrzona w sufit, na którym Blue przepisała kiedyś wiersz. Możliwe, że próbowała go przeczytać.

– Cóż, pojawił się po tym rytuale. Myślę, że był uwięziony w Cableswater, a my go uwolniłyśmy.

– Nie *zapytałaś* go o to?

– To nie był... tego rodzaju związek.

– Chyba nie chcę wiedzieć, co to był za związek, skoro ze sobą nie rozmawialiście.

– *Rozmawialiśmy*. Był naprawdę przyzwoitym człowiekiem – powiedziała Maura. – Bardzo miłym. Troszczył się o ludzi. Uważał, że powinniśmy bardziej się przejmować otaczającym nas światem i konsekwencjami naszych czynów. Lubiłam to w nim. To nie było moralizatorstwo, po prostu taki był.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytała Blue, bo trochę niepokoił ją widok drżących, zaciśniętych ust Maury.

– Powiedziałaś, że chciałybyś się czegoś o nim dowiedzieć. Opowiedziałam ci o nim, bo jesteś do niego podobna. Podobałby mu się twój pokój z tym całym dziadostwem, które tu poprzyklejałaś.

– Jezu, dzięki – jęknęła Blue. – Więc dlaczego odszedł?

Gdy tylko to powiedziała, zdała sobie sprawę, że to pytanie mogło zabrzmieć zbyt bezpośrednio.

– Nie odszedł – zaprzeczyła Maura. – Zniknął. Zaraz po twoim urodzeniu.

– W takich sytuacjach mówi się chyba, że odszedł.

– Nie uważam, że zrobił to celowo. No, z początku rzeczywiście tak sądziłam. Ale teraz, kiedy to przemyślałam i dowiedziałam się więcej o Henriecie, myślę... Jesteś bardzo dziwnym dzieckiem. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby sprawić, że medium lepiej słyszy. Nie jestem pewna, czy przypadkiem nie przeprowadziliśmy kolejnego rytuału, kiedy się urodziłaś. To znaczy twoje narodziny były czymś w rodzaju kropki nad „i”. Możliwe, że przez to z powrotem tam utknął.

– Uważasz, że to moja wina! – wykrzyknęła Blue.

– Nie bądź śmieszna – powiedziała Maura, siadając. Była mocno rozczochrana. – Byłaś tylko dzieckiem, jak można przypisywać ci jakiekolwiek winy? Pomyślałam jedynie, że może to właśnie się stało. Dlatego poprosiłam Neeve, żeby go poszukała. Chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego się do niej zwróciłam.

– Czy ty ją w ogóle znasz?

Maura pokręciła głową.

– Eee... Nie dorastałyśmy razem, widywałyśmy się zaledwie raz na kilka lat, spędzałyśmy razem dzień czy dwa, tu i tam. Nigdy się nie zaprzyjaźniłyśmy, a już z pewnością nie byłyśmy dla siebie jak siostry. Ale jej reputacja... Nie spodziewałam się, że sprawy przybiorą tak dziwny obrót.

Na korytarzu rozległy się miękkie kroki i w drzwiach stanęła Persefona. Maura westchnęła i spuściła wzrok, jakby się tego spodziewała.

– Nie chciałam wam przeszkadzać. Ale za trzy albo za siedem minut – wyjaśniła Persefona – przed domem pojawią się ci chłopcy z krukami i będą tam siedzieli i kombinowali, jak przekonać Blue, żeby się z nimi wymknęła.

Maura potarła czoło między brwiami.

– Wiem.

Serce Blue waliło jak szalone.

– To brzmi okropnie szczegółowo.

Persefona i Maura wymienili spojrzenia.

– To kolejna kwestia, w której nie byłam z tobą do końca szczerą – wyznała matka. – Czasami Persefona, Calla i ja jesteśmy bardzo dobre w konkretach.

– Tylko czasami – powtórzyła Persefona. A po chwili dodała trochę smutno: – Niestety, wygląda na to, że coraz częściej.

– Wszystko się zmienia – stwierdziła Maura.

W drzwiach pojawiła się następna postać.

– Coś jeszcze – powiedziała Calla. – Neeve nie wróciła. I załatwiła samochód. Nie chce zapalić.

Usłyszały silnik podjeżdżającego pod dom samochodu. Blue popatrzyła błagalnie na matkę.

Maura w odpowiedzi spojrzała na Callę i Persefonę.

– Powiedźcie mi, że się mylę.

– Wiesz, że nie mogę – odparła Persefona swoim cichym głosem.

Maura wstała.

– Ty jedź z nimi. My się zajmujemy Neeve. Mam nadzieję, że wiesz, z czym masz do czynienia, Blue.

– Mam pewne podejrzenia.

Są drzewa i drzewa nocą. Po zmroku stają się pozbawionymi barw i rozmiarów ruchomymi kształtami. Kiedy Adam dotarł do Cableswater, miał wrażenie, że las jest żywą istotą. Szmer wiatru poruszającego liśćmi brzmiał jak ogłuszający wydech, a szum deszczu w koronach drzew jak powstrzymywane westchnienie. Powietrze pachniało mokrą ziemią.

Adam skierował promień latarki na skraj lasu. Światło ledwo docierało do drzew, połknięte przez kapryśną wiosenną mżawkę. Włosy Adama były już zupełnie mokre.

„Szkoda, że nie mogę tego zrobić za dnia” – pomyślał.

To nie miało nic wspólnego z fobią ciemności. Fobia to irracjonalny lęk, a Adam podejrzewał, że w Cableswater po zmroku nie brakuje powodów do strachu. „Przynajmniej – pomyślał – jeśli Whelk użyje latarki, to go zobaczę”.

To była marna pociecha, ale Adam zabrnął już za daleko, żeby teraz wracać. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie za siebie – tutaj człowiek zawsze czuł się obserwowany – a potem przekroczył niewidoczny, gulgoczący, wąziutki strumień i wszedł między drzewa.

A tam było jasno.

Czym prędzej spuścił głowę, zamknął oczy, osłonił twarz latarką. Powieki pło-
nęły mu na czerwono. Powoli otworzył oczy. Las dokoła niego jarzył się popołudniowym słońcem. Zakurzone snopy złotego blasku przenikały przez sklepienie koron drzew i pokrywały lśniącymi cętkami powierzchnię strumienia. W tym ukośnym oświetleniu liście wydawały się żółte, brązowe, różowe. Puszyste porosty na drzewach miały mroczny pomarańczowy odcień.

Skóra na ręce, którą Adam wyciągnął przed siebie, wydawała się różowa i opalona. Powietrze otulało jego ciało miękkim powiewem. Wydawało się materialne, jak łuszczące się złoto, jakby każda drobinka kurzu zamieniła się w świetlisty pył.

Noc minęła, dokoła nie było żywej duszy. Gdzieś nad głową Adama odezwał się ptak. Chłopak nie pamiętał, żeby wcześniej słyszał w tym lesie śpiew ptaka. Ten niósł się jak odegrana na trąbce długa melodia złożona tylko z czterech czy pięciu nut. Jak dźwięk rogu myśliwskiego jesienią. *Daleko, w siną dal*. Zachwycił go, a jednocześnie zasmucał, jak symbol gorzko-słodkiego piękna Cableswater.

„To miejsce nie ma prawa istnieć” – pomyślał Adam i czym prędzej wyobraził sobie coś zupełnie przeciwnego. Cableswater rozjaśniło się, gdy tylko Adam zapragnął, żeby tak się stało, podobnie jak zmienił się kolor rybek w sadzawce, kiedy Gansyowi przyszło do głowy, że mogłyby być czerwone. Cableswater było dosłowne jak Ronan. Adam nie wiedział, czy potrafiłby unicestwić je myślą, ale nie miał ochoty tego sprawdzać.

Musiał pilnować swoich myśli.

Zgasił latarkę, wrzucił ją do torby i ruszył przez świeżo przydeptane trawy w stronę źródła strumyka, tego samego, który prowadził ich za pierwszym razem. Teraz, kiedy deszcz wypełnił go wodą, łatwiej było trzymać się jego brzegów.

Zobaczył drżące odbicia pni drzew. Silne, ukośne popołudniowe światło zalewało zagadkową sadzawkę, którą znaleźli pierwszego dnia. Był prawie na miejscu.

Potknął się. Jego stopa wykręciła się bezlitośnie i niespodziewanie.

„Co to jest?”.

Na ziemi leżała pusta miseczka. Miała lśniący, brzydki odcień purpury. Dziwnie wyglądał w tym miejscu przedmiot wykonany przez człowieka.

Zaintrygowany, podniósł wzrok i jakieś trzy metry dalej dostrzegł następne naczynie, nie mniej rzucające się w oczy na dywanie różowych i żółtych liści. Druga miska była identyczna jak pierwsza, ale wypełniała ją po brzegi ciemna ciecz.

Adama ponownie zszokowała obecność czegoś sztucznego wśród drzew. Kolejnym zaskoczeniem była idealna, niezmacona powierzchnia płynu. Żadne liście, osad, gałązki ani insekty nie zmaciły jego czarnej tafli. To oznaczało, że naczynie musiało zostać napełnione niedawno.

A to oznaczało...

Poczuł nagły przypływ adrenaliny, a sekundę później usłyszał głos.

Whelk leżał związany na tylnym siedzeniu i nie mógł się zdecydować, kiedy podjąć próbę ucieczki. Widać było, że Neeve ma jakiś plan, czego on w żadnym razie nie mógł powiedzieć o sobie. Spodziewał się, że zanim kobieta spróbuje go zabić, zadbą o najdrobniejsze szczegóły rytuału. Pozwolił więc zawieźć się na skraj lasu swoim własnym samochodem, który teraz był cały zaśmiecony i śmierdzący czosnkiem. Neeve nie odważyła się zjechać z drogi, za co był jej dożgonnie wdzięczny. Zaparkowała w niewielkiej, wysypanej żwirem zatoczce. Dalej mieli iść piechotą. Było jeszcze jasno, ale Whelk potykał się co chwila o kępki trawy.

– Przykro mi – powiedziała Neeve. – Według Google Maps to było najbliżej położone miejsce do parkowania.

Whelk, którego irytowało u wróżki absolutnie wszystko, od miękkich, pulchnych dłoni i szerokiej, marszczącej spódnicy aż po kręcone włosy, odparł, nie siłując się na uprzejmość:

– Po co zwracasz sobie głowę przepraszaniem? Nie zamierzasz mnie zabić?

Neeve się skrzywiła.

– Wolalabym, żebyś nie nazywał tego w ten sposób. Zostaniesz złożony w ofierze. To zupełnie co innego, składanie ofiar ma wspaniałą tradycję. Poza tym zaśłużyłeś sobie na to. To sprawiedliwy układ.

– Czy to znaczy, że w takim razie ktoś inny powinien zabić ciebie, żeby było sprawiedliwie? W przyszłości?

Znów potknął się o kępkę trawy i tym razem Neeve go nie przeprosiła ani nie odpowiedziała na jego pytanie. Utkwiła w nim tylko swe nieruchome spojrzenie. Dotkliwa była nie tyle jego przenikliwość, ile długotrwałość.

– Przyznam, Barrington, że przez chwilę odczuwałam lekki żal, że padło na ciebie. Wydawałeś się bardzo miły, zanim użyłam paralizatora.

Niełatwo jest podtrzymywać kulturalną rozmowę po tym, jak jedna ze stron przypomniawszy, że użyła przeciw drugiej paralizatora, więc dotarli na miejsce w milczeniu.

Whelk czuł się dziwnie, kiedy ponownie znalazł się w lesie, w którym ostatni raz widział Czerny'ego. Sądził, że las to las i że powrót w to miejsce, szczególnie

o innej porze dnia, nie robi na nim wrażenia. Ale panująca tu atmosfera natychmiast przeniosła go z powrotem do tamtej chwili, kiedy trzymał w ręce deskorolkę, a Czerny wydyszał wraz z ostatnim tchnieniem jedno smutne pytanie.

Szepty syczały i strzelały w jego głowie jak rozprzestrzeniający się ogień, ale Whelk nie zwracał na nie uwagi.

Tęsknił za swoim życiem. Tęsknił za wszystkim, co się z nim wiązało – beztroską, ekstrawagancją domowych świąt Bożego Narodzenia, pedałem gazu pod stopą, wolnym czasem, który wydawał się błogosławieństwem, a nie pustym przekleństwem. Tęsknił za opuszczaniem lekcji, a zarazem chodzeniem na nie i mazaniem po pijanemu w swoje urodziny sprayem po znaku przy wjeździe do Henrietty na drodze I-64.

Tęsknił za Czernym.

Ani razu w ciągu minionych siedmiu lat nie pozwolił sobie na taką myśl. Próbował przekonać siebie o bezużyteczności Czerny'ego. Próbował wmówić sobie, że jego śmierć miała konkretny powód.

Ale pamiętał tylko dźwięk, jaki wydał z siebie Czerny za pierwszym razem, kiedy go uderzył.

Whelk przyglądał się w milczeniu, jak Neeve przygotowuje rytuał. Kiedy ustawiała ramiona pentagramu – dwie świece: zgaszoną i zapaloną, dwie miski: pełną i pustą oraz trzy małe kości ułożone w trójkąt – on usiadł z kolanami pod brodą i rękami wciąż związanymi z tyłu. Żałował, że nie potrafi płakać. Marzył o tym, żeby ktoś zdjął z niego ten straszliwy ciężar, który go przytłacza.

Neeve zerknęła na niego przelotnie i pomyślała, że Whelk boi się rychłej śmierci.

– Och – powiedziała cicho i łagodnie – nie martw się. To nie będzie bardzo bolało. – Zastanowiła się nad swoimi słowami, a potem poprawiła: – Przynajmniej nie bardzo długo.

– Jak zamierzasz mnie zabić? Jak działa rytuał?

Neeve zmarszczyła czoło.

– To nie jest łatwe pytanie. To jakby ktoś pytał malarza, dlaczego wybiera określone kolory. Czasem to nie jest *proces*, tylko *odczucie*.

– Świetnie – powiedział Whelk. – Więc co *czujesz*?

Neeve przycisnęła do ust idealnie ukształtowany paznokieć, pomalowany na fioletoworóżowy kolor, lustrując wzrokiem efekty swojej pracy.

– Utworzyłam pentagram. To silny kształt dla wszystkich zaklęć i dobrze mi się z nim pracuje. Dla niektórych to zbyt ambitne podejsście, jeszcze inni uważają, że ich ogranicza, ale ja jestem z niego zadowolona. Ustawiłam zapaloną świecę, która oddaje energię, i zgaszoną świecę, która zaprasza energię. Mam wróżebną miskę, przez którą zajrzę do innego świata, oraz drugą, pustą, którą ten świat będzie mógł wypełnić. Skrzyżowałam kości łap trzech kruków. Zabiłam je, żeby pokazać drodze umarłych naturę zaklęcia, które zamierzam rzucić. Myślę, że pozwolę ci się wykrwawić w środku pentagramu, a w tym czasie będę wzywała linię mocy, żeby się obudziła.

W tym miejscu skierowała na Whelka przenikliwe spojrzenie.

– Niewykluczone, że potem jeszcze coś ulepszę – dodała. – Te sprawy wyma-

gają elastyczności. Ludzie bardzo rzadko okazują zainteresowanie moimi metodami pracy, Barrington.

– Mnie one żywo interesują – powiedział. – Czasami sam proces jest najciekawszy.

Gdy Neeve odwróciła się do niego plecami, aby sięgnąć po noże, Whelk wysunął ręce z więzów. Chwycił złamaną gałąź i uderzył nią Neeve w głowę z całą siłą, jaką zdołał z siebie wykrzesać. Nie spodziewał się, że cios będzie śmiertelny, bo gałąź była jeszcze zielona i giętka, ale w każdym razie to wystarczyło, żeby kobieta osunęła się na kolana.

Neeve jęknęła i powoli pokręciła głową, więc Whelk uderzył jeszcze raz. Potem związał ją sznurkiem, z którego sam się wyswobodził – ucząc się na jej błędach, zacisnął węzły mocno – i zaciągnął ogłuszoną wróżkę na środek pentagramu.

Potem podniósł wzrok i zobaczył Adama Parrisha.

Blue po raz pierwszy poczuła, że przebywanie w Cableswater może być dla niej naprawdę niebezpieczne. Niebezpieczne dlatego, że jej obecność nagłaśnia wiele zjawisk. Dodaje im energii. Kiedy znaleźli się w lesie, miała wrażenie, że noc jest naładowana energią. Deszcz zamienił się w zanikającą chwilami mżawkę, ale Blue zerknęła z niepokojem na Ganseya. Na jego ramionach prawie nie było śladów deszczu, nie miał też na sobie szkolnego mundurka. Kiedy zobaczyła go podczas czuwania w kościele, z całą pewnością był w swetrze z krukami, a jego ramiona były wyraźnie mokre. Przecież nie mogła tak dalece wpłynąć na jego przyszłość, żeby dzisiejsza noc stała się chwilą jego śmierci, prawda? Oczywiście spotkanie Ganseya musiało być jej przeznaczone, skoro miała go zabić albo się w nim zakochać. Zresztą Persefona z pewnością nie pozwoliłaby im jechać, gdyby wyczuła, że Gansey tej nocy umrze.

W świetle latarek zobaczyli Świnie zaparkowaną w pobliżu polany, na której znaleźli mustanga Noaha. Do lasu prowadziło stąd kilka wydeptanych ścieżek, zupełnie jakby Adam nie mógł się zdecydować, którądy iść.

Na widok camaro twarz Ganseya, już i tak ponura, przybrała iście posępny wyraz. Kiedy zbliżali się do linii drzew, żadne z nich się nie odzywało.

Na skraju lasu wrażenie wszechobecnej energii i mnożących się możliwości gwałtownie się nasiliło. Ramię w ramię weszli między drzewa. W mgnieniu oka zanurzyli się w senne południowe światło.

Choć Blue była przygotowana na magię, zaparło jej dech w piersiach.

– Co Adam właściwie sobie wyobraża? – mamrotał Gansey, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Jak można eksperymentować z...

Umilkł, straciwszy zainteresowanie odpowiedzią na pytanie.

Przed sobą mieli mustanga Noaha, który skąpany w złotej, nieziemskiej poświacie wyglądał jeszcze bardziej surrealistycznie niż w dniu, kiedy go znaleźli. Smugi światła przebijały się przez sklepienie drzew i, oświetlając mętne, wirujące powietrze, padały wprost na pokryty pyłkami dach.

Blue stanęła przed maską samochodu i zawołała chłopców. Gdy tylko do niej dołączyli, ich wzrok przyciągnęła zakurzona przednia szyba. Ktoś napisał na niej zakręglonymi literami jedno słowo: „ZAMORDOWANY”.

– Noah? – zawołała Blue w przestrzeń, która wcale nie wydawała jej się pusta.

– Noah, jesteś tu z nami? Ty to napisałeś?

– Och – powiedział Gansey.

To był zupełnie bezbarwny, niewyraźny dźwięk. Blue i Ronan podążyli za jego spojrzeniem. Niewidzialny palec kreślił następne litery na bocznej szybie po stronie kierowcy. Chociaż Blue od razu domyśliła się, że to Noah napisał pierwsze słowo, wyobrażała sobie, że kiedy to robił, miał ciało. Obserwowanie, jak litery pojawiają się same, było o wiele trudniejsze, przywodziło na myśl Noaha o ciemnych otworach zamiast oczu, zgniecionym policzku, niemal nieludzkiej postaci. Nawet w tym ciepłym, zalanym popołudniowym słońcem lesie Blue poczuła, że ogarnia ją chłód.

„To Noah – pomyślała. – Czerpie ode mnie energię. To właśnie czuję”.

Słowo na szybie nabierało kształtu.

„ZAMORDOWANY”.

Zaczął następny wyraz, bez odstępów, a nawet z braku miejsca częściowo zamazujący ten pierwszy.

„ZAMORDOWANY”.

A potem jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, jedno na drugim:

„ZAMORDOWANYZAMORDOWANYZAMORDOWANY”.

Pisanie trwało dotąd, aż szyba stała się zupełnie czysta, całkowicie zamieciona z pyłków niewidzialnym palcem. Wypisano na niej tyle słów, że nie dało się już ich przeczytać. Teraz była tylko oknem pustego samochodu ze wspomnieniem po hamburgerze na siedzeniu kierowcy.

– Noah – powiedział Gansey. – Tak mi przykro.

– Mnie też. – Blue otarła łzę.

Ronan podszedł do samochodu, nachylił się nad jego maską, przycisnął palec do szyby i na oczach wszystkich napisał:

„ZAPAMIĘTANY”.

W głowie Blue rozległ się głos Calli, tak wyraźny, że zastanawiała się, czy wszyscy pozostali go słyszą: „Twojego ojca zabiła tajemnica, a ty dobrze wiesz, co to było”.

Ronan bez słowa komentarza włożył ręce do kieszeni i wszedł głębiej w las.

W uchu Blue zasyczał głos Noaha, zimny i natarczywy. Nie mogła zrozumieć, co usiłuje jej powiedzieć. Poprosiła go, żeby powtórzył, ale zapadła cisza. Na próżno czekała. Mijały sekundy. Adam miał rację – Noah stawał się coraz słabszy.

Teraz, kiedy Ronan ruszył przodem, Gansey wyglądał tak, jakby chciał jak najszybciej do niego dołączyć. Blue podzielała jego potrzebę trzymania się razem. Miała wrażenie, że nikogo nie powinni tracić z oczu. Cabeswater wydawało się w tej chwili miejscem, w którym łatwo można przepaść bez śladu.

– *Excelsior* – powiedział Gansey ponuro.

– Co to znaczy? – zapytała Blue.

Gansey obejrzał się przez ramię. Znowu trochę bliżej mu było do chłopaka, którego widziała na cmentarzu.

– Do przodu i wyżej.

Na miłość boską – powiedział Whelk na widok Adama stojącego obok przewróconej miski.

Nauczyciel trzymał w ręce duży nóż, który robił równie duże wrażenie. Niechlujny i nieogolony łacinnik wyglądał jak uczeń Aglionby po ciężkim weekendzie.

– *Czego?!*

W jego głosie słychać było autentyczne zdenerwowanie i złość.

Adam nie widział Whelka, odkąd odkrył, że to on zabił Noaha. Teraz sam był zaskoczony gwałtownością własnych emocji na jego widok. Szczególnie kiedy zdał sobie sprawę, że morderca rozpoczął następny rytuał z kolejną ofiarą. W tych okolicznościach nie od razu udało mu się rozpoznać kobietę, którą spotkał tamtego wieczoru przy Fox Way 300. Neeve spoglądała na niego ze środka kręgu utworzonego przez końce pentagramu. Nie wydawała się tak przestraszona, jak można byłoby się spodziewać po kimś związanym i umieszczonym na środku diabelskiego symbolu.

Adamowi przyszło do głowy kilka rzeczy, które mógłby powiedzieć, ale kiedy otworzył usta, nie wypowiedział żadnej z nich.

– Dlaczego Noah? – zapytał. – Dlaczego nie ktoś okropny?

Whelk na sekundę przymknął oczy.

– Nie zamierzam o tym rozmawiać. Czego tu szukasz?

Widać było, że nie wiedział, co począć z obecnością Adama. To wydawało się dość sprawiedliwe, bo Adam nie miał pojęcia, co zrobić z obecnością Whelka. Musiał powstrzymać go przed obudzeniem linii mocy; wszystko inne (obezwładnienie Whelka, uratowanie Neeve, pomszczenie Noaha) było do negocjacji. W jednej chwili przypomniał sobie, że ma w torbie pistolet ojca. Może wycelować z niego w Whelka i przekonać go, żeby coś zrobił, ale co? Na filmach wszystko wydawało się proste: ten, kto miał broń, wygrywał. Ale w rzeczywistości Adam nie dałby rady trzymać Whelka na muszce i jednocześnie go wiązać, nawet gdyby miał czym. Nauczyciel mógł go obezwładnić. Może wykorzystać więzy Neeve, żeby...

Adam wyjął pistolet. Wydał mu się ciężki i złowrogi.

– Przyszedłem zapobiec następnej tragedii. Rozwiąż ją natychmiast.

– Na miłość boską – powtórzył Whelk.

Podszedł do Neeve i przystawił nóż do jej twarzy. Jej usta nieznacznie się zaciśnęły.

– Odlóż pistolet, to jej nie okaleczę. Rzuć mi go. Tylko upewnij się, że jest zabezpieczony, zanim rzucisz, bo możesz ją niechcący zastrzelić.

Adam czuł, że gdyby był Ganseyem, zdołałby się jakoś wywinąć gadaniem. Wyprostowałby plecy, zrobiłby imponujące wrażenie, a Whelk wykonałby każde jego polecenie. Ale Adam nie był Ganseyem. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to powiedzieć:

– Nie przyszedłem tu po to, żeby ktoś zginął. Wyrzucę broń, ale nie w twoim kierunku.

– W takim razie pokaleczę jej twarz.

Neeve wydawała się zupełnie spokojna.

– Jeśli to zrobisz, rytuał nie będzie skuteczny. Nie słuchałeś? Myślałam, że interesuje cię proces.

Adam odniósł upiorne wrażenie, że widzi w jej oczach coś niezwykłego. Trochę jakby mignęła mu w nich Maura, Persefona i Calla.

– W porządku – zgodził się Whelk. – Rzuć pistolet tam. Ale nie zbliżaj się. – A potem zwrócił się do Neeve: – Co masz na myśli? Jak to nie będzie skuteczny? Blefujesz?

– Możesz wyrzucić pistolet – powiedziała Neeve do Adama. – Nie mam nic przeciwko temu.

Chłopak rzucił broń w zarośla. Czuł się przy tym strasznie, ale odetchnął z ulgą, gdy już jej nie trzymał.

– Barrington. Rytuał wymaga ofiary.

– Zamierzałaś mnie zabić – odrzekł Whelk. – Mam uwierzyć, że w drugą stronę to wygląda inaczej?

– Owszem – przytaknęła Neeve. Nie odwracała wzroku od Adama. Znowu mignęło mu w jej oczach coś niezrozumiałego: czarna maska, dwa lustra, twarz Persefony. – To musi być osobista ofiara. Moja śmierć nią nie będzie. Nic dla ciebie nie znaczę.

– Przecież ja też nic nie znaczę dla ciebie – powiedział Whelk.

– Ale zabijanie znaczy – odparła. – Nigdy nikogo nie zabiłam. Poświęcę swoją niewinność, jeśli cię zabiję. To niewyobrażalna ofiara.

– No ale ty już kogoś zamordowałaś, więc nie możesz poświęcić tego samego.

Adam był zaskoczony, jak wyraźnie zabrzmiała pogarda w jego głosie.

Whelk zaczął przeklinać pod nosem, jakby nikogo więcej tam nie było.

Z drzew opadały liście wielkością i kształtem przypominające drobne monety. Neeve wciąż wpatrywała się w Adama. Wrażenie, że widzi w jej oczach jakieś inne miejsce, było teraz niezaprzeczalne. Odbicie jeziora w lustrze, głos głęboki jak ziemia, para oczu czarnych jak obsydian. Zobaczył inny świat.

– Panie Whelk!

„Gansey!”.

Głos dobiegał zza pustego pnia drzewa wizji. Po chwili zamaszystym krokiem wyłonił się zza niego Gansey, a za nim Ronan i Blue. Serce Adama było jednocześnie jak ptak i kamień. Ulga była wprost namacalna, podobnie jak wstyd.

– Panie Whelk – powiedział Gansey. Nawet w okularach i z głupio zmierzwiionymi włosami był nadal Richardem Ganseyem III u szczytu świetności – olśniewającym i potężnym. Nie patrzył na Adama. – Policja jest w drodze. Zdecydowanie radziłbym panu odsunąć się od tej kobiety, żeby nie pogarszać sprawy.

Whelk miał taką minę, jakby zamierzał coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Wszyscy wpatrywali się w nóż w jego ręce i w ziemię tuż obok.

Neeve zniknęła.

Odruchowo zaczęli się rozglądać. Popatrzyli na pentagram, na puste drzewo, na sadzawkę – bo przecież Neeve nie mogła wymknąć się stamtąd niepostrzeżenie, nie w ciągu dziesięciu sekund. Ale ona nie poruszyła się. Po prostu *zniknęła*.

Przez chwilę nic się nie działo. Wszyscy niepewnie zastygli w bezruchu.

Whelk wyskoczył z pentagramu. Adam natychmiast się zorientował, że biegnie po pistolet.

Ronan rzucił się na Whelka dokładnie w chwili, w której ten podnosił się z ziemi z bronią w ręku. Łacinnik uderzył go rękojeścią w szczękę. Głowa Ronana odskoczyła.

Whelk wycelował w Ganseya.

– *Dość!* – krzyknęła Blue.

Adam rzucił się do środka pentagramu.

Okazało się, że nie docierały tu dźwięki w żadnej rozsądnej formie. Usłyszał stłumioną końcówkę okrzyku Blue, jakby zanurzył się w wodzie. Powietrze dookoła niego było nieruchome. Miał wrażenie, że czas nagle zrobił się ospały, wręcz przestał mieć znaczenie. Jedyne, co czuł, to rodzaj prądu, ledwo wyczuwalnego mrowienia, jakby wyładowań elektrycznych.

Neeve powiedziała, że nie chodzi o zabijanie, tylko o poniesienie ofiary. To w oczywisty sposób pokrzyżowało Whelkowi szyki.

Ale Adam wiedział, co znaczy ofiara, lepiej niż Whelk czy Neeve kiedykolwiek mieli się dowiedzieć. Wiedział, że nie chodzi o zabicie człowieka ani o układanie figur z ptasich kości.

Adam ponosił ofiary od bardzo dawna i wiedział, która z nich była największa. „Na moich warunkach albo wcale”.

Nie bał się.

Adam Parrish był skomplikowaną istotą, genialnym połączeniem mięśni, organów, synaps i nerwów. Był chodzącym cudem, przykładem niewiarygodnej umiejętności przetrwania. Jednak dla Adama Parrisha najważniejsza była wolna wola, możliwość decydowania o sobie.

To liczyło się przede wszystkim.

To zawsze było najważniejsze.

Bez tego nie byłby Adamem Parrishem.

Adam ukląkł na środku pentagramu i zanurzył palce w miękką, wilgotną darni.

– Poświęcam siebie – powiedział.

– Adam, nie! Nie!

Krzyk Ganseya był przepelniony bólem.

„Na moich warunkach albo wcale”.

„Będę twoimi rękami – pomyślał Adam. – Będę twoimi oczami”.

Usłyszeli dźwięk przypominający przełamywanie się fal. Ryk.

Ziemia zaczęła usuwać im się spod nóg.

Blue wpadła na Ronana, któremu udało się dźwignąć na kolana po tym, jak Whelk go uderzył. Wielkie kamienne bloki marszczyły się, jakby były wodą, a sadzawka przechyliła się i wystąpiła z brzegów. Dokoła panował straszliwy zgiełk, jakby huk nadciągającego pociągu, a Blue potrafiła myśleć tylko o jednym: „Nigdy nie spotkało mnie nic naprawdę złego”.

Drzewa chyliły się ku sobie, jakby chciały uwolnić się z objęć ziemi. Liście i gałęzie spadały gęsto i wściekle, a dudnienie nie ustawało.

– To trzęsienie ziemi! – krzyknął do nich Gansey.

Jedną rękę trzymał wysoko nad głową, a drugą obejmował drzewo. We włosach miał pełno śmieci.

– Zobacz, co narobiłeś, ty stuknięty idioto! – krzyknął Ronan do Adama, który obserwował wszystko ze środka pentagramu przenikliwym, nieufnym wzrokiem.

„Czy to się kiedyś skończy?” – zastanawiała się Blue.

Trzęsienie ziemi było szokującym zjawiskiem, całkowicie nie na miejscu, nasuającym podejrzenie, że naruszona została istota świata i teraz nic nie będzie już takie jak kiedyś.

Ziemia dokoła nich osuwała się, wydając groźne pomruki. Whelk podniósł się chwiejnie. W ręce trzymał pistolet, który teraz zdawał się jeszcze czarniejszy i brzydszy niż poprzednio. Pochodził ze świata, w którym śmierć jest niesprawiedliwa i naga.

Whelk zdołał utrzymać się na nogach. Drżenie skał powoli ustawało, choć wszystko było przechylone jak wielka beczka śmiechu.

– Skąd możesz wiedzieć, co zrobić z taką mocą? – warknął do Adama. – Co za marnotrawstwo. Co za cholerne marnotrawstwo.

Whelk wycelował do Adama i po chwili po prostu pociągnął za spust.

Wszystko ucichło. Poza szelestem liści i pluskiem wody o brzegi sadzawki w lesie panowała cisza.

Blue krzyknęła.

Wszystkie oczy były teraz zwrócone na Adama, który nadal stał w środku pentagramu. Na jego twarzy malowało się zdumienie. Spoglądał na swoją pierś, na ramiona. Nie było na nich żadnego śladu.

Whelk nie spudłował ani Adam nie został trafiony, jedno i drugie po prostu się nie wykluczało.

Gansey wpatrywał się w Adama z bezgranicznym smutkiem. To był pierwszy zauważony przez Blue sygnał, że zaszły jakieś niepokojące, nieodwracalne zmiany. Jeśli nie w świecie, to w Cableswater. A jeśli nie w Cableswater, to w Adamie.

– Dlaczego? – zapytał Gansey Adama. – Nie dało się ze mną wytrzymać?

– Nie chodziło o ciebie – powiedział Adam.

– Adam! – krzyknęła Blue – Co ty *zrobiłeś*?

– To, co trzeba było zrobić – odparł Adam.

Stojący dwa metry od niego Whelk wydał zdławiony jęk. Kiedy jego pocisk

nie zranił Adama, upuścił pistolet, pokonany jak dziecko w walce na niby.

– Myślę, że powinienes mi to oddać – zwrócił się do niego Adam. Trochę drżał. – Myślę, że Cableswater nie chce, żebyś to miał. Myślę, że jeśli mi tego nie oddasz, sam to wezmę.

Nagle drzewa zaczęły szumieć, jakby poruszał nimi wiatr, choć Blue nie czuła na skórze powiewu.

Adam i Ronan wydawali się zszokowani, a Blue po chwili zdała sobie sprawę, że to, co słyszy, nie jest zwykłym szumem. Drzewa przemawiały i teraz Blue też słyszała ich głosy.

– Kryjcie się! – krzyknął Ronan.

Usłyszeli jakiś nowy dźwięk, który z początku przypominał szelest, ale szybko przerodził się w bardziej zdecydowany odgłos. Mogło je wydawać tylko coś masywnego, co gnało przez las, łamiąc gałęzie i deptając poszycie.

– Coś nadciąga! – wrzasnęła Blue.

Trzymała się kurczowo Ronana i Ganseya, nadrywając im rękawy. Kilka metrów za nimi ział postrzępiony otwór pustego pnia drzewa wizji i właśnie tam wciągnęła ich Blue. Zanim spowiła ich magia drzewa, zdążyli jeszcze zobaczyć ogromne, falujące stado zwierząt o białych rogach i sierści skrzacej się jak zmrożony śnieg. Ich parskanie i ryki dławiły powietrze. Mknęły pierś w pierś, szaleńczo, na oślep. Kiedy odrzuciły łby do tyłu, Blue zobaczyła, że swoim wijącym się kształtem przypominają wyrytego w zboczu wzgórza kruka albo dziwną figurkę psa, którą widziała w mieszkaniu Ganseya.

Ich tętent rozbrzmiewał w lesie niczym nowe trzęsienie ziemi. Stado zaczęło się rozdzielać, z głośnym parskaniem omijając wykreślony na ziemi pentagram.

Ronan wydyszał jakieś przekleństwo, a Gansey, przyciśnięty do ciepłego pnia drzewa, odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść widoku innych ludzi.

Drzewo roztaczało przed nimi nowe wizje.

Blue zobaczyła nocną scenerię. Na mokrym, parującym chodniku migotały jak klejnoty odbicia ulicznych świateł zmieniających się z zielonych w czerwone. Siedziała za kierownicą zaparkowanego przy krawężniku camaro. Dokoła unosił się intensywny zapach benzyny. Na siedzeniu pasażera zobaczyła kogoś w koszuli z kołnierzykiem. To był Gansey. Pochylił się w jej stronę, delikatnie dotykając miejsca, w którym rysował się kształt jej obojczyka. Czuła na szyi jego gorący oddech.

„Gansey” – ostrzegła go. Czuła, że nie panuje nad sobą, że wszystko może się zdarzyć.

„Chcę tylko przez chwilę udawać” – powiedział Gansey. Jego słowa osiadały mgiełką na jej skórze. – Chcę tylko przez chwilę udawać, że to możliwe”.

Blue przymknęła oczy.

„Może nic by się nie stało, gdybym cię pocałował – powiedział. – Może to... tylko wtedy, gdybyś ty mnie pocałowała...”.

Blue została popchnięta od tyłu, coś wyszarpnęło ją z tej magicznej sceny. Zdążyła tylko zobaczyć, jak Gansey – prawdziwy Gansey – przeciska się obok niej i z szeroko otwartymi oczami wybiega z pnia drzewa.

Gansey przez jedną, pełną dezorientacji chwilę przyglądał się dziwnej scenie – jego palce dotykały twarzy Blue – a potem wybiegł z drzewa, odpychając prawdziwą Blue, która zagradzała mu drogę. Musiał sprawdzić, co się stało z Adamem, choć w głębi duszy miał koszmarnie przeczucie, że wie, co zobaczy.

I rzeczywiście, Adam nadal stał w okręgu, cały i zdrowy, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków. W jednej dłoni trzymał pistolet. Dwa metry dalej, na zewnątrz okręgu, leżał Whelk. Ciało było przysypane liśćmi, jakby spoczywało tam od lat, a nie zaledwie od kilku minut. Krwi było mniej, niż można się spodziewać wokół stratowanego człowieka, ale zwłoki wydawały się poszarpane.

Adam stał i patrzył. Jego nierówno obcięte włosy były zmierzwione z tyłu – jedyny ślad, że się poruszył, odkąd Gansey widział go ostatnim razem.

– Adam – zdołał wydyszeć Gansey. – Jak odzyskałeś pistolet?

– Drzewa – odparł krótko Parrish.

W jego głosie wciąż było słyhać chłodną wyniosłość, a więc tamten chłopak, którego Gansey znał, został zepchnięty gdzieś bardzo głęboko.

– Drzewa? Boże! Zastrzeliłeś go!

– Oczywiście, że nie – odparł Adam. Ostrożnie położył pistolet na ziemi. – Chciałem go tylko powstrzymać od podejścia bliżej.

W duszy Ganseya narastało przerażenie.

– Pozwoliłeś, żeby został stratowany?

– On zabił Noaha – odparł Adam. – Zasłużył na to.

– Nie.

Gansey przycisnął ręce do twarzy. Przed sobą miał ciało. *Ciało*, które kiedyś żyło. Nie mogli jeszcze nawet legalnie kupować alkoholu. Tym bardziej nie mieli prawa decydować o czyimś życiu lub śmierci.

– Naprawdę chciałbyś, żebym tu wpuścił mordercę? – dopytywał się Adam.

Gansey nawet nie potrafił opisać bezmiaru grozy, którą odczuwał. Wiedział tylko, że wciąż na nowo wybucha gdzieś w jego wnętrzu, za każdym razem ze zdwojoną siłą.

– Jeszcze przed chwilą żył – powiedział bezradnie. – W zeszłym tygodniu uczył nas czasowników nieregularnych. A ty go zabiłeś.

– Przestań to powtarzać. Nie *uratowałem* go. Przestań mi mówić, co jest dobre, a co złe! – Adam krzyczał, ale na jego twarzy malowało się cierpienie nie mniejsze od tego, które odczuwał Gansey. – Teraz linia mocy jest obudzona, możemy odszukać Glendowera i wszystko będzie tak, jak być powinno.

– Musimy wezwać policję. Musimy...

– Niczego nie musimy. Zostawimy tu Whelka, żeby zgnił, tak samo jak on zostawił Noaha.

Gansey odwrócił się, pełen odrazy.

– A co ze sprawiedliwością?

– To właśnie jest sprawiedliwość, Gansey. Prawdziwa sprawiedliwość. W tym

miejscu trzeba być prawdziwym.

To wszystko wydawało się Ganseyowi z gruntu złe. Wyglądało jak prawda, ale odwrócona bokiem. Wciąż na nią patrzył i patrzył, i widział tylko martwego młodego człowieka, który koszmarnie przypominał okaleczony szkielet Noaha. I był jeszcze Adam, który wyglądał tak samo jak zawsze, a jednak... Coś się zmieniło w jego wyrazie twarzy, oczach, linii ust.

Widmo straty zajrzało Ganseyowi w oczy.

Z drzewa wyłonili się Blue i Ronan. Na widok Whelka Blue zasłoniła ręką usta. Ronan miał na czole paskudnego siniaka.

– Zginął – powiedział krótko Gansey.

– Myślę, że powinniśmy się stąd wydostać – stwierdziła Blue. – Trzęsienia ziemi, zwierzęta i... Nie wiem, jak duży wpływ ma na to moja obecność, ale to wszystko wydaje mi się...

– Tak – zgodził się Gansey. – Musimy iść. Zastanowimy się, co zrobić z Whelkiem, kiedy już stąd wyjdziemy.

– Zaczekajcie.

Tym razem wszyscy usłyszeli ten głos. Mówił po angielsku. Żadne z nich się nie poruszyło, odruchowo spełniając prośbę.

– Chłopcze. *Scimus quid quaeritis*.

(Chłopcze. Wiemy, czego szukasz.)

Choć drzewa mogły mieć na myśli każdego z chłopców, Gansey czuł, że te słowa są skierowane do niego.

– Czego szukam? – zapytał głośno.

W odpowiedzi rozległ się szmer, potok łacińskich słów. Gansey skrzyżował ramiona na piersi i zacisnął pięści. Wszyscy popatrzyli na Ronana, czekając, aż przetłumaczy to, co usłyszeli.

– Mówią, że od zarania dziejów krążyły pogłoski o królu pochowanym gdzieś na tej drodze duchów – powiedział Ronan wpatrzony w Ganseya. – Ich zdaniem on może należeć do ciebie.

Pięknego, słonecznego dnia na początku czerwca odbył się pogrzeb Noaha. Policja przez kilka tygodni pracowała nad dowodami i kiedy wreszcie można było pochować kości, nadszedł koniec roku szkolnego. Między śmiercią Whelka a pogrzebem Noaha wiele się wydarzyło. Gansey odzyskał swój dziennik, który policja wykorzystywała w celach dochodzeniowych, i odszedł z drużyny wioślarskiej. Ronanowi udało się jakoś przebrnąć przez egzaminy końcowe z wynikiem satysfakcjonującym ciało pedagogiczne Aglionby, ale nie zdołał naprawić zamka w drzwiach do mieszkania. Adam, przypuszczalnie z pomocą Ronana, wyprowadził się z Monmouth Manufacturing do wynajętego pokoju przy kościele Świętej Agnieszki. Ta niewielka odległość wywarła wpływ na nich obu, choć na każdego inny. Blue triumfalnie powitała koniec roku szkolnego i początek swobody w badaniu właściwości linii mocy. Henrietta dziewięciokrotnie doświadczyła awarii sieci energetycznej, a telefony zamilkły cztery razy. Maura, Persefona i Calla przetrząsnęły strych i pozbyły się rzeczy Neeve. Powiedziały Blue, że nadal nie wiedzą, co właściwie się stało, kiedy przestawiły tamtej nocy jej lustro.

– Chciałyśmy ją powstrzymać – przyznała się Persefona. – Ale wygląda na to, że zamiast tego spawiliśmy, że zniknęła. Możliwe, że kiedyś znowu się pojawi.

I ich życie powoli odzyskało równowagę, choć nie zanosilo się na to, żeby kiedykolwiek mogło wrócić do normy. Linia mocy została obudzona, a Noah prawie odszedł. Magia była prawdziwa, Glendower był prawdziwy i coś się zaczynało.

– Nie chcę być brutalny, ale to jest pogrzeb – powiedział Gansey do Blue, kiedy do nich podeszła.

On i Ronan wyglądali w swoich nienagannych czarnych garniturach jak drużbowie.

Blue z braku czarnej garderoby pośpiesznie naszyła kilka metrów taniej czarnej koronki na zielony T-shirt, który kilka miesięcy wcześniej przerobiła na sukienkę.

– To najlepsze, co miałam!

– Jakby Noaha to obchodziło – rzucił Ronan.

– Masz coś innego na potem? – zapytał Gansey.

– Nie jestem idiotką. Gdzie jest Adam?

– W pracy – odparł Gansey. – Przyjdzie później.

Kości Noaha miały zostać pochowane na terenie rodzinnej posiadłości Czernych w odległej dolinie. Świeżo wykopany grób znajdował się na obrzeżach długiego cmentarza, położonego na zboczu skalistego wzgórza. Stertę ziemi zasłonięto przed wzrokiem żałobników plandeką. Tuż obok stała najbliższa rodzina Noaha: szlochający mężczyzna i dwie dziewczyny oraz kobieta wpatrująca się suchymi oczami w pobliskie drzewa. Blue nie potrzebowała zdolności paranormalnych, żeby widzieć jej smutek. Smutek i dumę.

Nagle w uchu Blue rozległ się szept Noaha, chłodny i ledwo słyszalny:

– Proszę, powiedz coś do nich.

Blue nie odpowiedziała, ale odwróciła głowę w stronę głosu. Czuła jego obec-

ność, stał tuż za jej plecami, czuła jego oddech na szyi i drżącą dłoń, którą zaciskał na jej ramieniu.

– Wiesz, że nie mogę – odrzekła cicho.

– *Musisz.*

– Wyszłabym na wariatkę. I co by to dało? Co miałabym powiedzieć?

Głos Noaha był słaby, ale rozpaczliwy. Jego cierpienie poruszało ją do głębi.

– *Proszę.*

Blue zamknęła oczy.

– Powiedz, że przepraszam, że wypilem jej urodzinowego sznapsa – wyszeptał Noah.

„Boże, Noah!”

– Co robisz? – Gansey wyciągnął rękę i złapał ją za ramię, kiedy ruszyła w stronę grobu.

– Upokarzam się!

Uwolniła się od jego uchwytu. Podchodząc do rodziny Noaha, Blue zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby się do nich zwrócić, nie sprawiając wrażenia szalonej, ale nie wymyśliła nic odpowiedniego. Za długo знаła swoją matkę, żeby nie wiedzieć, jak to się skończy. „Tylko dla ciebie, Noah...”. Spojrzała na smutną, dumną kobietę. Jej makijaż był nieskazitelny, a włosy starannie podwinięte na końcach. Wszystko było zapięte, pomalowane i spryskane. Pod kontrolą. Cały smutek został ukryty głęboko na dnie jej duszy, nie miała nawet zaczerwienionych oczu. Blue nie dała się nabrać.

– Pani Czerny?

Rodzice Noaha odwrócili się do niej. Blue z zażenowaniem przyglądała ręką jeden z kawałków koronki.

– Jestem Blue Sargent. Chciałam... ehm, powiedzieć, że bardzo mi przykro. Moja matka jest medium. Mam... – ich twarze już przybierały nieprzyjemny wyraz – ...wiadomość od państwa syna.

Twarcz pani Czerny natychmiast się zachmurzyła. Potrząsnęła tylko głową.

– Nie, nieprawda – zaprzeczyła zupełnie spokojnie.

– Proszę, nie rób tego – powiedział pan Czerny. Ze wszystkich sił starał się być uprzejmy i wypadło to lepiej, niż Blue się spodziewała. Fatalnie się czuła, zakłócając ich chwilę żałoby. – Proszę, po prostu odejść.

„Powiedz jej” – szepnął Noah.

Blue nabrała powietrza.

– Pani Czerny, on przepraszam, że wypił pani urodzinowego sznapsa.

Na chwilę zapanowała cisza. Pan Czerny i siostry Noaha przeniosły wzrok z Blue na matkę. Ojciec Noaha otworzył usta, a pani Czerny wybuchnęła płaczem.

Żadne nie zauważyło, kiedy Blue odeszła od grobu.

Później pojechali go wykopać. Ronan czekał oparty o bmw zaparkowane z podniesioną maską przed bramą cmentarza. Jednocześnie blokował dojazd i stał na czatach. Adam kierował wypożyczoną przez Ganseya koparką. Gansey przeniósł kości Noaha do brezentowego worka, a Blue świeciła latarką, żeby się upewnić, że nic nie zostało. Adam zakopał z powrotem pustą trumnę i usypał świeży grób, identyczny jak ten, który rozkopali.

Kiedy przybiegli z powrotem do samochodu, oszołomieni i pozbawieni tchu z powodu popełnionego przestępstwa, Ronan powiedział do Ganseya:

– To wszystko wylezie na wierzch i ugryzie cię w dupę, kiedy będziesz startował w wyborach do kongresu.

– Zamknij się i jedź, Lynch.

Pochowali kości w starym zrujnowanym kościele. To był pomysł Blue.

– Nikt nie będzie go tu niepokoił – powiedziała. – A wiemy, że to miejsce leży na linii mocy. Poza tym to poświęcona ziemia.

– No – zgodził się Ronan. – Mam nadzieję, że mu się to podoba. Naciągnąłem sobie mięsień.

– Stojąc na czatach? – zapytał Gansey z przekąsem.

– Jak podnosiłem maskę.

Kiedy skończyli, stanęli w milczeniu wśród ruin. Blue przyglądała się Ganseyowi, jego rękom w kieszeniach, głowie pochylonej nad miejscem, w którym właśnie pochowali Noaha. Czuła się tak, jakby nie minęła ani minuta, a zarazem jakby upłynął cały czas świata, odkąd zobaczyła jego cień dokładnie w tym miejscu.

„Gansey. To wszystko”.

Przysięgła sobie, że to nie ona go zabije.

– Możemy już wracać do domu? To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę.

Wszyscy odwrócili się, czując, jak ogarnia ich euforia. Noah, rozczochrany i znajomy, stał w zwieńczonych łukiem drzwiach kościoła. Blue jeszcze nigdy nie wydawał się taki rzeczywisty. Przynajmniej jeśli chodzi o postać. Rozglądał się bojaźliwie po spękanych murach.

– Noah! – zawołał uradowany Gansey.

Blue zarzuciła mu ręce na szyję. Najpierw zrobił przerażoną minę, po chwili – zadowoloną, a potem przyglądał jej włosy.

– Czerny – powiedział Ronan, wypróbując to słowo.

– Nie – zaprotestował Noah ponad ramieniem Blue. – Mówię poważnie. Mam cholerną gęsią skórę. Możemy już iść?

Twarz Ganseya rozciągnęła się w pełnym ulgi, swobodnym uśmiechu.

– Tak, chodźmy do domu.

– Nadal nie jem pizzy – uprzedził Noah, opuszczając ruiny razem z Blue.

Ronan, który został wewnątrz murów, zerknął na nich przez ramię. W przyćmionym świetle latarek wystający znad jego kołnierzyka wytatuowany haczyk przypominał szpon, palec albo fragment kwiatu lilii. Był niemal równie przerażający, jak jego uśmiech.

– To chyba niezły moment, żeby wam to powiedzieć – zaczął. – Piła pochodzi z mojego snu.

Podziękowania

Odnoszę wrażenie, że w tym miejscu pojawia się zawsze to samo grono osób. Ale nie zmienia to faktu, że podziękowania im się należą. Wszystkim w wydawnictwie Scholastic, a w szczególności mojemu wydawcy, Davidowi Levithanowi, za jego cierpliwość podczas przedłużającego się okresu dojrzewania tej powieści. Dickowi i Ellie za ich nieustającą wiarę we mnie. Rachel C., Tracy i Stacy za bezgraniczny entuzjizm dla wszystkich dziwacznych pomysłów, które im serwuję. Becky za alkohol, którego nie piłam, w przeciwieństwie do Ganseya. Kakao.

Specjalne podziękowania dla zespołu Scholastic w Wielkiej Brytanii: Alyx, Alex, Hannah i Catherine, dzięki którym mogłam się znaleźć na linii mocy.

Dziękuję mojej agentce, Laurze Rennert, która pozwala mi biegać z nożyczkami, a także moim niezmordowanym recenzentkom: Tessie „Nie rób tego” Gratton i Brennie „To interesujące” Yovanoff.

Jestem również wdzięczna wielu innym osobom czytającym to, co napiszę: olśniewającemu Jacksonowi Pearce’owi, Carrie, która naprawdę robi pyszny sos guacamole, Kate, mojej pierwszej i ostatniej czytelniczce, tacie za niebezpieczną broń palną i mamie za kamienne kręgi. Dziękuję również Natalie; ona wprawdzie nie czytała, ale podarowała mi koszmarną muzykę, która okazała się niebywale pomocna.

I jak zawsze dziękuję mojemu mężowi, Edowi, który sprawia, że magia jest czymś oczywistym.

¹ *Ostendes...* (łac.) – Pokaż mi, co tam masz, a ja pokażę ci, co ja mam (przyp. tłum.).

² Czas snu (ang. *Dreamtime*) – w mitologii Aborygenów okres przed stworzeniem Ziemi. Według rdzennych mieszkańców Australii, świat materialny jest dziełem metafizycznych przodków, którzy wykreowali go, śniąc sny. „Czas snu” według wierzeń nadal istnieje i można się do niego dostać lub porozumieć się z żyjącymi tam duchami dzięki odpowiednim rytuałom.

Linie pieśni (ang. *songlines*) – w mitologii Aborygenów niewidzialne drogi oplatające kontynent australijski. Zostały nakreślone przez mitycznych przodków, którzy w „czasie snu” podróżowali, stwarzając góry, doliny, zbiorniki wodne, zwierzęta, ludzi. To także religijne pieśni, które opowiadają historię stworzenia. Umożliwiają poruszanie się w terenie, ponieważ zawierają wskazówki na temat położenia punktów orientacyjnych (przyp. tłum.).

³ *In perpetuum* (łac.) – w nieskończoność (przyp. red.).

⁴ Guacamole – sos z awokado (przyp. red.).

